



Jerzy Z. Sobolewski

Lady

Czuczka w cieniu oliwki
czyli

KAJAKARZE,
CELNICY I ...

Warszawa 2010

PROLOG

W jakiś wrześnieowy wieczór stanu wojennego¹ wpadł do mnie Prezes. Nie sam. Z załącznikiem. Tym załącznikiem była duża, półtoralitrowa butelka wina. Na jednej nodze skoczyłem po korkociąg, rozległ się charakterystyczny odgłos ulgi, wyzwolonego przy wyciąganiu korka dobrego duszka, zakłętego w butelce. Gulgotał z radością przy wlewaniu rubinowego płynu do kielichów. Zadźwięczało zgodnie szkło:

- Zdrowie!

Zapadliśmy wygodnie w fotele. Nastąpiła uroczysta chwila degustacji. Bukiet znakomity. Smak?... Wspaniałe, pyszne wino, nieczęsto miewałem okazję pić coś równie dobrego. Prezes obserwował mnie uważnie, a ja - z niemniejszą uwagą przyglądałem się butelce. Nie dosyć, że dwukrotnie większa pojemność, to i etykieta niezwykła, z ozdobnymi napisami w cyrylicy. Taką butelkę z pewnością zauważyłbym na półkach naszych sklepów, zwłaszcza, że stały tam przeważnie butelki z etykietą "Ocet".

- Z Pewexu?

- Nie, z Grecji. Przywiozłem to wino specjalnie dla ciebie!

Istotnie, Prezes organizował w tym roku wyprawę kajakową do Grecji. Namawiał mnie usilnie na wzięcie w niej udziału, ale nie uległem. Po dwóch latach spędzonych w Afryce nad brzegami Morza Śródziemnego, czyli w tym samym akwenie, miałem dosyć egzotyki, a przede wszystkim słońca! Na samą myśl o tym, że mam mieszać wiosłem wodę bez nadziei na odrobinę cienia, że słońce będzie cały czas atakować rozgrzane ciało, a chmurki ani na lekarstwo (nie wspominając nawet o jakimś ożywym deszczyku), oblewałem się potem. Zrezygnowałem z propozycji. Tego lata, już po zakończeniu kontraktu, ładowałem wyczerpany akumulator psychiczny w rodzinnych stronach, sycąc oczy zielenią augustowskich lasów, pływając w czystych jeszcze wodach jeziora Necka, Białego czy Rospudy, słuchając swojskiego śpiewu ptaków nad brzegami Czarnej Hańczy. Oczywiście, wybrałem najwłaściwszą dla mego usposobienia formę wypoczynku, czyli - kajak. Ale - nawet gdyby mi wiosło wypadło już z ręki, zawsze będę wracać do krainy Jaćwingów, której czar konkuruje z powodzeniem z malowniczością Sahary czy urokiem Paryża.

v Chociaż z małym zastrzeżeniem. Jest to kraina mlekiem i miodem płynąca, lecz... winem - niestety, nie! Raczej "krzakówką", "księżycówką", czyli - po prostu - bimbrem. Nie to tygrysy lubią najbardziej, ale nie ma róży bez kolców. Ma to jednak swoje dobre strony - tęsknota za dobrym winem skłania mnie bowiem czasem do wędrówki w obce kraje. O czym dobrze wiedział Prezes...

- Dobre wino, co?

Pytanie było retoryczne, więc w odpowiedzi napelniałem ponownie szkło.

- Słuchaj, a nie miałbyś ochoty degustować tego wina na miejscu, w Grecji?

- Hm, jest to kusząca propozycja. Ale, ale - a jak tam wyprawa? Udała się?

- A co, miała się nie udać? - roześmiał się beztrąsko.

Dla Prezesa nie ma bowiem rzeczy niemożliwych. Wszystko, co wymyśli - to zorganizuje, wyręczając w tym biura podróży z dziesiątkami urzędników i odpowiednim zapleczem materialnym. Jak mu się to udaje? - pojęcia nie mam. Pracę nad każdą nową eskapadą zaczyna od... wymyślenia nazwy wyprawy. Zwykle bardzo romantycznej: "Biała Dama", "Lew Północy", "W Poszukiwaniu Atlantydy"...

A potem każda zaplanowana podróż, choćby w założeniach najbardziej niewiarygodna i fantastyczna, dochodzi do skutku. Wbrew daremnym oczekiwaniom "etatowych" organizatorów, co to lubią mieć wszystko zaplanowane w szczegółach i zapięte na ostatni guzik. Prezes porywa się także na wyjazdy zagraniczne, a te nie powinny się udać, bo Prezes jest znanym bałaganiarzem. Poza tym zabiera chleb ludziom powołanym do tego przez

¹ Stan wojenny wg mnie trwał aż do „Okrągłego Stołu”

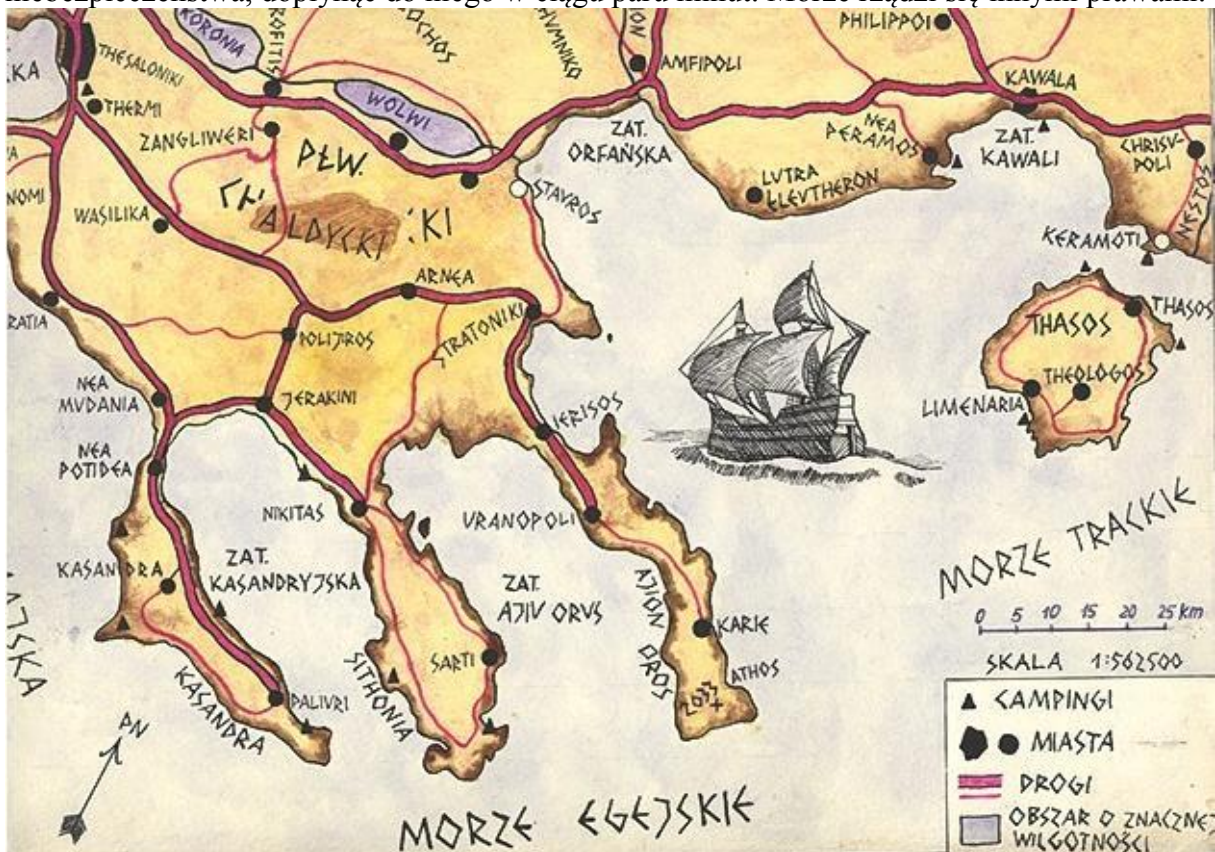
odpowiednie organizacje. I tu jest pies pogrzebany! Bowiem ogólnie przyjętym zwyczajem - organizator jakiegoś wyjazdu jest zwolniony od wszelkich opłat. Wyprawy krajowe - pal sześć!, niech sobie organizuje. Jednak przy wyjazdach zagranicznych, zwłaszcza w strefę dolarową, w grę wchodzi duże pieniądze.



... w czystych jeszcze wodach jeziora Necka, Białego czy Rospudy...
(foto autora – zachód słońca nad jez. Ncko)

Jest to chyba główna przyczyna istnienia tych etatowych organizatorów, zważywszy, że przeciętny Polak zarabia około dwudziestu dolarów. Nie codziennie, a miesięcznie! Paradoks, którego tajniki próżno starają się zgłębić najtęższe głowy ekonomiczne. Na Zachodzie, oczywiście. A to wszystko jest takie proste. Polak zarabia wielokrotnie więcej, tylko lwia część jego pieniędzy nie zostaje mu wypłacona. Zostaje w gestii decydentów. Ci, przez odpowiednie instytucje, rozprowadzają te pieniądze według własnego uznania, mówiąc przy tym że Państwo dokłada. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że pewna część Polaków w to wierzy i wstępuje w szeregi... Też chcą nam dokładać! Poszukując Atlantydy Prezes udał się do Grecji. Było to w zeszłym roku. Grupa, którą kierował, popłynęła kajakami na wyspę Santoris, która - jak twierdzą niektórzy uczeni - jest pozostałością tego legendarnego lądu. Prezesowi nie udało się stwierdzić czy Santoris to Atlantyda, ale mimo to wrócił w dobrym humorze i z miejsca zabrał się za organizację następnej. Tegoroczna wyprawa odbyła się pod hasłem "Ach, Itaka!" Tym razem niestrudzony poszukiwacz płynął jedną z tras Odyseusza powracającego z wojny trojańskiej. Wyciągnąłem stosowną mapę, a Prezes objaśniał mi trasę. Pierwszy etap spływu przebiegał z portu Kilinis na Półwyspie Peloponeskim na wyspę Zakintos. Patrząc na mapę - to odległość niewielka, palcem można by przykryć. Ot, niecałe dwadzieścia kilometrów. Przy spokojnej wodzie na jeziorze to dwie, trzy godziny wiosłowania. Z Rucianego do Mikołajek, na przykład. Ale człowiek, posiadający choćby odrobinę wyobraźni wie, że taka odległość na morzu, dla nędznej łupinki, jaką jest

kajak, to nie żarty. Na jeziorze czy rzece, kiedy brzeg jest w zasięgu wzroku, można, w razie niebezpieczeństwa, dopłynąć do niego w ciągu paru minut. Morze rządzi się innymi prawami.



wyciągnąłem stosowną mapę...
(rysunek wyk. Wojciech Sobolewski)

By nawigować bezpiecznie trzeba znać prędkość i kierunek prądów przybrzeżnych, których siła, zależnie od siły i kierunku wiatru, przekracza niekiedy znacznie siłę ludzkich mięśni. Prezes nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego poprzednik Odys również, bo stracił wiele lat, by dotrzeć do rodzinnej Itaki, w ramiona wiernej Penelopy. Prezes miał więcej szczęścia. Podobnie, jak ci, co mu beztrąsko zawierzyli. Siedząc w wygodnym fotelu słuchałem relacji z pierwszego etapu:

- Z portu wypłynęliśmy bez przeszkód, zgodnie z regulaminem. Ja na czele, by nadawać tempo. Port leży w głębi zatoki i morze było spokojne jak sadzawka. Wypływamy na otwarte morze i dostajemy silny boczny wiatr. Fala, jak cholera! Kajakiem rzuca jak korkiem. Dobrze, że mam szczelny fartuch, bo od czasu do czasu woda przelewa się przez kajak i chlusta mi w twarz. Po jakimś czasie oswoiłem się z niebezpieczeństwem. Kajak jakoś się nie wywraca, a ja ciągle macham wiosłami. Byle naprzód! Daleko przede mną mała, ciemna kreska pojawiająca się wtedy, gdy jestem na szczycie fali. To Zakintos. A gdzie reszta ludzi? Patrę w lewo, patrę w prawo. Nic, tylko fale. I ta samotność... Boję się odwrócić do tyłu, żeby przypadkiem się nie wywrócić. Zdaję sobie sprawę, że w razie wywrotki nikt mi nie pomoże. Bo i jak? Każdy walczy o przetrwanie, podobnie jak ja.

- A nie mogłeś nieco zwolnić i zobaczyć, gdzie znajduje się reszta ludzi? A może komuś potrzebna była pomoc?

- Łatwo ci teraz mówić! Nie mogłem zwolnić, bo na szybkości kajak jest stabilniejszy. Zresztą, co by to dało? Nie byłbym w stanie nikomu pomóc, a jeszcze sam mógłbym się wywrócić...

- Czyli, ratuj się kto może. No, a co było dalej?

- Po jakimś czasie stwierdziłem, że wyspa się jednak przybliżyła. Robi się coraz większa i większa. Wiatr słabnie, fala staje się mniejsza. Zaczynam nabierać otuchy, bo już zwątpiłem, że dopłynę. Naciskam mocniej na wiosła, mogę już odróżnić kamienie na brzegu, ale w pewnym momencie mam wrażenie, jakbym się znów oddalał.

- Pewnie prąd! - wtrąciłem.

- Jaki prąd? Przecież to nie rzeka!

- A słyszałeś o Golsztromie?

- Oczywiście! Czy masz mnie za głupka? To podwodna rzeka w Atlantyku, płynąca od Zatoki Meksykańskiej aż po Skandynawię. Zresztą, dzięki temu, że jest ciepła, w Anglii nie ma praktycznie zimy, a piłkarze grają cały rok na zielonych boiskach.

- Brawo. Z tego wniosek, że dzięki Golsztromowi powstała piłka nożna. A czy nie przyszło ci do głowy, że takie małe "golsztrunki" istnieją na wszystkich morzach świata?

- Niemożliwe! Ty mnie nie ucz rozumu. Golsztrom powstał na skutek wymiany ciepłych wód z Zatoki Meksykańskiej z...

Przerywam mu:

- Czy słyszałeś coś o locji?

- Nie zwracaj mi głowy locją! Jeszcze przed wyprawą mnie straszyles. Tacy jak ty, niczego w życiu nie osiągną. Świat należy do odważnych.

W duszy przyznałem mu rację. Prezes nawijał dalej:

- W końcu, kompletnie wyczerpany, dopłynąłem do brzegu. Znalazłem małą zatoczkę z dogodnym wyjściem. Wyciągam kajak na brzeg i przepatruję morze przez lornetkę. Naszych - ani śladu, potopili się, czy co? Wchodzę wyżej na brzeg i widzę jakieś budynki. Tam muszą być ludzie, trzeba wszczać alarm! Zbliżam się i widzę, że to jakiś pałac. Ale jaki! Same marmury. Wchodzę do środka z wiosłem w rękę. Wokół - zdziwione twarze. Zbliży się jakiś grubas w białym garniturze, wyglądający na szefa. Tłumaczę mu o co chodzi, ale mnie chyba nie zrozumiał. Natomiast ja zrozumiałem, że ta wyspa należy do Onassisa. Robię więc w tył zwrot, ale grubas chwyta mnie za łokieć i prowadzi szerokimi, marmurowymi schodami do środka. Otwiera przede mną olbrzymie drzwi i... staję, jak zamurowany w wejściu do wspaniałej restauracji. A tam - "hajlajf". Panowie w białych marynarkach, czarne muszki pod szyją. Panie we wspaniałych kreacjach, prosto od Diora. Na podium orkiestra gra jakieś greckie melodie. A ja stoję w krótkich spodenkach, we flanelowej koszuli i trzymam wiosło w rękę. Chyba nie pasuję do tych salonów, więc ponownie daję krok w tył. Mój opiekun trzyma mnie jednak mocno i gestem zaprasza do środka. Wszyscy gapią się na mnie, machają z uśmiechem rękoma na przywitanie. Ja chyba śnię? Gdyby nie to wiosło w rękę, to bym nie uwierzył, że to jednak prawda. Budzi się we mnie irytacja. Co? - kajakarza tu nie widzieli? Grubas usiłuje mi wyjąć to wiosło z ręki, ale mu nie pozwalam. Jest mi głupio, ale twardo je trzymam. Chyba mnie rozumiesz?

Roześmiałem się:

- Chyba tak. Szok, jak podczas wywrotki.

- Właśnie tak się czułem. Działąłem podświadomie, ale zgodnie z żelazną zasadą, że kajakarz nigdy nie wypuszcza wiosła z ręki. Tutaj, to wiosło dawało mi poczucie bezpieczeństwa, poza tym czułem jeszcze kołysanie. Chyba zauważyli, że ze mną coś nie tak, bo do pomocy grubasowi skoczyło jeszcze paru. Biorą mnie pod ramiona i sadzają przy stoliku ze śnieżnobiałym obrusem. Jak usiadłem, to wreszcie wyjęli mi to wiosło i postawili w kącie. Miałem je ciągle na oku, wiesz, to w końcu nie byle jakie wiosło, to była "ciesielka".

Uśmiechnąłem się mimo woli. Ciesielka, to taki facet, mieszkający nad Dunajcem, chyba w Krościenku, stolarz - trudniący się wyrabianiem wiosła. Stolarz, to chyba za mało powiedziane, to jest jedyny w swoim fachu artysta. Jego wiosła są lekkie, a przy tym wytrzymałe, o starannie wyprofilowanych, szerokich piórach. Wiosła - marzenie każdego szanującego się kajakarza. Ciesielka wykonuje je ręcznie, raczej w niewielkiej liczbie

egzemplarzy, często na indywidualne zamówienie i sprzedaje podczas odbywającego się corocznie Międzynarodowego Spływu Kajakowego na Dunajcu. Posiadanie takiego wiosła, oznacza nobilitację dla kajakarza, znaczy to - facet z "ciesielką" musiał brać udział w spływie tą dosyć trudną, kapryśną, górską rzeką. (Prezes nabył to wiosło chyba nie od Ciesielki, bo jakoś nigdy nie miałem okazji zauważyć go na tym spływie). A może tam i był, ale gdzieś nikt nie widział w dwutysięcznym tłumie "górkich" kajakarzy. O poziomie umiejętności części z tych ludzi świadczyła liczba wywrotek, dziur, połamanych wiosel i kajaków na trudniejszych odcinkach rzeki. Ale "ciesielkę" należało mieć, chociaż kosztowała w przeliczeniu na piwo, ładnych parę skrzynek. Prezes piwa nie pijał, dla niego wartością nadrzędną było to wiosło.

Pociągnąłem łyk wina, a Prezes kontynuował:

- No więc siedzę sobie, jak jakiś król z bajki, a pić mi się chce, jak cholera, więc pokazuję gestem dłoni o co mi chodzi. I rzeczywiście, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się na stole butelka szampana w srebrnym kociołku z lodem. Nie to miałem na myśli, marzyłem o zwyczajnej wodzie, ale macham zrezygnowany ręką. Wszystko jedno co, byle mokre, byle splukać ten gorzki osad soli. To od fali, która chlustała mnie co chwilę w twarz. Kelner przyniósł taki, wiesz, stożkowy, chyba kryształowy kielich, szampan strzelił, strzeliły szampany wokoło i wszyscy podnoszą w górę kieliszki, zwracając się do mnie. Wypijam kielich do dna, a kelner już nalewa następny. Toasty się nie kończą, biorą mnie chyba za jakiegoś bohatera. Piję więc kielich za kielichem, bo kelner stoi przy mnie i nalewa, a odmówić nie wypada. Kołysanie ustaje, czuję za to wściekły głód. Nic dziwnego, płynąłem parę godzin walcząc o życie, gdybym odłożył choć na chwilę wiosło, żeby coś zjeść, to by mnie już ryby albo kraby jadły. Teraz role się odmiały, bo na stół wpływają ostrygi, ryby, krewetki, sałatki, całe to morskie paskudztwo.

- Frutti di mare.

- No właśnie. Do tego arsenał różnych narzędzi: widelce, widelczyki, szczypce, obcęgi... Po cholere mi ten cały warsztat ślusarski? Nie bardzo wiadomo, co do czego służy. Całe szczęście, że jestem szlifierzem narzędzi, więc się jakoś połapałem. Mówiłem ci już, że spędziłem młodość we Francji, więc sobie przypominałem, jak trzeba się zabierać na przykład do ostryg. Do tego białe wino, znów jakieś dania, wino czerwone... i znowu znajome kołysanie. Głowa zaczyna mi ciążyć ku ziemi, strasznie mi się chce spać. Wstaję z trudem od stolika, biorę wiosło i mam zamiar dotrzeć jakoś do kajaka. Może nasi już przyплыnęli, a jak nie to postawię namiot i nareszcie się położę, bo ziemia kołysze się pod nogami. Ale diabła tam! Grecy znów biorą mnie pod ramiona i prowadzą do pokoju z ogromnym łóżem. Na próżno usiłuję im tłumaczyć, że nie mam pieniędzy na taki luksus, że poszukuję kolegów...

Budzę się o świcie i nie wiem gdzie jestem. Eleganckie wnętrze, biała pościel... Co ja do cholery tu robię? Raptem spostrzegam w kącie moje wiosło oparte o tę marmurową ścianę i wszystko mi się przypominało! Zrywam się z łóżka - przecież nie jestem tu prywatnie - łapię za wiosło i wyskakuję za drzwi. Przy wyjściu spotykam szefa. Pytam przerażony - ile płacę? Ten klepie mnie przyjacielsko po ramieniu i, śmiejąc się, zaprasza na śniadanie. Gratis oczywiście. Jestem przecież gościem Onassisa. Odmawiam, jestem tu przecież służbowo. Ponawia zaproszenie, ale nie mam do tego głowy. Dziękuję za wszystko i biegnę do kajaka. Na szczęście leży tam, gdzie go zostawiłem wczoraj. Usłudni Grecy pomagają mi jeszcze ściągnąć go na wodę, morze gładkie jak lustro. Jeden z nich pokazuje mi kierunek na niedaleki, skalisty półwysep, machając rękami i coś wykrzykując z podnieceniem, ale po grecku. Skapowałem, że pewnie tam są nasi. Istotnie, w zatoczce tuż za cyplem, biwakują dwie nasze osady. Witają mnie, jak umarłego. A gdzie reszta? Też nie mają pojęcia. Poczuję się jednak raźniej i popłynęliśmy wzdłuż wyspy, zbierając pozostałych. Okazało się, że wiatr porozrzucił załogi na przestrzeni paru kilometrów. Nikt, na szczęście, nie zginął...

Przyznaję, że słuchałem opowieści Prezesa z odrobiną zazdrości w sercu. Szczególnie, gdy opowiadał o pobycie w hotelu na wyspie Onassisa, gdzie witano jak bohatera pierwszego

kajakarza, który tu przyплыł. To działa na wyobraźnię. Prezes dobrze wiedział co robi, gdy przyszedł do mnie z tym winem. Dałem mu bowiem słowo, że pomogę zorganizować następną wyprawę. Nieszczęsny, nie wiedziałem na co się zgodziłem... Ale dzięki tej decyzji, przeżyłem nową przygodę i dlatego powstał ten reportaż (jeżeli można tę książkę nazwać reportażem). Jest to opowieść o grupie przypadkowych ludzi, polskich turystów, złączonych jednym pragnieniem: przeżyć "coś nowego". Oczywiście - każdy z tych ludzi rozumie co innego pod tym hasłem. Niektórzy, a tych była zdecydowana mniejszość, rzeczywiście marzyli o popływaniu kajakami po morzu, sprawdzeniu swych sił i umiejętności w innych niż polskie warunkach. Część chciała zobaczyć i zwiedzić egzotyczne kraje, a wyrwać się poza nasz socjalistyczny "raj,, nie było wcale sprawą tak prostą jak obecnie. A reszta...to się dopiero okaże. Dla mnie był to eksperyment. Badanie reakcji na nowe sytuacje, niekoniecznie trudne, ale wymagające zachowań nietypowych dla "homo sovieticus", zmiany dotychczasowego trybu życia i sposobu myślenia. Był to prawdziwy raj dla aktywnego obserwatora, który świadomie prowokował i zmuszał innych do gwałtownych reakcji, niekiedy agresji. Rzecz sama w sobie byłaby niesmaczna, gdyby nie to, że eksperymentator świadomie nurkuje w to wnętrze ludzkich namiętności i sam również się obnaża, prowokując: bijcie mnie, jeśli... jesteście tego godni. Prowokować Polaków - rzecz to niebezpieczna. Chyba, że...ktoś się świetnie czuje w "polskim piekle" i stać go na to, bo robi to w imię radości życia. Poza tym Czytelnik, niekoniecznie kajakarz, lubiący przygody, a nie mający pieniędzy, możliwości itd., itp. przeżyje podróż wesołym polskim autokarem przez pięć krajów i dziesięć granic podczas słynnej wojny celnej: Polska - reszta świata, pod koniec lat osiemdziesiątych, kilka lat przed zburzeniem muru berlińskiego.

Warszawa 1994



...ale - nawet gdyby mi wiosło wypadło już z ręki, zawsze będę wracać do krainy Jaćwingów...
(z córką Iwoną - Rospuda między Św. Miejscem a jez. Rospuda czerwiec 2007, foto Wojciech Sobolewski)

Rozdział I

PREZES I INNI

Świątek kajakarski, to taka karykaturka stosunków społecznych w PRL-u. Człowiek, pracujący na państwowej posiadzi, nie ma zbyt wielu szans, by indywidualnie uprawiać turystykę. Zwłaszcza kajakową. Trzeba mieć przede wszystkim kajak. Na taki wydatek przeważnie go nie stać. Bez większego uszczerbku dla kieszeni, kupi sobie co najwyżej wiosło od Ciesielki, jeżeli był na spływie Dunajcem. Jeżeli jednak nie lubi tłoku, ale lubi pływać i wbrew protestom żony kupił kajak zamiast dywanu czy telewizora, to musi także posiadać jakiś samochód, choćby Syrenkę czy Trabanta. Zazwyczaj nie stać go na taki luksus, bo Syrenka to najdroższy samochód świata - musiałby przeznaczyć na nią kilkuletnie pobory, a z czego ma żyć? Co zatem pozostaje polskiemu turyście - kajakarzowi? Powinien pracować w jakimś dużym zakładzie pracy, który posiada odpowiednie fundusze, tzw. społeczne - czyli nasze, ale rozdzielane odgórnie bez naszej zgody i wiedzy. Za te pieniądze jakaś fabryka lub inne przedsiębiorstwo kupuje autokar i pracownicy jeżdżą sobie za niewielką opłatą na grzyby, na ryby (jak się pije na powietrzu, to podobno nie ma się kaca)... A czemu nie "na lwy by"..., czyli na kajaki? Jak się znajdzie grupka entuzjastów, to i sposób się znajdzie. W tym systemie, jak człowiek nie kombinuje to nie ma szans. Entuzjaści zakładają klub kajakowy, najlepiej pod szyldem jakiejś organizacji, na przykład PTTK. Klub kajakowy musi mieć kajaki, więc kajakarze in spe kołaczą do drzwi Rady Zakładowej, Dyrekcji i Sekretarza Partii (kolejność kołatania dowolna) o przydział odpowiednich funduszy. Jak Bóg i Partia pomoże to są już kajaki! Jeszcze tylko wiosła, może i namioty i już można popływać po Mazurach. Ale kajaki też bywają różne, różniste...Jeśli są to składaki, czyli Neptuny z Niewiadowa, to w pociąg i do Giżycka albo Augustowa. A jeśli są to kajaki drewniane czy - już w latach siedemdziesiątych - plastyki, to trzeba budować przyczepę do kajaków. Przyczepa to już wyższa forma organizacji. Podczepia się ją do Jelcza, a nawet do Stara i wio! - gdzie dusza zapagnie. Ale, ale... jakkolwiek imprezę turystyczną trzeba przecież zorganizować. Dopóki to była mała grupka entuzjastów, jeszcze za Gomułki, to organizacją zajmowali się wszyscy. Byli to przeważnie starzy, doświadczeni turyści, prawdziwi entuzjaści i marzyciele. Znali się zazwyczaj dobrze z rajdów pieszych, z nart, z żagli i wszystko odbywało się po koleżeńsku, sprawnie i bez większych nakładów czasu. Za Gierka imprezy turystyczne, w tym i kajakowe nabrały rozmachu. Ludziom żyło się już dostatniej, turystyka stała się masowa, stąd i potrzeba specjalizacji, bo imprezy stały się częstsze, przybierało sprzętu, ludzi i kłopotów. Organizacja turystyki wymagała coraz większego zaangażowania osobistego i po prostu przeszkadzała w pracy zawodowej. Do głosu dochodzą tzw. działacze społeczni czy turystyczni, czyli ludzie, którzy w ramach godzin pracy zajmują się działalnością nie związaną absolutnie z ich zawodem. Ze swej społecznej pracy, oprócz normalnej pensji, czerpią określone profity. Nie opłacają, najczęściej, kosztów wycieczki, a to bywa - zwłaszcza przy tygodniowych i dłuższych spływach - niemały wydatek. Działalność tych organizatorów nie kończyła się zazwyczaj tylko na przygotowaniu wyprawy, ale także na kierowaniu nią w trakcie jej trwania. Ludzie ci mieli jedną szczególną i jakże znamiennej cechę - lubili władzę. Nareszcie byli "kims", bo często tymi wodzami stawali się faceci nie odnoszący sukcesów w życiu zawodowym i nie mający predyspozycji do kierowania zbiorowiskiem przypadkowych ludzi. W ramach rekompensaty psychicznej, wyżywali się na tych "szeregowych" w czasie trwania imprezy. Dobry, wydajny, lubiący swój zawód pracownik nie ma najczęściej czasu na działalność organizatorską podczas godzin pracy. Sfatygowany nadużywaniem szarych komórek bądź inną ciężką i odpowiedzialną pracą, wyjeżdża na wycieczkę, by się odprężyć, by wreszcie być na luzie. Ten jego, zrozumiały przecież luz, bardzo przeszkadza formalistycznym i najczęściej sztywnym wodzom, choć czasami zdarzają się chlubne wyjątki. Dzieje się tak wtedy, gdy szef jest w życiu prywatnym, a zarazem zawodowym kimś

nieprzeciętnym. Dosyć łatwo było wyłowić tych formalnych, niekompetentnych szefów po częstym, niepotrzebnym wydawaniu komend i poleceń podczas podróży autokarem i na biwaku. Natomiast "w polu", czyli na turystycznym szlaku, niekompetencja władzy zderzała się z charyzmą naturalnych przywódców. Na wodzie jest to łatwe do sprawdzenia. Zwłaszcza wtedy, gdy zdarza się nietypowa, trudna a często groźna sytuacja. Wtedy wodzowie jakoś nikli, przycichali, stawali się niewidoczni, a do akcji wkraczali ludzie odważni i będący z wodą za pan brat - doświadczeni wodniacy. To oni powinni być komandorami, ratownikami i szefami. A ci wodzowie od organizacji powinni być tylko i wyłącznie tymi, którymi w istocie byli. Czyli, używając wojskowych pojęć - kwatermistrzami. Pewnie zdawali sobie ci kwatermistrze sprawę ze swego upośledzenia i, aby uwiarygodnić swój status, a zarazem zalegalizować bezpłatne uczestnictwo w imprezie, przypinali, gdzie się da, swoje fałszywe epolety. I oto widzisz na szlaku komandora, bo nosi przypięty do kapelusza dumny napis informujący - kto zacz. Albo czytasz: RATOWNIK - na plakietce przypiętej do majtek (bo upał) faceta, którego nigdy w życiu nie widziałeś w wodzie i nawet nie posądzałeś o umiejętność pływania. Ostatni raz zapewne był kąpany w wannie przez mamę, gdy był jeszcze niemowlakiem. Tacy ludzie znikają gdzieś, gdy dzieje się coś poważnego, albo - co gorsza - wydają bezsensowne komendy, utrudniające akcję.

Wytworzył się również, jakże by inaczej, typ dygnitarza kajakowego. Taki - to już nawet nie pływa. Prowadzi imprezę z ładu, ubrany w specjalny reprezentacyjny mundur. Granatowa marynarka, przypominająca krojem górną część munduru oficera marynarki wojennej, do tego jasne spodnie z ostrym, jak nóż myśliwski, kantem i obowiązkowo pod krawatem. Często na piersiach mnóstwo medali, zupełnie jak u Breżniewa; obfitość pocałunków przy wręczaniu nagród i medali na zakończenie zjazdu, chciałem powiedzieć - spływu, również.

Zatem, w systemie totalitarnym, człowiek pracy - nie tylko jest opłacany jak niewolnik, ale - chcąc uprawiać turystykę, uzależnia się od przeróżnych organizacji i od ludzi usiłujących mu odebrać resztę tej wolności, jaka jeszcze pozostała. I jeszcze jedno nieprzypadkowe uzależnienie. Podczas batalii o przeprowadzenie spływu na Morzu Śródziemnym, o którym będę pisać w tej książce, stwierdziłem ze zdumieniem, że PTTK podlega formalnie pod MSW, a niektórzy szefowie Oddziałów, to byli oficerowie wiadomego resortu, dorabiający sobie na ciepłych posadkach, do jakże zasłużonej emerytury, przysługującej po ukończeniu 45 roku życia - o ironio! - w kwiecie sił twórczych. Niech żyje...

Turystyka ma to do siebie, że wciąga i działa, jak narkotyk. Turysta, chcąc nie chcąc, godzi się z istniejącą rzeczywistością. Skoro, jako się rzekło, nie ma pieniędzy ani na kajak ani na samochód, musi ugiąć karku i uprawiać turystykę zorganizowaną. Zatem i organizator turystyki jest potrzebny. Jednym z takich działaczy jest właśnie Prezes. Rzecz ciekawa, nie cieszy się on zbytnią estymą wśród innych działaczy. Jest zbyt samodzielny i jak każda nieprzeciętna indywidualność ma licznych wrogów. Po prostu nie jest typowy. Jeszcze jeden przejaw polskiego piekła. Prezesa znałem od lat. Znajomość zaczęła się niezbyt fortunnie. Na "Złotych Liściach Wybrzeża", na początku lat siedemdziesiątych. Impreza wówczas mało popularna, ale na tyle atrakcyjna, dzięki "propagandzie szeptanej", w której miałem skromny udział, że zaczęły na nią przybywać pierwsze zorganizowane ekipy kajakarskie spoza Trójmiasta. Jedną z nich przywiódł Prezes, pracownik jednej z warszawskich fabryk. Dysponował wolnymi miejscami w autokarze firmy, więc skorzystałem z okazji. Poprzednio docierałem na Złote Liście pociągiem, na dodatek z przesiadką w Gdyni. Prawdę mówiąc, gdyby nie ten autokar, nie pojechałbym wcale. W dniu planowanego wyjazdu obudziłem się rankiem z potwornym bólem lewej ręki, spuchniętej w łokciu jak, bania. Parę dni wcześniej uderzyłem się w łokieć podczas treningu siatkówki. Zabolało, pociekło trochę krwi, ale aż do dzisiaj nic się nie działo. Ubrałem się z trudem, ale o zarzuceniu plecaka nie było co marzyć.

W dodatku należało zabrać gitarę. Jakże to - bez "dziewczyny" na spływ? O wiosłowaniu jakoś nie pomyślałem, ale pokusa zobaczenia przyjaciół z Wybrzeża zwyciężyła rozsądek. Z jedynej na osiedlu i na szczęście czynnej budki telefonicznej zadzwoniłem do Kazka. Kazek, to mój kolega z pracy, parę lat temu namówiłem go na kajaki. Przeżywał wówczas trudne chwile, opuściła go narzeczona. Ponieważ był wspaniałym śpiewakiem, podejrzewam nawet, że zmarnował swój wyjątkowy talent, a do tego nadspodziewanie dobrze radził sobie z wiosłem - połknął bakcyla. Chyba dożyłotnio. Na licznych spływach w moim towarzystwie wyleczył się z kompleksów i narzeczona wróciła do niego i... zaczęła już, jako "Żaba" uprawiać kajakarstwo. Płyną, oczywiście razem na Liście (za kilka lat, właśnie na Liściach będziemy oblewać ich wesele). Tymczasem jedziemy we trójkę taksówką na Plac Dzierżyńskiego, stałe miejsce odjazdu autokarów warszawskich na imprezy turystyczne. Autokar stał już na swoim miejscu. Obok grupka nie znanych mi ludzi i góra bagaży. Wokół tego bałaganu biega jakiś korpulentny jegomość w okularach i bez przerwy coś pokrzykuje. Przypomina to gdakanie kury na niesforne kurczęta. Tą kurą był właśnie Prezes, natomiast zgromadzeni zachowywali się jak jakieś bażanty i zupełnie nie zwracali uwagi na nieustanne gdakanie mało poważnego i zupełnie nie znanego braci kajakarskiej faceta. Chcąc jakoś pomóc nieznanemu, a prawdę mówiąc - nie mogąc znieść jego nieustannych nawoływań: Kochani! Wsiadamy (po czym następowało zachęcające klaskanie w dłonie) - wsiadłem do autokaru. Trzymając gitarę w zdrowej ręce kierowałem się ku memu ulubionemu miejscu, "na osi". W Jelczach, którymi się wówczas podróżowało, nad tylną osi są dwa rzędy miejsc, na których ośmiu ludzi siedzi, jak w przedziale kolejowym - zwróceni do siebie twarzami. Taki "mini klub" dla ludzi towarzyskich.



...zalety podróżowania na osi odkryłem już dawno, jeszcze podczas wypraw Ursusa...

Przystań PTTK we Frąckach, od lewej: autor, Węgrzyn (szef PTTK w Ursusie), Janusz Tichy

Zalety podróżowania na osi odkryłem już dawno, jeszcze podczas wypraw Ursusa, gdzie onegdaj pracowałem. Powszechnie uważa się, że siedzenia na osi są narażone na największe drgania, a najmniej trzęsie w środku i na samym przedzie autokaru. Tak jest, gdy w autokarze siedzą tylko ludzie. Jednak podczas wypraw turystycznych jest inaczej. Tyłne siedzenia autokaru są zazwyczaj silnie obciążone przez namioty, niekiedy kajaki składane i inny ciężki

sprzęt. Ten znaczny ciężar działa, jak siła skupiona na końcu belki, powodując drgania o największej amplitudzie właśnie w środku autokaru. Na osi natomiast, traktowanej jako punkt podparcia, drgania te są wielokrotnie mniejsze i o innej częstotliwości, wymuszanej przez nierówności jezdni i amortyzowanej bezpośrednio przez koła pojazdu. Tę hipotezę potwierdziłem kiedyś doświadczalnie przechodząc z naczyniem napełnionym płynem na osi, ku środkowi pojazdu. Na osi, płyn w naczyniu łagodnie falował, natomiast w miarę poruszania się ku środkowym siedzeniom zachowywał się coraz burzliwiej, by w pewnym miejscu dosłownie wylewać się z naczynia, podobnie jak gotująca się woda. Ponieważ nie była to woda, musiałem tę ciecz błyskawicznie wypić, szkoda jej było dla prominenta, do którego właśnie zdążyłem w przyjacielskich zamiarach. To jego, po zakończeniu wielogodzinnej podróży bolała głowa, a myślał naiwniak, że będzie odwrotnie.

Naczalstwo i ludzie stateczni siadywali zazwyczaj z przodu i w środku autokaru, a z tyłu doborowe towarzystwo z piosenką na ustach skracalo sobie czas długotrwałej podróży w poszukiwaniu nowych szlaków kajakowych: Mazury, Dunajec, San...- a teraz Pojezierze Kaszubskie. Zwykle miejsca na osi były zaklepywane przez samych swoich, ludzi sprawdzonych, o cygańskich duszach i kabaretowych skłonnościach. Jeden nawet ponurak w tym strategicznym miejscu może dużo zepsuć - przecież łyżka dziegciu psuje smak beczki miodu.

Przepychem się więc ku osi. Cholera, "w moim przedziale" większość - to nowi. Towarzystwo jest już rozbawione, rej wodzi Księżna z Białegostoku. Znamy się doskonale jeszcze ze szkółek kajakowych w Starym Folwarku nad Wigrami. Pod jej kierownictwem szkółka zamieniła się w wyższą uczelnię. Ona pełniła zaszczytną funkcję rektora, a profesorami byli Delfin z Opolą, Jamnik z Łodzi-Ursusa i ja. Księżna, "Herod Baba", przywitała mnie hałaśliwie i serdecznie chwyciła w objęcia. Syknąłem z bólu, ale ta nie zwróciła na to uwagi. Niezwłocznie dokonała prezentacji reszcie tryskającego humorem towarzystwa, nad którym górował - dosłownie i w przenośni - olbrzymi facet z... małą dziecinną trąbką, zawieszoną na tasiemce, niksącą w szerokich, bujnie owłosionych piersiach. Olbrzym zatrąbił na swym instrumencie, po czym wyciągnął dłoń wielkości łopaty:

- Dziecko jestem.

Po czym spojrzal uważniej, uśmiechnięta twarz spoważniała:

- Widzę, że potrzebujesz pomocy lekarskiej.

Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Księżnej:

- Mamo, znieczulić?

Ta skinęła z rozbawieniem głową. Dziecko wydobyciło dziwne szklane naczynie w formie dwóch odwróconych stożków stykających się wierzchołkami. Jeden ze stożków miał pojemność około 25 gramów, drugi był kilka razy większy. Dziecko pobawiło się chwilę tą dziwną zabawką, obracając ją kilkakrotnie w górę i w dół, po czym, niezdecydowane, ponownie zwróciło się do mamy:

- Dla przyjaciela, czy dla wroga?

- Dla przyjaciela, naturalnie - uśmiechnęła się Księżna.

Dziwny barman odwrócił swój przedziwny kieliszek większym stożkiem ku górze i napełnił płynem znieczulającym po brzegi. Ponieważ autokar już był w ruchu, jeszcze raz miałem możliwość potwierdzenia mej teorii o drganiach ramy nośnej pojazdu. Dziecko nie uroniło ani kropli, podając mi lekarstwo. Wypiłem za zdrowie mamusi, a później za zdrowie dziecka. Szybko zapomniałem o bólu i zabrałem się za gitarę.

Podróż mijała szybko i w coraz lepszym nastroju. Natomiast w czasie postojów obserwowaliśmy z rosnącym rozbawieniem dziwne poczynania Prezesa. Ledwie ludzie wysypali się z wozu, by rozprostować kości, już słycać było gdakanie, po czym klaskanie i sakramentalne: Kochani! Wsiadamy! Ludzie nie nadążali z załatwieniem naturalnych potrzeb fizjologicznych, a kierownik stał w drzwiach i poganiał spóźnialskich. Na nas nie robiło to

większego wrażenia, ale kilkunastu ludzi z ekipy szefa, w której przeważały dziewczyny, znajdowało się w permanentnym szoku.

Nas to, na szczęście, nie dotyczyło. Przynajmniej na razie. Mimo nieustannych prowokacji ze strony Dziecka. Być może dlatego, że Prezes sięgał mu zaledwie do piersi, a może był zbyt zszokowany?...



...przypadliśmy sobie do gustu. Mam na myśli Dziecko, oczywiście...

(Dziecko – pierwsze z lewej, obok Jamnik, Zbyszek Lenard, autor. Radunia za plecami)

Przypadliśmy sobie do gustu. Mam na myśli Dziecko, oczywiście. Pierwszy etap spływu płynąłem w jego kajaku z ręką na temblaku. W charakterze pasażera i kronikarza. Gdzieś wśród szpargałów mam mały notesik z jego odzywkami. Ostatniego wieczoru zorganizowaliśmy uroczysty chrzest Dziecka. Ojcem chrzestnym był sam Tata Leibszang. Po ojcu odziedziczył prawy charakter. Po matce - naturalną zresztą, skłonność do butelki.

Podczas spływu, Prezes nie istniał dla nas. Zajmował się swoją trzódką, wśród której większość stanowiły dziewczyny. Ale po czterech dniach, bo tyle trwały uroczyste "Liście", w niedzielę rano, znów musieliśmy spotkać się z dysponentem autokaru. O godzinę wcześniej niż zamierzaliśmy. Akurat tego dnia odbywała się zmiana czasu letniego na zimowy. Prezes nieoczekiwanie zmienił godzinę odjazdu. Wbrew logice - na wcześniejszą. Dowiedzieliśmy się o tym godzinę za późno. W momencie, gdy nieco wcześniej gruchnęła wieść, że w barze na dole jest piwo! Pokorna drużyna szefa siedziała już grzecznie w autokarze. Natomiast większość pozostałych pobiegła, jak na złamanie karku, do "wodopoju". Zwłaszcza, że pożegnalna noc, połączona z chrzciami, była upojna. Przytomnie zostałem na miejscu, by kontrolować poczynania Prezesa. Zdążyłem go już nieco poznać. Gdyby nie był żywym człowiekiem, a na przykład uszkodzonym statkiem w dryfie, byłby oznakowany: "nie odpowiadam za swoje ruchy". Nie myliłem się. Spojrzał na zegarek i krzyknął swoje: Kochani! Odjeżdżamy! Usiłuję mu wytłumaczyć, że nie jesteśmy w komplecie, że za późno powiadomił nas o zmianie rozkładu jazdy, że trzeba trochę poczekać, przecież to nie pociąg... Tymczasem wokół nas zbiera się tłumek znajomych. Świadomie przeciągamy ceremonię pożegnania. Do akcji wkraczają dziewczyny z Wybrzeża. Zaczynają kolejno żegnać się z Prezesem. Nie znały go wcześniej, ale doskonale wyczuwają sytuację i chcą nam pomóc. Całe szczęście - "zawiaadowca" ma słabość do ładnych dziewczyn, więc zyskujemy parę minut. Pożegnanie z nieznanym i niezbyt sympatycznym facetem trwa tyle, co krótka seria z broni automatycznej: cmok, cmok i adieu! Dziewczyny się wystrzelały, a raptus wskakuje na stopień i poleca uruchomić silnik. To nie żarty! - co zrobić, by go zatrzymać? Raptem - zbawienna myśl! Nasz dysponent lubi muzykę. Zwłaszcza w wykonaniu duetu Kazek i Lady, czyli "DUO KiL". (Jest to składanka starych przedwojennych piosenek śpiewanych ongiś przez Kazka w kabarecie Finka, później Aknif). W duecie występujemy na spływach już parę lat. Ponoć z powodzeniem, bo ktoś nas słyszał z taśmy w jakiejś kawiarni we Wrocławiu. Na

tegorocznych Liściach też nie próżnowaliśmy! Szukam wzrokiem Kazka. Na szczęście nie lubi piwa! Poza tym lubi porządek i siedzi już w autokarze. Obok dama jego serca, Żaba.



...biorą się za ręce i tworzą taneczne koło....
(Foto Zbyszek Lenard)

Łapię gitarę i krzyczę: Kazek! - gramy na zwłokę! Ten wyskakuje jak z procy. Zadzźwięczały struny i zaczyna się koncert, jakiego nie było i chyba nie będzie. Zaczynamy od tegorocznego przeboju kajakowego, piosenki "Skrwawione serce". Tymczasem wokół nas zbiera się tłum ludzi. Biorą się za ręce i tworzą taneczne koło, którego centrum stanowi nasz duet. Dziewczyny wyciągają Prezesa i pozostałych z autokaru. Wiedzą, co jest grane i wciągają go w krąg bawiących się. Tłum rośnie. Przypadkowe granie na zwłokę zamienia się w wielkie misterium pożegnania. Ludzie szaleją. Wkoło trzaskają migawki aparatów fotograficznych. Cały spływ zebrał się prawie w komplecie. Prawie, bo tych, o których walczyliśmy ciągle nie widać. Niezmordowanie walę w struny, a Kazek śpiewa przepięknym falsetem. Jest w swoim żywiole. Zaczyna następny szlagier:

*„Wkoło pachnie bez, pełno bzu
Barman tu, tam gdzie bywają panie.
Barman mija stół z pękiem bzu
Kupi pan, gdyż liliową dziś ma damę.
Czy pani lubi bez?
Jeśli tak - daj mi znak...”*

Na te słowa oszalały komandor Andrzej Michalczyk wypada po stycznej z kręgu tańczących i biegnie schylony po skarpie, zrywając po drodze to, co jeszcze kwitnie we wrześniu. Ofiaruje to naręczce polnych kwiatów Żabie, padając przed nią na kolana. A jest w eleganckich jasnych spodniach. Ona - wiedzona nieomylnym kobiecym instynktem, wręcza bukiet... naszemu Prezesowi. Ten jest w siódmym niebie. Tylko przez chwilę, niestety...



...ofiaruje to naręczę polnych kwiatów Żabie...
(Foto Zbyszek Lenard)

Ten epizod pożegnalny wspominają uczestnicy do dzisiaj. Słynne *granie na zwłokę*. Jednoczące wszystkich, bo - gdy jest chwila zagrożenia - ludzie się jednoczą. Dopiero później - zaczynają się waśnie. To takie polskie...

Nasz koncert trwał już co najmniej pół godziny. A tych cholerników ciągle nie było. Już dawno posłałem umyślnego. Właśnie przybiegł, rozkładając bezradnie ręce: kolejka! Źródło jedno, spragnionych zbyt wielu, a każdy napęnia kilkilitrowy bukłak. W tym i mój!

Nasz decydent budzi się w końcu z narkotycznego płasania. Ponownie spogląda na zegarek.

- To już koniec pieśni - myślę z niepokojem.

I rzeczywiście. Prezes, wykrzykując swoje ulubione hasło o "kochanych", wskakuje do autokaru. Za nim, niespiesznie, reszta. Kierowca zapala silnik. Motor zaskoczył i zgasł. Prezes się wścieka. Szofer próbuje ponownie. Bez skutku. Prezes wściekł się: Słuchaj, do cholery! Wiem dobrze, że wóz jest sprawny. Jeśli go nie uruchomisz, nigdy z nami nie pojedziesz!

Kierowca, by nie stracić twarzy, grzebie chwilę przy silniku. Po chwili wszystko gra. Autokar powoli rusza... Wskakuję w ostatniej chwili. Wiszę na otwartych drzwiach, na zdrowej ręce. Autokar zatrzymuje się. Kierowca zdecydowanie odmawia dalszej jazdy... bo drzwi są nie zamknięte. Prezes doskakuje do mnie:

- Jeśli jedziesz, to wsiadaj, a jeśli nie, to z wozu!

- Nie jadę! - mówię przez zaciśnięte zęby. Ale oddaj mi mój bagaż. Rzeczy pozostałych - również.

Zapadła cisza jak makiem zasiał...

- Nie możesz ich tak zostawić - cedzę słowa powoli. - Zostawili tu wszystko. Z pewnością i pieniądze i dokumenty. Nie zapominaj, że myśmy płacili za ten autokar. W obie strony! Zatem - oddaj bagaże nieobecnych i nasze pieniądze również!

Prezes wypuścił z siebie powietrze. Sflaczał, jak przekłuty balon. Chwilę zbierał myśli... Rozwiązanie przyszło samo. Właściwie przybiegło. Amatorzy piwa, nieświadomi tragizmu sytuacji, ładują się hałaśliwie do wozu. Na końcu, niespiesznie, Dziecko. Z dwoma bukłakami w rękach. Bez słowa wyrywam mu jeden z nich i przysysam się do zawartości. Och! - co za ulga. Gardło mam bowiem wysuszone na wiór. Po dłuższej chwili Dziecko, zaniepokojone nie na żarty, próbuje mnie oderwać od życiodajnego płynu. Ludzie na wrywki tłumaczą mu jednak, co tu się wydarzyło.

- O rany! To jak ja bym dojechał do Warszawy? W tym stroju... i w dodatku bez dokumentów. Przecież by mnie po drodze zamknęli w "wariatkowie".

Spowaźniał na chwilę. Po czym się roześmiał:

- Ale byłaby heca! Pij, zasłużyłeś na medal!

Okazało się, że Dziecko "w cywilu" jest wysokim oficerem lotnictwa!

W niezwykle pogodnym nastroju dojeżdżamy do Grudziądza. Tam szef zarządził zjedzenie obiadu. Powoli zdążamy do najbliższej restauracji. Prezes biega między naszą odstającą grupką i tymi pierwszymi, którzy zniknęli już za zakrętem, nawołując do pośpiechu.

- Wyrabia sobie kondycję - skomentowało pogodnie Dziecko i dodało:

- Przecież i tak wszystkich na raz nie obsłużą.

Całkowicie podzielaliśmy jego zdanie. Zgodnie z logiką nasza grupka zostaje obsłużona jako ostatnia. Pozostali zaczęli już wychodzić, gdy przyniesiono nam nieśmiertelne schaboszczaki. Nad naszymi głowami, pochylonymi nad talerzami, zjawia się natychmiast poganiacz. Zastanawiam się, kiedy on zdążył zjeść, przecież cały czas biegał między stolikami i poganiał innych. Raptem olśnienie:

- Szefie, czy ty zjadłeś już obiad?

- Nie miałem na to czasu!

Odłożyliśmy jednocześnie sztuce. Popatrzyliśmy porozumiewawczo po sobie.

- No to trzeba cię nakarmić!

Dziecko przygarnia Prezesa, sadza na kolanach i zaczyna go karmić, tak jak matka rozkapryszonemu malca:

- To za tatusia - mówi, wkładając mu do ust kęs mięsa.

Ten łyka grzecznie, mimo początkowych oporów.

- A to za mamusię. - No bądź greczny, otwórz szerzej buzię!

Chcąc nie chcąc, niejadek łyka następny kęs. Apetyt rośnie jednak w miarę jedzenia. Zaczynamy bawić się na całego i chętnie oddajemy po części z naszych porcji bardzo głodnemu, jak się okazało, człowiekowi. Zamówiliśmy więc po jeszcze jednej porcji dla wszystkich. Prezes spokorniał i nie protestował. Nic dziwnego, skoro jadł już nam z ręki...

Dwa tygodnie po przyjeździe dostałem nieoczekiwane list od Prezesa. W liście tym, nazywając mnie swoim przyjacielem, zaproponował spotkanie na imprezie organizowanej przez niego w Kampinosie. Naturalnie, pojechałem tam i bawiłem się znakomicie.

Tak oto zaprzyjaźniliśmy się. Zawsze miał głowę pełną zwariowanych pomysłów, które przeważnie realizował, wciągając mnie przy tym do współpracy. Chętnie w tym uczestniczyłem, on odwał robotę organizacyjną, ja miałem swobodę działania w polu. To on wpadł na pomysł zorganizowania spływu pod nazwą "Biała Dama" z bazą w Golubiu - Dobrzyniu, u kasztelana Kwiatkowskiego. Był pierwszym Komandorem tej niezwyklej imprezy, o czym niektórzy nie chcą pamiętać. Pierwsze i zasadnicze zebranie organizacyjne oraz nawiązanie kontaktów roboczych z Oseskiem odbyło się właśnie u mnie. Osesek był znakomitym organizatorem, mającym siłę przebicia, odpowiednie kwalifikacje przywódcze i odpowiednią bazę materialną. To twórca wojskowego klubu "Pasaty", notabene - kolega Dziecka. Wbrew początkowym oporom, uważał bowiem Prezesa za totalnego bałaganiarza, dał się przekonać do współpracy i tak narodziła się "Biała Dama". Ponieważ nie lubię roboty organizacyjnej, zrezygnowałem z oficjalnych funkcji, rezerwując tylko organizację wieczoru

przy świecach. Nastrój był znakomity, Kasztelan podbity przez kajakarską brać, duch Anny Wazówny miał sporo uciechy i sprzyjał organizacji następnych spływów. Zwłaszcza, że stały się one prestiżowe dla warszawskich organizatorów. Trwały zawzięte pojedynki, kto będzie organizatorem następnej "Białej Damy". Prezes nie miał najmniejszych szans, został wysadzony z siodła.



Następni komandorzy Białej Damy. Od lewej: Buldożer, Osesek,

Później wielokrotnie brałem udział w imprezach kajakowych, organizowanych przez Prezesa. Dbałem o bezpieczeństwo na wodzie i nastrój przy ogniskach. On był ponad to. Rzucił pomysł wyjazdu i organizował go z zupełnie przypadkowymi ludźmi, a na wodzie bywa różnie. Pamiętam taki jeden spływ na Jezioraku, ulubionym akwenu Prezesa. Przyjechaliśmy pociągiem do Iławy i kajaki wypożyczyliśmy w miejscowej stacji PTTK. Było to chyba w maju, początek sezonu, drewniane kajaki, rozeschnięte i zupełnie nie przygotowane do pływania. Dopóki płynęliśmy wąskimi odnogami jeziora - nie było sprawy. Dobijało się do najbliższego brzegu i wylewało wodę z kajaka. Wypływamy na otwarty akwen i - raptem zrywa się burza. Ale jaka! Potworna ulewa z bardzo silnym wiatrem. Jak zwykle - w oczy. Narzucam Ewie, mojej załodze, folię na głowę i z trudem zdążam ku najbliższemu brzegowi, który okazał się wyspą. Tam też udało się dobić większości pozostałych, z Prezesem włącznie. Trwa wściekła nawałnica, a my dygoczymy z zimna, szczęśliwi jednak, że jesteśmy na stałym lądzie. Drzewa osłaniają nas od wiatru i dają jako takie schronienie przed deszczem. Nie wszyscy bowiem mają odpowiednie zabezpieczenie przeciwdeszczowe. Gdy Prezes wreszcie doszedł do siebie i stwierdził grunt pod nogami, poczuł się znów wodzem: "Kochani, płyniemy dalej".

A tu ludzie w trwodze. Była wśród nas jedna pani, podająca się za doświadczoną wodniaczkę, która chyba nigdy w życiu nie siedziała w kajaku. Stara żeglarka, płynąca ze swoim kilkunastoletnim synem, również pierwszy raz w życiu trzymającym wiosło w ręku. Przypadek czy też brak doświadczenia w doborze kajaka sprawił, że ich kajak przeciekał najbardziej. Często pomagaliśmy słabej kobiecie wylewać hektolitry wody z kajaka, ale poprzednio było do brzegu kilkadziesiąt metrów. Teraz - przed nami otwarta zatoka. Do celu podróży, wyspy Bukowiec - około czterech kilometrów. Pod falę i pod wiatr - a więc dla silnej osady potrzeba co najmniej godziny, żeby dobić do celu. Zatem ta kobieta ma prawo utopić się kilka razy, bo po drodze nie ma żadnych przystanków. Komandor zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Na jego stanowcze pokrzykiwania, ludzie zmierzają niemrawo ku kajakom. Jak owce na rzeź! Ja chyba śnię? Facet chce potopić ludzi! Złapałem więc za wiosło i zagrądam drogę do kajaków:

- Ktokolwiek wsiądzie do kajaka - zabiję! Ciebie również! - tu zwróciłem się do pierwszego utopisty.

O dziwo - zrozumiał, inni przyjęli to z ulgą i wdzięcznością.

Zarządziłem rozpalenie ogniska i przygotowanie posiłku. W tym czasie - uszczelniliśmy kajaki najprostszą metodą, czyli przez zatopienie. Napęczniały w wodzie, znalazło się też parę gwoździ w przypadkach drastycznych. Po jakimś czasie burza przeszła, wiatr nieco ucichł, pozostała tylko duża fala. Poleciłem utworzyć szyk torowy. Z przodu jedna, dwie silne załogi, słabsi w środku, a z tyłu też mocna, by w razie potrzeby mogła płynąć w bok fali i zagarnąć odstających do środka. Jak owczarek - owieczki do stada. Przydałby się jeszcze dobry łącznik, który w razie potrzeby śmignie do przodu, zatrzyma się, niby to na papierosa i - stanąwszy bokiem do fali, popatrzy z uśmiechem na potrzebujących otuchy, rzuci przy tym żartobliwą uwagę. Przywraca to tym strwożonym, przeważnie początkującym, wiarę we własne siły, uspokojenie psychiczne: "Popatrz, on stoi bokiem do fali i nic! Nie wywraca się, a nawet pali papierosa!".

Pod wieczór dobiliśmy do upragnionego biwaku. Jednak - nie wszyscy, jak się za chwilę okazało. Ledwie zacząłem rozstawiać namiot, gdy zjawilo się przede mną dwóch chłopów na schwał. Piła i Andrzej, koledzy z pracy, których namówiłem na tę wyprawę.



.....gdy zjawilo się przede mną dwóch chłopów na schwał, Piła i Andrzej...
(Jeziorak, wyspa na Bukowcu, Andrzej chyba robi zdjęcie, zgadnijcie, który to Piła?)

Turyści, wodniacy, ale... żeglarze. Nie wiem, dlaczego popłynęli w jednym kajaku, zostawiając w drugim żonę Andrzeja wraz z kilkunastoletnią córką. Teraz mi meldują, że podczas burzy drugi kajak zaginął! Nie dowierzam własnym uszom. Jak można pozostawić bez opieki samotną kobietę z dzieckiem?! Na domiar złego, namiot i wszystko, co potrzebne do przeżycia, władowali w swój kajak, żeby odciążyć kobietę. Tym samym - skazali ją na powolną agonię. Jeziorak jest bowiem bardzo rozległy, ma liczne boczne odnogi, sporo wysp i bez mapy można w nim zgubić się na amen. Rozkładałam zatem mapę i proszę o pokazanie miejsca, gdzie ostatni raz widzieli swoich podopiecznych. Wrzucam gorączkowo do kajaka parę konserw, ciepłe ciuchy, latarkę i w drogę! Oni biegną do pobliskiej wsi - wyspa ma bowiem groblę, łączącą ją ze stałym lądem - by poszukać motorówki. Akcja równoległa. Jeżeli się nie powiedzie, nieszczęsne kobiety czeka noc grozy...

Lecę z falą na złamanie karku, bo już zaczyna się ściemniać. Po paru kilometrach, w pobliżu rejonu, który mi wskazali, na brzegu niedużej wyspy dostrzegam kajak. W zaroślach stoi namiot, a w nim - kobiety Andrzeja. Miały szczęście, ponieważ przygarneły je koczujący tam turyści. Zarządzam wsiadanie do kajaka. Decyduję się wziąć je na hol i wypływamy na falę. Naraz z prawej strony słychać warkot motorówki. To przybywają nasi dzielni mężczyźni. Biorą kobiety do łodzi, kajak na hol. Proponują mi to samo. Odmawiam zdecydowanie. Przypłynąłem kajakiem - to i wrócę nim. Właściciel motorówki kręci sceptycznie głową. Potem jest zdziwiony, gdy widzi, że przez dobry kawałek drogi utrzymuję się na kilwaterze

łodzi, tuż za nimi. Płynąłem za nimi wściekły, nie mogąc zrozumieć, jak można się zgubić płynąc tylko w dwie osady. Próbowali mi to wyjaśnić już na miejscu. Zaprosili mnie bowiem na rybkę, kupioną od właściciela motorówki, obecnego także przy konsumpcji. A że "ryba lubi pływać" - ja z kolei zapomniałem o swoich obowiązkach. Zwłaszcza, że był to początek mojej znajomości z Ewą... Raptem, poprzez śpiew i dźwięk gitary, która oczywiście była w robocie, przebił się przenikliwy krzyk: Jerzy!

Umilkliśmy w pół słowa... Chyba cały obóz zamarł w bezruchu. Rzuciłem wszystko i pobiegłem do namiotu. Wejście do sypialni było szczelnie zamknięte. Z konieczności, po wymianie niezbędnych uprzejmości, spałem w przedsionku. Rankiem wszyscy mnie troskliwie pytali, jak mi się spało i czy przypadkiem nie jestem głodny.

A wszystko przez Prezesa, bo to on poznał mnie z przyszłą żoną, a później był świadkiem na naszym ślubie. Toteż nie mogłem darzyć sprawcy mych późniejszych kłopotów zbyt dużą sympatią...

Rozdział II

PRZYGOTOWANIE DO WYPRAWY

Zaplanowana przez Prezesa następna wyprawa kajakowa nad ciepłe morza Grecji nie miała szans powodzenia. W światku kajakowym rozeszła się pogłoska, że komandor o mało nie potopił ludzi podczas pierwszego etapu spływu na Zakintos. Zawistne języki rozdmuchały aferę i Prezes - na mocy uchwały Zarządu Głównego PTTK - został na jakiś czas pozbawiony prawa prowadzenia imprez turystycznych poza granicami kraju. Prezesunio, niepoprawny optymista, nie przejmował się zbyt uchwałami władz kajakowych. Jednak, aby otrzymać zgodę na wyjazd, trzeba przebrnąć przez wszystkie szczeble drabiny administracyjnej instytucji do tego powołanej, czyli PTTK. Prezes połamał sobie zęby już na najniższym szczeblu, w Oddziale Dzielnicowym na Mokotowie, gdzie jego klub był zarejestrowany. Zaczął więc szukać pomocy i dlatego zwrócił się do mnie o pomoc w prowadzeniu wyprawy. Przekupił mnie butelką greckiego wina... Zwołano walne zgromadzenie Klubu, na którym wybrano mnie na wiceprezesa i komandora przyszłego spływu. Ruszyliśmy ostro do walki. Z przeprowadzonego rozeznania wynikało jasno, że władze turystyczne postanowiły bezwzględnie egzekwować swą decyzję i ukarać nie tylko Prezesa, lecz cały klub. Niezależnie od tego, kto będzie komandorem!

Tu zagrała moja ambicja! Muszę to zorganizować, choćby nie wiem co! Zaciąłem się. Cała afera zaczynała mnie wciągać. Rzuciłem na szalę cały mój autorytet i honor kajakarza. Należało działać metodycznie. Przede wszystkim należało zmienić rejonizację. Przejestrowaliśmy się z Mokotowa, gdzie rządził Pułkownik, ogromnie zawzięty na Prezesa, na Pragę, tam bowiem znajdowała się siedziba Klubu. Ponadto, w Oddziale Praskim Prezes miał mniej wrogów i bardziej sprzyjający klimat. Po paru potyczkach udało się zaakceptować program wyprawy i listę uczestników. Można uderzyć, a raczej zapukać wyżej, do Oddziału Wojewódzkiego. Przedtem trzeba było oczyścić przedpole, bowiem cała afera Prezesa została rozpetana przez etatową pracownicę tegoż oddziału. Podczas ostatniej wyprawy była ona prawą ręką Prezesa, a zarazem księgową. Nie rozliczyła się z finansów wycieczki i - żeby zmylić trop - zaatakowała szefa. Z wiadomym skutkiem! Następnie zniknęła z Klubu wraz ze stosownymi pieczętami, które zdążyła później wykorzystać do przywłaszczenia dwóch radiotelefonów. Trzeba więc było wyrwać jadowite zęby, zwłaszcza że niewdzięcznica awansowała do Zarządu Głównego. Wystosowaliśmy w tej sprawie odpowiednie pisma, zębów nie wyrwaliśmy, ale jad udało się zneutralizować. Nie mam ochoty opisywać wszystkich trudności, ani liczyć tych kłód, które rzucali pod nogi przeciwnicy przyszłej wyprawy. Zaczęto ją traktować jako "dziką", ponieważ nie została umieszczona w planie działalności turystycznej na nadchodzący sezon. Właściwie - zdążyła "wypaść z planu" ze znanych powodów. Jako dowód mej walki przechowuję pękatą teczkę ze stosowną dokumentacją. Miałem zamiar wystąpić do sądu z oskarżeniem o świadome hamowanie działalności turystycznej przez instytucję powołaną do jej rozwoju. Tylko - gdzie znaleźć taki sąd? W istniejącym systemie, którego sens polegał właśnie na podporządkowaniu człowieka władzy, nawet w tak niewinnym zakresie jego życia, jaką jest turystyka?

Po wielu utarczkach, w końcu maja udało mi się uzyskać zgodę Zarządu Głównego. Dosłownie w ostatniej chwili. Całe szczęście, że miałem tam paru przyjaciół, starych kajakarzy, którzy jeszcze podczas mej pracy w Ursusie prowadzili kursy przodownicze dla takich, jak ja - starych turystów bez uprawnień. Było to w końcu lat sześćdziesiątych. Często jeździli z naszym Klubem, dysponującym i sprzętem i autokarem. Odpowiadała im również atmosfera naszych spływów, nieskażona jeszcze przez nowy, nie zawsze najlepszy narybek, który pojawił się masowo na początku tłustych jeszcze lat gierkowskich. Nowych wodniaków wyróżniała jedna charakterystyczna cecha - pchali się do rządzenia. Z takich to nuworosy kajakowych rekrutowali się późniejsi "urzędnicy na spływie", jak trafnie określił jednego z

nich Dziecko, na wspomnianych już Złoty Liściach. Dzieci, nie skażone jeszcze przez dorosłych, szybciej wykrywają fałsz w otaczającej rzeczywistości. Niezależnie od wieku fizycznego, prawy charakter nie ulega deprawacji. - Jaki ojciec, takie i dzieci - zwykło się mawiać. Chyba to prawda, bo jak wspomniałem, ojcem chrzestnym naszego Dziecka był Tata Leibszang. Niestety, w czasie kiedy walczyłem o wyjazd, Tata już nie żył. Umarł jak żołnierz, na posterunku. Pływał bowiem do śmierci. Zasłabł na spływie i oddał ducha w szpitalu na Kasprzaka. W tym samym dniu, kiedy jego syn - pracujący tam jako chirurg - cesarskim cięciem uratował dwie istoty: matkę i dziecko. Piszę o tym, bo ci uratowani to moi bliscy. Z kronikarskiego obowiązku dodaję, że syn pływa również na kajaku, jego pseudo wodniackie - Delfin Um...

Po uzyskaniu (dzięki starym przyjaciółom²) zgody na wyjazd, wydawało się, że nic już nie stoi na przeszkodzie, by powiosłować po morzu Egejskim. Myliłem się jednak. Zaczęły się następne trudności, tym razem od dołu, z uczestnikami. Większość z uprzednio zapisanych, nie wierząc w pomyślny finał, zrezygnowała. Miał w tym niemały udział jeden z przyszłych uczestników spływu, Tłumacz. Na jednym z cotygodniowych zebrań Klubu zaczął opowiadać o fatalnych warunkach sanitarnych na przypadkowych biwakach, podczas dwu poprzednich wypraw. Facet zapewne zrobił to nieświadomie, chciał się popisać przed ładnymi dziewczynami stażem wodniackim na morzu. Faktem jest, że te ładne dziewczyny podziękowały...

Być może zrobił to jednak świadomie. Równolegle prowadziliśmy starania o wyjazd przez Klub Motorowy. Chodziło o zgodę na wizy, w razie niepowodzenia akcji PTTK. Pojechalibyśmy wtedy samochodami. Ponieważ było zbyt mało samochodów do dyspozycji, chciał je zniechęcić, żeby mieć wolne miejsca w swoim wozie. Na kajak i żywność. Poza tym - jechał z żoną...

Zaczęła się więc nowa karuzela z listą uczestników. Niestrudzony Prezes wynajdywał coraz to nowych ludzi. Zupełnie przypadkowych, obiecując im złote góry, korzyści materialne płynące z wyjazdu, czyli wycieczkę „samofinansującą się”. Ludzie zapisywali się, po czym rezygnowali, na ich miejsce przychodzili nowi. Dla mnie była to katorga. Stale musiałem uaktualniać listę i uzyskiwać pod nią od nowa niezbędne pieczątki w biurach turystycznych. W założeniu, miała to być wyprawa kajakerska z towarzyszeniem turystów pieszych. Jednak tych prawdziwych kajakarzy oraz turystów było coraz mniej. Wyprawa wodniacka zamieniała się stopniowo w wyprawę po "złote runo".

W połowie czerwca, a więc po przeszło ośmiu miesiącach walki, wyprawa zaczęła nabierać realnych kształtów. Prezes odzyskał pewność siebie i coraz częściej usiłował przejąć ster w swoje ręce. Zrozumiałem, że wypełniłem już swoją rolę konia trojańskiego. Na jednym z zebrań Prezes bowiem stwierdził:

- Ty będziesz komandorem, a ja "szarą eminencją".

Uśmiechnąłem się skromnie, nie wziąłem jego słów zbyt do serca. Przyszłość pokaże jednak, że jego nieposkromiona żądza władzy będzie powodem licznych niepotrzebnych konfliktów.

Chwilowo działaliśmy zgodnie, bo przed nami było sporo problemów. Przede wszystkim - ze znalezieniem autokaru. Wstępnie załatwiłem autokar w Ursusie, gdzie wykorzystałem stare znajomości. Podpisanie umowy nie doszło do skutku - było już zbyt późno. Zaczęliśmy poszukiwać w innych biurach podróży. Próbowaliśmy w Syrenie, w Gromadzie i gdzie się dało. Na przeszkodzie stawały zbyt wysokie koszty i konieczność wynajęcia, zgodnie z przepisami, dwóch kierowców. Każdemu - diety w dolarach muszą płacić uczestnicy, a nasz preliminarz tego nie przewidywał. Ostatecznie - szczęście uśmiechnęło się do nas. Tuż przed planowanym terminem wyjazdu, już w sierpniu, udało się

² Najważniejszym ze *starych przyjaciół* był Henio Sienkiewicz

załatwić autokar w BTZ. Niedrogo i z jednym kierowcą. Odetchnęliśmy, bo i tym razem wyjazd wisiał na włosku.

W przeddzień wyjazdu zgłaszam się do BTZ-u, żeby załatwić ostatnie szczegóły. Tu czekała mnie niespodzianka, wprawdzie autokar już jest, umowy zostały podpisane ale... nie ma kierowcy. Ten, który miał jechać z nami, ma tylko wizę grecką, a nie ma tureckiej. Program wyprawy przewidywał bowiem najpierw Turcję, a dopiero potem Grecję. Macham ręką - nie ma sprawy, pojedziemy tylko do Grecji. Okazuje się jednak, że tak nie można. Plan został zatwierdzony i nie można go zmienić. Koniec, kropka!

Nie rezygnuję:

- Ile czasu trzeba czekać na wizę turecką?

- Nie wiemy. Może tydzień, może dwa...

- To niemożliwe, bo ludzie już mają zaklepane urlopy! Musimy jutro wyjechać. Indaguję więc dalej:

- A macie jakiegoś z wizą turecką?

- Mamy, ale nie ma greckiej.

Cóż mogłem zrobić? Zdecydowałem się na zmianę kierowcy. Pojedziemy do Turcji, jest tam przedstawicielstwo BTZ-u, które na miejscu załatwi nowemu kierowcy wizę grecką. Jeżeli się nie uda, postarają się przysłać innego kierowcę z odpowiednimi stempelkami w paszporcie. Najważniejsze, by wyjechać wreszcie z Warszawy. Obojętne gdzie! Byleby znaleźć kawałek ciepłego morza, po którym można pływać bez ograniczeń. Innego niż nasz Bałtyk, zimny, z kapryśną pogodą i z utrudnioną możliwością pływania wzdłuż brzegów, bo a nuż cała wyprawa popłynie prosto do Szwecji. Tam poprosi o azyl - być może udałoby się uzyskać. To dopiero byłaby heca!

Tego dnia, kiedy ważyły się losy wyprawy, Skarbniczka załatwiła odprawę celną naszej żywności i sprzętu. Robi się tak, aby uniknąć kłopotów i straty czasu na granicy. Odprawa odbywała się w lokalu Klubu. Zobaczywszy górę prowiantu, jaki przytargali uczestnicy, wpadłem w popłoch.

- I wy to wszystko zjecie? - spytałem zdziwiony.

To stare wygi turystyczne, uczestnicy poprzednich wypraw bądź podróżujący przedtem służbowo w strefę dolarową. Sumka dewiz zaoszczędzona w ten sposób była - po wymianie w kraju na złotówki - równowartością rocznych poborów. Jest to jedna z przyczyn długotrwałych wyjazdów służbowych na Zachód. Opłaca się starannie (czyli długotrwale) negocjować zawieranie umów z zachodnimi firmami. Jeszcze jeden z paradoksów systemu...

Najbardziej zdziwił mnie ogrom bagażu pewnego młodego małżeństwa. Nie mieli zapewne żadnego doświadczenia turystycznego. W ogromnej skrzyni wieźli wszystko, co potrzebne do życia, przynajmniej na dwa miesiące. Łącznie z chlebem i ziemniakami. Prezes wynalazł ich w ostatniej chwili. Najpierw zapisała się ona. Dobroduszenie uśmiechnięta, pulchniutka dziewczyna, skrywała oczka za grubymi szklami. (Później nazwaliśmy ją Pelikanem). W dzień czy dwa później - pojawił się mąż. Sympatyczny młodzian o imieniu Barnaba. Udało mi się wpisać ich na jeszcze jedną dodatkową listę. Na szczęście, sympatyczni urzędnicy z Sekretariatu ZG, jeszcze raz poszli mi na rękę. Zdążyłem się już z nimi zaprzyjaźnić, byłem tam z konieczności częstym gościem. Niestety, zabrakło już czasu, by załatwić tym młodym wizy greckie, podobnie, jak kilku innym osobom. Ponieważ nie miał jej też kierowca, postanowiłem rozwiązać problem już w Stambule.

Główną część mojego prowiantu stanowił karton zawierający 25 puszek skondensowanego mleka. Miało ono stanowić 25 moich śniadań. Zabrałem też trochę suszonej kielbasy. Nie znoszę konserw - podczas tyłu lat wędrówki obrzydły mi do reszty. Wziąłem oczywiście parę puszek jako żelazną rezerwę. Do weków nie mam przekonania. Podczas rejsu żeglarskiego po Bałtyku jedna z „załogantek”, odpowiedzialna za wyżywienie, przygotowała - z braku konserw na rynku - właśnie weki. Na morzu okazało się, że mięso

przygotowane przez intendentkę jest zepsute. Poszło za burtę, na ofiarę Neptunowi. Podobnie jak nasze pierwsze obiady przyrządzone z tych weków, odpowiednio podgrzane w naszych żołądkach. Całe szczęście, że kapitan lubił łowić ryby i miał odpowiedni sprzęt. Złowione dorsze były bardzo smaczne. Dobrze, że jacht był nieduży. Załoga "Coriolisa" składała się zaledwie z pięciu osób, a ryby brały, ja natomiast musiałem je oprawiać i smażyć. Nie zginęliśmy z głodu, były jeszcze ziemniaki i chleb. Umieraliśmy raz z pragnienia. Wtedy, gdy po minięciu portu w Kopenhadze, na trawersie ukazał się widoczny z morza napis: TUBORG. To tak jakby być w Rzymie i... Nie mieliśmy bowiem prawa zawijania do zagranicznych portów.

Teraz sytuacja była inna. Jedziemy lądem, w dodatku do krajów cywilizowanych, gdzie nie są wymagane kartki na mięso. Zawsze będzie można kupić nieco świeżej wędliny lub zjeść obiad w jakimś barze, których tam jest bez liku.

Celnik, sprowadzony taksówką do naszej bazy, bez mrugnięcia okiem ostemplował stertę paczek z żywnością. Pod warunkiem, że każdą paczkę należało okleić specjalną taśmą. Nie dysponowaliśmy takową, ale przezorny urzędnik miał ją przypadkiem ze sobą. Taśma niczym się nie różniła od innych, będących w handlu, oprócz ekstra wysokiej ceny.

Przy ceremonii oclenia obecni byli prawie wszyscy uczestnicy, oprócz trzech ludzi z Wrocławia. Spoza Warszawy przyjechał tylko Tramp, mieszkający także na Dolnym Śląsku. Tramp jako pierwszy zapisał się na listę uczestników, gdy dowiedział się, dokąd jedziemy i kto ma być szefem. Jako pierwszy też wpłacił wymagane wpisowe, choć wszystko było jeszcze palcem na wodzie pisane.

- Jestem pewien, że to zorganizujesz - dodał.

Później nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Obaj nie mamy telefonów, a listów też nie lubimy pisać. Dzień przed odjazdem, czyli tegoż ranka, zapukał rano do moich drzwi. W przedpokoju ściągnął z barczystych pleców niewielki plecak.

- A gdzie reszta rzeczy?! Na dworcu? - pytam.

- Reszta? - dziwi się przybysz, sympatycznie uśmiechnięty drab po trzydziestce - reszta jest tutaj! Znacząco klepie się po kieszeni dzinsów: - Pięćset "zielonych" starczy?

Kiwam potakująco głową. Ja również zamierzam podróżować w ten sam sposób.

Dobrze, że obaj mieliśmy niezbyt dużo bagażu, zwłaszcza prowiantu. Zresztą Tramp nie posiadał go wcale. Ułatwiło nam to przetransportowanie przygodnie złapaną furgonetką składanego Neptuna oraz gitary i akordeonu, czyli podstawowego sprzętu na spływ. Do bazy zdążyliśmy akurat na odprawę celną. Tramp rozejrzał się po ludziach:

- Co to ? Szarego jeszcze nie ma?

Nie ma i nie będzie. Miesiąc temu miał zawał, a tydzień temu drugi...

- No tak, to go chyba usprawiedliwia - odpowiedział z właściwą sobie prostotą. Tylko smutno nam będzie. A tobie - pewnie trudniej!

Przyszłość pokazała, że się nie mylił. Miał, jak zwykle, wycucie...

Szary, mój serdeczny druh z Gdańska, miał na tej wyprawie pełnić rolę "K.O.", czyli - jak się to czasem nazywało - kulturalno-oświatowego. Oprócz tego, na morzu przewidziałem mu niezwykle odpowiedzialną funkcję "czerwonej latarni" - zamykającego spływ: zamka, jak się potocznie mówi.

Poznałem go na moich pierwszych Złoty Liściach. Zaprzyjaźniliśmy się już podczas pierwszego wieczoru przy ognisku. Nietrudno było się poznać, bo uczestników było zaledwie około pięćdziesięciu, w tym trzech spoza Wybrzeża: Tata, Jamnik i ja. Byłbym zapomniał - był jeszcze Gienek, zwany Biznesem z Żagania. Na pierwszym ognisku lansowaliśmy z Jamnikiem popularny wówczas przebój: "*Hej, baby, baby nad babami...*", czym zdobyliśmy sympatię zgromadzonych. Od ciągłych bisów zachryplem i wówczas nieduży facecik zaprosił nas do domku na odsapkę. Tym gościnnym nieznajomym był właśnie Szary. Wtedy używał jeszcze swojego własnego imienia, Szarym został dużo później. Szary również grał trochę na

gitarze, ale nade wszystko lubił śpiewać, czego nie znosiła jego żona, równie gościnna i pogodna, mająca znakomity słuch. Szary zawsze był pogodny, uśmiechnięty i pełen optymizmu, jedyne co go wyprowadzało z równowagi, to uwagi jego własnej żony.



Szary (pierwszy od lewej) zawsze był pogodny, uśmiechnięty i pełen optymizmu
(Złote Liście, - baran nie nasz, ale ogrzać się można – mówi Zyta, trzecia z lewej, obok niej autor)

Naprawdę, nic poza tym. Pamiętam, jak zjawił się u nas w domu w niedzielę 13-go grudnia, w pierwszym dniu stanu wojennego. Tegoż dnia odwiedziło nas sporo ludzi, przygnębionych niespodziewanym ciosem. Zastanawialiśmy się, co robić w tej sytuacji... Na wszelki wypadek postawiłem na stole butelkę, Ewa przygotowała zakąski. Bo a nuż wpadną ci z automatami...? Akurat wpadł Szary, prosto z pociągu - przybył z Gdańska! Postawiwszy na stole butelkę, rozejrzał się po ludziach:

- Co tu tak smutno?! Jeszcze ktoś pomyśli, że coś knujecie!

Po czym złapał gitarę i zaśpiewał:

*„Dopóki nam jeszcze Kasieńki się chce,
To nie jest źle, to nie jest źle...”*

Sprowadził nas na ziemię, całkiem normalną, bo niektórym się zdawało, że już uciekła spod stóp...

Szary - to nie tylko człowiek umiejący rozładować poważne skądinąd sytuacje. To przede wszystkim znakomity kajakarz. Na Dunajcu pełnił funkcję przewoźnej przechowalni aparatów fotograficznych dla mniej wprawnych na wodzie fotoreporterów. Ponoć nigdy jeszcze nie miał na Dunajcu wywrotki, a przepłynął - Bogu dzięki - grubo ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów na różnych wodach. Z nudów - szuka szlaków nieco trudniejszych i uciążliwszych. Bo to jest jego niedźwiedzie mięso. Szary dlatego został "Szarym", bo mimo doświadczenia, życzliwości i wielu cennych zalet na szlaku, nigdy nie pełnił żadnych oficjalnych, znaczących, funkcji w swoim macierzystym klubie "Żabi Kruk". Jest za bardzo na luzie - głupio by się czuł w marynarce i pod krawatem na kajaku.

Ceremonia mianowania go na "Szarego" - to pierwsze w tradycji kajakarskiej "bierzmowanie" czy "wyzwolenie"; w odróżnieniu od chrztu dla początkujących. Nie bardzo

pamiętam, jaką wymyśliliśmy nazwę dla tej ceremonii, mającej symbolizować całkowite odcięcie się od oficjalnych struktur organizacyjnych. Uroczystość odbyła się na którymś Dunajcu, a brały w tym barwnym widowisku takie znakomitości, jak: Boy ze świętą z Andrychowa, bodajże Puchacz z Krukiem z Tarnowa (jeżeli nie byli fizycznie, to uczestniczyli duchowo), Jamnik pełnił rolę biskupa, Kominiarz pracowicie robił malowniczy łańcuch z kapsli od piwa (którego Szary nie pija), Filmonik - "filmował", Kazek - śpiewał (jeżeli dostał zgodę Żaby)... Każdy z tych pseudonimów, za którymi kryją się barwne postacie poważnych niekiedy "w cywilu" ludzi, to osobna historia układająca się w barwną mozaikę kajakarzy polskich lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

No i Szarego zabrakło, a tak chciał pojechać! Ze sprawdzonych pozostał mi tylko Tramp. Poznałem go na Rudziskach Pasymskich, pełniłem tam funkcję instruktora kajakowego na obozie... ZMS-u. Na zwariowany pomysł organizowania kursu na... instruktorów turystyki kajakowej PZK-aj wpadł Buldożer. Pelen fantazji, humoru i inicjatywy kajakarz z młodszej generacji. Jego wizytówka - to organizacja tak poważnej imprezy, jak Maraton Kajakowy na Zalewie Zegrzyńskim.



...Jego wizytówka - to organizacja tak poważnej imprezy, jak Maraton Kajakowy na Zalewie Zegrzyńskim...

Obóz w Rudziskach, to zbieranina młodych dziewcząt i chłopców, pochodzących przeważnie z terenów pozbawionych akwenów wodnych. Młodzież ta w większości po raz pierwszy w życiu wsiadła do kajaka właśnie teraz. Był to raj dla instruktorów lubiących teoretyzować. Tu dopiero Kazek poczuł się jak ryba w wodzie. Ćwiczył, pływających przy brzegu początkujących kajakarzy, jak kapral rekrutów na dziedzińcu koszarowym: zwrot w lewo, zwrot w prawo... Młodzi ludzie, z obłędem w oczach, starali się z lepszym lub gorszym rezultatem wykonywać skomplikowane dla większości komendy. Byli sparaliżowani strachem przed wywrotką, znaczna ich część nie umiała bowiem... pływać. Tu nie chodziło o pływanie kajakiem, ale o umiejętność utrzymania się na powierzchni wody bez kajaka w razie wywrotki. Okazało się to dopiero na zajęciach z ratownictwa wodnego, za które byłem odpowiedzialny. Zorganizowałem więc, poza normalnymi zajęciami, błyskawiczny kurs nauki pływania. Błyskawiczny, bo już po pierwszej lekcji połowa "siekie" utrzymywała się (ku własnemu niedowierzaniu) na wodzie, a po dwóch następnych prawie wszyscy umieli już jako tako pływać. Mam swoje metody, wbrew pozorom nie brutalne, sprawdziłem je na sobie ucząc się pływać sam, bez pomocy wykwalifikowanych instruktorów z dyplomami. Piszę o tym dlatego, że zajęcia odbywały się nie na basenie, a w leśnym jeziorku z ciepłą, nagrzaną od upałów wodą. Jeziorko płytkie z brzegu, a dalej głębokie. Ogromne ryzyko dla nauczyciela, co rozumiał doskonale Tramp, który ubezpieczał pływających od strony jeziora. Gdy któraś z dziewcząt (była ich większość), poczuła, że utrzymuje się na wodzie i ogarnięta euforią wypływała poza strefę bezpieczeństwa - na okrzyk koleżanek: uważaj! - tam jest głęboko -

poczynąca natychmiast tonąć, Tramp ratował sytuację. Robił to z własnej i nieprzymuszonej woli, bo był na tym obozie klasycznym waletem. Mieszkał na uboczu w małym namiociku i bez przerwy pływał na desce z żaglem. Właśnie dlatego zwróciłem na niego uwagę. Myślałem początkowo, że to jest instruktor tego trudnego sportu, więc zwróciłem się do niego z prośbą o wypożyczenie deski...

- Chcesz wypożyczyć? - zdziwił się muskularny, opalony na brąz blondyn. - Te deski są niczyje.

Rozpocząłem więc naukę. Zawsze pociągała mnie sztuka żeglowania na własnych nogach. W przeciwieństwie do wożenia się na dupie, jak to ma miejsce w tradycyjnym żeglarstwie. Teraz miałem niepowtarzalną okazję. Zgromadzeni na brzegu kursanci mieli niezły ubaw, obserwując, jak jeden z niebotycznych instruktorów, co i rusz wpada do wody. Sponiewierany, podobnie jak i oni podczas lekcji kajakowania, tylko że kursanci nie wpadali do wody. Opanowanie windsurfingu podobne jest bowiem do nauki jazdy na rowerze. Wstajesz - padasz, potem znów wstajesz i... raptem, po którejś z kolei próbie, łapiesz równowagę i jedziesz. Na rowerze - to kwestia złapania równowagi, a na desce trzeba jeszcze odpowiednio pochylić maszt, zależnie od kierunku i siły wiatru. Pracuje przy tym całe ciało, głowa także. Pierwszych lekcji udzielał mi właśnie Tramp. Powoli zaprzyjaźniliśmy się. Początkowo, taktownie trzymał się z dala od instruktorów, siedział natomiast kamieniem przy wszystkich ogniskach, oczarowany śpiewem Kazka. Wprawdzie "Duo KiL" dawno już się rozpadło, ale Kazek używał czasami swego wspaniałego głosu, zwłaszcza w obecności dziewczyn. Była tam taka "bosonoga contessa"- prześliczna, egzotycznej urody. Przyjechałem na kurs nieco spóźniony. W gromadzie dziewczyn me oko wyłuskało jedną...

- Tobie nic do niej - na to Kazek.

Miał rację, zwłaszcza że nie była uczestniczką kursu. Była za to codzienną bywalczynią dyskotek dla kursantów. Kazek uczył tam śpiewu, ja tańca. Czarnookiej Joli nie musiałem niczego uczyć. Tańczyła wspaniale, niestety solo.

Tam, w Rudziskach zaczęła się znajomość Trampa z Szarym, który przyjechał swoim słynnym Hilmanem w odwiedziny. Było mu po drodze, bo za dzień czy dwa rozpoczynał spływ z Ełku. Wykorzystaliśmy automobil Szarego, by przywieźć parę piw z oddalonego baru. Szary piwa nie pije, ale czegoś się nie robi dla spragnionych kolegów. W pobliskiej świetlicy odbywa się szkolenie z krajoznawstwa. My mamy wolne i pijemy to piwo, przez otwarte okna słysząc głos prowadzącego wykład. Tramp usiadł nieśmiało obok nas. Między jednym a drugim łykiem zaproponowaliśmy mu życzliwie, by poszedł posłuchać wykładu. Ten machnął lekceważąco ręką:

- Co tam mnie, starego TRAMPA, będą uczyć...

Uśmiechnęliśmy się porozumiewawczo z Szarym. Tak został Trampem, a ja byłem jego ojcem chrzestnym na pożegnalnym ognisku. Chrzciliśmy również kursantów, którzy przeszli pomyślnie egzaminy. Nie było ich zbyt wielu. Nic dziwnego, komisja była wymagająca. Nie można było w ciągu dwóch tygodni wychować prawdziwych kajakarzy, zaczynając najczęściej od zera. Najlepsza szkoła, to po prostu dwutygodniowy spływ, najlepiej trudnym szlakiem. Natomiast wychów w inkubatorze, jakim był stacjonarny ośrodek, dawał jedynie marne pojęcie o praktyce. Przeważała teoria, nauka wiosłowania na plaży. W pole, czyli na otwarte jezioro, baliśmy się wypuszczać nowicjuszy. Nawet przenoskę znali tylko teoretycznie. No, może nie całkiem. Pewnego dnia tematem była właśnie przenoska. Zapadła decyzja przepłynięcia z kursantami paru kilometrów po jeziorze. Podjęto nadzwyczajne środki ostrożności, bo akurat zaczęło dmuchać. Nie było do dyspozycji statku ratowniczego, czego domagał się Kazek, więc Tramp samorzutnie podjął się tej roli na desce z żaglem. Ja z Szarym, w oddzielnych kajakach, stanowiliśmy dodatkowe ubezpieczenie. Kursantom udało się szczęśliwie dopłynąć do odległego o parę kilometrów od Ośrodka miejsca, gdzie śluza oddzielała jezioro od rzeki, stanowiącej dalszą część szlaku kajakowego.

Gdyby to był normalny spływ, w tym miejscu należałoby przenieść kajaki i płynąć dalej. My jednakże za kilka godzin mamy być na obiedzie w stołówce. Buldożer zgromadził kursantów na brzegu przy śluzie i zaczął wykład na temat: "Przenoska". Mówił tak ponad godzinę. To znany krasomówca, w tym czasie wieczny student prawa. Siedzimy z Szarym z boku i nudzimy się. Podchodzi do nas równie znudzony Tramp:

- O czym on tak długo mówi? Przecież taką przenoskę robi się w parę minut!

Uśmiechamy się. Wszyscy myślimy to samo.

Tramp "zaskoczył" również na kajaki. Jeszcze tego samego roku popłynął z nami na Złote Liście w ekipie Ursusa i sprawdził się znakomicie na Raduni. Wbrew początkowym obawom Kazka, że nie da sobie rady na trudnym dla początkujących (jakim Tramp przecież był) górskim szlaku. Szybko pojął jak dawać sobie radę i, zdenerwowany nieudolnością kapitana, na następnym etapie - zdegradował go, zajmując jego miejsce przy sterze. Jako człowiek, obyty doskonale z naturą, pojął w lot, że ster na wartkiej rzece z licznymi przeszkodami i potrzebą cofania kajaka pod prąd, to zupełnie bezużyteczny kawałek blachy, przeszkadzający w dodatku w manewrach. Zdjął go więc, wbrew protestom byłego kapitana i przewodnika kajakowego, i znakomicie manewrował wiosłem. Zgodnie z zasadą mego kolegi Koli, że "wiosłem w rękach dobrego kajakarza można zrobić wszystko, nawet... zapłodnić"!

Teraz Tramp jedzie z nami na południowe morza. Będzie stanowić moją załogę.

Następnego dnia, parę godzin przed zaplanowanym wyjazdem, przybywają wrocławiaczy. Okazuje się, że ich dobrze znam ze szlaków, chociaż nazwiska nic mi nie mówiły. Byli to: Małgośka ze swoim bratem, zwanym później Prokuratorem oraz Ratownik. Znakomici kajakarze!

Pora na małą dygresję dotyczącą operowania pseudonimami. Na kajakach tak już jest, że nikt nikomu przy poznawaniu się nie podaje swego nazwiska. Przede wszystkim - na ogół nigdy nie ma takiej prezentacji, nazwiska zna tylko szef grupy, bo ma listę. Ludzie poznają się na szlaku, a jeśli nie są bliskimi znajomymi - mówią per ty, a jeszcze częściej imionami, niekoniecznie tymi prawdziwymi. Nikomu nie jest potrzebna znajomość nazwisk, zawodów, miejsc pracy - tu jest się incognito. W razie potrzeby nadaje się nieznajomemu na szlaku imię, bądź pseudo, jeśli się już jest po chrzcie wodniackim. Prowadzi to często do zabawnych nieporozumień. Małgośka, Manuella czy Lady okazuje się być facetem, a Kuba, Twardziel czy Bąk najprawdziwszą, niekiedy uroczą dziewczyną. Pamiętam taki zabawny incydent w pracy. Biuro konstrukcyjne, w nim kilkudziesięciu konstruktorów pochylonych nad deskami. Dzwoni telefon, ktoś podnosi słuchawkę, chwilę słucha, po czym odpowiada: kogo pan prosi? Kominiarza?! Nie ma tu żadnego kominiarza, tu biuro konstrukcyjne!... Mówi pan, że jest inżynierem? No, dobrze, może to ktoś nowy... Po czym odwraca się i woła na całą salę: Czy pracuje tu inżynier Kominiarz? Chwila konsternacji i ceniony konstruktor Kowalski idzie jak niepyszny do telefonu ku ogólnej wesołości sali... Ale to jeszcze nie koniec, bo wszyscy bacznie strzygą uszami, co dalej.

- Kto mówi? A... to ty! Cześć Jamnik!

Tak więc, po pierwszych niespodziankach, ludzie przestali się dziwić, gdy Kominiarz rozmawia z Jamnikiem, Bąbel z Majstrem czy Lady z Pagajem. Najmniej dziwiono się, gdy ktoś rozmawiał z Majstrem. Tylko dlaczego mówił z nim o organizacji następnego spływu, zamiast o awarii na taśmie montażowej...?

Wracając do wyprawy, ludzie pakują sprzęt do autokaru. Dużo tego, bagaże nie mieszczą się w lukach, więc składane kajaki leżą w wysokiej stercie z tyłu autokaru. Prezes sporządził również plan rozmieszczenia ludzi w autokarze. To sprawa zasadnicza, zwłaszcza podczas tak długiej podróży, około 6 tys. kilometrów. To tak jak dobór sublokatorów w przyciasnym mieszkaniu, nie z każdym przecież chciałbyś mieszkać zbyt długo. Natychmiast robię korektę planu. Zwyczajowo, podczas podróży autokarowych, szefostwo siedzi z przodu. Tam też Prezes wyznaczył mi miejsce, z którego rezygnuję natychmiast. Całe życie

siedziałem na bliskiej memu sercu "osi" i nie zamierzam zmieniać nawyków. Z przodu pozostawiam bez zmian całe szacowne, przeważnie siwowłose towarzystwo. Pierwsze rzędy to trzon Klubu. Poczynając od lewej, za plecami kierowcy - wicekomandor z małżonką. Za przejściem, po prawej Prezes ze Skarbniczką. Za ich plecami Tłumacz z małżonką. Ci dwoje, to aktywni działacze i bardzo sympatyczni dotychczas ludzie. On wysoki, przystojny, szpakowaty, dystygowany dżentelmen. Niegdyś wielokrotny uczestnik spływów Dunajcem, kajakowych naturalnie, a nie tratwą. Ona, pani z zasadami, prawnik z wykształcenia i również bardzo miła. Opisuję tę parę nieco szczegółowiej, gdyż później - z racji nieustannego "czarnowidztwa" i krakania: "Co to teraz będzie?!" - nazwałem ich Krakersami - ku wielkiej uciechu Trampa i innych ludzi z poczuciem humoru. Takimi ludźmi starałem się otoczyć, sadowiąc się na końcu wozu z lewej strony. Tył ubezpieczał Tramp. Posadziłem go z Angeliką, wiecznie uśmiechniętą, przesympatyczną dziewczyną, zapaloną kajakarką. Za ich plecami były nasze kajaki. Przede mną usiadł Kuk, kolega z pracy, ramię w ramię z Ratownikiem. Pozostałych dwóch z grupy wrocławskiej usiadło po mojej prawej, za przejściem. Z tym siedzącym bliżej mnie, czyli z Małgością, wiązałem duże nadzieje. Tu pierwotnie miał siedzieć Szary, gdyby nie dopadł go drugi zawał. Małgość też nie był zły. Żywe srebro, gadatliwy, tryskający humorem. W przeciwieństwie do swego brata, człowieka mrukliwego i zasadniczego. Pseudo „Prokurator” bardzo do niego pasowało. Za braćmi usiadł Barnaba z Pelikanem, za nimi - Świtezianka. Najmłodsza uczestniczka wyprawy, studentka medycyny. Pod moim specjalnym nadzorem, bowiem poręczyłem słowem honoru jej mamie, że wróci z wycieczki cała i zdrowa. Siedziała samotnie, gdyż obok niej miał siedzieć mój syn, Wojtek, były student ASP. Za aktywną działalność w Pomarańczowej Alternatywie wyrzucono go ze studiów. Powinien być już wcielony do armii, ale zdecydował się na życie w konspiracji.

Przed braćmi, z przodu, usiadł Docent wraz z przemiłą kobietą, powiedzmy - Tancerką. Docent był doświadczonym kajakarzem. Nie znałem go bliżej, bo był raczej typem samotnika. Ponieważ oboje mieli stanowić załogę, więc usiedli razem.

To praktycznie wszystko, co wiedziałem o uczestnikach. Pozostali usiedli według swego upodobania i stanowili dla mnie na razie białą plamę, która niebawem miała się zapalić kolorami. Ciepłymi i zimnymi. Najcieplejszym okazał się lekarz wyprawy, zwany później Szamanem. Miał bowiem jedną niezawodną receptę na wszystkie dolegliwości:
- Kup butelkę mleka i dziesięć piw. Zażywaj często po kapselku mleka i butelce piwa. Wszystko przejdzie!

Miałem do niego pełne zaufanie. Po jakości dowcipu bez trudu można odgadnąć poziom inteligencji i kwalifikacje zawodowe. No i to piwo.

Szaman siedział z żoną. Uroczą i zawsze zadowoloną kobietą. Nic dziwnego, gdy się ma takiego męża...

Przeciwieństwem żony Szamana była jej siostra, zwana Mimosą. Wrażliwa i nieco rozkapryszona kobieta. Zapragnęła nagle pokoju z widokiem na morze, czyli w autokarze pierwszego siedzenia z przodu po prawej, tuż obok drzwi. Ponieważ pierwotnie to miejsce było przeznaczone dla mnie, chętnie jej ustąpiłem. Później okazało się, że jej sąsiedztwo najbardziej działało na nerwy kierowcy, który miał na imię Henryk oraz Pilotowi. Siedzieli tuż przed nią i z konieczności zmuszeni byli wysłuchiwać jej nieustannych narzekań.

Obok mnie siedziała Eura. Moja osobista narzeczona - jak przedstawiła się odważnie podczas ogólnej prezentacji. Niestety, mijało się to z prawdą, chociaż jej wyznanie polectało moją męską próżność. W rzeczywistości była ona "wtyczką" mojej żony, a zarazem - przedmiotem moich cichych westchnień.

Poznałem ją na rejsie żeglarskim, na który namówili mnie Piła z Andrzejem, pewnie w rewanżu za spływ na Jezioraku. Brakowało ludzi do sprowadzenia dwóch jachtów z Mazur do bazy Yacht Klubu PW nad Zalewem Zegrzyńskim. Nie jestem wprawdzie oficjalnie

żeglarzem, to znaczy - nie posiadam odpowiednich papierków, ale dałem się porwać przygodzie. 31 sierpnia rankiem wysiadłem z Piłą na dworcu kolejowym w Piszcu. Bufet dworcowy już był czynny. Niestety nie było w nim mleka, które pijam z rana. Próbujemy pić ciepły, żółtawy płyn, zwany szumnie herbatą. Patrzymy z roztargnieniem na łysiejące ściany. Na jednej z nich wisi hasło:

"Program Partii - programem Narodu".

- To ciekawe - trąca mnie Piła. - Według mnie powinno być odwrotnie.

- Jaki pan, taki kram - odpowiadam. - Wystarczy popatrzeć po tych ścianach i po zawartości bufetu.

Do stolika podchodzi dwóch tuziemców. W rękach butelki z piwem. Stawiają pod stołem koszyki.

- Panowie na grzyby? - pytam, bo koszyki są puste. - Tak wcześniej?

- A tak. Wstaliśmy o 4-tej. Idziem do lasu. Patrzym? - a tu ciemno. Grzybów nie widać. Wypiliśmy po połówce i przyszlizaliśmy na piwo.

Po tym wyjaśnieniu podnoszą zgodnie do ust butelki. My - szklanki z ciepłą lurą. Piła raptem skrzywił się z odrazą, odstawił energicznie szklankę i popatrzył wymownie na mnie. Skinąłem głową, podszedł więc do bufetu. Za chwilę w pełnej zgodzie z miejscowymi pijemy to samo. Dobrze przynajmniej, że piwo jest chłodne (pewnie dlatego, że noc była zimna - sprawdziliśmy to jadąc pociągiem).

Po pożegnaniu sympatycznych grzybiarzy, którzy zarzucili kotwicę w barze, przechodzimy przez most na Pisie. Po godzinnym błędzeniu trafiliśmy wreszcie do domku kempingowego, gdzie urzędowali pozostali żeglarze. Dwóch panów i dwie panie. Jednego z panów, Andrzeja znałem już z Jezioraka, drugi był kapitanem na łajbie, którą miałem płynąć. Panie załogantki krzątały się, przygotowując zakąski. Wpadliśmy w dobrym momencie, bo trwały akurat przygotowania do żeglarskiego śniadania. Po dokonaniu ceremonii prezentacji i po wypiciu powitalnego toastu oraz przełknięciu przekąsek wyruszamy na mały rejs po jeziorze Roś. Kapitanowie bowiem pragną zgrać załogi, juro odpływamy.

Wieczorem zarządzono przyjęcie powitalno - pożegnalne. Nie byłoby w tym nic godnego uwagi, gdyby nie czas akcji. Tego bowiem wieczoru odbywało się podpisywanie porozumienia w Stoczni Gdańskiej, transmitowane na żywo w radio. Któryś z żeglarzy miał przypadkiem małe radyjko. Wprawdzie nie lubię sztucznych środków przekazu, gdy mam w ręku gitarę, na stole - bateria butelek i dobre towarzystwo, ale chwila była naprawdę wyjątkowa. Dosłownie - historyczna. Komentowaliśmy rozgorączkowani ostatnią rundę pojedynku między Wałęsą a Jagielskim. Każde zdanie przedstawiciela zniechęconego reżimu było oszczędne i wyważone. Wywoływało to złośliwe komentarze w rodzaju:

- Ty! Robocie zdalnie sterowany! Bezpiecznik ci się przepali!...

- Posłuchajcie jak zgrzyta ta stara przekładnia, oleju jej z centrali nie przysłali!...

- Jaka przekładnia? To sparciały pas transmisyjny!...

- Dyferencjał bez satelitów!...

- Spalony transformator!...

Przy stole siedziała bowiem inteligencja techniczna - mechanicy i elektrycy. A w Gdańsku siedział elektryk ze stoczni. Inteligentny, chociaż bez dyplomów. To nieważne. Pracował za nas i dla nas. Jego celne repliki wywoływały u nas entuzjazm i prowokowały kolejne toasty:

- Na pohybel czerwonym! Panowie do szabel!

- Po całym! Moskaliki na zakąskę!

- Za Lecha i za Lechitów!

Tam ważyły się losy kraju, a może i Europy, a nam kurzyło się z głów coraz bardziej. Niepokój bowiem wzrastał: podpiszą czy nie?... Chodziło o ten najważniejszy punkt, dotyczący powstania niezależnych związków zawodowych. Zdawaliśmy sobie doskonale

sprawę z tego, że zgoda na ten punkt - to przełamanie monopolu partii! To początek jej końca, a w perspektywie, być może - koniec systemu... I wreszcie stało się! Hurra! Zwycięstwo! Spontanicznie zrywamy się, skaczymy z radości, oczy wilgotnieją, krzyczymy wszyscy na raz...

Po chwili euforii siadamy do stołu i napełniamy kieliszki: Za Wałęsę! za stoczniovców! za Polskę!...

W tym czasie towarzystwo nam się powiększyło. W trakcie transmisji zbiegli się bowiem żeglarze z sąsiednich domków. Odpowiednio uzbrojeni z "benzyną na czołgi". Chaos totalny. Już nikt nikogo nie słucha, wszyscy gadają naraz. Robię więc próbę zapanowania nad tym bałaganem. Chciałbym nadać temu wszystkiemu jakiś sens, jakąś formę, powiedzmy artystyczną. Oddać za pomocą znanych mi piosenek hołd tym, którzy walczyli w naszym imieniu, za nas. Podsumować cały nasz polski los, od zaborów poczynając. Usiłuję tym, nieznanym w większości ludziom, rozgorączkowanym rodakom narzucić pewien rygor, jakieś wspólne działanie. Ten entuzjazm należy wykorzystać sensownie. Dla pożytku nas wszystkich. Taką formą oddania naszych uczuć w tej sytuacji powinna być muzyka, śpiew. Próbuję więc śpiewać. Już nie pamiętam - co, może... "Witaj majowa jutrzeńko..." czy "Bartoszu, Bartoszu - hej nie traćwa nadziei...", czy może jeszcze coś innego.

Moje próby giną jednak w ogólnym hałasie, poza tym orientuję się, że nikt tych melodii, ani słów nie zna. System wychowania socjalistycznego zrobił swoje. Tym bardziej pobudza mnie to do przeprowadzenia mych zamiarów. Przeszkadzają jednak w "ogólnym luzie"! Tak właśnie wyraziła się jedna z dziewczyn, wstając gwałtownie od stołu:

- A JA sobie nie życzę takich sentymentalizmów. I nie rozumiem, dlaczego właśnie TY chcesz narzucić nam swoje JA!

Tą dziewczyną była Eura... Zapadło milczenie. Jej protest był chyba zbyt gwałtowny. Zapewne nie byłoby tak, gdybym był jej kapitanem lub kimś bliżej znanym. A ja tu byłem tylko prostą załogą, podobnie jak ona. Tylko z drugiej łodzi. Andrzej, jej szef, pamiętający moją akcję na Jezioraku, przywołał ją do porządku. Korzystając z chwili ciszy zaintonowałem: "My pierwsza brygada...".

Piła, znany piłsudczyk, podchwycił, reszta pomogła i prześpiewaliśmy kawałek historii Polski. Nie dochodząc nawet do - "Szumi dokoła las...".

Po tym wieczorze, a także po następnych dniach naszej wędrówki, ze śpiewami przy ognisku, Eura zmieniła nieco pogląd na luz. Zmieniła również swój lekceważący stosunek do mojej osoby. Pomogła w tym okoliczność, że podczas rejsu po krętej, o szybkim nurcie Pisie, moje doświadczenie kajakerskie w czytaniu wody okazało się bardzo przydatne. Płynięcie pod żaglami po rzece z brzegami porośniętymi wysokimi drzewami i krzakami wymaga nieco innych umiejętności niż tylko żeglarskie. Tylko nasza łajba, szczęśliwie, nie zaczęła masztem o gałęzie... Dlatego też płynęliśmy jako pierwsi. Fakt, że zaczęliśmy masztem o linię wysokiego napięcia. To były chwile pełne grozy, maszt był aluminiowy, wanty stalowe... Balastowanie siłami załogi nie pomagało. Całe szczęście, że oni płynęli z tyłu... Na okrzyk Eury: ratujcie gitarzystę! - Piła rzucił się bohatercko, ale i przytomnie na pomoc. Przytomnie - bo był elektrykiem i zdawał sobie sprawę z tego, co robić może, by pomóc. Rzuciliśmy mu do wody konopną topwantę i Piła wykorzystał swoje ponad sto kilo wagi. Pochylona bokiem łajba poddała się jego dodatkowej masie, maszt ześlizgnął się po przewodzie i płynęliśmy dalej, ale nieco pochyleni, bo na wancie wisiał... dodatkowy balast, czyli Piła.

Eura stała się później częstym gościem w naszym mieszkaniu. Widocznie spodobało jej się narzucanie innego, niż dotychczas znała, stylu zabawy. Zdecydowała się również na tę wyprawę, deklarując zbieżny do mojego pogląd na sposób odżywiania i styl bycia. Wliczając do kompanii Trampa, mieliśmy stanowić przyszłą "trójkę luzowców".

Do naszej kompanii dołączył również Kuk, ponieważ byłem jego jedynym znajomym. Człowiek spokojny, bezkonfliktowy, wiecznie uśmiechnięty, przy tym aktywny turysta, a

ściślej - żeglarz. Z braku odpowiedniej rezerwy dolarowej zdecydował się jednak na wyżywienie we własnym zakresie. Nam to wcale nie przeszkadzało, bo stanowił znakomite uzupełnienie naszej trójki. Ponadto, ponieważ przeszedł na dietę bezalkoholową, wydatnie obniżał średnią statystyczną płynów wyskokowych do ilości przyzwoitej. Grunt - to dobra przeciętna...

Rozdział III

LUZACY, KRAKERSI I CELNICY

Nareszcie sadowimy się w autokarze, żegnani przez tłumek odprowadzających. Mają tu czekać na nas za cztery tygodnie o godzinie 18-tej. Przed nami wielka przygoda i jeszcze większa niewiadoma. Przecież to ponad sześć tysięcy kilometrów autokarem, oprócz tego dla niektórych - włóczęga kajakiem po morzu. Wszystko może się zdarzyć! Dodatkową atrakcją będzie przekraczanie każdej z dziesięciu granic. W tym właśnie sezonie wojna między celnikami a polskimi turystami osiągnęła szczyt. Mnożą się relacje o niesamowitych scenach na granicach. Ci, co już wrócili, radzą nie jechać wcale! Jestem jednak pełen optymizmu. Chyba nic nie może się równać z koszmarem, jaki przeżyłem, przygotowując tę wyprawę. Ci ludzie, siedzący w autokarze, nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie chciałem ich dodatkowo denerwować. Ale wczoraj pozwoliłem sobie na żart. Zasygnalizowałem w Klubie, tuż przed odprawą celną, że niestety nie ma kierowcy. Jeszcze do dzisiaj wspominam te przerażone miny i histeryczne krzyki rozpacz. Niektórym opadły ręce, a ponumerowane z taką pieczołowitością weki omal z nich nie wypadły... Zrobiłem to dla żartu, ale celowo. Niech przynajmniej przez moment poczują, na czym polega moja praca. Takich stresowych sytuacji miałem przecież mnóstwo...

Nareszcie jestem szczęśliwy. Autokar bez przeszkód jedzie w kierunku granicy czechosłowackiej. Pełen luz i oczywiście śpiew. Gramy z Małgošką na dwa instrumenty. Ten przeuroczy towarzysz podróży lansuje piosenkę, która staje się szlagierem:

*„Błękitne niebo nad nami
I trawa się ściele zielona
Nigdy byś tego nie zaznał
Gdyby nie Armia Czerwona...”*

Ładna melodia i słowa chwytliwe, więc wkrótce śpiewa ją cały autokar. Za tą piosenką lecą następne, repertuar turystyczny jest wszak przebogaty. Centrum rozrywkowo - muzyczne znajduje się, jak drzewiej bywało, właśnie "na osi". Tym razem symbolicznej, bo nowiutki TAM produkcji jugosłowiańskiej ma wszystkie siedzenia skierowane do przodu. Cieszę się niezmiernie, że ludzie śpiewają. Zgodnie i z ochotą. Tworzy się swoiste sprzężenie zwrotne: śpiewamy, bo jesteśmy radośni; jesteśmy radośni - więc śpiewamy. Dla mnie ten zbiorowy śpiew znaczy coś więcej. To symbol jednoczenia się tego zlepku ludzi w jeden, dobrze pracujący, rozumiejący się nawzajem i życzliwy sobie zespół ludzki. To warunek niezbędny do prowadzenia wyprawy. Niezależnie od przyszłych trudności, które przy wzajemnym porozumieniu mogą tylko scementować tę zbieraninę w twardy monolit...

W tak wspaniałej atmosferze podróż mija błyskawicznie. Przed północą dobijamy w okolice Barwinka, niedaleko przejścia granicznego. Idealne miejsce na biwak, przygotowane dla takich jak my turystów zmotoryzowanych. W bok od szosy przestronna polana, otulona lasem. Na niej parę "grzybków", czyli stołów osłoniętych drewnianymi daszkami dla ochrony przed deszczem. Ludzie ruszają do rozstawiania namiotów. Słychać charakterystyczny grzechot aluminiowych masztów. Muzyka biwaku, którą słyszałem tyle razy w życiu. Dla turysty oznacza ona kres dziennej wędrówki. Dla kajakarza, ponadto, koniec niebezpiecznego lub uciążliwego etapu, po którym następuje wieczór przy ognisku, pora wytchnienia i radości. Nareszcie można wysuszyć mokre ciuchy, podzielić się wrażeniami i pośpiewać, gdy przyjdzie na to ochota. Dla kajakarza - ognisko, to najczęściej konieczność w naszym klimacie. Z racji bliskiego kontaktu z wodą - zziębnięty ma nareszcie możliwość ogrzania się. W przeciwieństwie, na przykład, do żeglarzy śródlądowych, którzy po całodziennym waleśaniu się po jeziorze, najczęściej w jakimś zamkniętym akwenu, zakotwiczą się przy brzegu na swoich łajbach, jak ślimaki w skorupie. Każda załoga na swoim jachcie.

Wprawdzie kajakarz jest indywidualistą, ale - wbrew pozorom - bardzo lubi towarzystwo. W kajaku spędza cały dzień, stąd - wieczorem ochota na kontakt z ludźmi. Nie chciałbym tu obrażać żeglarzy, bądź posądzać ich o ponuractwo i sobkostwo. Od czasu do czasu rozbijają swe namioty na brzegu, zwłaszcza gdy łajba nie ma warunków do spania dla zbyt licznej załogi lub gdy dobrała się odpowiednia kompania...

Tak rozmyślając ruszam w obchód, by sprawdzić jak sobie radzą z rozstawieniem namiotu podlegli mi ludzie, a zwłaszcza ci początkujący, których można odróżnić bez trudu. Tam bowiem jest największa wrzawa. Niektórzy robią to po raz pierwszy i w dodatku w ciemności. Latarka oświetla porozrzucane bezładnie części stelaża. Powoli wszystko dochodzi do normy, zwłaszcza gdy konstrukcja namiotu jest znana. Jedynie Eura ma problemy - konstrukcja jej namiotu jest tak skomplikowana, że decydujemy się zostawić ten rebus na lepsze czasy. Eura spać będzie w namiocie Kuka, dysponującego Wartą-3. Jest to według mnie najbardziej udana polska konstrukcja namiotu turystycznego. Bez trudu mogą tam spać cztery osoby, jednak obaw z Trampem decydujemy się spać pod gołym niebem. Namioty są już rozstawione, ludzie są już po kolacji i nad obozowiskiem zapada cisza. Tramp jest niepokieszony, bo nie ma ogniska. Dla mnie jest to również sytuacja nie wróżąca nic dobrego. To nie są "nocne Marki", dla których życie zaczyna się po zachodzie słońca, to są po prostu spokojni mieszczanie na wycieczce. Jest ciepło, ale zaczyna lekko kropić. Zrezygnowani kładziemy się pod okapami sąsiednich grzybków. Na wszelki wypadek przykrywamy się foliami, żeby nam nie zmoczyło nóg.

Rano, skoro świt, bo o 7-ej, Pilot robi pobudkę. Za godzinę start! Mija godzina, a ludzie są jeszcze w stadium kompletnej rozsyпки i to zarówno ci niedoświadczeni, świeżo upieczeni turyści, jak i starzy wyjadacze. Kierowca, zapewne stary wyga, jest już dawno gotowy do drogi i siedzi na swoim miejscu pracy. Czeka. Obserwuję z narastającym zdziwieniem siedzących na ławkach i żujących niespiesznie, z namaszczeniem swoje kanapki. Ktoś dopiero teraz nastawia butlę, żeby zagotować wodę na herbatę czy kawę. Część namiotów jeszcze stoi. Pilot wścieka się i słusznie. Niepotrzebnie wprowadza jednak nastrój nerwowości, ci ludzie po prostu nie umieją organizować się inaczej. Startujemy z godzinnym opóźnieniem. Nie lubię koszar ani pośpiechu, ale cenię właściwą organizację pracy. Gdy wreszcie ruszyliśmy, wygłosiłem małą pogadankę, właściwie instruktaż.

Po pobudce, należy zaczynać od czynności, które wymagają najwięcej czasu, czyli od postawienia wody na kawę czy herbatę. Musi przy tym nastąpić podział ról. Ktoś przygotowuje kanapki, a ktoś inny zwija namioty i śpiwory i bezzwłocznie pakuje je do autokaru, by uniknąć tłoku w ostatniej chwili przed odjazdem. Gorące napoje należy wlać w termosy, a przygotowane uprzednio kanapki przeżuwać spokojnie podczas jazdy.

- To nie jest mój wymysł - mówię. To metoda, która została opracowana przez Anglików podczas ostatniej wojny. Pozwoliła na znaczne przyspieszenie produkcji statków i samolotów, ale daje także znakomite rezultaty w życiu codziennym.

- A jak nazywa się ta metoda? - pyta ktoś zaciekawiony.

- W skrócie PERT - odpowiadam i uśmiecham się do wspomnień.

To Piła był głównym adresatem metody PERT. Na biwakach lubił wszystko zaczynać od końca, od rzeczy nieistotnych. Później zaczynał wpadać w panikę i za wszystko winił organizatorów albo kolegów. Kiedyś wytłumaczyłem mu tę metodę, czekając przez dwie godziny na herbatę, na którą mnie zaprosił. Pomogło, bo wkrótce wyemigrował do Kanady. Nie jestem pewien czy pracował "pertem", bowiem szukał pracy przez rok. W końcu ją znalazł.

Tymczasem zbliżamy się do granicy. Luźna, początkowo, atmosfera zaczyna tężeć.

-Dlaczego nikt nie śpiewa? - pytam.

- Bo nikt nie wie, co jest grane - odpowiada rezolutnie Angelika.

Bierzemy się zatem z Małgością za instrumenty. Próbuje rozruszać ospały autokar. Celnicy też ludzie i należy ich przywitać jak przystało na turystów - z pieśnią na ustach. O polskich celników się nie martwimy, przeszliśmy to w Warszawie. Chodzi o Słowaków, a ci lubią śpiewać. Znałem sporo pieśni słowackich. Nauczył mnie ich Emil, znany kajakarz ze Słowacji. Człowiek, który tak pokochał Polskę, Polaków, a przede wszystkim Szwajcarię Kaszubską i nastrój Złotych Liści, że prawie co rok pokonywał duży dystans i trudności paszportowe, by spotkać się z przyjaciółmi w Wieżycy. Jego "Jaworina" stała się znanym wśród kajakarzy szlagierem.

Śpiewamy zatem tę i inne słowackie piosenki. Ludzie zaczynają się powoli rozkręcać, bo pieśni słowackie są bardzo melodyjne. Raptem wstaje Tłumacz i żąda zaprzestania śpiewu. Zapada cisza. Co się stało?

- Słuchajcie! Przekraczamy granicę państwową i należy zachować się z godnością!

Po czym usiadł. Znikły uśmiechy i zapanowała przykra cisza.

- Co do cholery? Czy my jesteśmy przestępcami albo baranami szykującymi się na rzeź? - pomyślałem. - Czy facet nie rozumie, że milczący, przestraszeni ludzie, udający się na południe Europy, mogą wydać się podejrzani? Turysta, który nie śpiewa - to nie jest turysta, tylko...

Wstaję i zaczynam pierwszą potyczkę:

- Dlaczego sądzisz, że powinniśmy być poważni? To podejrzane! Nie jesteśmy ani oficjalną delegacją partyjno - rządową ani przemytnikami. Jesteśmy turystami, kajakarzami, jadącymi na spływ i cieszącymi się z tego, że każda przekroczona granica zbliża nas do upragnionego celu.

Zwracam się do Małgości: gramy dalej!

Ze słowacką piosenką na ustach przejeżdżamy przez oba szlabany. Zarówno polscy, jak i słowaccy celnicy i pogranicznicy śmieją się przyjaźnie i pozdrawiają nasz wesoły autokar. Żadnego sprawdzania bagaży, niedbale stawiane stemple w paszportach przez uśmiechniętych żołnierzy.

Pierwsza granica z głowy! Idę więc za ciosem i przygotowuję ludzi do następnej. Siadam przy mikrofonie i przeprowadzam błyskawiczny kurs węgierskiego: "*Jöl napot kivanok*", "*kesenem sépen...*". Ludzie podbudowani psychicznie pierwszym sukcesem chętnie powtarzają za mną elementarne zwroty grzecznościowe. Tak dojeżdżamy do Koszyc. W tym czasie wypogodziło się, słońce przygrzało i zaczyna być ciepło. Poza tym - zaschło w gardle. I raptem wspaniała myśl, którą dzielę się z Trampem:

- Piwa byś się nie napił? Prawdziwego Pilsnera?!

Ten uznał pytanie za retoryczne i tylko wymownie wzruszył prawym ramieniem. Nie chciał bowiem strząsnąć z lewego Angeliki. Poza tym Tramp nie dopełnił istotnego warunku posiadania książeczki walutowej. Nie miał żadnych, wymaganych przepisami, walut krajów zaprzyjaźnionych i teoretycznie miał prawo być odstawiony do granicy. Nie wyprowadzałem go z błędu, liczyłem na szczęście. Jak na razie udało się. Do granicy węgierskiej można wszak "zgubić" książeczkę i liczyć na wyrozumiałość czy niedopatrzenie celników w tym tłoku.

Każdy kij ma jednak dwa końce. Chcemy napić się piwa, ale nie jesteśmy sami. Ale od czego jestem szefem?!

- Słuchajcie! Zarządzam postój. Idziemy na piwo!... Komandor stawia - dodaję, widząc niektóre niespokojne twarze.

Ogólny entuzjazm... Piwo było rzeczywiście wyśmienite. Niektórzy zamówili przy tym knedliczki, ku wielkiemu zgorszeniu Trampa. By splukać niesmak, wypijamy z przyjacielem po następnym pilznerze. Zwłaszcza że dowiedział się on, iż korony na ten wspólny wyskok pożyczyłem od Prezesa...

Około godziny 16-tej dojeżdżamy do granicy węgierskiej. Węgrzy, wchodząc do autokaru, pozdrowili nas po polsku. My odpowiedzieliśmy - chórem - po węgiersku.

Serdeczna wymiana uśmiechów i ogólny luz. Żołnierze sprawdzają niedbale paszporty, zagadując coś z uśmiechem do dziewczyn. Oto relacja jednej z nich zapisana w "dzienniku pokładowym", czyli w dzienniku podróży, dostępnym dla wszystkich: "Jeden już wyszedł, uśmiechnięty, a wszedł nieco smutniejszy. Miał, skurczybyk, obrączkę na lewej ręce, więc go spytałam - czy jest wdowcem? I to go rozbawiło... Ale moja wspaniała sąsiadka podała mu na koniec paszport, swój zresztą. A on się zdziwił, że ją przeoczył. I podwójnie się roześmiał. Wesołek jakiś..."

Po żołnierzach, celnicy przespacerowali się po wozie. Zadumali się nieco, patrząc na moją starą, wielokrotnie sklejaną gitarą. Pokiwali ze zrozumieniem nad jeszcze innym instrumentem, ponad trzydziestoletnią "Mużą" - pierwszym polskim akordeonem i spokojnie odeszli. Na pożegnanie odwrócili się zdumieni, bo zagrałem im starą węgierską melodię "Kis kut, kerekes kut..." Uśmiechnęli się przyjacielsko i pomachali rękami przy odjeździe.

Małgośka zwraca się do mnie:

- Słuchaj, akordeon fałszuje w dwóch miejscach.

- To muszę coś wypić, żeby tego nie słyszeć - odpowiadam. - Mógłbym wprawdzie zabrać inny, lepszy, ale wziąłem stary na wypadek, gdyby celnicy kazali mi płacić cło, powiedzmy 100 dolarów. To ja wtedy dam instrument celnikowi i mówię - daj 50 i jest twój!

Ludzie śmieją się. Tak naprawdę, nie chciałbym pozbywać się starej Muży. Tyle wiąże się z nią wspomnień...

Jedziemy w kierunku Szegedu, niedaleko granicy jugosłowiańskiej. Tam zaplanowany jest nocleg. Nagle zrywa się bardzo silna wichura. Po chwili zaczyna lać. Wkoło nas błyskawice i potężne grzmoty piorunów. Ludzie bledną, znajdujemy się w centrum burzy. Zatrzymujemy się. Przed nami zwalone w poprzek drogi drzewo. Z obu stron przeszkody - sznur samochodów. Widocznie czekają na cud. Nie ma na co czekać. Znam siłę ludzkich mięśni, zwłaszcza gdy wszyscy działają razem.

- Mężczyźni wysiadać!

Prezes zerwawszy koszulę wyskakuje pierwszy. Za nim reszta. Węgrzy w samochodach przyglądają się nam zdumieni. Ustawiamy się przy drzewie i łapiemy za gałęzie. Pada komenda:

- Heej hop!

Drzewo drgnęło i zaczyna pełzać w stronę pobocza. Po paru minutach jedziemy dalej, żegnani wesołymi klaksonami węgierskich kierowców w podzięcie za "cud". Przejeżdżamy przez Miskolc, z którym wiążą mnie sympatyczne wspomnienia. W tym mieście piłem kiedyś prawdziwego Tokaja. Chcę podzielić się wspomnieniami z towarzyszami podróży, ale większość drzemie. Zostawiam więc opowieść na później.

Pod wieczór docieramy do biwaku w Szeged. Mnóstwo samochodów, stłoczone namioty jak to zazwyczaj bywa na kempingach. Ludzie przystępują do robienia jeszcze większego tłoku, czyli rozstawiania namiotów i przygotowania posiłku. Pomagamy rozstawić namiot Kukowi i idziemy z Trampem do małej restauracji na terenie biwaku. Za nami podąża Eura. Zamawiamy coś na gorąco i do tego wino. Szef przynosi butelkę, odkorkowuje i wlewa mi w szklaneczkę. Degustuję z namaszczeniem i kiwam z aprobatą głową. Niezłe i odpowiednio schłodzone. Powiew kultury. Węgry to jedyny chyba kraj w naszym systemie, gdzie nie stracono jeszcze tych cholernych, burżuazyjnych odruchów: że nasz klient - nasz pan. Tutaj, nawet w wózku z napojami na plaży nad Balatonem, możesz kupić piwo. Naturalnie zimne! Nawet w tej małej knajpce można, mimo późnej pory, pogrymasić przy wyborze potraw. Nie wspominając o bogatym asortymencie piwa i wina. Dzielę się mymi uwagami z przyjaciółmi. Tramp w odpowiedzi dorzuca:

- O tej porze w Polsce można co najwyżej zjeść bigos na winie. Czyli zrobiony z tego, co się nawinie. Po takim bigosie można się tylko przechorować, bo odtrutki nie sprzedają.

- No właśnie! Po odtrutkę trzeba lecieć do namiotu, po swoją wódkę, bo sprzedawanie alkoholu na kempingu jest zabronione.
- Mimo to, większość turystów jest pijana - zauważa Eura.
- No, bo jak już odkręcisz nakrętkę, to wypijasz całą butelkę, by nie wyciekła. Poza tym - ratujesz się przed zatruciem. Tutaj zamawiasz sobie potrawę i tyle alkoholu, na ile masz ochotę i jaki pasuje do wybranego przez ciebie dania.
- A dlaczego szef nalał ci wina na spróbowanie, a nam nie? - pyta Tramp.
- Widocznie uznał, że ja też jestem szefem - żartuję. - Wybrałem właściwe wino i dobry rocznik. No, a poza tym zamawiałem menu po węgiersku.
- No właśnie, a skąd znasz węgierski? - pytają oboje.
- Nasz Wydział nawiązał kontakty z podobnymi, jeżeli chodzi o profil, wydziałami w krajach "demoludu". W wyniku tej współpracy nastąpiła bezdewizowa wymiana grup studenckich w ramach praktyki wakacyjnej. Między innymi z Węgrami...
- Mów po ludzku - przerwała mi Eura. - Co to właściwie znaczy?
- Dam ci przykład. Grupa studentów polskich chce jechać np. na Węgry, ale nie mają forintów. Nie można ich przecież kupić, ile zechcesz w banku polskim. Ktoś wpadł na pomysł, że Węgrzy opłacają pobyt w forintach naszych studentów u nich, a w rewanżu my opłacamy ich pobyt u nas, w złotówkach. Proste?
- Idiotyczne, ale logiczne. No, a co z tym węgierskim?
- Kiedyś zostałem wytypowany na opiekuna dydaktycznego Węgrów. Ponieważ trzeba się jakoś porozumieć, zapisałem się na kurs węgierskiego. Zwłaszcza, że w perspektywie był mój wyjazd na Węgry z naszymi studentami.
- Po co ci węgierski, przecież mogłeś porozumieć się z nimi po rosyjsku?
- Ty chyba żartujesz. Bałem się linczu! Przecież po zdławieniu rewolucji w październiku 56-go roku, Węgrzy nienawidzą Rosjan i rosyjskiego! Poza tym - chciałem lepiej poznać Węgrów i zaprzyjaźnić się z nimi. Liznąłem więc trochę węgierskiego na rocznym kursie, nieco podszlifowałem podczas pobytu Węgrów w Polsce i w następnym roku pojechałem do nich. Z naszymi studentami, których przedtem nauczyłem wygłaszania krótkich toastów po węgiersku. Wyobraźcie sobie miny gospodarzy, gdy na licznych spotkaniach, obowiązkowo z winem, każdy z dziesięciu Polaków, bo takie były grupy, wstawał i rzucał toast. Dziesięć różnych toastów!
- To dopiero musiały być jaja! - śmieje się Tramp.
- I były! Często zdarzało się w restauracjach, że po zamówieniu obiadu (po węgiersku, oczywiście), kelner pytał o naszą narodowość. Po usłyszeniu, że jesteśmy Polakami zawsze przynosił karafkę wina gratis. Oprócz tej, którą uprzednio zamówiliśmy. Ale to - to było małe piwo. Dzięki tym toastom piliśmy prawdziwy tokaj, najwyższej jakości!
- Ej, chyba przesadzasz! - rzuca z przekąsem Eura.
- Ależ skąd! Było to w Miskolcu, przez który przejeżdżaliśmy dzisiaj. Moi studenci wyczytali w przewodniku, że na wzgórzach otaczających miasto znajduje się kilkaset prywatnych "pinse", czyli piwnic, gdzie można kupić tanio wino własnego, chałupniczego wyrobu. Mnie nie trzeba było powtarzać tej bezcennej informacji dwa razy. Pierwszego wolnego popołudnia ruszyliśmy na podbój! Jednakże po degustacji wina w pierwszej z brzegu, skromnej piwnicy, miny nam skwaśniały. Nie tylko od smaku napoju, zwanego winem, ale także i od ceny. Wędrujemy dalej uliczką, nieco zde gustowani i zrezygnowani. Po drodze optymiści, nauczeni gorzkim doświadczeniem, pytają o ceny. Zbyt drogo jak na naszą kieszeń. Zapewne - taniocha dla licznych tu turystów ze strefy dolarowej, przeważnie Niemców. Wlecemy się bez celu dalej, całkowicie odarci ze złudzeń. Akurat przechodzimy obok kolejnej pinse, ale niezwykłej. Już na pierwszy rzut oka widać dostatek gospodarza. Piękna obszerna weranda, obramowana drewnianym ogrodzeniem. Na niej, za obszernym stołem siedzą dwaj starsi panowie i gwarzą leniwie, popijając wino. Burzuje! "Sevastok" - rzucił z przekorą

któryś ze studentów. Węgrzy grzecznie podziękowali, podnosząc w górę szklaneczki. I zaczęło się! Każdy z naszych, żeby nie być gorszym od poprzednika, przechodził i wygłaszał swoje hasło. Panowie zamienili się na chwilę w słupy soli, a później, po dziesiątym toaście, poderwali się z miejsc. Już wiedzieli, z kim mają do czynienia, bo ten dziesiąty brzmiał w wolnym tłumaczeniu: Polak - Węgier, to bracia! U nas się mówi: Polak - Węgier, dwa bratanki: i do korda, i do szklanki. Panowie wybiegają na uliczkę i, łapiąc nas za ręce, wciągają do środka. Początkowo bowiem, mimo ich zaproszeń, nie chcieliśmy wejść. Tu muszą być ceny jak u Maxima. No, ale skoro tak gorąco zapraszają... Na stole pojawia się gigantyczna karafka z winem. Nauczeni doświadczeniem pytamy o cenę, ale właściciel macha ręką i wymienia śmieszna, chyba symboliczną kwotę. Już wie, że to studenci z Polski. Polacy! - Czy wiecie, że w naszych żyłach płynie polska krew? - pyta. Po czym opowiada. Jest emerytowanym majorem armii węgierskiej. Brał udział w walkach przeciw Armii Czerwonej w czasie powstania w Budapeszcie, w 56-tym. Krew z Polski uratowała mu życie. Uratowała je także tysiącom Węgrów. Czuję się wzruszony. Pamiętam tę akcję. Zaczyna się dyskusja, część naszych zna także niemiecki. Toasty coraz częstsze, a wino znakomite i uderza do głowy. Wino lubi śpiew, a piosenka jest przyjacielem wina. Zaczynają się więc śpiewy. Moi studenci są już rozśpiewani, nie marnowaliśmy przedtem czasu. Węgrzy są wniebowzięci. Okazuje się, że mamy sporo wspólnych melodii i na przykład nasze "*Co wieczora tokaj piłem...*" jest rzeczywiście wspólną pieśnią. Tylko Polacy śpiewają ją nieco dynamiczniej, zatracając rytm czardasza. Tak płynął sympatycznie czas. Druga karafka zaczyna się już kończyć. Pora i na nas, nie należy nadużywać gościnności. Zaintonowałem więc "*Kis kut, kerekes kut...*" Ta przepiękna, jak już słyszeliście melodia, jest dla Węgrów tym, czym dla Polaków...

- *Góralu, czy ci nie żal...* - odpowiedział Tramp.

- No niezupełnie. Coś jak skrzyżowanie „*Górala*” ze "*Szła dziewczeczka do laseczka*". To trudno określić. Węgrzy, wyraźnie wzruszeni, zaśpiewali ją ze mną. Z tym, że trzecią zwrotkę umiałem lepiej niż oni, bo uczyłem się jej niedawno. Major i jego przyjaciele byli wzruszeni i kompletnie podbici. Major otarł łzę, po czym wstał i skinął na mnie. Zaprowadził mnie w czeluście swych piwnic, a było co zwiedzać. Piwnice były kilkupoziomowe. W pierwszej z nich, wykutej w litej skale, leżakowało kilkadziesiąt olbrzymich beczek z winem. Gospodarz zaproponował mi degustację. Próbuję więc... to dobre, tamto jeszcze lepsze... Schodzimy na najniższy poziom. Zimno jak cholera! Nieduża pieczara, a w niej cztery beczki. Węgier z namaszczeniem utoczył próbkę i podał mi do degustacji. Wypiłem ostrożnie łyk i oniemiałem. Nie wierzyłem własnemu podniebieniu. Powtórzyłem więc próbę i wniosłem oczy ku górze. Czegoś tak wspaniałego nie piłem nigdy w życiu!

- Niemożliwe! - krzyknęła Eura.

- A jednak to prawda! Wiesz przecież dobrze, że bardzo lubię wino i znam się trochę na tym.

- To twoja opinia i nie możesz jej narzucać innym. Wielki mi degustator!

- Cicho bądź, nie przerywaj! - rzucił podniecony Tramp. No i co było dalej? - pyta pociągając spory haust.

Zwilżyłem również gardło niezłym Olasem i ciągnąłem dalej:

- Powiedziałem Majorowi to samo, co wam - że czegoś tak wspaniałego nie piłem nigdy w życiu. On - z satysfakcją, rozpromieniony - skinął głową: - Masz rację! To najlepszy tokaj na Węgrzech! Po czym zaczął napełniać karafkę.

- Nie myśl o pieniądzach - rzekł z uśmiechem. - To nie jest wino na sprzedaż. T e n T o k a j piję wyłącznie z najbliższymi przyjaciółmi!

Podekscytowany Tramp wstał, by zamówić następną butelkę. Natomiast Eura pokręciła sceptycznie głową:

- Dlaczego jesteś taki pewien, że ten tokaj był najlepszy. Przecież Węgrzy produkują tokaj i eksportują na cały świat. Może to był najlepszy tokaj u twego Majora, ale nie w świecie!

Była wyraźnie podrażniona, ale na szczęście wrócił Tramp. Napełniliśmy lampki:

- *Égeségükre!* Na zdrowie!

Wychyliliśmy zgodnie toast.

- Wiecie, jak po węgiersku nazywa się szklanka albo naczynie do picia wina? - "*Pohar*".

- To podobnie jak po polsku - mówi ucieszony Tramp - dawniej wino piło się z pucharów. A jak nazywa się wino?

- *Bor*, a człowiek lubiący pić dużo wina nazywa się "bormaszyna" - zażartowałem. Powróciłem do kwestii poruszonej przez Eurę:

- Chcesz wiedzieć, dlaczego tokaj Majora był najlepszy? Otóż dzień później Węgrzy zawieźli nas do Tokaju, do wytwórni. Stąd zresztą i nazwa tego wina. Znacie być może powiedzenie Moliera: "Tokaj - to wino królów i król win". W tokaju zaprowadzono nas do probierni i poczęstowano tym królewskim winem. Gospodarze pytają mnie o opinię:

- Niezły, ale piłem już lepszy.

Węgrom zrzęda nieco mina, zwłaszcza że studenci zgodnie potwierdzili moją opinię. Przyniesiono więc nową karafkę. My znowu kręcimy głowami... Sądzą nas do stołów. Do wina serwowano narodową potrawę węgierską, zwaną "holaszlé", czyli karp w piekielnie ostrej zalewie. Potrawę podaje się na gorąco, a jest tak jadowita, że już powąchanie oparów powoduje kaszel. Paru naszych skosztowało niebacznie i zaczęło się krztusić. Ku uciesze obserwujących nas Węgrów. To miał być widocznie ich rewanż za nasze zarozumiałstwo. Zanosilo się na kompromitację, zwłaszcza że razem z nami przyjechało parę uroczych studentek z Miscolca. Chłopcy chcieli się popisać, a tu... Przypadkiem znałem tę diabelską potrawę. Można się nią uraczyć w "Budapeszcie", węgierskiej restauracji przy Marszałkowskiej.

- Chłopcy, który z was pił już kiedyś spirytus? - zapytałem cicho. Paru już próbowało.

- A więc należy to cholerstwo jeść tak, jak się pije spirt. Zanurzasz łyżkę w zupie, robisz wdech, łykasz i dyskretny wydech.

Po czym zrobiłem demonstrację. Studenci poszli za moim przykładem. Wyobraźcie sobie teraz zdumienie Węgrów, gdy nasi zaczęli grymasić, że... potrawa jest za mało pikantna! Przyniesiono stosowne przyprawy i zaczęto nas obserwować z rosnącym zdziwieniem. Polacy szaleli. Wsypywali w potrawę ogromne ilości ostrej papryki w proszku, pieprzu i innych przypraw. Łykali to szataństwo z uśmiechem na twarzy, wywołując zachwyt dziewczyn i konsternację gospodarzy. Nasz prestiż wzrósł ogromnie. Węgrzy przynosili coraz to nowe gatunki tokaju, podawane w rozkosznie oszronionych karafkach, pytając przy tym o opinię. Przy jednej z nich, a piliśmy dużo, by zagasić pożar w żołądku, skinąłem z uznaniem głową. Tak, to wino przypomina mi tokaj Majora...

Być może nie zachowałem się jak prawdziwy dyplomata, ciągle grymasząc, ale na pożegnanie powiedziano mi, że tokajem (tym z ostatniej karafki), podejmowano tu tylko przedstawicieli tych krajów, w których wino jest chlebem powszednim. To znaczy dyplomatów z Francji, Grecji i Włoch.

- No dobrze. Dlaczego jednak wino Majora było najlepsze?

- Także nie wiedziałem. Nazajutrz po przyjeździe z Tokaju, byliśmy znów u Majora. Zaprosił nas na pożegnalne przyjęcie, bo wyjeżdżaliśmy do Budapesztu. Podzieliłem się z nim moimi uwagami:

- Jak to? W Tokaju nie ma prawdziwego tokaju, a u niego jest?

Wyjaśnił mi, że tam produkuje się tokaj na skalę przemysłową, skracając niezbędny czas leżakowania, a to nie jest tokaj "comme il faut". Poza tym, wino powinno dojrzewać w ściśle określonej temperaturze, a taka jest właśnie u niego, w tej najniższej położonej piwnicy. Major miał z pewnością rację. Przynieśliśmy mu w prezencie parę butelek polskiej wódki, mając nadzieję, że napełnimy parę butelek jego winem. Major był bardzo ucieszony prezentem, ale zdecydowanie odmówił.

- Jesteście mymi przyjaciółmi, więc pijcie, ile chcecie. Ale nawet kropli mojego tokaju nie sprzedam. Niemcy dawali mi za jedną butelkę niebotyczne pieniądze. Po co mi forsa? Jestem wystarczająco bogaty, a to wino jest bezcenne. Naprawdę piję je wyłącznie z najbliższymi. Po czym wzniosł w górę puchar:

- *Minden jól!*

- Wszystkiego najlepszego. Dziękujemy. - odpowiedzieliśmy również po węgiersku.

- I co? Nigdy go potem nie odwiedziłeś? - spytał Tramp.

- Nigdy. Nie miałem na to pieniędzy, no i brakło czasu. Każde wakacje to kajaki.

Tramp pokręcił głową z dezaprobatą...

- No dobrze, a co wy właściwie robiliście na tych waszych praktykach wakacyjnych? Tak naprawdę, oprócz picia wina - spytała złośliwie Eura.

- Jak to - co? Poznawaliśmy kraj, ludzi i ich obyczaje. Zawieraliśmy także przyjaźnie. Znacznie, przypuszczam, prawdziwsze niż to robiły oficjalne delegacje partyjno - rządowe, bo szczerze. Zwiedzaliśmy także fabryki, różne zakłady przemysłowe, by mieć pogląd na technikę, na jej poziom i na możliwości naszych sąsiadów. To bardzo ważne dla przyszłego inżyniera czy menagera, zdobywa się doświadczenie w kontaktach z różnymi ludźmi, a także skalę porównawczą...

Tu roześmiałem się - do jednego ze wspomnień. Opowiedziałem więc im, jak to podczas zwiedzania huty w Miscołcu, nazwanej, oczywiście, imieniem Lenina, stanęliśmy u stóp wielkiego pieca.

- To takie urządzenie w kształcie olbrzymiej beczki, do której wrzuca się od góry, rudę żelaza, koks, złom, a w dole po podgrzaniu wypływa płynny metal, czyli surówka. Słowem, jest to urządzenie służące do otrzymywania wszystkiego, co jest "żelazne" - wyjaśniam kobiecie.

- Otóż na szczycie tej budowli, wysokości wielopiętrowego wieżowca, widać olbrzymiej wielkości pięcioramienną, czerwoną gwiazdę, wspartą na dodatkowym, przemysłowym rusztowaniu. Gapimy się, zadzierając głowy. Studenci uśmiechają się porozumiewawczo, pokazując sobie dyskretnie ów nieznany w Polsce dziwoląg. Udając niewiniątko, pytam, jakie znaczenie techniczne odgrywa owa gwiazda. Czyżby, przypadkiem, służyła jako piorunochron? Z tyłu rozległ się stłumiony chichot - to oczywiście moi studenci. Inżynier, który nas oprowadzał, sympatyczny zresztą facet, poczerwieniał i zmieszany wykrztusił:

- To jest... symbol przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i innymi bratnimi narodami. A wy takich symboli nie macie?

Zaprzeczyliśmy chórem. Inżynier nie chciał uwierzyć. Później studenci zastanawiali się, ileż to trzeba dodatkowej ilości stali, żeby produkować takie materiałochłonne ozdóbki. Ta olbrzymia gwiazda była widoczna w promieniu kilkunastu kilometrów. Inne, mniejsze, wiszą nad każdym państwowym gmachem, nie tylko na Węgrzech, ale i w pozostałych krajach "demoludu" ze Związkiem Radzieckim na czele.

- Na szczęście w Polsce tego nie ma - odezwał się Tramp. - Ale...

Zaczyna mówić o innych przejawach złej gospodarki w Polsce.

Przerywam mu:

- Przestań! Znam to na pamięć. Lepiej podaj jakiś przypadek, świadczący o gospodarności.

Tramp milknie i popada w zadumę. Przychodzę mu z pomocą:

- Wyobraź sobie, że to małpa rządzi Polską. Oczywiście, nie umie mówić, ale ma do dyspozycji dwa guziki. Jeden z napisem "TAK", a drugi "NIE". Jakie jest prawdopodobieństwo trafnej decyzji?

- Pięćdziesiąt procent.

- No, to dlaczego sto procent jest na "NIE"?

Teraz śmieje się Eura. Z głupiej miny Trampa.

- Z tego wniosek, że złe decyzje podejmowane są ŚWIADOMIE, a jeżeli jakaś jest prawidłowa, to tylko przez pomyłkę.

Pobudka była o 5.15. Mimo panujących jeszcze ciemności, wszystko szło sprawnie i po niecałej godzinie odjechaliśmy. Metoda PERT zdała egzamin.

Przed nami szmat drogi. Należy dziś przeskoczyć Jugosławię, gdzie biwaki są drogie i płatne w twardej walucie. Granicę jugosłowiańską przekraczamy bezboleśnie, stosując wypróbowaną już metodę "na luzie". Jedziemy rozległą równiną pokrytą na przemian olbrzymimi plantacjami kukurydzy i słonecznika. Przez parę kilometrów ciągnie się aż po horyzont soczysta zieleń kukurydzy albo rozszalała żółć kwitnących słoneczników. Taka monotonna jazda nuży. Ludzie drzemią, a kierowca się męczy. Proponuję więc, aby od dziś, każdego dnia urządzić jakieś imieniny. Propozycja zostaje przyjęta jednogłośnie, z dwoma wstrzymującymi się. Kuk i Małgośka w sierpniu nie piją.

By dać dobry przykład, ogłaszam, że dziś jest moje święto i wśród ogólnego entuzjazmu puszczam w obieg butelkę. Ciśnienie wzrasta, mija znużenie i przez most na Dunaju przejeżdżamy śpiewając radośnie:

"Płynie Wisła płynie po polskiej krainie..."

Dwaj abstynenci bawią się również znakomicie, kierowca przestaje ziewać i - nie wiedzieć kiedy - przekraczamy granicę jugosłowiańsko-bułgarską. Oczywiście - ze śpiewem na ustach.

Nocleg na kempingu w pobliżu Sofii. Ciepły prysznic usuwa zmęczenie po blisko 700-kilometrowym etapie. Nasz kierowca jest w świetnej formie i chętnie bierze udział w wieczornym ognisku. Zwłaszcza że to jest pierwsze ognisko podczas wyprawy. Przygotowywanie ognisk to specjalność Trampa. Cieszę się z jego pasji, bo ognisko i piosenka pomagają zintegrować ludzi. Śpiew przy ognisku to zupełnie co innego niż występy w autokarze. Tworzy się intymna rodzinna atmosfera

Korzystając z okazji, że jesteśmy w Bułgarii proponuję Prezesowi, by opowiedział o naszej wyprawie do tego kraju sprzed dziesięciu lat. Ten chętnie podchwytuje temat, bo to znany gaduła, i opowiada o naszym pierwszym kajakowaniu po morzu. Na kemping w znanej miejscowości Raj, niedaleko ujścia rzeki Kamecziji, Prezes przywiózł z Polski "Neptuna". Zabawę mieliśmy znakomitą i zdobyliśmy trochę doświadczenia. Otoczeni przez ciekawskich szybko zmontowaliśmy składak i Prezes odważnie wsiadł. Była niezła fala i okazało się, że start nie jest taki prosty. Paru ludzi musiało trzymać kajak w pozycji prostopadłej do fali, by umożliwić wypłynięcie. Później emocja przy przejściu na głębinę na falach przyboju i naprzód. Samo pływanie po morzu na długiej fali nie przedstawiało trudności. Problemy zaczynają się przy dobijaniu do brzegu. Przy odpowiedniej długości fali i wietrze w plecy rozpędzony kajak wpada w poślizg, zachowując się podobnie jak deska surfingowa. Z tym, że nabierając coraz większej szybkości dogania falę poprzednią, zanurza się w nią i zaczyna tracić sterowność, skręcając w lewo lub prawo, bokiem do fali. Ze statecznej krowy, jaką jest na jeziorze, zamienia się w dzikiego mustanga. Jedyłą uzdą, która może powstrzymać jego harce, jest silna kontra wiosłem, o czym nie zawsze pamiętają stateczni kajakarze lądowi, wierzący w skuteczność niedużego kawałka aluminiowej blachy, dyndającego gdzieś tam na rufie i zowiącego się dumnie sterem. Prezes spróbował raz i... skąpał się przy brzegu. Spróbował ponownie - i znów było sporo uciechy. Później trenował przejażdżki wzdłuż wybrzeża przy mniejszej fali. Skorzystałem z okazji i też potrenowałem. Jako balast posadziłem z przodu jedną z odważnych ochotniczek z licznej świty Prezesa. Wystartowałem z rozbiegu i jakoś się udało. Po przepłynięciu poza falę przyboju zrobiłem nawrót. Kajak wpadł prawidłowo w ślizg i, nabierając szybkości, pomknął w stronę brzegu, zmierzając - wprost na pale pomostu. Miałem do wyboru: albo rozbić kajak i załogę, albo przejechać kogoś wśród gromady pluskających się przy brzegu ludzi. Na manewr "cała wstecz" nie było już czasu. Rozpędzony kajak wpadł między kąpiących się, wzbudzając popłoch i liczne

protesty. Szczęściem - obyło się bez ofiar. Odtąd ćwiczyłem te pasjonujące manewry z dala od ludzi i od tego cholernego pomostu. Umiejętność wyprowadzania kajaka z poślizgu na dużej fali przydała mi się później, podczas jednego ze spływów po Zatoce Gdańskiej i uratowała od niechybnej kąpieli w zimnych wodach Zatoki, gdzieś na wysokości Gdyni...

Następnego dnia - znów pobudka w środku nocy. Chcemy jeszcze dziś przejechać wzdłuż Bułgarii i dotrzeć do Turcji, by na parę dni zapuścić korzenie w polskiej wsi, zwanej Polonezkoy lub Adampol. W Polonezkoy Prezes ma dobrych znajomych, jeszcze z poprzednich wypraw. Co ważne - z bezpłatnym noclegiem. Wyjazd odbywa się sprawnie, tylko już po starcie uroczą Świtezianka wierci się po autokarze i zagląda pod wszystkie siedzenia. - Zgubiłam zegarek. Radziecki - wyjaśnia.

- A gdzie go zgubiłaś? - pyta opiekuńczy Tramp.

- Nie wiem. Chyba w toalecie na kempingu.

- To szukaj go tam, a nie w autokarze...

Noc była chłodna, ale już około 8-iej temperatura przekracza 24 C i z każdą chwilą robi się coraz goręcej. Zapowiada się niezły upał, przypominający, że jesteśmy daleko na południe od Polski. Przez Bułgarię przemknęliśmy jak wichur, około 13-iej stajemy na granicy tureckiej. Czekamy ponad godzinę. Wyraźny wpływ Orientu, gdzie wszelki pośpiech jest podejrzany. Siedzimy więc cierpliwie, obserwując stojący obok nas, też po stronie bułgarskiej autokar turecki z pootwieranymi lukami. Przypuszczalnie są to Turcy wracający do kraju z odwiedzin u swoich ziomków, pracujących jako gasterbeiterzy w Niemczech. Turcy stopniowo rozładowują autokar, rośnie sterta bagaży, a wraz z nią rośnie temperatura dyskusji z celnikami bułgarskimi. Trwa targ o każdy cenniejszy przedmiot. W pewnym momencie ręka bułgarskiego celnika zaciska się na uchwycie błyszczącego niklem olbrzymiego radiomagnetofonu. Dochodzi do szarpaniny, a później do rękoczynów! Z rozbawieniem obserwujemy tę scenkę rodzajową. Ale nie wszyscy się bawią. Z przodu autokaru zaczyna się głośniejsze krakanie - co to będzie z nami?! Uciszam ostro pojękiwania i polecam dziewczynom szczerzyć przyjaźnie zęby do Bułgarów. Ci, zajęci wojną celną z Turkami i obserwujący przy tym nasze rozbawione miny, machają niecierpliwie rękami. Jechać dalej! Przekraczamy więc granicę turecką. Błyskawicznie zjawiają się urzędnicy i uprowadzają naszego kierowcę. Henryk jest brunetem, więc pewnie podejrzewają, że to Bułgar. Natychmiast wyskakuję w ślad za kierowcą, ale na mój widok gwałtownie zaprzeczają rękami. Blondyn nie jest im potrzebny. Nie daję jednak za wygraną, krzycząc, że to ja jestem szefem. Ponownie machają, wskazując w kierunku autokaru. Zapada złowrogie milczenie, później narasta krakanie z przodu. Na szczęście nasz kierowca wraca po dziesięciu minutach. W tym czasie obserwujemy epilog przeglądu tureckiego autokaru. Stoi za nami zaledwie o parędziesiąt metrów, ale po drugiej stronie granicy. Bijatyka już się skończyła i trzeba załadować wszystko do środka. Robią to kobiety. Mężczyźni tylko dyrygują...

Tureccy celnicy nie mają głowy do podróży z Lechistanu. Są zbyt przejęci niedawnym incydem ich rodaków z Bułgarami. Nakazują odjazd. Uśmiechają się tylko do potencjalnych branek, kierując je w głąb swojego terytorium. Haracz odbiorą ich bracia w Konstantynopolu. Autokar rusza na wschód, a my pijemy za zdrowie Sobieskiego. Dochodzimy do wniosku, że dobrze jest komuś zalać sadła za skórę. Turcy dobrze to pamiętali i jedynie oni nie uznali rozbiorów Polski. Długo nie mogli w to uwierzyć. Ponoć na każdym przyjęciu dyplomatycznym po rozbiorach, Sułtan niezmiennie pytał: A gdzie jest poseł z Lechistanu?

- Jeszcze nie przybył Najjaśniejszy Panie.

- Zostawcie jego fotel przy stole. Z pewnością przybędzie.

Tak! Turcy to porządny naród. Pijemy zatem za ich takt. Bułgarskim koniakiem postawionym przez dzisiejszych solenizantów, Olę i Jana. Bardzo sympatyczne rodzeństwo po pięćdziesiątce. Starzy kajakarze i luzacy. Niestety jadą z nami tylko do Polonezkoy, a

później wracają do kraju. Zgłosili się zbyt późno i nie otrzymali wizy greckiej. Obiecałem załatwić im wizy w Stambule, ale nie wierzyli w to i zostawili kajak w kraju.

Koniak wzmacza apetyt. Obiad zjedzony w Płowdiw, to już tylko wspomnienie. Nasze podręczne zapasy zostały przez roztargnienie schowane w bagażniku. Jedziemy w kierunku Stambułu i tłok na szosie rośnie, nie pozwalając na zatrzymanie się gdzieś na uboczu. Wleczeni się coraz wolniej w niekończącym się sznurze pojazdów. Głód wzmacnia się, a nasza grupka "na osi" traci humor. Przypomina mi się stosowny dowcip, który opowiadałem zgłodniałym.

- Powstał spór, jaka nacja jest najbardziej odporna na głód. Po wstępnych debatach ustalono, że może to być tylko Indianin, Eskimos bądź Czuczka. Przeprowadzono stosowny eksperyment, zamykając trzech kandydatów w izolowanych pomieszczeniach zaopatrzonych tylko w telefony. Po kilku dniach Indianin dzwoni, że ma już dosyć głodówki. Parę dni później dzwoni Eskimos. Czuczka milczy dalej. W końcu komisja, czuwająca nad eksperymentem, uznała, że należy sprawdzić, co się z nim dzieje. Być może już zasłabł...? Wchodzą do jego pomieszczenia. Czuczka siedzi w kucki przy aparacie i klepiąc po nim powtarza: "telefona, telefona - Czuczka mieć wielki głód!"

Gwałtowna eksplozja śmiechu kieruje w naszą stronę wszystkie głowy. Kawał obiega wszystkich, wywołując powszechną radość. Ale najbardziej zaskoczył Tramp. Co chwila klepie Angelikę po ramieniu powtarzając: - telefona, telefona, Czuczka być głodny.

Zanosi się przy tym od śmiechu. Klepie właściwego sprawcę, bo to Angelika zapakowała głęboko w luki podręczny prowiant. Tak oto Tramp został Czuczczą! Młodszym Czuczczą, bo starszym zostałem ja, a nasza grupka występowała już odtąd jako CZUKCZE.

Rozdział IV

CZUKCZE W TURCJI

Stambuł na kursie! Oświetlone zachodzącymi promieniami słońca legendarne miasto Wschodu. Przepiękny widok dziesiątków smukłych minaretów, znanych nam tylko z folderów. Nie wjeżdżamy do centrum, kierujemy się na most na Bosforze, łączący Europę z Azją. Przystaje nas cieszyć bajeczny pejzaż, bo pojawia się nowy problem. Eura chce siusiu. Nie ma gdzie się zatrzymać, a my wlecemy się szeroką kładką zapchaną pojazdami. To najdłuższy most w Europie. Ponieważ gigantycznemu korkowi nie ma końca, zdesperowana Eura usiłuje wyskoczyć z wolno toczącego się wozu i zrobić siusiu wprost w wody cieśniny. Zatrzymujemy ją siłą. Odtąd pojawia się pseudo - Euroazja, w skrócie Eura. Przepychamy się w końcu na drugą stronę mostu, do Azji. Po obu stronach zabudowania jakiegoś osiedla. Eura wyskakuje z autokaru i znika w ciemnościach. Po chwili wyskakujemy za nią na poszukiwania. Obok przydrożna kawiarnia. Tam powinna być toaleta. Wpadam do baru, za mną Tramp z kindziałem w zębach. Stateczni Turcy w turbanach na głowach, będący akurat w trakcie oglądania dziennika telewizyjnego, bez słowa wskazują kierunek ucieczki. Biegniemy przez jakieś zakamarki - dziewczyny ani śladu. Czyżby wzięto ją w jasyr? Niepokój się wzmagą, bo przy okazji pogubiły się inne panie.

Na szczęście niedoszłe branki wracają. W komplecie ruszamy dalej.

Polonezkoy jest oddalone od Stambułu o kilkadziesiąt kilometrów. Mimo ciemności, jadąc boczną drogą, trafiamy bez pudła do wsi i zatrzymujemy się obok jakiegoś domu, położonego w olbrzymim sadzie. Prezes wychodzi i po chwili wraca w towarzystwie niedużego, przyjaźnie uśmiechniętego brunecika. To pan Leszek Ryży, sołtys Polonezkoy. Gospodarz wita nas ciepło i zaprasza do ogrodu. Mówi całkiem dobrze po polsku, z lekkim obcym akcentem. Otacza nas grupka kobiet, wyraźnie wzruszonych przybyciem rodaków z dalekiej Macierzy. Prezes i kilkoro naszych wita się z nimi serdecznie, są starymi znajomymi. Nasi rozładowują się i stawiają namioty, a Tramp pyta o możliwość rozpalenia ogniska. Gospodarz zgadza się chętnie i wskazuje gałęzie przeznaczone do spalania. Wkrótce płomienie rozświetlają mrok, przyciągając chętnych ze wsi i paru naszych. Miejscowe kobiety, stanowiące tu znakomitą większość, z radością witają akordeon i gitarę. Okazuje się, że bardzo lubią śpiewać, znają masę starych, zapomnianych piosenek polskich. Dźwięki akordeonu znakomicie współgrają z repertuarem. Czujemy się jak w polskiej wsi, gdzie czas zatrzymał się sto lat temu. Nawet rozłożyste figi wyglądają w blasku ognia, jak jabłonie...

Ranek wstał piękny, słoneczny. Ponieważ zaoszczędziliśmy jeden dzień, wydłużając etapy autokarowe, zasłużyliśmy na nagrodę. Jest nią wycieczka nad niedalekie Morze Czarne. Wysypujemy się z autokaru na plażę. Po paru dniach siedzenia w autokarze, możliwość pławienia się w ciepłej i czystej morskiej wodzie działa na nas jak balsam, jak narkotyk. Niektórzy zatracili poczucie umiaru. Prokurator zwraca mi uwagę na dwie głowy, ledwie widoczne, znajdujące się w połowie drogi między plażą a odległą o kilkaset metrów wyspą:

- Za te dwie głowy - ty odpowiadasz swoją. Trzeba było pouczyć grupę na początku, że każdy pływa na własne ryzyko. To zwalnia ciebie od odpowiedzialności karnej w razie zaistnienia wypadku.

- Masz rację, Prokuratorze - odpowiadam.

Biegnę organizować asekurację. Za mną niezawodny Tramp. Mieliśmy zamiar, chwilę przedtem, rozłożyć kajak, by go sprawdzić. Teraz jest już za późno. Naglony odpowiedzialnością dopadam do grupy Turków opalających się na plaży. Obok nich leży ponton. Na migi tłumaczę, że jest mi potrzebny. Oddają bez protestów i już płyniemy po morzu w pogoni za pływakami. Okazuje się, że te dwie głowy, to Docent z Tancerką. Po Docencie wszystkiego można się spodziewać, ale żeby Tancerka radziła sobie w wodzie

równie dobrze jak na parkiecie - tego się nie spodziewałem. Recytuję im zatem formułkę o własnym ryzyku i płyniemy ku następnej parze. To wicekomandor z żoną, również wytrawni pływacy. Uświadamiam im jednak, zgodnie z radą Prokuratora, że topić się mają na własny rachunek. W głębi duszy jestem zadowolony z posiadania w ekipie tak dobrych pływaków. Niestety, są to nieliczni. Od początku obserwuję uważnie poziom umiejętności pływackich przyszlých zdobywców mórz. Świadczą one o ograniczonej wyobraźni tych kajakarzy. Ja, z takimi umiejętnościami nie wypłynąłbym kajakiem nawet na "paciawkę" typu Świder, gdzie woda sięga dorosłemu człowiekowi najczęściej do kolan; bywają jednak miejsca głębsze, stąd nierzadkie wypadki utonięć na tej bezpiecznej z pozoru rzece.



Plaża nad Morzem Czarnym. Druga z lewej Świtezianka

Część z naszych utrzymuje się jako tako na wodzie, ale są i tacy, którym wejście w wodę sprawia wyraźną przykrość. Przyszłej załodze Prezesa nawet niewielkie bryzgi niedużej falki przeszkadzają w wejściu w morze choćby po kolana. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia z Ratownikiem. Przyszli splayowicze posiadają aktualne karty pływackie, ale w ich wartość nie warto wierzyć. To jeszcze jedna z fikcji naszej rzeczywistości. Na skutek wymogów formalnych dla pływania kajakami i łodziami plan liczby wydanych kart pływackich został z pewnością znacznie przekroczony. Liczba utonięć również. Pamiętam czasy, kiedy nie istniały karty pływackie ani tym bardziej Milicja Wodna, pytająca idiotycznie pływaka spotkanego na środku jeziora o zaświadczenie stwierdzające umiejętność pływania...

Pod wieczór zadowoleni, opaleni lub przypaleni wracamy do domu. Do domu, bo czujemy się u tych gościnnych ludzi jak u mamy. Pan Leszek prowadzi niewielki sklep spożywczy. Kupuję dla degustacji kilka butelek tureckiego wina. Gospodarz jest zadowolony z klienta i obiecuje, że rankiem dostarczy smakoszom wina mleka prosto od krowy.

Dzisiaj imieniny Trampa. Ognisko większe niż wczoraj i znów płyną stare polskie piosenki. Zna ich mnóstwo jedna z tutejszych kobiet - Ania. Niektóre z tych piosenek słyszałem ostatni raz jeszcze w dzieciństwie, melodie pamiętam, ale słów już nie. Śpiewała je moja Mama, śpiewali je starsi, teraz są już zapomniane. Przechowały się jeszcze w tym skansenie polskiej kultury ludowej.

Grupie Czukczów przybywa nowy członek. To Staś, dwudziestokilkuletni siostrzeniec gospodarza. Student Wydziału Turystyki na Uniwersytecie w Stambule. Równocześnie studiuje język francuski. Poliglota, szybko przyswaja narzecze Czukczów. Znakomicie wyczuwa, co jest grane, więc obcowanie z nim to duża przyjemność. Wokół przystojnego, uśmiechniętego i błyskotliwego blondynka - grono naszych dziewczyn. Jest ciepło, przemiła atmosfera, wokół dogasającego ogniska gawędzimy aż po świt. Żal się rozstawać, więc Czukcze rozkładają się do spania wokół żarzących się węgli. Rano budzi nas Leszek, wyraźnie zadowolony, że jego krewniak "przyjął się" do naszego towarzystwa. Częstuje nas ciepłym mlekiem, prosto z udoju. Rzeczywiście, czuję się jak w dzieciństwie...

Ranek pełen entuzjazmu. Jedziemy zwiedzać Stambuł. Dla pań zwłaszcza jest to wielkie święto. Święto Bazaru. Staś służy za przewodnika po bajecznym, pełnym cudownych zabytków architektury, orientalnym mieście. Zwiedzanie zaczynamy od Pałacu Topkapi, siedziby sułtanów otomańskich. Tu zgromadzone są najwspanialsze skarby i bogactwa potężnego niegdyś imperium. Nie sposób opisać tych klejnotów, ozdób, naczyń, strojów i broni. O wielkości obiektu świadczy kuchnia, gdzie potrawy dla dworu przygotowywało 1200 kucharzy. Dziś eksponuje się tu przebogata kolekcję chińskiej i japońskiej porcelany. W Skarbcu gapimy się chwilę na tron ze złota, ważący 250 kg, używany do koronacji sułtanów. Złote płytki, którymi jest pokryta toporna w kształcie kanapa, otrzymano z przetopienia 80 000 dukatów. Prawdziwe arcydzieło to słynny Tron Nadira, zdobycz wojenna przywieziona z Indii, według jednej z hipotez - należącej do Tamerlana. Harmonijna konstrukcja o owalnym kształcie, wsparta na czterech nogach w kształcie waz, prześlicznie inkrustowana złotem, perłami, rubinami...

Architektura wewnątrz tych wszystkich sal imperialnych, bibliotek, Haremu przyprawia mnie o zawrót głowy. Ileż to wymagało ludzkiej pracy tych setek anonimowych, genialnych artystów, rzemieślników i - przede wszystkim - niezrównanych architektów. A ile cierpień, ludzkiej krwi, wojen i nieszczęść zaklętych jest w tym rozpasanym bogactwie?

Oszołomieni nadmiarem wrażeń wychodzimy na jeden z tarasów, skąd podziwiamy panoramę miasta przedzielonego błękitną cieśniną między Azję i Europę. To tutaj, gdzie teraz stoimy, na Złotym Rogu założył miasto król Dorów - Byzas, za radą wyroczni w Delfach w 658 roku przed Chrystusem.



Nasza grupa rozdzieliła się. Większość wędruje za Stasiem na Bazar, Czuczka podążają do niedalekiej Bazyliki św. Zofii. To jeden z najsłynniejszych obiektów architektonicznych świata. Onieśmieleni wkraczamy do wnętrza świątyni, porażeni jej ogromem. Zadzieramy głowy, podziwiając olbrzymią 30 metrową kopułę zawieszoną 55 metrów nad ziemią. Cesarz

Justynian podczas uroczystości poświęcenia Bazyliki miał zawołać: "Chwała ci Boże, że pozwoliłeś mi dokonać tego dzieła. O Salomonie, ja ciebie pokonałem!" Jak twierdzą znawcy, rzeczywiście to dzieło przewyższać ma biblijną Świątynię Salomona swym ogromem, harmonią i pięknem. W ciągu 14 wieków swej historii służyła chrześcijanom, jeszcze zachowała się część gigantycznych fresków o treści religijnej z tego okresu, teraz jest miejscem kultu wyznawców Mahometa.

Całkowicie podbici potęgą Agja Sofii zostajemy kompletnie oczarowani pięknem następnej perły architektury Stambułu - Błękitnym Meczetem. Błękitnym, bo wewnątrz meczetu dominuje ornamentacja koloru zielonkawo-niebieskiego. Olbrzymia kopuła wsparta jest na czterech potężnych kolumnach o 5-cio metrowej średnicy, zwanych "stopami słońca". Meczet jest niższy od bazyliki o 13 metrów, obramowany jest natomiast 6-cioma minaretami. Taka liczba minaretów zarezerwowana jest tylko dla wielkiego meczetu w Mekce; być może przywilej ten wynika z faktu przechowywania w Błękitnym Meczecie fragmentu czarnego kamienia z Kaaby.

Syci wrażeń wracamy do autokaru. Nowy problem - nasz kierowca nie może się dodzwonić do placówki BTZ-u w Stambule. Co z nowym kierowcą, którego obiecano nam tu przysłać? Decyduję się załatwić wizę Henryka we własnym zakresie, zwłaszcza że współpracuje się z nim znakomicie.



Czuczki w Stambule. Od lewej: Eura, Tramp

Następnego dnia jedziemy znów do miasta ku wielkiej radości bywalców bazaru. W Ambasadzie Polskiej udaje mi się od ręki dostać odpowiednie pisma polecające. Nasi turyści wysypują się w pobliżu bazaru, a ja wraz ze Stasiem jadę pod Ambasadę Grecką. Jest obleżona przez Turków, a za pół godziny zamykają. Czas nagli, bo jeżeli nie uda mi się teraz załatwić wiz (załatwiam także wizy Barnaby i Pelikana) musimy czekać tutaj cztery dni. Od jutra bowiem, jak mnie poinformował Staś, zaczyna się pasmo świąt. Staś radzi mi szturm. Jako cudzoziemcowi udaje mi się jakoś wcisnąć do środka. Przedstawiam sprawę jednemu z urzędników, znającemu francuski, wypełniam trzy wnioski wizowe, sam je podpisuję, płacę

dość wysoką sumę i po kwadransie wychodzę szczęśliwy z odpowiednimi stemplami w paszportach.



Na jezdni w Stambule

Teraz trzeba odnaleźć przedstawicielstwo BTZ-u, by uzyskać formalną zgodę na wyjazd kierowcy do Grecji. Dzięki temu, że Staś zna miasto, udaje nam się przejechać przez zatłoczone ulice i dotrzeć do celu - do okazałego budynku, gdzieś na obrzeżu miasta, mieszczącego również polskie biuro. Pracownicy, w tym kilka eleganckich Turczynek, witają serdecznie Henryka. Okazuje się, że biuro zmieniło siedzibę, stąd niemożność dodzwonienia się. Dostaję do ręki telegram z Polski, w którym nasi proszą tutejsze przedstawicielstwo o pomoc w załatwieniu wizy. Jest to równoznaczne ze zgodą na wyjazd kierowcy do Grecji. Całe szczęście, że podjąłem akcję na własną rękę, wyręczając niejako piękne panie, uzyskuję cztery dni. Z przyjemnością piję mocną, aromatyczną kawę po t u r e c k u, podaną przez uroczą turecką sekretarkę. Kawa stawia mnie na nogi, zmęczenie spowodowane upałem i napięciem nerwowym mija bez śladu. Szczęśliwi jedziemy na miejsce zbiórki.

Jest jeszcze trochę czasu, więc pędzę ze Stasiem na bazar. Po drodze wpadamy na Trampa. Stary kierowca też ma interes w Stambule. Szuka mianowicie specjalnego klaksonu, jakiego używają szoferzy olbrzymich ciężarówek, kursujących od oceanu do oceanu po autostradach Stanów Zjednoczonych.

- Widziałem to na jakimś filmie - mówi.

- Chodź z nami. Kupisz sobie jakieś spodnie i kurtkę. Po powrocie, tłum dziewcząt z twojego miasteczka rzuci ci się na szyję za to tylko, że chodzisz w tureckich ciuchach. A może jakaś cię uwiedzie i twoja mama przestanie się martwić, że rośniesz na starego kawalera.

Poskutkowało. Zrobienie stosownych zakupów poszło nam równie szybko jak załatwienie wiz. Znow kawa po turecku, serwowana przez uprzejmego sprzedawcę, mówiącego całkiem niezłe po polsku. Rzucamy jeszcze okiem na Wielki Bazar, miejsce pielgrzymek z Polski. Przypomina mi kolorytem i obszarem bazar w Medinie, starej dzielnicy Tunisu. Też można tu kupić wszystko i... nic, bo wymarzonego klaksonu nie udało się znaleźć. Zapewne z powodu braku czasu, zwiedziliśmy bowiem tylko małą część największego w świecie targowiska pod dachem, zajmującego 200 000 metrów kwadratowych, istniejącego jeszcze od czasów bizantyjskich.

Wracamy do autokaru. Rozgorączkowane upałem i zakupami, spocone, ale zadowolone twarze. Autokar zapchany stertą dużych plastikowych toreb z ciuchami.

- Puścili nas z torbami? - komentuje trafnie jeden z panów, nazwany później Sułtanem. Podaję komunikat o pomyślnym załatwieniu wiz. Wywołuje to ogólny entuzjazm, wszyscy bowiem zdążyli polubić sympatycznego Henryka.

Najbardziej cieszy się młode małżeństwo, będziemy więc dziś obchodzić imieniny Barnaby i Pelikana.

Nie ma już z nami Oli i Jasia. Rankiem wysadziliśmy ich koło dworca kolejowego. Opuszczali Stambuł w strugach deszczu.

- "Z żalem opuszczamy dalszy ciąg wyprawy, ale myślę że spotkamy się jeszcze na szlaku. Ahoy!" - napisał Jan w dzienniku wyprawy. Na wszelki wypadek podał numer telefonu. (po powrocie z „ekskursji” spotkaliśmy się i przy butelce koniaku opowiedziałem mu dalsze przygody Czuczaków, jako że Jan był naszym sympatykiem).

Dzisiaj jest nasz ostatni wieczór w Polonezkoy. Udajemy się do małego muzeum, by wpisać się do księgi pamiątkowej. Muzeum, to izba w opuszczonym już, drewnianym domku zmarłych rodziców Stasia.

- Nasza wieś, to już historia. Młodzi puciekali z niej do miast. Większość emigruje na Zachód, przeważnie do Niemiec - mówi ze smutkiem Ania, trzydziestoletnia panna na wydaniu.

Smutno tu jakoś. Niektórzy z obawą spoglądają na pobielone ściany izby. Byli tu już wczoraj. Akurat po ścianie spacerował duży, czarny skorpion. Ania, pełniąca tu rolę kustosza, ze stoickim spokojem zabiła go polanem drewna. Wyjaśniło się, dlaczego wszyscy szczerze zamykali namioty, mimo że noce były ciepłe.

Udajemy się na przyjęcie pożegnalne wydane przez gospodarzy na naszą cześć. Na placu przed domem ustawiamy stoły. Zasiadamy wszyscy, razem z nielicznymi kobietami ze wsi. Prezes wygłasza dłuższy toast, wręczamy pożegnalne prezenty. Są to przeważnie albumy i ilustrowane przewodniki po Polsce. Z dedykacjami, które artystycznie kaligrafował Tramp.

- "Oby takich Polskich Wysp było jak najwięcej na naszym szlaku" - brzmiała jedna z dedykacji.

Prezes skończył wygłaszać przemówienie i nareszcie wznosimy kielichy z winem. Następne toasty są już krótkie i wkrótce atmosfera zaczyna się rozluźniać. Leszek jest człowiekiem nieśmiałym, natomiast jego żona Helena - to mieszanka piorunująca. Do tej pory nie pojawiała się na naszych ogniskach, ale teraz pokazuje się w pełnej krasie. W jej żyłach płynie mieszanka greckiej i włoskiej krwi. Wyciągam ten słuszny, jak się później upewniłem, wniosek z jej upodobania do muzyki tych właśnie krajów. Okazało się to podczas koncertu życzeń - już po odśpiewaniu przez nas kilkunastu piosenek turystycznych. Piękna Helena zażądała natychmiast greckiej piosenki. Śpiewam więc "*Obromosi neskatunos...*". Na twarzy ognistej brunetki pojawia się początkowo wielkie zdziwienie, a później śpiewamy już w duecie. Owacje zgromadzonych i liczne toasty. Pani domu prosi o coś włoskiego. "*Bella, bella donna*" w naszym wykonaniu, bo część starszych zna tę popularną niegdyś w Polsce piosenkę, wprawia ją niemal w ekstazę. Przerzucam się na piosenki południowo - amerykańskie: samby, rumbi - to moja specjalność. Tańczę przy tym i zachęcam innych. Ludzie zrywają się zza stołów, gitara idzie w ką, do roboty rusza akordeon. Helena ustawia głośniki w oknach i zaczyna się dyskoteka. Z przyjemnością ruszam w tany ze znakomitą, jak się okazuje, tancerką. Działać musiałem jednak z umiarem, nie mogłem dopuścić do powtórnej wojny trojańskiej...

Oznaką pokoju i zgody była kwaterka mleka, którą niezawodny Leszek przyniósł mi rankiem, na pobudkę.

Przed odjazdem robimy pożegnalne zdjęcia, umawiamy się za rok i w drogę. Jednak jakaś część Polonezkoy zostaje z nami. Dosłownie, bo jedziemy ze Stasiem. Nie może się z nami rozstać, a już szczególnie ze Świtezianką. Jesteśmy szczerze z tego uradowani. To doskonały przewodnik, znający kraj, język i obyczaje. Dla Czuczaków tym większa radość, że to jeden z nas.

Autokar zmierza na południe Turcji. By skrócić drogę kierujemy się na przeprawę promową w Gerze. Przed przeprawą promową ogromna kolejka samochodów. Szkoda czasu i pieniędzy, bo aż 26 tys. lirów.

Żeby dotrzeć do Bursy leżącej po drugiej stronie Zatoki Izmickiej decydujemy się na dłuższą, ale w sumie tańszą drogę lądową przez Izmit.

Jedziemy więc wzdłuż zatoki na wschód. Kropi lekki deszczyk. Żona Barnaby spostrzega spacerującego po poboczu pelikana i woła:

- Popatrzcie! Jaka dziwna czapla!

Głośny wybuch śmiechu. Tak została Pelikanem.

Około 14-tej docieramy do Bursy, dawnej stolicy kraju. W centrum miasta tłok, jacyś mówcy, megafony, transparenty.

- To wiec przedwyborczy - informuje nieoceniony Stasio.

Za jego radą zwiedzamy dwa meczety. Jeden z nich - to największy meczet w Turcji. Drugi, mniejszy, o wiele piękniejszy nosi nazwę Zielony. Po trzech godzinach odjeżdżamy. Stanowczo za krótko gościmy w tym pięknym mieście. Pada deszcz, poza tym noszę się z zamiarem przedłużenia trasy naszej wycieczki. Chciałbym dotrzeć aż do Efezu. To miasto nie było przewidziane w programie. Znając jednak doskonały stan techniczny naszego Tana, tudzież możliwości kierowcy, postanowiłem zrobić "skok w bok". W Efezie bowiem spełniał swą misję apostołską Jan Ewangelista, ulubiony uczeń Chrystusa. Jednak magnesem, który nas przyciąga, jest miejsce położone kilkanaście kilometrów dalej. Tam, gdzie spędziła ostatek swego życia Maria, matka Jezusa, którą ginący na krzyżu polecił opiece Janowi. Nie odwiedzić tego miejsca w Turcji, to tak jak być w Rzymie i Papieża nie widzieć. Wszyscy byli za jazdą do Efezu,, jedynie Prezes zaprotestował. O rozstrzygnięciu sporu miał zadecydować pojedynek szachowy. Prezes, uważający się za wielkiego gracza, sam zaproponował mi takie rozstrzygnięcie "sądu bożego". Było to wczorajszego wieczoru, tuż przed przyjęciem pożegnalnym. Mało czasu, dużo pracy. Wróciliśmy późno ze Stambułu, wizyta w Muzeum, wpisywanie się do księgi pamiątkowej, redakcja dedykacji do prezentów książkowych... nawet nie miałem czasu by coś przekąsić. Ponieważ komplet szachów miał być za chwilę ofiarowany Leszkowi, a Prezes nalegał - zgodziłem się na mecz.

Otwieramy szachownicę. Zaiste - piękny to prezent dla sołtysa Polonezko! - szachy symbolizowały bitwę Sobieskiego pod Wiedniem, wszystkie figury, nawet pionki, niezwykle malownicze. Jak tu odróżnić żołnierza od gońca, Króla od Marysienki?.

Ale bitwa już się zaczęła. Prezes nacierał jak burza. Przypuszczam, że podobnie jak ja, mylił ozdobne pionki z wyższymi figurami. Połapałem się jednak w tym galimatiasie i mimo poważnych strat w pierwszej, rozpoznawczej fazie boju, gdzie wdałem się w wymianę - mój goniec za buńczuczego pionka - oddał pole...

- No i kto wygrał? - spytała Świtezianka, gdy oderwałem się od szachownicy, by wreszcie zająć się sobą.

- Dziewczyno! Czy ty wątpisz w swego szefa?

- Oj, Komandorze - przepraszam! - odparło zmieszane dziewczę. I natychmiast dodało:

- Naprawdę, bardzo się cieszę.

Cieszyli się wszyscy, oprócz pokonanego. Ten, podczas dzisiejszej jazdy, nie ukrywał swego niezadowolenia i ciągle wygłaszał jakieś pretensje, na szczęście żalił się Krakersom. Jego skrzekliwy głos dochodził czasami do naszych uszu.

- Chrząszcz brzmi w trzcinie - skomentował Tramp.

W narzeczu Czukczów tak go już nazywaliśmy do końca wyprawy.

Tymczasem autokar pędził przez pustynną równinę ciągle na południe.

- Jedziemy zgodnie z planem, czyli prosto przed siebie - nadaje młodszy Czukcza. Jest dziś w formie, w przeciwieństwie do Angeliki. Ta ma paskudnie spuchnięte oko, jakiś owad użądlił ją w nocy.

- To kara za zdrowy rozsądek - komentuje wypadek Tramp. Po co odchodziła od naszego ogniska?

Należy tu wyjaśnić, że Tramp po przyjęciu u państwa Ryżych zorganizował małe, prywatne ognisko. Tylko dla Czukczów. Panicznie boi się skorpionów, więc mu wytłumaczyłem że skorpiony boją się ognia. Spaliśmy więc tym razem wszyscy przy ognisku, jedynie Angelika poszła spać do namiotu. Z widocznym skutkiem.

Im dalej na południe, tym możliwość spotkania ze skorpionami będzie wzrastać. Ludzie na krótkich postojach wysypują się na zewnątrz, nie patrząc zbytnio pod nogi. Wielokrotnie przestrzegałem, by nie trącali leżących kamieni ani nie pchali się w krzaki. Wygłosiłem teraz mały wykład o skorpionach i ich zwyczajach. Skorpiony nie mają powiek, ich oczy są zatem wrażliwe na światło, uciekają w ciemne miejsca. Poza tym nie posiadają automatycznej regulacji temperatury, gdy jest zimno - pchają się do ciepła i odwrotnie, gdy jest im za gorąco - szukają miejsca chłodniejszego, na przykład w łazience. Co miałem możliwość osobiście sprawdzić podczas pobytu w Afryce. Jeżeli już to nieszczęście, jakim jest użądlenie, trafi się człowiekowi, należy natychmiast rozdrapać okolice ukłutego miejsca - by z krwią wypłynęło jak najwięcej jadu. Naturalnie, należy jak najszybciej kierować się do najbliższego szpitala, modląc się po drodze, żeby była tam odpowiednia dla danego gatunku skorpionia surowica. Stąd wniosek, że należy zabić sprawcę.

W tym miejscu zabiera głos Stasio:

- Stare tureckie zwyczaje zalecają również zabić skorpion, zmiażdżyć go dokładnie i taką miazgę przyłożyć do ukłutego miejsca. Ponoć taki okład wyciąga z rany jad.

- Nomadowie na pustyni radzą sobie zupełnie nowocześnie. Puszczają na ranę strumień gazu z butli gazowej. Niska temperatura wypływającego pod ciśnieniem gazu powoduje rozkład trucizny. Wysoka - także, więc np. Indianie z Meksyku wypalają ranę rozgrzanym nad ogniskiem nożem.

- A dlaczego nożem? - pyta ktoś.

- Bo każdy Czukcza ma w zasięgu ręki nóż - wyjaśnia Młodszy.

- I siedzi zazwyczaj przy ognisku - dodaje Starszy.

- No, to teraz was rozumiem - śmieje się ktoś.

Dyskusja o skorpionach ożywiła nieco monotonną drogę. W tym czasie, jakiś nieznaną poetą ułożony wiersz stanowiący podsumowanie naszego pobytu w Polonezkoy. Podaję go z kronikarskiego obowiązku:

*Na wieczorku w Polonezkoy wszyscy pięknie się bawili
Aż czekały wokół pieski, taki nastrój był tam miły.*

*Prezes oratorski talent mógł ujawnić z wielką chęcią
A komandor, czyli Lady grał i śpiewał sambę tęskną.*

*Rysiek swoją cudną brodą oczarował miłą Ankę
A ja nieostrożnie nogą przewróciłem wina szklankę.*

*Tak do rana się bawili goście oraz gospodarze
I tych mocnych życia chwili żadna siła nie zamaże.*

Wierszyk został odśpiewany kilkakrotnie i z wielkim entuzjazmem na melodię jednej z popularnych piosenek. Po każdej zwrotce następowało "Ojra, ojra...". Cieszyłem się. Każda tego typu "radosna twórczość" wymaga odpowiednio życzliwego klimatu. Poza tym jednoczy nas w jeden organizm. Jest to niezbędne do powodzenia każdej wspólnej wycieczki. Oby tak dalej!

Wesoły autobus pędzi niezmordowanie na południe. Zapada już wieczór. Przestał już śnąć towarzyszący nam od rana deszcz. Od dawna wypatrujemy, w monotonnym krajobrazie pustynnej równiny, jakiegoś miejsca nadającego się na biwak. Wreszcie widać na horyzoncie jakieś zabudowania. To przydrożny zajazd. Z tyłu można biwakować. Jest nawet umywalka i toalety. Tramp martwi się, że nie ma drzewa na ognisko. To jego problem. Ja cieszę się, że można się tu umyć. Jestem uczulony na to, bo po poprzednich wyprawach ciągle zarzucano Prezesowi, że robił biwaki w miejscach zupełnie przypadkowych, z dala od wody. Biwak bez wody jest jak kolacja bez wina. Idziemy zatem z Trampem i Eurą na kolację. W zajęzdzie jest wszystko. To prawie Europa, jest nawet piwo w puszkach. Po dobrym posiłku udaje się Trampowi pościagać trochę gałęzi i rozpaćić ognisko. Dźwięki gitary pozwalają zapomnieć o męczącej, całodziennej jeździe. Stopniowo ściągają do ognia namiętni smakosze zupy z proszku. Zjawia się również Prezes i usiłuje zepsuć nastrój, wszczynając dyskusję o niedopuszczalnej, jego zdaniem, zmianie trasy. Proponuję zatem głosowanie. Wszyscy popierają moją decyzję, kierowca również. Ten jednak uparcie mówi swoje. Lekceważy również rezultat pojedynku szachowego, tłumacząc swoją porażkę zmęczeniem. Cholera! To ja byłem wtedy naprawdę zmęczony! Nie wytrzymałem:

- Gdzie ty tak się śpieszysz? Nad greckie morza? Na kajaki? Cóż znaczy jeden dzień zwłoki w porównaniu z możliwością poznania miejsc tak wiele znaczących dla cywilizacji, dla chrześcijaństwa. Ponadto Maryja jest królową Korony Polskiej. A ty, polski kajakarz, przedkładasz jeden dzień w kajaku nad wizytą w tym świętym dla Polaków miejscu. Wstyd mi za ciebie!

Prezes milknie i odchodzi ze spuszczoną głową. Żal mi go. Użyłem, być może, zbyt mocnych słów. Wydaje mi się jednak, że to żądza władzy sprawiła, że był przeciwko zmianie. Bo to nie ON decydował, Szara Eminencja!

Prezes nie zapomniał mi tych słów. Zwłaszcza, że były wypowiedziane publicznie. Przyszłość wykazała, że wcale mu nie zależało na kajakowaniu. Jednak urażona ambicja kazała mu wstąpić na ścieżkę wojenną. Tomahawk został wykopany...

Ranek wstaje pochmurny. Jest ciepło, ale z północy naciągają ciężkie, napęczniałe wodą, granatowe chmury. Błyskawicznie się zwijamy i uciekamy od deszczu. Dobrze, że jedziemy na południe. Po godzinie spokojnej, sennej jazdy Angelika krzyczy:

- O Boże! Zostawiłam pieniądze!... I paszporty!!



Krótki postój w trasie. Na pierwszym planie Angelika, obok niej Tramp

STOP! Bezzwłocznie zawracamy. Angelika jest zrozpaczona. Nic dziwnego, bo w woreczku, który zdjęła z szyi podczas toalety porannej, było ponad 600 dolarów. Jej i Trampa. To kupa forsy dla Polaka! Kwota przewyższająca wielokrotnie życiowe oszczędności większości obywateli naszego kraju. Prawie trzyletnie przeciętne zarobki, a porównując inaczej to strata równoważna trzem dobrym samochodom dla Niemca czy Francuza. Ponadto te cholerne paszporty! Jeżeli się nie odnajdą, to nie ma co marzyć o kajakach w Grecji. Trzeba wracać do Sztambułu, do naszej ambasady... Całkowita zmiana planów! Nic nie mówię, modłę się tylko o cud. W autokarze cisza absolutna. Potem się okazało, że inni też się modlili... wpadamy w gwałtowną ulewę. To dobrze, bo podczas takiej nawałnicy nikt się nie będzie szwendał koło kranu z wodą na zewnątrz budynków. Po niecałej godzinie, jednej z najdłuższych w życiu, autokar gwałtownie hamuje. Angelika wypada w strugi deszczu. Cisza, nabrzmiała niepokojem... Wreszcie - zmoczona postać wskakuje do środka. Wszyscy wpatrują się w twarz dziewczyny. Mina Angeliki mówi nam wszystko: JEST ! Mała torebka, ściszana kurczowo w rękę, od której zawartości zależy tak wiele...

- Dziękuję wam, przyjaciele - mówi szczęśliwa.

Nikt bowiem nie powiedział jej złego słowa.

Wydarzenie to działa odprężająco. Krążą powiedzonka w stylu:

- Baba z wozu? - Wio koniku!

- Gdzie kucharek sześć? - Uderz w stół!

Wszyscy się cieszą. Grupa Czuczaków jednak najbardziej.

- A wy wiecie, co się działo w mojej głowie? - zadaje retoryczne pytanie Angelika. - Czas tak długo płynął, płynął... Powrót był koszmarem! Przecież większość tych pieniędzy - to Trampa. No i te paszporty!

Tramp nie przeżył tego wydarzenia zbyt głęboko. Ta suma dolarów, to - przy jego przedsiębiorczości - parę miesięcy pracy. O paszportach zapewne nie pomyślał. Ot, głupi dokument, utrudniający tylko poruszanie się po świecie. Bardziej interesują go zwyczaje Czuczaków, opowiada właśnie, jak Czuczka robi buty:

- Brać łyko, owinać nim stopy i wsadzić do przerebła. Po wyjęciu, but gotów.

- A dlaczego? - pyta ktoś mniej lotny.

- Nie rozumiesz? Przecież na zewnątrz - 40 stopni mrozu.

Sułtan podaje następną zagadkę:

- Mleko lwa?

Wszyscy myślą...

- Rakija! - odpowiada tryumfująco.

Na to Tramp:

- Bazalski na przewarze! Zgadnijcie o kogo chodzi?

Po paru chwilach potrzebnych na przedstawienie sylab, większość wybucha śmiechem. Z pewnym opóźnieniem śmieje się Pilot. O nim to bowiem mowa.

Przejeżdżamy przez Izmir, starą turecką twierdzę. Nie mamy czasu na zwiedzanie, chcemy jeszcze za dnia dotrzeć do Sanktuarium, zwanego po turecku Meryem Ana. Z lewej zostawiamy ruiny Efezu. Rezerwujemy je na jutro. Jeszcze kilkanaście kilometrów w górę serpentynami wśród rozległych lasów piniowych i jesteśmy na miejscu. Zostawiamy autokar na parkingu i szybko, póki słońce nie zaszło, gromadzimy się przed kaplicą. Nieduży budynek z nieregularnych kamieni, usytuowany pod szczytem wzniesienia pod parasolem ogromnych kasztanowców. W kierunku zachodnim, kilkaset metrów niżej, morze mieni się w blaskach zachodzącego słońca tysiącami złotych iskier. Powietrze przesycone jest żywicznym zapachem pinii. Urok tego miejsca jest nieodparty. Wzruszeni wchodzimy do wnętrza...



...widok na niedużą kaplicę, w głębi której, w niedużej niszy z cegły stoi, otoczona kwiatami ciemna figurka Matki Chrystusa...

(Sanktuarium, zwanego po turecku Meryem Ana)

Mały przedsionek z mnóstwem palących się świec. Wychodzące właśnie kobiety w prostych wieśniaczych szatach zapalają kolejne. Czyżby chrześcijanie w Turcji, kraju przecież muzułmańskim? Z przedsionka - widok na niedużą kaplicę, w głębi której, w niedużej niszy z cegły stoi, otoczona kwiatami ciemna figurka Matki Chrystusa. Nieco bliżej - skromny ołtarz. Prostota i surowość kaplicy podkreśla jeszcze bardziej wagę wydarzenia sprzed blisko 2 tysiący lat. Stoimy w miejscu, skąd Bóg powołał do siebie kobietę, którą wybrał na Matkę swego Syna. Pierwszego człowieka, który w epoce rozkwitu niewolnictwa, rzucił niepojęte dla wszystkich hasło miłości bliźniego. Filozofia głoszona przez Chrystusa miała wkrótce wstrząsnąć fundamentami potężnego Imperium Rzymskiego, by przeniknąć przez te dwa tysiące lat do serc i umysłów całego - bez mała - świata...

Po chwili refleksji przechodzę do małego pomieszczenia po prawej, gdzie podane są w różnych językach informacje na temat genezy kultu Maryi w tym właśnie miejscu. Podano też informację, że Papież Paweł VI w 1967 r. i Papież Jan Paweł II w 1979 r. modlili się w Meryem Ana.

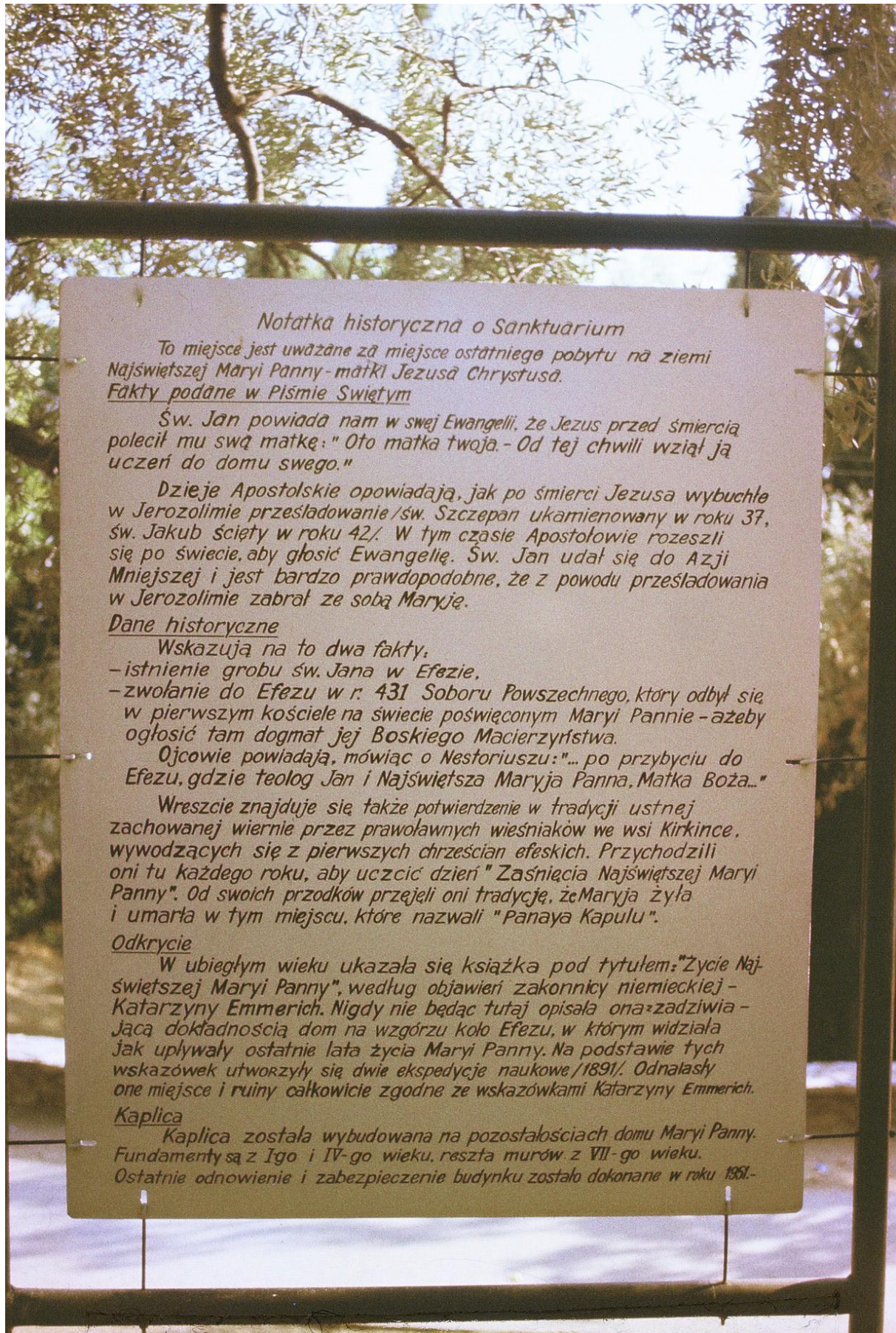
Zapalamy kolejne świece i wychodzimy z kaplicy. Nasi skupiają się wokół kobiety w zakonnym habicie. Okazuje się, że to siostra Felicja, Polka pełniąca tu służbę Bożą. Zakonnica rozdaje nam medaliki z wizerunkiem Maryi, mające cechy talizmanu chroniącego od nieszczęść. Robi się tłok, wszyscy naraz chcą się uchronić od wypadku.

Stoję z boku, bo nie sterczę w kolejce nawet wtedy, gdy "rzucą" szynkę, niewidzianą od pół roku. Podchodzę więc na końcu, prosząc o medaliki dla mej matki i dla dwojga bliźniaków, mych półrocznych wnuków. Siostra dziwi się:

- Taki pan młody i już ma wnuki?

Dziękuję siostrze za komplement. Pytam się z kolei, co robią tutaj muzułmanie. Okazuje się, że Maria jest tu czczona, jako córka Proroka, jakim według Koranu był Chrystus. Zatem trzy wielkie religie mają jednego Boga, który po żydowsku nazywa się Jahwe, chrześcijanie zwą go Bogiem Ojcem, a muzułmanie - Allachem. Byłem zaskoczony. Po cóż były więc te wszystkie wojny religijne, podczas których w imię Boga przekraczano ustawicznie 6-te przykazanie Dekalogu, danego przez Stwórcę Mojżeszowi na górze Synaj?

Rozmawiam chwilę z siostrą Felicją. Możemy tu biwakować pod warunkiem zakazu palenia ognia. Powietrze jest bowiem tak przesycone lekkimi olejkami eterycznymi, że nawet iskra grozi wybuchem. Nawet zapalony papieros może być niebezpieczny. Warunek ten jest rygorystycznie przestrzegany przez miejscowe władze.



Notatka historyczna o Sanktuarium

To miejsce jest uważane za miejsce ostatniego pobytu na ziemi Najświętszej Maryi Panny-matki Jezusa Chrystusa.

Fakty podane w Piśmie Świętym

Św. Jan powiada nam w swej Ewangelii, że Jezus przed śmiercią polecił mu swą matkę: "Oto matka twoja.- Od tej chwili wziął ją uczeń do domu swego."

Dzieje Apostolskie opowiadają, jak po śmierci Jezusa wybuchło w Jerozolimie prześladowanie /św. Szczepan ukamienowany w roku 37, św. Jakub ścięty w roku 42/. W tym czasie Apostołowie rozeszli się po świecie, aby głosić Ewangelię. Św. Jan udał się do Azji Mniejszej i jest bardzo prawdopodobne, że z powodu prześladowania w Jerozolimie zabrał ze sobą Maryję.

Dane historyczne

Wskazują na to dwa fakty.

- istnienie grobu św. Jana w Efezie,*
- zwołanie do Efezu w r. 431 Soboru Powszechnego, który odbył się w pierwszym kościele na świecie poświęconym Maryi Pannie - ażeby ogłosić tam dogmat jej Boskiego Macierzyństwa.*

Ojcowie powiadają, mówiąc o Nestoriuszu: "... po przybyciu do Efezu, gdzie teolog Jan i Najświętsza Maryja Panna, Matka Boża..."

Wreszcie znajduje się także potwierdzenie w tradycji ustnej zachowanej wiernie przez prawowłanych wieśniaków we wsi Kirkince, wywodzących się z pierwszych chrześcijan efeskich. Przychodzili oni tu każdego roku, aby uczcić dzień "Zasnienia Najświętszej Maryi Panny". Od swoich przodków przejęli oni tradycję, że Maryja żyła i umarła w tym miejscu, które nazwali "Panaya Kapulu".

Odkrycie

W ubiegłym wieku ukazała się książka pod tytułem: "Życie Najświętszej Maryi Panny", według objawień zakonnicy niemieckiej - Katarzyny Emmerich. Nigdy nie będąc tutaj opisała ona z zadziwiającą dokładnością dom na wzgórzu koło Efezu, w którym widziała jak upływały ostatnie lata życia Maryi Panny. Na podstawie tych wskazówek utworzyły się dwie ekspedycje naukowe /1891/. Odnalazły one miejsce i ruiny całkowicie zgodne ze wskazówkami Katarzyny Emmerich.

Kaplica

Kaplica została wybudowana na pozostałościach domu Maryi Panny. Fundamenty są z I-go i IV-go wieku, reszta murów z VIII-go wieku. Ostatnie odnowienie i zabezpieczenie budynku zostało dokonane w roku 1961-

...podane są w różnych językach informacje na temat genezy kultu Maryi w tym właśnie miejscu...



...Przepelnieni miłością opuszczamy miejsce wzbudzające tak wiele refleksji...
(od lewej: Prokurator z Małgością, na 1-szym planie Skarbniczka)

W trakcie rozmowy dowiaduję się, że była tu już dzisiaj polska wycieczka. Mieli jakieś kłopoty z autokarem i prosili o pomoc. Istotnie, podczas jazdy pod górę, ktoś zameldował o stojącym na poboczu autokarze z polską rejestracją. Zignorowałem wówczas tę informację, nikt z nich nie usiłował nas zatrzymać. Teraz, skoro już wiem, że mają kłopoty, decyduję się im pomóc. Nasz kierowca po takiej jak dziś, przedłużonej trasie, zasługuje na wypoczynek. Informuję go tylko o mojej decyzji. Dziękuję mi uśmiechem.

Tramp podrywa się z miejsca na hasło: AKCJA. Perspektywa siedzenia tu bez możliwości zrobienia ogniska, to dla niego mordęga. To człowiek czynu, poza tym znakomity fachowiec. Złote ręce i głowa pełna pomysłów. Ze złomu złożył do kupy dwa kombajny zbożowe, jeden do zbioru ziemniaków. Mechanikę samochodową i blacharstwo ma w małym palcu, artysta w tej dziedzinie. Ostatnio montuje wiatrak, bezpłatne źródło energii. Za ramiona wiatraka mają służyć płyty nośne helikoptera, załatwił to niedawno na lotnisku wojskowym na Bemowie. Przyjechał po ich odbiór dźwigiem samochodowym, czyli ZIS-em, wycyganionym z demobilu od jakiejś jednostki Armii Czerwonej; na skrzyni wojskowej ciężarówce zamontował podnośnik hydrauliczny z Waryńskiego, zdjęty na złomie z jakiegoś nieczynnego dźwigu samojezdnego. Zimą byliśmy na nartach w Sudetach. Bystre górskie potoki to źródło energii, niestety - nie wykorzystanej obecnie. Na brzegach widać resztki zrujnowanych młynów, fragmenty zardzewiałych turbin...

- Popatrz, jak to wszystko się marnuje. Woda płynie bezużytecznie. Przecież można by zbudować małe siłownie wodne. Tylko jak obejść te bzdurne przepisy utrudniające rejestrację prywatnych źródeł energii...

Tramp w podróży to skarb, gdyby zdarzyła się jakaś awaria autokaru. Cieszyłem się bardzo, gdy zgłosił akces do tej wyprawy, bo nie tylko zadba o ognisko, ale pomoże w każdej trudnej sytuacji. Przy tym zawsze uśmiechnięty, bezkonfliktowy, życzliwy ludziom.

Schodzimy, a właściwie zbiegamy szosą w dół, by dotrzeć na miejsce możliwie jak najwcześniej. Zapada już zmrok, próbuję zatrzymać przejeżdżające samochody. Jakiś Peugeot zwolnił i zatrzymał się poniżej. Biegniemy do niego. Raptem, gdy jest już w zasięgu ręki, gwałtownie rusza i z piskiem opon znika za zakrętem.

- Co jest? - myślę.

Spoglądam na Trampa... i raptem wszystko jest jasne! Ten trzyma w ręku czarną latarkę, kształtem przypominającą pistolet. Kierowca, Francuz sądząc z rejestracji, wziął nas zapewne za gangsterów... lub Kurdów. Wszystko się zgadzało. Nas też przestrzegano przed uzbrojonymi grupkami terrorystów kurdyjskich. Wybuchamy śmiechem. Domyślamy się, że facet zatrzymał się, bo po jasnych czuprynach rozpoznał Europejczyków. jednak, gdy zobaczył barczystego, półnagiego faceta, biegnącego ku niemu ze spluwą w ręku to... odruchowo nacisnął na gaz.

Któryś z następnych pojazdów zatrzymuje się z piskiem opon. To półciężarówka z obszerną kabiną, w której siedzi kilku Turków. Nie boją się nas, zwłaszcza że Tramp schował przezornie latarkę. Ładujemy się do skrzyni, wóz rusza z pełną szybkością w dół, pokonując z piskiem opon liczne wiraże. Chyba im odbiło, bo wyprzedzają także na zakrętach. Ci w kabinie mają chyba niezłą zabawę, odwracając ku nam uśmiechnięte gęby, miota nami, jak workami kartofli, mimo że kurczowo trzymamy się burt i zapieramy nogami. Przelatujemy koło polanki, na której nasi widzieli autokar. Walimy pięściami w dach, piraci zatrzymują się. Dziękujemy za przejażdżkę i pniemy się do polanki. Pustej, dostrzegamy tylko głębokie ślady autokaru. Widocznie rodacy naprawili uszkodzenie. Trochę żal, bo chciałoby się wymienić wrażenia, poza tym baczne oko Trampa wyluskało poprzednio, koło stojącego autokaru, znaczącą grupę młodych dziewcząt...

Teraz czeka nas spacer pod górę. Dobrze nam to robi. Należy się przewietrzyć, zwłaszcza po takiej jeździe, jak przed chwilą:

- Dawno się tak nie bałem - stwierdza Tramp.

- Ja również zrobiłem rachunek sumienia - stwierdzam uczciwie.

Zapadła już noc. W świetle latarki - jakieś robactwo na drodze. To imponującej wielkości skorpion. Na szczęście rozplaszczony przez opony samochodów. Tramp wdryga się:

- Co za paskudztwo! Pewnie jest tutaj tego świństwa więcej!

I uważnie patrzy pod nogi.

Dochodzimy wreszcie do biwaku. Ciemne obozowisko sprawia przygnębiające wrażenie. Z boku dostrzegamy grupkę żandarmów, obserwujących nasz obóz. Obserwują zapewne, czy nie łamiemy zakazu używania ognia. Obchodzimy ich cichcem i kierujemy się ku namiotowi Kuka. To akurat pierwszy namiot od strony strażników. Odchyłam płachtę przedsonka i... natychmiast ją zamykam. Kuk najspokojniej w świetle grzeje wodę na kuchence gazowej! Na domiar złego, usłyszawszy nasze głosy, wychodzi z namiotu Eura z... zapalonym papierosem! Dobiega radośnie do nas.

- Zgaś to - syczę przez zęby.

Ta jednak nie pojmuje w czym rzecz. Nie mając czasu na dodatkowe wyjaśnienia rzucam się ku niej i wyrywam peta. Sypią się iskry...

- Coś ty, pijany?! - woła ze złością zaskoczona dziewczyna.

Na te słowa wyrasta jak spod ziemi Prezes i... skacze do mnie z pięściami. Robię unik, później drugi i staję z opuszczonymi rękami.

- Zwariowałaś? Uspokój się!

Ten jednak dyszy z wściekłością i wyraźnie prze do zwady. Okazja piękna, bo nareszcie przydybał mnie pijanego i w dodatku bijącego kobietę. Nie daję się jednak sprowokować. Całe szczęście, że nie zainkasowałem żadnego ciosu, bo wtedy...? Zdaję sobie sprawę, że żandarmi czający się nieopodal mieliby gratkę nie lada. Jak to dobrze, że ciemność

utrudnia obserwację. Poza tym - wstyd byłoby bić się z facetem, który na dobrą sprawę mógłby być moim ojcem. Do tego - bić się w miejscu kultu maryjnego? Towarzysząca Prezesowi Skarbniczka próbuje ostudzić jego gorącą głowę:

- Uspokój się! Sam zachowujesz się jak pijany.

Zwraca się do mnie:

- Przebacz mu, on źle znosi wysoką temperaturę, chyba ma nadciśnienie - coś z nim nie tak!

Prezes stoi wyraźnie zmieszany. Rozluźnił się nieco, bo opuścił ręce. Podchodzę do niego i obejmuję ramieniem.

- No... nie kłóćmy się. Nie ma o co.

Ten mięknie i też mnie obejmuje. Przecież lubimy się. Pytam się czy nie ma tu jakiegoś baru. Chętnie bym coś zjadł, a zwłaszcza napił. Proponuję mi herbatę. Dziękuję, w taki upał wolałbym piwo.

- Czaj nie wodka, mnogo nie wypijosz - żartuję.

- Ty się chyba nigdy nie zmienisz - śmieją się, całkiem już rozpogodzeni. - Jest tu bar, podobno jest piwo. Pośpiesz się, bo już zamykają.

Pędzimy z Trampem we wskazanym kierunku. Bar zakończył już urzędowanie. Nie rezygnuję jednak i wkraczam do środka. Po chwili negocjacji udaje mi się dostać parę butelek piwa. chłodny napój smakuje jak nigdy, zwłaszcza że jest ciepło, około 30 C. Siadamy na tarasie i delektujemy się ożywym napojem. Przysiada się do nas parę naszych pań, wracających z kąpieli. Zapalają papierosy - jest to jedyne miejsce w okolicy, gdzie można zapalić. Pała, pożądliwie patrząc na piwo. Czestujemy je, a w rewanżu zapraszają nas na kolację, nie było czasu jej zjeść, a piwo wzmacnia apetyt. Błogie zmęczenie, syte żołądki i cisza wokół czynią nas sennymi. Ponieważ w namiocie jest dużo miejsca, panie proponują dach nad głową. Tramp postanawia zostać, podobnie jak reszta, panicznie boi się skorpionów. Na myśl o tym, że mam zostać w szczelnie zamkniętym namiocie, robi mi się jeszcze goręcej. Wychodzę i kładę się na gąbce w pobliżu. Spoglądając w rozgwieżdżone niebo, zasypiam snem sprawiedliwego przy dźwięku cykad.

Ranek przepiękny. Błękitne niebo i prześwitujące przez drzewa wschodzące słońce dodają jeszcze uroku temu niezwykłemu miejscu. Punktualnie o 7-mej wypełniamy przyciasną kaplicę. Francuski zakonnik celebrował mszę dla grupy Polaków, pragnącej oddać hołd Królowej Polski. Wcześniej ustaliśmy z siostrą Felicją, że po Komunii zaśpiewamy coś po polsku. Nie waham się z wyborem pieśni, mimo to drżą mi ręce, gdy nakładam akordeon. Ktoś troskliwie poprawia mi pasy. Nieśmiało akordy potężnieją. Rozsadzają mury, by z pełną mocą uderzyć w niebo polską pieśnią:

*„... Spod znaków Maryi rycerski my huf
Błogosław nam Chryste na bój.
Pragniemy jak Ojce, by służyć ci znów
My Polska, my naród, lud Twój...”*

Ta wyjątkowa sytuacja i niespotykany nastrój powoduje, że niektórym wilgotnieją oczy. Wychodzimy po ostatnim błogosławieństwie dosłownie rozanieleni. Siostra Felicja cała w skowronkach:

- Takiego śpiewu to tutaj jeszcze nie było. Dziękuję wam. I niech was Bóg prowadzi!

Przepelnieni miłością opuszczamy miejsce wzbudzające tak wiele refleksji. Nad naszą cywilizacją skłóconą z powodu różnic religijnych, ideologicznych i braku zrozumienia między ludźmi. To sanktuarium jest symbolem jedności świata. To kobieta, matka Chrystusa uświadamia nam, że wszyscy jesteśmy braćmi, dziećmi jednego Ojca...



...rozległe ruiny skłaniają do zadumy...
(ruiny Efezu, z lewej Staś ze Świtezianką, obok Tancerka...)

Radośnie zjeżdżamy w dół do ruin Efezu, obok miejscowości Selçuk. Tu znajduje potwierdzenie filozoficzne "*panta rei*". W starożytności Efez był wielkim portem helleńskim. W ciągu wieków morze cofnęło się od miasta o paręnaście kilometrów. Port, a wraz z nim i miasto umarły śmiercią naturalną. Rozległe ruiny skłaniają do zadumy... Po Grekach została bogata spuścizna kulturowa, w której kręgu żyjemy do dziś. Co zostanie dla przyszłych pokoleń ze współczesnej cywilizacji, mogącej w każdej chwili zamienić się w popiół? Wystarczy tylko jedno naciśnięcie guzika ręką jakiegoś szaleńca... z kompleksami!



Ruiny Efezu. Na pierwszym planie od lewej Angelika, na prawo Eura

Obok ruin Efezu znajduje się Bazylika i grób św. Jana. Też zaniedbane i opuszczone. Rozglądam się po okolicznych wzgórzach, zastanawiając się, gdzie może znajdować się grotta, w której według legendy, siedmiu chrześcijańskich młodzieńców ukryło się przed prześladowaniem cesarza Decjusza. Przespali w niej prawie dwieście lat i obudzili dopiero za Teodezjusza, gdy chrześcijaństwo zdominowało Rzym.

Jedziemy na północ, podziwiając nadmorski krajobraz. Nareszcie nad nami przepiękne lazurowe niebo, którego nam tak brakowało ostatnio. W południe docieramy do ruin Pergamonu. Praktycznie nie ma co zwiedzać, ale prowadzone są tu intensywne prace restauracyjne. Turcja stawia widocznie na turystykę.

Wsiadamy pośpiesznie do autokaru i ruszamy dalej. Pośpiesznie, bo upał przekracza 32 w cieniu. Marzymy o kąpiel. Pilot otrzymał stosowne polecenie i wkrótce zjeżdżamy do najbliższej plaży. Okazuje się jednak, że to teren prywatny. Krótka rozmowa z właścicielem i rzucamy się w morze. Pierwsza kąpiel w morzu Egejskim.

Przed nami Troja, ale postanawiamy odłożyć zwiedzanie do jutra. Rano będzie chłodniej. Szukamy ładnego miejsca na biwak, naturalnie nad morzem.

Po autokarze krąży komunikat: "zamienię mocno sfatygowanego Konia Trojańskiego na dobre miejsce na biwaku". Ktoś dopisuje: "zamienię Pilota na mocno sfatygowanego Konia Trojańskiego". To są aluzje do Pilota. Jeden z jego przodków jako pierwszy opisał dzikiego konia azjatyckiego, znanego odtąd jako "*koń Przewalskiego*". Pilot nie cieszy się sympatią ogółu. Bywa rygorystyczny w przestrzeganiu godzin odjazdu, besztając po kapralesku spóźnialskich. Rzeczywiście wchodzi nieco za ostro, zwłaszcza w stosunku do kobiet. Próbuję nieco zmiękczyć jego koszarowy styl, ale chyba za późno na to. Jest wychowany w twardej szkole życia. Mimo to, jestem z niego zadowolony, bo jest bardzo subordynowany i lojalny w stosunku do mnie. Jeszcze przed wyprawą przestrzegano mnie przed jego sobiepaństwem i malkontenctwem, brał bowiem udział w poprzednich wyprawach. Założyłem się o butelkę wina, że sobie z nim poradzę. Długo myślałem, jak go zneutralizować, aż wpadłem na szatański pomysł przydzielenia mu funkcji. Nie może narzekać na organizację, bowiem sam stanowi jej ogniwo.

Przed zachodem słońca wjeżdżamy na wspaniałą, dziką i pustą plażę. Duże brawa dla Pilota!

- Popatrzcie, ile tu drzewa na ognisko! - cieszy się Tramp.

To dobrze, że jest mnóstwo suchych gałęzi. Dzisiaj odbędzie się szczególnie uroczyste ognisko. to nasz ostatni wieczór w Turcji, zegnamy Stasia. Przy okazji odbędą się jego zaręczyny ze Świtezianką. Ja mam tu do spełnienia podwójną rolę. Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy zobowiązałem się otaczać dziewczynę ojcowską opieką. Występuję więc w roli ojca narzeczonej. Jako komandor będę też mistrzem ceremonii.

- W razie potrzeby mogę wam udzielić nawet ślubu. Podobnie jak kapitan na statku - żartuję.

Po kąpiel w cudownym, lazurowym morzu, ruszamy z Trampem i Eurą do najbliższego miasteczka, widocznego nad brzegiem morza, odległego o około 5 km. Kuk jak zwykle, zostaje na biwaku, by rozbić namiot i upichcić jakieś danie "na konserwach". Dziw, że mu żołądek nie wysiadzie. My postanawiamy zjeść w miasteczku jakąś narodową potrawę i kupić odpowiedni prezent dla młodej pary. Razem z nami zabierają się też sprawcy dzisiejszej uroczystości. Po godzinie spaceru piękną, piaszczystą i bezludną plażą docieramy na miejsce. Eura wpada w szal zakupów "różności Wschodu": owoce, przyprawy, orzeszki... Dobrze, że pod ręką jest Staś pełniący z wdziękiem rolę tłumacza i doradcy. Zna się również na tureckich winach, kupujemy je zgodnie z jego wskazówkami. Powrót - już w ciemnościach. Fale liżą leniwie brzeg, szemrząc cicho, gwiazdy mrugają do nas... Zasiadamy więc na chwilę nad wodą - należy dokonać degustacji miejscowego wina. Wznoszę pierwszy, nieoficjalny toast na cześć młodych. Jestem wszak głową rodu Czukczów, a oboje należą do Rodziny. Wino rzeczywiście jest dobre, chętnie bym posiedział w tak miłym towarzystwie, z dala od tego

tlumu, pozbawionego w większości przypadków fantazji. Tramp niecierpliwi się, bo już ktoś rozpalil ognisko. Ruszamy więc dalej, a migocący plomien sluzzy nam za busole.

Zaręczyzny byly huczne. Staś postawil się po polsku. I ja tam byłem, miód i wino piłem...

Towarzystwo rozhulalo się na całego. Do ataku ruszyly teraz kobiety. Celem ich furii stal się, za moim cichym przyzwoleniem, Pilot. Pilot poddal się z pokora wymyslonym torturom. Kobietom ulzylo, ale jestem pelen podziwu dla fizycznej i psychicznej wytrzymalosci delikwenta, a zwlaszcza dla jego poczucia humoru. Nigdy nie przypuszczalem, ze ten czlowiek o marsowym obliczu, zawsze przestrzegajacy zelaznych zasad, potrafi smiac się z siebie samego. Zmięklo serce starego wiarusa, pokajal się i przeprosil publicznie dziewczyny za swoje grubiańskie polajanki. Zapanowala atmosfera pełna wszechogarniającej miłości. Prawdziwe czukockie ognisko.

Zabawa trwala aż do północy, więcej wina nie bylo. Większość ludzi kladzie się spać bez stawiania namiotów, tylko na materacach. Przykład dziala. Radzę jednak dokumenty i rzeczy wartosciowe schowac do autokaru. Zwlaszcza, ze wokół kręci się paru krajowców. Zapraszam dwóch najbardziej natrętnych do ogniska, przy którym pełnimy wartę z Trampem. Wciskam im do ręki gitarę, proponuję, by coś zagrali. Po długich targach jeden zaczyna coś śpiewać, brzdąkając nieporadnie na strunach. Nie bardzo wychodzi im koncert, szybko się zniechęcają, oddają mi instrument, ale siedzą dalej. Staś już śpi, nie mogę im więc wytłumaczyć, by sobie poszli. Mówię im dobranoc w kilku językach. Na próżno. Kładę się więc na materacu, ziewając demonstracyjnie. Pojęli chyba o co chodzi, bo podnoszą się niechętnie i znikają w mroku...

Rano jedna z pań melduje o zniknięciu torebki z paroma drobiazgami i z niewielką, na szczęście sumą pieniędzy.

Dzień zaczyna się od kąpieli. W wodzie tylko Czukcze i Szekla. Tramp uderza płaską dłonią o powierzchnię wody:

- Telefona, telefona! Czukcza nie umieć pływać!

Wygląda to komicznie, zachłystujemy się od śmiechu.

Zastanawiam się, dlaczego jest tak niewielu chętnych do kąpieli. Pływanie, to najwspanialsza gimnastyka poranna. Unikanie przez wodniaków kąpieli w Polsce można by jeszcze wytłumaczyć obawą przed zimną wodą i przeziębieniem. Chociaż jest odwrotnie, bo woda hartuje organizm. Tutaj woda ma około 24 C, powietrze również co najmniej tyle. Świeci słońce, za godzinę zacznie się upał, nikt jednak nie brodzi w wodzie, by chociaż umyć nogi. Marnowanie okazji kąpieli w takich luksusowych, wymarzonych wprost warunkach, to marnowanie życia. Głównie po to tutaj w końcu przyjechalіśmy.

Odjeżdżamy o 9 minut za wcześnie, bo o 7.51, ponieważ ludzie nie tracą czasu na zwijanie namiotów. Wchodzimy do autokaru jak do meczetu. Boso. Wymyta podłoga lśnącym lustro. Dzisiaj obowiązki pary dyżurnej pełni Szekla i Małgośka.

- Nareszcie mamy trochę władzy w rękach - mówią.

- Ja jeszcze nie rozwinęłam skrzydeł - dodaje Szekla.

Dziewczyna jest dzisiaj w doskonałym nastroju, podbudowanym dodatkowo poranną kąpielą. To ona była wczoraj głównym katem podczas torturowania Pilota. Nie ma litości w sercu poniżonej kobiety, bo ją onegdaj srogo polajal Pilot. Ten również, o dziwo, jest dziś w znakomitym nastroju. Bardzo dżentelmeński wobec pań. Pracuje jak dobrze naoliwiona maszyna:

- Jedziemy do Troi przez wzniesienie 776 metrów nam poziomem morza - informuje z uśmiechem podczas porannego komunikatu.

Atmosfera jest dziś wybitnie pogodna, na większości twarzy uśmiech. Jedyne grupa Krakersów jest skrzywiona i opryskliwa. To choroba, która atakuje wątrobę jak żółtaczka. W

obawie, by nie zamieniła się w epidemię, redaguję "pismo okólne" w którym przypominam, że:

- a) malkontenctwo na wycieczce jest karalne,
- b) wodniak, który nie lubi się kąpać, jest nim tylko z nazwy, a nie z ducha,
- c) komandor ma zawsze rację,
- d) jeśli komandor nie ma racji... patrz punkt c.

Posłałem ten komunikat w obieg, prosząc o przeczytanie i podpisanie. Na 29 osób, 5 nie podpisało. Większość podpisywała się czytelnie, kajakarze pseudonimami. Jedna osoba podpisała się z humorem trzema krzyżykami. Puste miejsca na ponumerowanej liście są łatwe do odgadnięcia. To Prezes oraz ściśle kierownictwo wyprawy - ściśle tylko z wykazu zamieszczonego w regulaminie. Czyli Tłumacz, nie mający jak dotąd okazji do wykazania się i wicekomandor, również bezrobotny. Jak pomnożymy to przez dwa (żony) - otrzymamy cztery. Plus Prezes to pięć. Pięć wrzodów ropiejących przez cały czas trwania wycieczki. O co im chodzi? O podział "złotego runa"?

Rzecz w tym, że według przyjętych zwyczajów, dwie osoby z kierownictwa są zwolnione od opłat. Nie ogłosiłem jeszcze, kto ma być przyjęty do rajy bez przepustki. Dotychczas, póki Prezes rządził autorytatywnie wszystkim, także finansami, nie było cienia wątpliwości. On zgarniał całą pulę. Nie zostawiał furtki na wątpliwości i domysły. Z kim się dzielił, to była jego słodka tajemnica. Ja natomiast świadomie zostawiłem tę sprawę w zawieszeniu. Chciałem podzielić tę sumę na zakończenie wyprawy. Za rzeczywisty wkład pracy przed imprezą i w czasie jej trwania. Wicekomandor poruszał tę sprawę ze mną już wielokrotnie. Zbywałem go ogólnikami, ale w głębi duszy byłem bardzo zdziwiony jego natarczywością. Jego udział w przygotowaniu wycieczki był praktycznie żaden, a na liście kierownictwa widnieje jako figurant, z racji długiego stażu i wysokiego stopnia przodowniczego. Na co dzień jest to spokojny, zyczliwy i uśmiechnięty człowiek. Ale tutaj, na biwakach często chodził blady z wściekłości:

- Żona rozzarzyła go aż do białości - skomentował kiedyś ostry jęczyzek.

Przypuszczalnie wymawiała mu, że niezbyt się stara o podział łupu. Wydaje się, że i Tłumacz także chciałby zdobyć jakąś działkę. Dzisiaj również się zali z tego powodu. Żeby przeciąć ten wrzód ogłaszam następny komunikat. Od opłat, oprócz mnie, zostaje zwolniona Skarbniczka. Praktycznie, ma ona podzielić się z Prezesem, jako że stanowią wspólnotę finansową. Taki podział dobrze oddaje zaangażowanie w przygotowanie i prowadzenie wyprawy. Nie zadowolili on jednak Krakersów i stał się hasłem do wypowiedzenia mi cichej wojny, która później przerodziła się w otwarty konflikt.

Troję wzięliśmy z marszu. Bo i nie było co brać. Rozkopane pagórki, sławetnych murów ani śladu. Stoi tylko replika, naturalnie - współczesna, słynnego Konia Trojańskiego.

Dojeżdżamy do Canakkale, skąd odchodzi prom, mający nas przewieźć przez Dardanele. W wyniku jawnych, demokratycznych wyborów - Pilot nazywa się teraz Osłem Dardanelskim. Przeżywamy przez cieśninę i znów jesteśmy w Europie. Po trzech i pół godzinach jazdy stajemy na granicy turecko-greckiej. Żegnamy Stasia. Dalej nie może już jechać, choć bardzo by chciał. Te przekłete granice dzielące świat! Staś odprowadza nas do ostatnich metrów przed barierą graniczną. Łzy w oczach wielu osób, nie tylko u narzeczonej. Zapraszamy go do Polski (stawił się po pół roku).

- Będę Was wspominał przez całe życie - mówi na pożegnanie.

My ciebie też, bracie Polaku z dalekiej Turcji...

Rozdział V

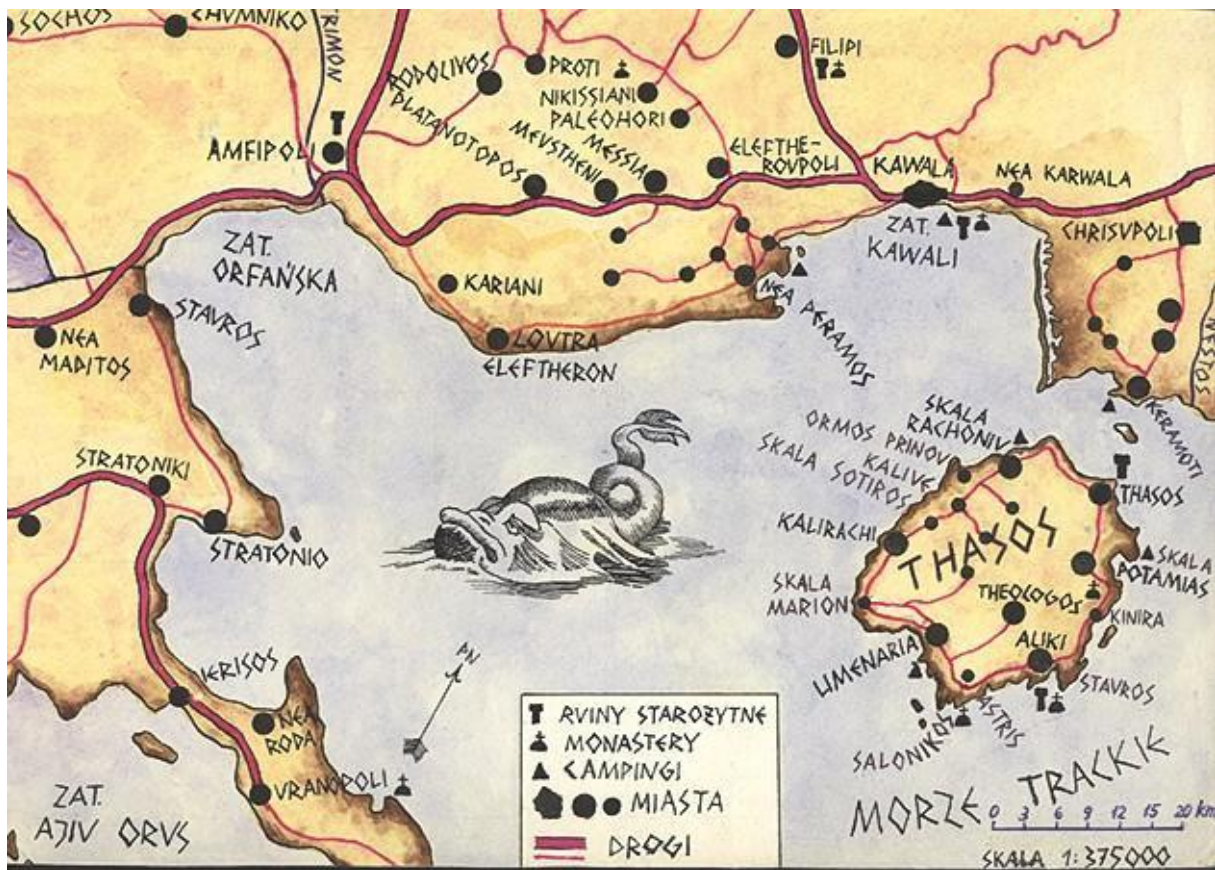
NARESZCIE W GRECJI

Upał dochodzi do 35 C. Stoimy na standzie dosyć długo, celnicy greccy nie śpieszą się z odprawą. Widocznie chcą nas nieco zmiękczyć, czyli ugotować na twardo. Jeden z nich nakazuje nam zjechać na boczny pas.

- Tego to ja znam - zaczyna Tłumacz. - U niego to my nie przejdziemy!

Rzeczywiście, znajomy Tłumacza poleca nam otworzyć luki autokaru. To nam się zdarza pierwszy raz. Łapię więc w rękę Regulamin Wyprawy i wysiadam. To jest bowiem moment, na który czekałem. Poleciłem grafikowi, który ozdabiał okładki regulaminu, by wymyślił coś takiego, co załatwiłoby Greków. Artysta podumał i narysował na okładce Wenus z Milo. Posąg stoi obecnie w Luwrze. Ale - bez obu rąk - a u nas klasyczna piękność trzyma w lewej ręce... wiosło! Wręczam regulamin celnikowi. Ten rzuca okiem na okładkę i... uśmiecha się. Chwyca!

- Gdzie zamierzacie pływać? - pyta już raczej towarzyskim tonem.



...Celnik śmieje się z potworów morskich, jakie artysta narysował w pobliżu wyspy Thasos i zapewnia, że w greckich morzach one już nie pływają... (rysunek wyk. Wojciech Sobolewski)

Na to też jestem przygotowany. W regulaminie zamieszczone są mapy z trasą naszych wypraw kajakowych. Celnik śmieje się z potworów morskich, jakie artysta narysował w pobliżu wyspy Thasos i zapewnia, że w greckich morzach one już nie pływają. Konwersacja rozluźnia się, zwłaszcza że przechodzimy z niemieckiego na język, którym ongiś posługiwali się dyplomaci, a którym obaj posługujemy się swobodniej. Pytam go zatem, jakie wina warte są degustacji w Grecji. Rozmówca wyraźnie się ożywia. Trafiłem widocznie na konesera. Z wielu win greckich, które według niego nie mają równych w świecie, poleca mi Recynę, białe wino z dodatkiem żywicy. Gawędzimy sobie swobodnie, obserwuję z rozbawieniem

zaniepokojone miny siedzących w środku. Celnik rezygnuje ze sprawdzania bagaży w lukach i wchodzimy razem do wnętrza autokaru, gdzie wygłasza za moim pośrednictwem parę uwag. Przestrzega przed handlem, grożącym natychmiastową ekstradycją na koszt winowajcy złapanego na gorącym uczynku. Po czym żegna się przyjacielsko i życzy udanego pobytu i pomyślnych wiatrów. Pobladła twarz Tłumacza i paru innych nabierają powoli naturalnych kolorów.

Ostatnia granica pokonana. W głębi duszy dziękuję grafikowi. Nie mam, co prawda, nic do oclenia, ale nie mogę ręczyć za innych. Oni nawet nie wiedzą, komu mają dziękować. Artysta - to mój syn relegowany z uczelni. Jeden z partyjnych profesorów na ASP ocenił jego prace jako niedostateczne. Był to pretekst do wyrzucenia. Wyrzucono go za działalność polityczną. Teraz, gdy piszę te słowa, zdał ponownie egzamin wstępny, uzyskując pierwszą lokatę. Partia, której obrońcą był ów dydaktyk, już nie istnieje. Umarła, sława Bogu, śmiercią naturalną, choć gwałtowną. Czego życzę również partyjnemu wychowawcy plastików polskich, zapewne internacjonalisście z pochodzenia.

Docieramy do biwaku, naturalnie dzikiego. Ustronna plaża zapełnia się ludźmi, wykonującymi rutynowe czynności. Kolejne konserwy, zgodnie z grafikiem, zostają otwarte. Czuczka ruszają niezwłocznie w poszukiwaniu greckiego wina. Do najbliższego miasteczka Aleksandropoli około 12-tu kilometrów. Przed paroma minutami przejeżdżaliśmy przez nie. Nie nakazałem postoju; po cóż ruszać gniazdo os? - większość chciała jak najprędzej na biwak. Nie mam zamiaru zmieniać utartych zwyczajów. Lubię natomiast przygody, ale z tymi, którzy także je lubią. Idziemy wzdłuż ruchliwej szosy nad morzem. Po kilometry mijamy dyskotekę- będzie otwarta za parę godzin. Po paru kilometrach - hotel. Z ciekawości pytam o ceny noclegu. Jedna doba - 100 dolarów, o ceny win już nie pytam. Dowiaduję się więc, do której czynne są magazyny spożywcze. Zamykają za pół godziny. Zamawiam więc telefonicznie taksówkę. Zdażyliśmy tuż przed zamknięciem. Małomiasteczkowy "Supersam" zapchany towarami spożywczymi. Kładę do koszyka polecaną przez celnika Recynę, na wszelki wypadek także inne wino. Odpowiednia ilość wędlin w foliowych, hermetycznych pakietach oraz świeże pieczywo dopełniają reszty zakupów. Kolację zjemy na plaży, teraz z powrotem do taksówki, by dojechać do punktu startu, czyli do hotelu.

Nad brzegiem morza kolacja po francusku. Chrupiące bagietki z pyszną szynką - to raj w gębie. Z namaszczeniem degustujemy polecane wino, złocistego koloru i o nieco gorzkawym smaku. Tramp kręci nosem, ja również, ale Eura jest zachwycona. Mamy ochotę zajrzeć do drugiej butelki, ale nie pora na to. Słońce już zachodzi, a piaszczystą plażę przecinają skały wchodzące w morze. Cofać się do szosy to nie honor. Można by przeszkodę opłynąć, ale Eura boi się. Decydujemy się na zabawę w alpinistów. Dobrze, że jest dwóch chłopów, bo są miejsca, w których dziewczyna nie daje rady. Wtedy jeden z nas podnosi ją na barkach, a drugi podciąga do góry. Jesteśmy skupieni, bo o wypadek nie trudno, ale bawimy się doskonale. Po jakimś czasie nasz Mont Everest zostaje za plecami. Ponieważ przed nami tylko piaszczysta plaża, decydujemy się zgodnie na degustację drugiej butelki. Czerwone, półwytrawne wino jest znakomite, zostawiamy zatem Eurze "rycynę", jak nazwaliśmy złocisty płyn i delektujemy się czerwonym. Dobrze, że butle mają po półtora litra. Do biwaku nie ma co się spieszyć. Po cóż oglądać niektóre skwaśniałe, w przeciwieństwie do pitego płynu, twarze? W dali, tam gdzie powinien znajdować się nasz obóz, zamigotał płomień ogniska. Czyżby ludzie nauczyli się od Trampa, że należy je palić zawsze wieczorem?

Rozluźnieni, w doskonałym nastroju docieramy do ognia. Tkwi przy nim większość ludzi. Otaczają nas udręczone twarze. Tuż po zachodzie słońca spadły na biwak miliony kąśliwych małych muszek. Widocznie zwabił je zapach polskich konserw i zup w proszku. To w obronie przed nimi rozpalono ognisko, nawet pod nieobecność Trampa.

- Macie szczęście, że was tu nie było. Myśleliśmy, że to koniec świata. Parę kobiet leży w namiotach. Są całe pogryzione i spuchnięte.

- Widocznie brak im witaminy B - mówię.

Nie pytam o szczegóły. Łatwo zgadnąć, kto najbardziej ucierpiał.

Tramp improwizuje anegdotkę na czasie:

- Czuczka organizują polowanie na muchy. Raptem jedna z nich woła ludzkim głosem: "nie zabijać, nie zabijać! - moja spełnić trzy życzenia...".

Rankiem ruszamy do miejscowości Keramoti, z której zamierzamy wystartować, by opłynąć kajakami wyspę Thasos. Po drodze - mała niespodzianka. Tłumacz, przewidziany jako pilot na morzu, zaczyna przez mikrofon ustalać skład osad kajakowych. Słucham i uszom nie wierzę! Skład został ustalony jeszcze w Warszawie i podany do wiadomości władz kajakowych. Część kajakarzy, z różnych przyczyn, nie pojechała z nami. Jednak wszelkie zmiany w doborze osad to moja działka, bo komandor odpowiada osobiście za wszelkie ewentualne wypadki. Przesuwam się do przodu i proszę o zaniechanie tej zabawy. Na chwilę milknie, ale po konsultacji ze "starszyzną" Klubu zaczyna ponownie. Odbieram mu więc mikrofon i informuję, że przekracza swoje kompetencje. Podaję także, że ostateczny skład załóg zostanie ustalony po weryfikacji praktycznej na morzu. Chcę zrobić mały sprawdzian, polegający na wykonaniu wywrotki, odwróceniu kajaka do pozycji normalnej, wejściu do niego i dopłynięciu do brzegu. O rany! Jakbym kij wsadził w mrowisko. Krakersi są oburzeni: Jak to?! - tyle lat pływania, tyle kilometrów szczęśliwie zaliczonych, takie doświadczenie! I to wszystko nic nie znaczy? Za kogo ty nas masz? Po co te sztuczki cyrkowe?!

Reszta kajakarzy siedzi spokojnie. Tylko Ratownik odwrócił się do mnie z uśmiechem: Tak trzymać Komandorze!

Keramoti to mała, niepozorna miejscina. Zatrzymujemy się na pustym placu koło portu. Trzeba zrobić rekonesans, rozejrzeć po terenie, gdzie najdogodniej założyć bazę wypadową. Tramp rusza w teren, ja kieruję się w stronę ciągu kafejek, pustych jeszcze o tej porze - jest dopiero 10-ta rano. Na tarasie jednej z kafejek kilka osób. To właściciel, popijający białe wino z kumplami. Zaprasza na szklaneczkę, odmawiam grzecznie, bo o tej porze nie pijam nic mocniejszego. Proszę tylko o wskazanie toalety, bo biegnąca za mną Eura ma pilną potrzebę. Gospodarz zerwał się na jej widok od stołu i osobiście prowadzi w głąb lokalu. Wchodzę za nimi i jak przyciągnięty magnesem zbliżam do baru, za którym stoi czarnooka uśmiechnięta dziewczyna. Nie oparłem się jej wdziękowi i zamawiam dwa piwa. Byłem przewidujący, za chwilę dosiada się odprężona Eura i zjawia się Tramp. Zdążył zrobić małe rozeznanie. Jest tu płatny kemping, jest również miejsce na dzikiej plaży. Ja też to już wiem, zasięgnąłem języka u właściciela. Ponieważ reszta ludzi tkwi niecierpliwie w autokarze, żegnamy się ze spragnionym konwersacji Grekiem. Dłuższą jeszcze chwilę odprowadza wzrokiem Eurę, klasyczną przedstawicielkę polskiej urody.

W autokarze trwa narada: czy mamy jechać na kemping płatny, gdzie są toalety i woda w kranach, czy rozbijamy się na dziko. Proponuję kemping, pomny narzekania o noclegu przy "kupach śmieci" z czasów poprzednich wypraw Prezesa. Takimi perspektywami straszyl nas nie kto inny, tylko Tłumacz. Teraz, o dziwo, obstaje przy noclegu na dziko. Tłumaczę ludziom, że morze to nie brzeg jeziora. Tutaj woda jest słona, poza tym jest gorąco, należy szukać miejsca z cieniem, a nie tkwić na dzikiej, pustej jak Sahara plaży.

Trwa więc burzliwa dyskusja. Ja twardo obstaję przy swoim, większość milczy. Natomiast panie Krakersowe przejawiają wyjątkową agresywność.

- Mądry jesteś, bo nie płacisz! - krzyczy żona Tłumacza.

Oznajmiam więc, że jestem gotów zapłacić i zarządzam głosowanie. Sknerstwo i głupota zwyciężyły, jedziemy więc na dziką plażę.

Na szerokiej, piaszczystej plaży wypakowujemy kajaki. Należy je teraz zmontować, a nie wszystko idzie składnie. Robimy to pod palącymi promieniami słońca. Jest południe, ponad 30° C w cieniu, a cienia nie ma nawet na lekarstwo. Ta pora - to dla wszystkich ludów śródziemnomorskich czas sjesty, a nie znoejnej pracy. Wszystkim jednak udziela się gorączka

Prezesa, który biega wokół nas, nawołując do pośpiechu. Przypomina przy tym o konieczności dodatkowego wzmocnienia stelaży przy pomocy mocnego sznurka bądź drutu. Ma całkowitą rację, zawsze robiliśmy to dodatkowe zabezpieczenie podczas spływów Dunajcem na składakach. Tutaj on jest autorytetem; jest w końcu weteranem - kajakarzem morskim. Kończę, przy pomocy Trampa, montaż naszego składaka i obchodzę wszystkie stanowiska. Zatrzymuję się przy jedynej załodze kobiecej - to Amazonka z Szeklą. Mam wątpliwości czy powinny płynąć razem. Według pierwotnych planów każda miała płynąć z mężczyzną, kapitanowie jednak nie pojechali. Ambitna Amazonka, uczestniczka poprzednich wypraw morskich, oburza się na propozycję zmiany:

- Coś ty! Damy sobie radę!

Chwilowo rezygnuję z rozwiązań siłowych. Na szczęście mam rezerwę - płynę przeciw z Trampem. Zostawiam go do pomocy dziewczynom i dochodzę do stanowiska Prezesa. Jest zły jak osa. Upał działa na niego bardziej niż na pozostałych. Kończy właśnie montować nowiutki kajak. To Pusch konstrukcji niemieckiej. Obiekt marzeń większości polskich kajakarzy, zwłaszcza że nasze kajaki, Neptuny - to zarzucona już, niestety, produkcja firmy z Niewiadowa. Niewiadów przestawił się na bardziej opłacalną produkcję przyczep kempingowych. Ponoć taka przyczepa, sprzedana na przykład w Grecji, to wielki biznes. Sprzedać jej wprawdzie nie wolno, ale może ją ktoś "ukraść".

W pocziwych Neptunach przewidziane są dwie boczne komory pneumatyczne, potocznie zwane "kiszkami". Gwarantują one „niezatapialność” kajaka, obciążonego bodajże do 300 kg. W Puschach takich kiszek nie ma.

- A gdzie są komory pneumatyczne? - pytam Prezesa.

- Tu nie ma żadnych komór!

- To nie będziesz mógł płynąć z nami. Chyba, że wsadzisz w środek materac pneumatyczny.

- A właśnie że nie wsadzę! - wykrztusił siny z irytacji Prezes.

- To ja ciebie wykluczam ze spływu!

- A ja ciebie z Klubu!

Macham na to ręką i proponuję Trampowi kolejną już kąpiel. Słońce praży niemiłosiernie. Wszak to koniec sierpnia, tutaj jeszcze pełnia lata. Zanurzamy się z rozkoszą w wodę. Płyniemy wzdłuż plaży, kąpiel przywraca radość życia i odpręża.

- Zauważyłeś, że oni nigdy się nie kąpią - rzuca Tramp.

- Zauważyłem. I dziwię się, co oni tutaj robią. Marnować taką okazję do kąpieli - to grzech.

Sokole oko Trampa zauważa rozciągniętą na piasku postać Eury. Leży bez nakrycia głowy - to murowane porażenie słoneczne. Wychodzimy z wody i budzimy blondynkę. Ta narzeka na ból głowy. Proponuję natychmiastową kąpiel. Na próżno.

- A nie napiłabyś się piwa? - pytam podstępnie.

- O!? - Masz?

- Nie widzisz, że wyszliśmy z wody? Nie opalaj się w samo południe, bo cię odwieziemy do szpitala. Przejdź się lepiej do baru i przynieś coś do picia.

- Czyli piwa - dorzuca na wszelki wypadek Tramp. - A nie zapomnij się ubrać i włóż coś na głowę.

Tymczasem na plaży ludzie skończyli montaż kajaków. Mamy też dobrą nowinę. Ktoś spenetrował półwysep, na którego południowym brzegu „wypacamy” resztkę płynów z organizmu, i melduje, że z drugiej, północnej strony jest prywatny kemping. Właściciel zgadza się na nasz pobyt za symboliczną, niewielką opłatę. Na kempingu jest kran z wodą, sporo drzew i upragniony - teraz już przez wszystkich - cień!

Niezwłocznie zmieniamy miejsce pobytu. Wszystkie bagaże do autokaru. Nie kajakarze również. Ogłaszam, że kajakarze płyną tam w kompletnych osadach, taki mały sprawdzianik. Powiało akurat od morza, od wyspy Thasos, do której popłyniemy jutro. Przy brzegu - nieduża, może metrowa falka. Obserwuję z rozbawieniem nieudane, niestety,

zespołowe próby wsadzenia Skarbniczki do kajaka Prezesa, bo sama wejść nie może. Start jest z wody, trzeba zatem unieść nieco nogę. Przeszkadza jej tusza. Oprócz tego, bryzgi fal uderzają o jej rozpalone, nieprzywykłe do wody ciało. Po paru nieudanych próbach macha z rezygnacją ręką i kieruje się do autokaru. Dla niej spływ już się skończył.

- Gdyby choć raz, wcześniej zanurzyła się w wodzie, nie byłoby problemu - komentuje Tramp, wskakując do kajaka.

Odplywamy jako ostatni. Z przodu - rwą jak charty Prokurator z Małgošką. Obok nich na jedyńce - Ratownik. Tuż za nimi kajak Docenta. Reszta odstaje. Przed nami wloką się dwie osady Krakersów. Wiosłują spokojnie, długie, miarowe pociągnięcia wiosł. Tylko - dlaczego tak wolno? Dopływamy i pytam o to Wice. Ten uśmiecha się rozbajająco:

- Brak treningu. Nie było czasu na spływy.

Do biwaku, wodą, jest ze trzy kilometry. Łądem - najwyżej kilometr, cięciwa półwyspu. Mijamy cypel i skręcamy w prawo. Morze, zasłonięte przez łąd od wiatru, jest spokojne jak jezioro. Dobijamy do miejsca biwakowania. Nie tracąc czasu, natychmiast przeprowadzam weryfikację załóg. Po krótkiej dyskusji zwalnię od próby Krakersów, pozostali muszą ją jednak przejść. Część załóg, na szczęście mniejszość, nie daje sobie rady. Weryfikacja zmienia się więc w szkolenie. Największą trudność sprawia wchodzenie do kajaka z głębokiej wody. Trenują, ale ta umiejętność wymaga pewnej sprawności fizycznej. Zaimponowała mi postawa załogi kobiecej. Dziewczyny, z godnym podziwu uporem, usiłują wdrapać się do kajaka. Demonstrujemy im kolejne warianty. Dla nich, jak i dla większości przyszłych zdobywców mórz, jest to pierwszy taki trening w życiu. Po przeszło godzinnym moczeniu się w wodzie wychodzimy zziębnięci na brzeg.

Cóż można z tymi ludźmi zrobić? Tylko nieliczne załogi można z czystym sumieniem puścić w morze. Ludzie nie mają wyobraźni albo nie cenią swego życia.

Wrocławiaci palą się do pływania. Proszą o pozwolenie wykonania rekonesansu. Z radością udzielam zgody. Po dwóch godzinach przyplwają mokrzy, ale zadowoleni. Dopłynęli do małej wysepki Thassopula, leżącej w połowie drogi między Thasos a naszym półwyspem.

- Na otwartym morzu trochę wieje i hušta - przyznali.

- Czy podejmujecie się roli pilotów?

- Ależ oczywiście! - odpowiadają uradowani.

Muszę tu dodać, że w tym czasie, "regulaminowy" pilot na morzu odmówił dalszej współpracy. Wicekomandor również zrzekł się swej roli.

Nie zmartwiło mnie to zbytnio, źle natomiast świadczy o ich postawie. Takich decyzji nie podejmuje się tuż przed startem na spływ i, gdybym był złośliwy, mógłbym im sporo zaszkodzić po powrocie do kraju.

Nowych pilotów już mam, zastanawiam się, co zrobić z "zamkiem". Ponieważ regulaminowy zamek, którym miał być Szary, nie stawiał się, postanawiam przejąć obowiązki tzw. czerwonej latarni. Zwłaszcza, że na większości spływów tę rolę pełniłem najczęściej. Nie lubię pływać w zwartej i często hałaśliwej grupie. Z tyłu, za wszystkimi, ma się poczucie komfortu psychicznego i niezależności. Przy tym, gdy na szlaku są trudne warunki, można obserwować ludzi w sytuacjach nietypowych, czasem groźnych, niekiedy przyjemnych. O tych przyjemnościach świadczyć mogą słowa piosenki, ułożonej na spływie Metalowców, organizowanym kiedyś, najczęściej przez wodniaków z Wrocławia:

"...Gdybyś płynął na końcu z herbem "Ursusa w słońcu"

Do gitary dołączył swój głos.

Jak się bardziej postarasz garden party w szuwarach

Trafi ci się jak szczęśliwy los."

Godło Ursusa na zamku reprezentowali wtedy Jamnik i Lady. Etatowym zamkiem był początkowo ktoś z ekipy wrocławian, ale ponieważ my notorycznie płynęliśmy ostatni, na

następnych spływach organizatorzy, żeby być w zgodzie z własnym sumieniem, zatrudnili nas, jako grupę zamkową, ku obopólnemu zadowoleniu.

Dramatyczne sytuacje miałem możliwość obserwować, płynąc jako pasażer, w kajaku "Wujka Mrówki". Na Raduni podczas Złoty Liści. Mrówka, podpisujący się jako "Mrufka", jest etatowym zamkiem na ukochanej przez ludzi z Trójmiasta "świętej rzece". Pokonują tę groźną, dla niewprawnych, rzekę na różne sposoby i we wszystkich możliwych wariantach: nocą, zimą, pod prąd, w stanie nieważkości...

Zamek to odpowiedzialna funkcja. To coś w rodzaju miotły, zamiatającej przed sobą wlokących się w ogonie maruderów. Czasami są to ludzie "na luzie" i nie śpieszy im się na metę, często są to osady słabe, nie dające sobie rady z powodu trudnych warunków atmosferycznych, np. przeciwnego wiatru na akwenach otwartych albo z powodu braku umiejętności technicznych na szlakach o górskim charakterze, rzek o szybkim prądzie, często nafaszerowanych kamieniami, zwalonymi drzewami lub przybrzeżnymi krzakami, na które rzuca kajak "złośliwy" nurt. Łapiasz się za gałęzie, odpychając się i - wywrotka murowana...

Często bywa, że przeszkoda, którą wprawny kajakarz omija automatycznie, nie przerywając przy tym pogawędki z kolegą płynącym równoległe, staje się poważnym problemem dla początkującego. Przeszkoda czasem powoduje wywrotkę i szok po kontakcie z zimną wodą, w której nieszczęśnik nie śmiał nawet umoczyć nogi przy starcie. Teraz moczy obie nogi, zanurzając najpierw głowę. Ma w dodatku problemy z wydostaniem się z kajaka, traci orientację przestrzenną, bo nigdy w życiu nie oglądał świata w charakterze ryby. Jeżeli po tej przymusowej kąpieli może, gdy jest zimno, zmienić mokre ciuchy - to pół biedy, ale gdy nie ma takiej możliwości lub wyczerpał zapas tych suchych, bo wywrotek było już parę, a w perspektywie nie wiadomo ile... to płynięcie zmienia się w koszmar! Zmęczony i nieprzygotowany do takiej podróży nieszczęśnik - a często para, bo on i ona - tracą szybko siły i wpadają w depresję. To już jest groźne - płynąć trzeba, bo nie ma innego wyjścia, a sił brak.

Wtedy do akcji wchodzi zamek. Musi pomóc, pocieszyć, ubrać i nakarmić, gdy trzeba, a zwłaszcza - wesprzeć psychicznie. Ta rola wymaga wszechstronnych kwalifikacji. To właśnie zamek spełnia najczęściej rolę ratownika, ponieważ płynięcie ze zszokowanymi ludźmi stwarza najwięcej zagrożeń, a "etatowy" ratownik płynie sobie spokojnie w głównej grupie. Spełnia też rolę pilota, bo grupa zasadnicza dawno już zniknęła z pola widzenia. Musi też, a to jest jego podstawowa rola, naprawić uszkodzony kajak - głównie po to wymyślono tę funkcję.

Słowem - zamek to omnibus. Człowiek wszechstronny, ale posiadający jedną, najważniejszą dla jego funkcji cechę - zyczliwość dla ludzi. Cechę - zrozumiałą, gdy jest nieszczęście, ale raczej rzadką w sytuacji przeciętnej, wówczas, gdy każdy myśli tylko o sobie...

Zamek musi być wyrozumiały. Zdarza się często, że w ogonie spływu płynie grupka dobrych kajakarzy, mających w nosie wszelkie regulaminy, nakazy, zakazy, punkty... Nie po to wyrwali się na spływ, by znów być pod kontrolą. Robią sobie przerwy na kąpiele, zakupy, zwiedzanie - bądź na wypicie paru piw w najbliższej restauracji. Założę się o skrzynkę piwa, że większość z nich to najbardziej cenieni - z racji wysokich kwalifikacji - fachowcy. Znają swoją wartość. Są dobrzy i tam - w pracy, są doskonali i tu - na wodzie. Ponaglani przez zamek, mają ochotę na utarcie mu nosa i rwą do przodu. Ten, by nie stracić twarzy musi im dotrzymać tempa...

Bywa, że zamek przypląwa na biwak wtedy, gdy pilot dawno już strawił obiad i myśli o kolacji. Lub nawet układa się do snu...

Kajakarstwo to turystyka dla indywidualistów. Ludzie lubiący wodę mogą wszak pływać na różne sposoby, bez potrzeby narzucania koszarowej jazdy, np. czwórkami z "kryciem w rzędach i kolumnach". Wszelkie uczone wywody na temat możliwości płynięcia

w zwartej grupie - to teoria wydumana w zacisznych gabinetach. Może tak się zdarzyć na spokojnej, otwartej wodzie, bez fali, wiatru i innych przeciwności, gdy organizatorzy pływają wokół na motorówkach, pilnując porządku. Niech no tylko solidniej dmuchnie! - wtedy taki "koszarowy spływ" rozsypuje się i tworzy rozerwany łańcuch o długości paru kilometrów, w którym pojawiają się samotne ogniwa, najczęściej słabsze załogi, odległe od głównej grupy o dystans uniemożliwiający, w razie konieczności, szybkie i skuteczne przyjsście z pomocą.

Bardzo dużo zależy od pilota, od jego odporności psychicznej na wszelkie próby zwiększania tempa przez załogi o nadmiarze energii. Pilot musi stale pamiętać o zamku. Przy dużej grupie startujących, zawsze się zdarzy, że ktoś spóźni się, bo - akurat zepsuł mu się ster, czegoś nie może znaleźć bądź pognał w krzaki za swoją potrzebą... Samo życie, a zamek cierpliwie czeka.

Raz tylko zdarzyło się, że grupa około stu kajaków płynęła w zwartym szyku. Było to podczas spływu Metalowców. Organizatorzy, sympatyczni kresowiaczy z Wrocławia, zapragnęli płynięcia w zwartej grupie. Aby to pragnienie urzeczywistniło się, na pilota wyznaczyli płynącego zwykle w grupie zamkowej Witię, zwanego Rosomakiem, a zamkiem był - jak zwykle - jego brat. Płyniemy więc na zamku, ja z Jamnikiem, kajak w kajak jak "prycza w pryczę". Przy nas - spóźnione załogi. W pewnej odległości grupa zasadnicza. Też się wlecze, więc odkładamy wiosła. Nie lubimy tłoku. Wtem podpływa do nas Kazek, wówczas początkujący kajakarz i woła ze śmiechem:

- Podpłyńcie bliżej, to zobaczycie cyrk!

Podpływamy więc i oglądamy niespotykane widowisko. Wszystkie kajaki krążą wokół centrum, które stanowił kajak Rosomaka. Ten stoi w kajaku i trzyma w górze sękatą laskę z jałowca:

- Załoga, która przepłynie poza najbliższy cypel i popłynie dalej zasłuży na "palec boży" - woła i pokazuje ostro zakończony, służący za rękojeść szpikulec.

- A jeśli boicie się palca bożego i macie za dużo energii, to pływajcie wokół mnie, dopóki nie dopłynie tu zamek - pokrzykuje, śmiejąc się łobuzersko.



...Było to podczas spływu Metalowców. Hej, lza kręci się w oku na wspomnienie tych czasów...

(Na Metalowcach, z lewej wieczny Kwatermistrz Józek Cybruk, wielkiej klasy *szutnik* , ten z tubą to pewnie słynny Pająk)

Kajakarze, znający dobrze Rosomaka i moc sprawczą "palca bożego" podejmują ze śmiechem zabawę. Zwłaszcza, że jest piękna, bezwietrzna pogoda i nie istnieje najmniejsze zagrożenie na wodzie, a za nieposłuszeństwo - niechybne uderzenie już na biwaku. Zamek, wraz z "łącznikiem" Kazkiem, podpływa do pilota i wówczas rozlega się śpiew na melodię "Trzej przyjaciele z boiska" (stara piosenka z lat pięćdziesiątych), którą wszyscy chętnie podchwytyją:

*"... Trzej przyjaciele ze spływu
Pilot, Zamek i Łącznik
Życ bez siebie nie mogli
Dziarscy i nierozłączni.*

*Niejedną rzeką spłynęli
Niejedno serce skrwawili
Często się rozjeżdżali,
Lecz później znów się łączyli."*

Hej, łza kręci się w oku na wspomnienie tych czasów...

Rozdział VI

KAJAKIEM WOKÓŁ THASOS

O godzinie 9.30 startujemy do pierwszego etapu. Jako pierwsi wypływają piloci, czyli Prokurator z Małgošką. Przy nich - Ratownik na jedynce, ma pełnić rolę łącznika. Umawiamy się, że dołyną do wysepki Thasopuli i tam poczekają na zamek. Gdyby za wysepką warunki pogodowe były złe, mają wracać. Pozostałe załogi, 7 osad, pakują żywność i kompletne wyposażenie do kajaków. Zgodnie z planem, autokar z resztą uczestników miał również promować na wyspę. Biwaki miały być wspólne. Ludzie, niestety, żalowali kilku dolarów na przeprawę. Tym gorzej dla nich. Zostają, a z nimi Prezes. żal mi go serdecznie. Dziś rano wprawdzie przeprosiliśmy się, ale jego załoga nie nadaje się do morskiego kajakowania.



Wyspa Thasos

Sprawę „niezatapialności” również wyjaśniliśmy. Pusch posiada poduszki pneumatyczne wkładane w dziób i w rufę.

Wsiadamy do kajaków. Prezes z załogą stanowią asystę honorową. Od tej strony półwyspu jest spokojnie, ale po skręcie w lewo, na południe, dmuchnęło w twarz. Asysta robi pamiątkowe zdjęcia i zawraca na biwak. Do zobaczenia za cztery dni. Ahoy!

Z punktu startu do portu Thasos około dwanaście kilometrów. Zbliżamy się do Thasopuli, wysepki o długości około jednego kilometra, osłaniającej nas trochę przed wiatrem. Na spotkanie wypływa łącznik:

- Trochę wieje, ale można płynąć.

Wysepkę mijamy po lewej i natychmiast wiatr się wzmacnia. Dmucha piątka z otwartego morza. Robi się niezła fala, stan morza - między 3 a 4.

Wyciąg z regulaminu: "Spływy będą kontynuowane tylko przy sprzyjającej pogodzie, tj. przy sile wiatru do 2 stanu morza".

Ten punkt regulaminu został zamieszczony na żądanie Komisji Kajakowej ZG. Ciekawe, co by w tej chwili postanowili nasi dzielni wodniacy z Senatorskiej? Zawracać czy iść do przodu?

My płyniemy dalej, nie ma sensu zawracać w pół drogi. Kajaki spokojnie płyną po długiej fali, zachowują się na niej jak korek, chociaż fartuchy są konieczne. Przy takim kursie jacht bilby już kadłubem o wodę. Obserwuję pozostałe załogi. Osada kobieca wyraźnie zostaje w tyle. Zgodnie z moimi przewidywaniami. Skręcamy do nich i, aby trochę pomóc, formujemy "wachlarzyk kolarski". Pomoc ma charakter raczej psychiczny, tutaj potrzeba trochę siły. Przed nami dwie osady Krakersów. Także płyną wolno, ale pilnują się wzajemnie. Piloci z Ratownikiem daleko z przodu, od czasu do czasu na szczycie większej fali, widać małe punkciki machające wiosłami. Gdyby teraz zdarzyła się wywrotka z tyłu, nawet by nie zauważyli.

Wszystko się zgadza, jeszcze raz teoria mija się z praktyką. Dobry pilot powinien być człowiekiem z wyobraźnią, a ci myślą tylko o wyczynie. A może mają uraz psychiczny? Jeden z pilotów, Małgośka, jest moim starym znajomym ze spływu Metalowców. Jest bardzo ambitny, nie może zapomnieć, że kiedyś dokopałem mu podczas wyścigu na jednym z tych spływów. Bolało go najbardziej, że był to facet, wlokący się stale gdzieś w ogonie spływu, etatowy zamek. Małgośka lubi się ścigać. Wraz ze swym bratem Prokuratorem bierze udział w Maratonach Kajakowych na Zalewie Zegrzyńskim, uzyskując wysokie lokaty. Ja biorę udział w Maratonach wyłącznie jako sędzieja. Nie mam serca wiosłować za jednym zamachem ponad czterdziestu kilometrów, nie ma człowiek czasu nawet na papierosa. Małgośka nie pali, nie pije. By być ciągle w formie wbiega codziennie po schodach na dziesiąte piętro. Obiecałem mu rewanż za Metalowców na tym spływie. Na razie nie mogę, bo ciągnę "na ogonie" Szekłę z Amazonką. Postanawiam na postoju zrobić zmianę w załogach, dziewczyny są za słabe, by pływać razem.

Dobijamy do plaży w Thasos, portu, od którego wyspa wzięła nazwę. Pojawienie się grupy dziewięciu kajaków z biało-czerwonymi banderkami wzbudza małą sensację wśród plażowiczów. Kieruję się w stronę budynku kapitanatu, by zameldować o naszym przybyciu. Kapitanat jest zamknięty - to pora sjesty. Idę z Trampem zwiedzić miasto pełne antycznych pamiątek fenickich, greckich i rzymskich. Niestety, nie ma zbyt dużo czasu, poza tym - jest za gorąco. Znużeni, siadamy pod jednym z parasoli ustawionych na chodniku przed barem. Zimne piwo Amstel powoli otwiera oczy. Obok przechodzą ładne greckie czarnulki, kopię Trampa w kostkę, bo gapi się zbyt beczelnie. Zdążył, po przeprawie przez cieśninę, nabrać manier marynarza po długim rejsie. Apetyt wzrasta po drugim piwie, zamawiamy więc solidne befsztyki z frytkami. Senni i znużeni wracamy na plażę, gdzie ludzie spożyli już swoje konserwy.

Znów pijemy piwo, tym razem w towarzystwie Kuka i Eury. To miła niespodzianka z ich strony. Przyłynęli do nas promem, ciekawi jak poszła nam przeprawa. Przy okazji chcą zwiedzić miasto, pochylamy się więc nad mapą. Jest co oglądać. Liczne świątynie antyczne, poświęcone Dionizosowi, Posejdonowi, Atenie, Herkulesowi... skupione zwłaszcza wokół Agory - rynku starego miasta. Zbudowanego z marmuru wydobywanego na miejscu. Czytamy też informację, podającą w skrócie historię wyspy. Oto ciekawsze wyjątki:

"Thasos zwana jest także - Aethria - za jej czyste niebo. Aeria - za rzeńskie lato, Chrissi - za jej złoto i Idonis - od Traka Idonessa.

Nazwę obecnie używaną nadali jej Fenicjanie. Według mitologii greckiej - na wyspę tę przybył Thasos ze swoim bratem Kadmosem w poszukiwaniu siostry Europy, porwanej przez Zeusa, który przybrał postać byka. Thasos nie odnalazł siostry, założył natomiast kilka obozów, by wraz z tuziemcami eksploatować bogate kopalnie złota znajdujące się na wschodnim wybrzeżu."

Bogata wyspa stanowiła łakomy kąsek, dlatego była podbijana kolejno przez Traków, Fenicjan, a później Rzymian już w starożytności. Była również w średniowieczu przedmiotem sporów między aktualnie najsilniejszymi rywalami, by po zdobyciu w 1492 roku Konstantynopola przez Turków, przejść na długo pod ich panowanie. Dopiero w 1913 roku została odbita przez flotę grecką i wcielona do Macierzy. Obecnie wyspa liczy 10 tysięcy mieszkańców i słynie ze swych pięknych plaż, łagodnego klimatu i obfitości ryb w przybrzeżnych wodach. Swym kształtem zbliżona jest do koła o obwodzie nieco ponad 100 km. Wokół wyspy biegnie szosa, łatwo jest więc dotrzeć do najbardziej malowniczych miejsc. Szkoda, że nasi "turyści" wolą tkwić na jednym miejscu i nudzić się. Dyskutujemy o tym siedząc w cieniu na plaży.

Ze sjęsty wrywa mnie policja, poszukująca dowódcy "desantu". Żądają paszportu, całe szczęście, że go zabrałem z kajaka. Usiłuję dogadać się z przedstawicielami władzy. Znają trochę angielski, ja, niestety, gorzej niż oni. Nie potrafię im wytłumaczyć, że nie płyniemy bezpośrednio z Turcji - omijając po drodze okręty greckiej marynarki wojennej. Urzędnicy zaczynają się podniecać. Zapachniało aferą szpiegowsko-przemysłową. Cholera jasna! - mają ochotę mnie zatrzymać. Jak na złość oficjalny tłumacz wyprawy dawno już odpłynął. Żeby zdążyć na metę, tam postanowił zjeść swój obiad z puszki nr x. Jakoś nigdy do tej pory jego znajomość angielskiego nam się nie przydała. Na szczęście jest jeszcze Docent, z racji swojej profesji, świetnie znający język i wyjaśnia sprawę. Policjanci życzą nam powodzenia i zostawiają w spokoju. Na nas też pora, bo upał już zelżał. Żegnamy się z przyjaciółmi, ostatnia kąpiel i w drogę.

Płynę teraz z Szeklą, a Tramp z Amazonką. Tuż za plażą, z prawej strony zatoczki ostry cypel Cape Vriocastro, stromo opadający ku morzu. Opływam go szerokim łukiem, ponieważ widać drobne zawirowania wody daleko od miejsca, gdzie zanurza się pod wodę. Licho nie śpi! I rzeczywiście - Tramp, zapominając, że nie szybuje na lotni, postanowił mnie dogonić po cięciwie. Przytarł dnem składaka o podwodne kamienie. Doszedł, ale z wodą w kajaku.

- Dużo tego? - pytam.

- Nnno, trochę. A ile do biwaku?

- Według planu - ze cztery kilometry.

- No to włączę "przednią pompę" - dociągnę.

Uśmiecham się na wspomnienie przedniej pompy - to gruszka do robienia lewatywy. Nam służy do wybierania wody z kajaka podczas płynięcia, jeśli poziom wody "w zęzie" nie wzrasta zbyt gwałtownie. Mnie kiedyś za pompę służyła własna koszula, wyżymana co chwilę przez załogę, a i tak starczało to tylko na parę minut...

Morze spokojne, nie musimy się spieszyć, opowiadam więc o przygodzie towarzyszących podróży.

- Było to na Łupawie; górski szlak na Pomorzu, spływ klubowy Ursusa. Grupa zamkowa to Dwoch i Kominiarz na slalomówkach i ja na dwójce z "balastem", zielonooką Iwoną. Przed nami próg, obaj na lekkich jedynkach skaczą bez trudu, ja - "owczym pędem" - za nimi. Dziób plastikowej dwójki z loskotem wali o kamienie poniżej progu. Płynę jeszcze jakiś czas, w kajaku coraz więcej wody. Z trudem pokonuję kolejną przeszkodę, których tu nie brak. Kajak z wodą w środku jest coraz cięższy i niesterowny. Nurt jest bardzo szybki i z trudnością dobijam do brzegu. Z pomocą kolegów wylewam te zbędne kilogramy balastu i przy okazji sprawdzam uszkodzenie. Na dziobie dziurka wielkości ziarnka grochu. Jak na złość nie mamy ze sobą reperaturki, przez niedopatrzenie popłynęła w innym kajaku do przodu. Trzeba jednak jakoś sobie radzić. Biorę kawałek gałazki, owijam ją chusteczką i wciskam w otwór. Ziarnko grochu okazuje się być - strąkiem fasoli. Cóż robić? Nie ma wyjścia, trzeba płynąć dalej. Gdzieś z przodu oczekuje na nas autokar, w nim wszystkie bagaże. Zdejmuję z siebie flanelową koszulę i polecam dziewczynie robótki bosmańskie. Koszula w jej rękach ma służyć za pompkę wodną.

Jednak to nie wystarcza. Za jakiś czas, kiedy wlewająca się woda zamienia nas w łódź podwodną, wysiadamy. Koledzy pomagają wyciągnąć paręset kilogramów wody na brzeg.

Muszę wylewać wodę przed każdą poważniejszą przeszkodą, kajak jest bowiem niesterowny i, jeżeli nie postawię go w nurcie, utknie na kamieniu bokiem. Przechył, woda błyskawicznie zapełnia kokpit i równie szybko kajak łamie się jak zapalka na dwie części. Zbyt dużo takich sytuacji widziałem w życiu. A jeśli się w porę nie wyskoczy, to można sobie polamać kości. Tu nie chodzi o mnie, zawsze zdążę, ale załoga ma usposobienie flegmatyczne i nie ma pojęcia, co jej może grozić.

Koledzy zaczynają się niecierpliwić. Przeszkód jest sporo. Zapada już wieczór, jest połowa września i chłód zaczyna dokuczać coraz bardziej. Mnie jest wprawdzie ciepło, bo ciężko pracuję, robiąc wściekle, niezbyt skuteczne przy takim obciążeniu kontry, ale oni głównie czekają. Są tylko w spodenkach i lekkich koszulkach - było ciepło, gdy świeciło słońce - jest mi głupio, że na mnie czekają. Gdyby nie fatalny skok, źle oceniona przeze mnie przeszkoda, dawno bylibyśmy na mecie. Sam zawiniłem, sam muszę wypić to piwo. Proponuję im płynięcie do przodu, dziękuję za pomoc. Byliśmy razem jeszcze w gorszych opalach, więc wierzą, że dam sobie jakoś radę. Nacisnęli na wiosła i zniknęli jak duchy za najbliższym zakrętem.

Zaczynam pracować na własny rachunek. Paręset metrów do przodu, dobiecie do brzegu, wyciągnięcie kajaka, żeby wylać te hektolitry wody i znów "da capo al fine". W końcu zapadła noc. Mam już dosyć tych manewrów, zwłaszcza że robię to sam. Przerobiłem już więcej ton niż zawodowy ciężarowiec podczas treningu przed mistrzostwami świata, a daleko mi do postury atlety. I tu - wkrada się zmęczenie. Słyszę szum wody przed następną przeszkodą. Nie mogę ocenić w ciemności czy zdolam ją sforsować w czasie krótszym niż czas potrzebny do samozatopienia kajaka. To nie jest kamień, niewyraźnie mającą jakieś krzaki - pewnie zatopione drzewo. Tuż przed niewiadomą - dogodne miejsce do wylania wody. Przeklinając w myśli parszywy los, wyciągam ten cholerny, dziurawy kajak na brzeg. Resztką sił wylewam wodę. Jestem już u kresu sił, drzę z zimna i wyczerpania. Patrzę w kierunku tej cholernej przeszkody, szum wody zaczyna działać na wyobraźnię, zmęczenie rodzi strach. Stop! Dalej nie ma sensu już ryzykować, zwłaszcza że nie jestem sam. Proponuję Iwonie, by zostawić tu kajak i dość brzegiem rzeki aż do miejsca, gdzie czeka autokar. Rano tu wrócę, załatam dziurę i dopłynę bezpiecznie. Dziewczyna się zgadza - też ma już dosyć. Odwracam kajak do góry dnem i z wiosłami w rękach, bo innych rzeczy praktycznie nie mieliśmy, ruszamy w dół rzeki. Ale po kilkunastu metrach zatrzymujemy się. Dalej - bagno. Wracamy do punktu startu, czyli do samotnej olchy, pod którą leży kajak. Obieramy kierunek prostopadły do poprzedniego. To samo bagno. Próbuje w tył. Też zaczyna chlupać i uginać się pod nogami. Jesteśmy, jak się okazuje, na malutkiej wyspie otoczonej bagnami. Jedyne punkt zaczepienia, to ta właśnie olcha. Ale olcha, to nie palma czy oliwka w Grecji. Wrześniowy, polski chłód przenika do kości. Dziewczyna jakoś się trzyma, kobieta przy kości, ma trochę ciuchów na sobie, a ja, półnagi, drzę z zimna. Koszula służyła przecież do wybierania wody. Ogniska nie zrobię, bo nie mam siekiery do ścięcia tej olchy. Zresztą zapalki też przemoczone. (Nawet, gdyby paliła się w nas miłość, też by nie starczyła na długo.)

Zdaję sobie sprawę, że do rana nie przetrwamy. Całe szczęście, że Iwona - chłodna racjonalistka - nie panikuje. Jest początkującą kajarką i zapewne myśli, że to normalka. Przy tym - patrzy mi ufnie w oczy. Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie! Ale jakie? Jedyne, co pozostało - to wiosło w garść i - do przodu! Jeszcze raz patrzę w kierunku zniechęconej przeszkody, szum wody nie jest taki intensywny... Muszę się jakoś wyrwać z tej pułapki - stopniowo narasta we mnie determinacja. Jeśli umrzeć - to w walce!

- Umiesz pływać? - pytam dziewczynę.

- No... kartę pływacką mam.

- Nakładaj kapok!

Starannie zawiązuję taśmy wokół ciała dziewczyny. Nie wierzę ani w jej umiejętności pływackie, potwierdzone ważną kartą, ani w to, że kapok byłby ją w stanie utrzymać na wodzie. To stary typ kapoka, służący nam jedynie do siedzenia, wozimy go, by być w zgodzie z przepisami. Kapok, w razie wyższej konieczności, ma mi służyć jako uchwyt do holowania, szkoda tych pięknych włosów. Ważne, że dziewczyna wierzy w jego skuteczność.

Wsiadamy w kajak. Polecam wziąć dziewczynie wiosło do ręki i ułożyć je wzdłuż kajaka. Jest nieco zdziwiona, bo do tej poru płynęła wyłącznie jako pasażerka bądź wyżymaczka. Uspokajam ją mówiąc, że to na wypadek, kiedy moje wiosło złamie się. Koncentruję się na przeszkodzie... Jest kilka metrów przed nami, a muszę mieć odpowiednią prędkość, by przebić się przez krzaki i wskoczyć na drzewo, hipotetycznie leżące pod lustrem wody. By lepiej rozeznąć sytuację podpływam tuż pod krzaki, kajak wacha nosem jak pies na tropie, w lewo, w prawo - szukając prześwitu. Jest! Ostrożnie cofam trochę do tyłu i walę wiosłami o wodę. Krótkie, wściekle uderzenia. Kajak gładko wskakuje na płytko zanurzony pień, błyskawiczne odepchnięcie się wiosłem, dobrze że nie trzasło! i już spokojnie płyniemy w ciemność. Spokojnie, bo już nic nie szumi z przodu. Płyniemy gładko: cała naprzód! Szukam miejsca, gdzie można by wyjść na normalny brzeg, póki jeszcze nie nabrało się za dużo wody. Z wolna, orientuję się, ku memu przerażeniu, że wysiąść nie można. Z lewej i z prawej strony rzeki, teraz już cichej i głębokiej - moczary, porośnięte sitowiem. Teraz, to już tylko do przodu, poziom wody w kajaku przybiera, mimo że Iwona wolno i metodycznie wyżyma koszulę...

- Iwona! wybieraj szybciej - dyszę, wściekle machając wiosłem.

- Przecież widzisz, że robię, co mogę - odpowiada flegmatycznie.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z tragedii, jaka tu się za chwilę rozegra...

Kajak mknie w posępną ciemność. A wody przybywa, liże chłodnym językiem pośladki, jeszcze trochę i...

Skręt w lewo, przed nami jakieś światła! Dużo czarnej, oświetlonej przez parę latarni toni. To most, przed nami młyn i tama. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę, bo rozbić się spadając przez tamę w dół - to raczej koniec! Może uda się dobić do brzegu. Tylko do jakiego? - gdzie jest jakieś dogodne wyjście? I nagle krzyk z lewej:

- Lady! Tutaj! Szybko!

Ten krzyk znaczył dla mnie więcej niż hasło - "Ziemia" dla wyprawy Kolumba. Skręcam łagodnie w kierunku głosu, podpierając się wiosłem. Kajak już stracił stateczność poprzeczną, zachowując się jak podmoknięta, okrągła kłoda drzewa. Jak w dobrze wyreżyserowanym filmie, zanurzający się w wodę kajak podtrzymują, tuż przy brzegu, koledzy z zamka...

Opowiadam tę historię i śmiejemy się beztrąsko. Teraz, w blasku słońca, kiedy brzeg jest w zasięgu wzroku, morze spokojne i wszystko gra - ta przygoda bawi, ale i uczy. Odtąd mam zawsze w kajaku specjalny pakunek awaryjny - zapasowe ciuchy, nóż, zapalki - w potrójnym foliowym worku. Do tego - konserwa.

Amazonka włącza co chwilę "przednią pompę" i suniemy spokojnie do przodu po przepięknej lazururowej toni. Obserwuję przez lornetkę brzeg po prawej, wypatrując kajaków. Na wysokości miejscowości Makrimos, gdzie był przewidziany biwak, nie ma nikogo. Według mapy, szosa dociera tam aż nad brzeg morza. Gdybyśmy byli związani z autokarem, należałoby tam dobić. Płyniemy dalej, po cięciwie zatoki Ioannis. Przy jej końcu, 6 km za Makrimos dostrzegamy namioty, obok podłużne kreseczki kajaków. To bez wątplenia nasi. Kajaki z cichym chrzęstem dopływają do piaszczystej plaży. W nozdrza uderza intensywny zapach żywicy, płynący z przepięknego piniowego lasu, pokrywającego wzgórze okalającego niewielką zatoczkę. Miesza się on z zapachem miodu, w powietrzu słychać łagodne brzęczenie setek pszczół. Woda ma niesamowitą wprost przejrzystość, zachęcającą do nurkowania. Za naszym biwakiem, trochę wyżej, dwie rodziny francuskie. Mężowie w

skafandrach i z kuszami w rękach wychodzą właśnie z wody. Do pasów przytroczone okazałe kilkukilogramowe tuńczyki.

Wskakujemy i my do wody, cudownie czystej i ciepłej. Próbujemy nurkować, widoczność doskonała nawet na kilku metrach, ale sukcesów łowieckich nie odnosimy. Przede wszystkim nie mamy kusz. Tramp dziwi się, po co Francuzom skafandry, skoro jest tak ciepło w wodzie.

- Jakbyś pobyl w niej, czatując na ryby z godzinę - to byś zrozumiał. Ciało stopniowo się ochładza, ale chłodu się nie czuje. Dopiero po wyjściu zaczyna tobą trząść. Miałem taki wypadek w Tunezji. Polowaliśmy we dwóch. Ja bez skafandra, bo oddałem go towarzyszącemu Arabowi. Po godzinie wychodzę z wody. Dygotałem tak, że nie byłem w stanie rozładować kuszy. Przerażony wlałem do samochodu, gdzie było ciepło jak w piecu; samo południe, w połowie czerwca. Drżałem w tym żarze z zimna jeszcze przez dłuższy czas. Dobrze, że nie zachorowałem, takie przechłodzenie jest niezwykle niebezpieczne.

Zapalamy małe ognisko. Dziś imieniny Krakersów. Pani domu cała zatroskana. Część prowiantów (w tym i butelka bułgarskiego koniaku) wyleciała jeszcze w Turcji z niedomkniętego luku autokaru. Cholera - że też właśnie na nich musiało trafić! Ciągłe narzekają z tego powodu. Ale, że to jedna tylko z przyczyn narzekania, więc nie ma co sobie głowy zaprzętać.

- Nam - by nie zginęło - mruży Tramp półgłosem, bo usta ma zapchane kanapką.

Mruczę potakująco. Kanapki, estetycznie przyrządzone, smakują wyjątkowo. Szczęściarz ten nasz Tłumacz. Wykwintną kolacyjkę kończy herbatka i ciasteczka. Dziwne zwyczaje, wodniackie imieniny - nawet bez grama czegoś mocniejszego?

Tramp chyba myśli o tym samym, bo spogląda pytająco na mnie. Kiwam głową, ten zrywa się i przynosi butelkę wina. Wręczamy ją uroczyście jako prezent od Czukczów. Przytomny chłopak natychmiast ją odkorkowuje, więc na pewno wino nie zginie gdzieś po drodze. Czerwone, półwytrawne greckie wino pije się z wielką przyjemnością, pewnie dlatego sprzedaje się butelki o pojemności minimum półtora litra.

Popijając napój bogów milczymy, wpatrując się w płomień dogasającego ogniska. Jesteśmy pod dziwnym urokiem tego rajskiego, zaiste, zakątka. Jak przyjemnie jest zasypiać patrząc w gwiazdy nad nami...

Ranek dodaje uroku temu cudownemu miejscu. Niestety, nie ma zbyt wiele czasu na kontemplację gry światła i cieni w wodach lazuruwej zatoki. Omawiam z pilotami dalszą trasę. Nalegają na przedłużenie dzisiejszego etapu aż do przylądka Salonikios, to ponad 35 km, nieco za dużo jak na drugi dzień spływu. Załogi są jeszcze „nierozpływane”. Patrzę na mapę i proponuję dotrzeć do miejscowości Astrikis - to około 30 km, poczekać na zamek, a potem zobaczymy.

Z kolei Pilot, ten autokarowy, proponuje podział na grupy według upodobań i możliwości załóg. Taka grupa, to minimum dwie załogi, ale płynące zawsze razem, obok siebie. To rozsądna propozycja i rację ma pilot mówiąc o różnych upodobaniach załóg. Niektórzy lubią pospać, później długo się grzebią, nim pozbierają majdan, zjedzą obfite śniadanie, mające im niekiedy służyć za całodzienny posiłek. Potem płyną na pełny gaz, nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo, aż do mety. Są i tacy, co lubią zjeść lekki posiłek poranny, solidny obiad spożywając gdzieś po drodze, zwiedzają przy okazji teren, robią postoje na kąpiele itp. Ile załóg, tyle upodobań.

Pamiętam taki tygodniowy spływ, gdzie ostatniego wieczoru jeden z kajakarzy spytał mnie:

- Po co wozisz ze sobą gitarę, przecież ani razu nie grałeś?

Odpowiedziałem, że gram co wieczór, tylko on dawno już śpi...

Ustanawiam zatem żelazną zasadę. Minimum dwie załogi płyną obok siebie. Dosłownie w zasięgu ręki. Pilot jest zadowolony. Twierdzi, że to jest zasada morskiego

kajakowania. Ma przecież bogate doświadczenie - to jego trzeci spływ morski, nie licząc tych lądowych, a pływa parędziesiąt lat. Póki co, jest w trakcie musztrowania Angeliki, będącej jego załogą. Dziewczyna nie jest tym zachwycona, wolałaby płynąć z nami, ale wszystkie poprzednie plany obsadzenia załóg wzięły w łeb.

O godzinie 8.20 część załóg startuje. Wrocławiaczy i dwie załogi Krakersów, znakomicie zresztą zorganizowanych. Nasze „załogantki” gotowe do drogi, a Tramp już pokleił dziury w kajaku. Trzymająca się razem grupa Pilot i Docent jest w trakcie totalnej dezorganizacji. Myślę, że jeżeli wypłyną za godzinę, to i tak będzie dobrze. Umawiam się zatem, że te dwa kajaki stanowią na dzisiaj grupę zamkową. To bardzo dobrzy kajakarze, jestem o nich spokojny. Mają strzec jak żrenicy oka jeszcze jednej załogi, o której wiem najmniej. To Sułtan z Iwonką.

Tradycyjna przedstartowa kąpiel i w drogę. Po przepłynięciu dwóch kilometrów jesteśmy na trawersie przylądka Pírgos, najbardziej wysuniętej na wschód części wyspy. Wpływamy w zatokę Potamias, biorącą swą nazwę od miejscowości Skala Potamias. Warto by ją zwiedzić, zwłaszcza, że zaczyna wiać z lewej, od strony otwartego morza. Dobijamy do plaży, z prawej dobre miejsce na biwak. Nad okolicą królują dwa, relatywnie wysokie szczyty. Jeden to Profitis Ilias (1100 npm), drugi - nieco bliżej - nazywa się Ipsari. Nieco wyższy niż sąsiad, bo ma 1204 metrów wysokości. Jest odległy nie dalej niż 3 km, czujemy się jak w Szwajcarii, gdyby nie okoliczności, chętnie bym tam się przespacerował. Póki co, robimy pospieszne zakupy, jest tuż przed dwunastą, a więc zbliża się czas sjęsty. Po posiłku kładziemy się w cieniu drzew, kryjąc się przed wiatrem za burtą starego jachtu. Wiatr jest tak silny, że przewraca butelkę z piwem, postawioną niebacznie w odsłoniętym miejscu.

Obserwujemy przez lornetkę morze, wypatrując grupy zamkowej. Decydujemy się na kąpiel - jest duża fala, sprawiająca masę radości. Wychodzimy uradowani na brzeg i ktoś zagaduje nas po polsku:

- Macie nieprawidłowe banderki, czerwony kolor powinien być na górze.

Zaskoczeni, spoglądamy na intruza. Okazuje się, że to Grek, mieszkający od dzieciństwa w Gdańsku. Wyjaśniam mu, że takie barwy ma Marynarka Wojenna, my jesteśmy cywile, więc nasze barierki są biało-czerwone. Ale miło spotkać prawie rodaka. Dłuższą chwilę spędzamy na pogawędce. Nasz polski Grek, podobnie jak część jego rodaków, zasymilował się w naszym kraju po wprowadzeniu rządów faszystowskich w ich ojczyźnie. Po nastaniu demokracji, mógł nareszcie wrócić do domu. Żegnamy się serdecznie - on życzy nam rychłej demokracji.

Wiatr wprawdzie osłabł, ale fala sprawia trudności przy starcie. Z rozrzewnieniem myślę o załodze Prezesa. To dopiero byłoby widowisko dla zgromadzonych plażowiczów, popłakaliby się zapewne ze śmiechu, a my ze wstydu!

Płyniemy na południe, w odległości pół kilometra od brzegu, mam nadzieję, że spotkamy naszą czołówkę. Po około ośmiu kilometrach, na trawersie miejscowość Kinira. Po lewej mała wysepka o tej samej nazwie. Fale wściekle rozbijają się o jej skaliste, niegościnne brzegi. Kilometr dalej - idealne miejsce na biwak. Po dalszych dziewięciu dopływamy do Cape Babouras i skręcamy w lewo, na zachód. Teraz mamy wiatr w plecy, niestety słabnący, bo zbliża się wieczór.

- Popatrz!, de Gaule - mówi Tramp.

Oglądam się. Rzeczywiście, skały tego przylądka schodzą dość stromo w morze, by wynurzyć się ponownie - tworząc profil twarzy francuskiego generała, z charakterystycznym nochem i w kaszkiecie oficerskim na głowie. Podobieństwo zdumiewające! Gigantyczna rzeźba w naturze. Tylko, że natura ustawiła generała w pozycji horyzontalnej. Tu, w tym harmonijnym, nieskałanym przez cywilizację zakątku, nie trzeba nikogo brać za mordę, zatem generał spokojnie leży sobie w wodzie.

Dalsze 5 kilometrów i - po prawej miejscowość Alik. A naszych wciąż nie widać. Ani pilotów, ani zamka. Już w tej chwili powinienem zostać zdegradowany jako komandor spływu. Całe szczęście, że nie płynie przy mnie "egzekutywa".

Ta sytuacja przypomina mi historię sprzed trzydziestu paru lat. Polacy zorganizowali wyprawę kajakową w miejscu ekstremalnie trudnym nie tylko dla kajaków, ale także dla jachtów, czyli w cieśninie Magellana. Wyprawa zakończyła się sukcesem, polscy kajakarze i polskie Neptuny zdały trudny egzamin, ale załogi pogubiły się w tym pełnym wicherów, prądów, mgieł i niezliczonych ilości wysepek akwenie Ziemi Ognistej.

Na szczęście nikt nie zginął, jednak meldunek o zaginięciu dwóch bodajże załóg uruchomił flotę wojenną Chile i Argentyny. Zrobił się mały dyplomatyczny skandal, który zaprzepścił cały propagandowy sukces. Polskie placówki dyplomatyczne w tych krajach zmuszone były przerwać swoje rutynowe picie "rytualnego napoju", by zająć się zupełnie nie rutynową czynnością, losem zaginionych. Podczas, kiedy poszukiwania trwały, zaginione załogi piły sobie spokojnie piwo u celu podróży, witane przez tubylców jako bohaterowie. Wszystko dlatego, że przy planowaniu wyprawy zapomniano o drobiazgu - w której to restauracji, po osiągnięciu portu docelowego, należy zjeść kolację.

Tuż przed zmierzchem, około godziny 19.30, znajdujemy się na trawersie monastyru Archagelu. Zawieszono go jak orle gniazdo na urwistej skale nad brzegiem morza. Przed nami, w szklach lornetki, parę punkcików na horyzoncie. To piloci z Krakersami. Obserwuję przez dłuższą chwilę czy dobijają do brzegu, czy popłyną dalej. Zniknęli za przylądkiem Salonikios. Chyba zgłupieli! Szkoda, że nie mam pod ręką motorówki, jak to bywa niekiedy na spływach tzw. zorganizowanych, dałbym im teraz popalić. Niestety, nie przewidywał takiego luksusu preliminarz.

Nie ma sensu ich gonić, zapada zmierzch, można się nadziać na podwodne skały. Teren jest zupełnie dziewiczy, nie opisany przez przewodniki kajakowe, ani nie spenetrowany przez tzw. rekonesans, polegający głównie na tym, że komandor przyszłego spływu objeżdża teren i załatwia posiłki w restauracjach leżących na szlaku.

To nowe zjawisko w polskim zorganizowanym ruchu turystycznym, powstałe już po ogłoszeniu stanu wojennego. Wszechogarniająca bieda realnego komunizmu zmuszała do takich działań, by zapewnić ludziom odrobinę komfortu na biwaku, polegającego na zjedzeniu schaboszczaka i wypiciu piwa. Chodzi głównie o to, by nie odejmować tego piwa od ust miejscowym smakoszom. Ilość tego piwa w takiej małej miejscowości jest ściśle zaplanowana, więc - gdy się zjawi parędziesiąt osób dodatkowych, mających także ochotę przepłukać gardło, konflikt nieunikniony!

Nasze dwa kajaki wciąż tkwią na wysokości klasztoru. Czekamy na zamek. Robi się coraz ciemniej, więc Tramp wpływa między niegościnnie wyglądające skały. Wraca podekscytowany: Tam jest bomba biwak!

Nie ma sensu dalej czekać na morzu, bo widoczność ogranicza się do kilkudziesięciu metrów. Wpływamy więc w zatokę, odkrytą przez Trampa. Po obu stronach przejścia do niej bronią potężne, pionowe skały. Łagodne, ale kamieniste podejście do brzegu. Błyskawicznie rozpalamy ognisko - to sygnał dla grupy zamkowej. Ognisko pali się spokojnym płomieniem. W dali widać na wzgórku jakieś światła samochodów, a więc dojazd jest dobry. Szkoda, że nie ma naszych z autokarem. Takiego niezwykłego miejsca nie zobaczą zapewne nigdy. Teraz nudzą się na biwaku w Keramoti, oganiając się od komarów. Dziewczyny przygotowują kolację i ogłaszają imieniny. Na obrusie z kanapkami pojawia się butelka bułgarskiego wina. Nie chcemy być gorsi i też ogłaszamy święto.

Przemiałą atmosferę mąci jedynie pytanie - co z zamkiem? I drugi problem: dlaczego piloci nie poczekali na resztę? Prawda, nie byli sami, ale z Krakersami - czyli z oficjalnym pilotem i wicekomandorem. Nie najlepiej to o nich świadczy.

Dzielę się moimi kłopotami z biesiadnikami.

- Po prostu podkładają ci "świnie" - stwierdza któraś z dziewczyn.
- Chcą cię załatwić jak Prezesa - dodaje Tramp.

Chyba ma rację, Krakersom może na tym zależeć. Ale dlaczego wrocławiakom? Ich obowiązkiem było zatrzymanie się godzinę przed zmierzchem i szukanie biwaku. Gdybyśmy byli uparci i gdyby byli z nami ci z zamka - można by płynąć do nich nocą. Przekreśla to jednak sens i urok wędrówki. Przypominam Amazonce nieco podobny problem sprzed dwunastu, chyba, lat. Byliśmy z Prezesem na spływie po Pojezierzu Augustowskim. Niewielka grupka, cztery kajaki. Prezesunio, jak zwykle, czegoś nie dopilnował. Tym razem zapomniał zabrać wiosła. Kupiliśmy je w wypożyczalni w Olecku. Płynęliśmy Rospudą od Filipowa w dół, a następnie Blizną pod prąd do jeziora Blizna, do którego dotarliśmy tuż przed zachodem słońca, trzeciego dnia spływu. Ludzie byli zmordowani, jedna z załóg, zupełnie początkująca, ciągnęła ostatkiem sił. Rozsądek nakazywał, by korzystając z dziennego światła, rozbić biwak w dogodnym miejscu nad jeziorem. Prezes jednak uparł się, żeby jeszcze dziś zrobić przewózkę kajaków do Bryzgly i płynąć dalej Wigrami aż do zatoki Hańczańskiej. Nie licząc pięciokilometrowej przewózki, jeszcze paręnaście kilometrów płynięcia i to nocą. Czysty obłąd. Zaprotestowałem, a ludzie byli za mną. Prezes, słysząc moje argumenty, zawahał się. Wtedy do akcji wkroczyła Amazonka, jego załoga:

- Czego ty się mądrzysz? Przecież ty nie masz doświadczenia!
- Jak to? - spytałem obłudnie. - Byłem już na paru spływach.
- Na paru? Cicho bądź, ja byłem już na SZEŚCIU! Płyniemy dalej!

I Amazonka przeważała szalę. Ja, wraz z moją załogą, Mąkiem, postanowiłem zostać. Zwłaszcza, że biwak był uroczy, w wysokopiennym sosnowym lesie, z widokiem na zachodzące słońce. Dotarli do Zatoki Hańczańskiej następnego dnia. A tam - wojna domowa. Wszyscy, wściekli jak cholera, warczą na Prezesa. Płynęli nocą, w absolutnej ciemności, błądzili, wpadali w sieci rybackie... Dobrze, że się nie potopili. Najgorsze zaś było to, że nie oglądali najpiękniejszego odcinka Wigier, a może i pojezierza. Decyzja płynięcia nocą była złą reklamą turystyki, początkujący przysięgali, że już nigdy na kajaki nie popłyną.

Piszę o tym, bo w Zatoce Hańczańskiej narodziła się Amazonka. Następnego dnia, po dotarciu do grupy Prezesa, moja załoga musiała opuścić spływ. Odchodziła również z mego życia. Na pożegnanie zagrałem jej "Lekką kawalerię". Jeden z kajakarzy, Ed, stary zgrywus wsiadł na wiosło i pogalopował wzdłuż plaży. Przyszła Amazonka, porwana pomysłem, wskoczyła na drugie i puściła się za nim. Wsiadła na wiosło nie okrakiem, po męsku, lecz tak, jak dawniej jeździły konno damy w długich sukniach. Odtąd została Amazonką. To niezwykle widowisko oglądali ze zdziwieniem i rozbawieniem liczni plażowicze...

Teraz, przy ognisku wspominam te czasy. Amazonka zdopingowała mnie do policzenia, ile to wycieczek kajakowych odbyłem do tego właśnie, pamiętnego spływu. Dobrze, że zmuszono mnie do prowadzenia Książeczki TOK-u, bo bym się nie doliczył. Wypadło tych wędrówek dokładnie 105, czyli prawie o 100 więcej niż ona. Co ciekawe, pierwszy mój spływ, w 1955 roku, to była właśnie trasa Blizną do Wigier, Czarną Hańczą i Kanałem do punktu startu, do Augustowa. Teraz nareszcie mówię o tym Amazonce. Śmiejemy się wszyscy, ale dziewczyna jest lekko zmieszana.

- A co się dzieje z Mąkiem - pyta, by zmienić temat.
- Nic szczególnego, wyszła za mąż po raz trzeci.
- Szkoda, że wtedy odjechała, była pełna humoru i fantazji. A jak pływała delfinem!
- Nic dziwnego, była po AWF-ie, specjalizacja pływanie. Gawędzimy jeszcze trochę o zmiennych kolejach życia, ale pora już spać. Dziewczyny martwią się jak rozstawić namiot na tych kamieniach.
- Po co wam namiot? - dziwimy się. My w ogóle nie braliśmy namiotu. O tej porze roku tutaj nie pada, poza tym jest przecież bardzo ciepło.

Instruujemy jak układa się z płaskich kamieni wygodne leże. Kładzie się na nie materace i śpi jak w hamaku.

Poranne słońce pozwala podziwiać niezwykle piękno tego rajskiego zakątka. W życiu nie oglądałem takiego biwaku. Jest nawet źródło ze słodką wodą tryskające ze skały u stóp klasztoru. W pobliżu - maleńki domeczek, jak z obrazka. Doprawdy, żal stąd odjeżdżać. Robimy pożegnalne zdjęcia i ruszamy. Obiecuję sobie, że jeszcze tu wrócę. Całkiem prywatnie, zwłaszcza że zdjęcia, jak się później okazało, nie wyszły.

Po przepłynięciu około trzech kilometrów dostrzegamy namioty i 3 kajaki. To grupa zamkowa! Witamy się serdecznie. Z rozmowy wynika, że dopłynęli tu późno. Nie zauważyli naszego biwaku, ukrytego za skałami, widocznie w tym czasie kiedy przyплыwali, zbieraliśmy drzewo na ognisko. Znów zostają na zamku, zwłaszcza że są jeszcze przed śniadaniem, a lubią jeść dużo, z namaszczeniem. To potrwa, łącznie z pozbieraniem się do kajaków co najmniej ze dwie godziny. Odpływamy, zabierając ze sobą Sułtana i Rusałkę. Są już dawno po śniadaniu i nudzą się w tym towarzystwie wzajemnej adoracji. Żal tylko Angeliki odprowadzającej tęsknym wzrokiem nasze kajaki.

Płyniemy w kierunku przylądka Salonikios, za którym zniknęli wczoraj piloci z Krakersami. Może uda się nam ich dopaść, powinni na nas czekać.

Zrywa się silny wiatr, jak co dzień o tej porze. Bajdewind, więc korzystamy z okazji i stawiamy "żagle", robiąc trójmaran. Prawdziwy żagiel ma tylko kajak Sułtana, my wykorzystujemy pałatkę uwiązaną na wiosłach. Szybkość imponująca, szerokim łukiem opływamy Salonikios, najdalej na południe wysunięty cypel wyspy (około 40° 36' szerokości geograficznej, naturalnie północnej). Po lewej - grupa wysepek, z których największa to kilometrowej długości Panagia.

Nasz dziwny obiekt pływający wzbudza sensację. Nie wiadomo skąd pojawia się kilka jachtów i motorówek. Obserwują nas przez lornetki, po czym podpływają bliżej, robią zdjęcia, filmują, a nawet rozpoznają narodowość:

- Bravo Polacchi - krzyczą z jakiejś motorówki.
- Vive la Pologne! - wołają z pięknego jachtu.

Machamy do siebie rękami, odkrzykujemy pozdrowienia, śmiejemy się... "Wesoła marynarska wiara..." - jak mówią słowa jednej ze starych marynarskich piosenek żeglarskich.

Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Skręcamy za cyplem w prawo, wyspa osłania nas przed wiatrem, trzeba znów brać się za wiosła. Trzymamy się blisko brzegu, wypatrując naszych. Mijamy kolejno dwie zatoczki, dogodnie do biwaku. W tej drugiej są jacyś ludzie, widać sprzęt pływający. To Niemcy. Pytamy ich o cztery kajaki. Nie zauważyli, natomiast informują nas, że w najbliższej miejscowości - Potos jest dobre zaopatrzenie. Płyniemy tam, zachodząc po drodze w głowę, gdzie nocowała grupa wyścigowców. O zmroku byli na wysokości przylądka, nikt ich nie widział tutaj. Chyba nie popłynęli dalej po nocy, więc gdzie poznikali. Wyraźnie nas unikają, łamiąc wszelkie zasady organizacyjne.

Płyniemy obok siebie, burta w burtę, "chochlując" miarowo wiosłami. Do Potos, leżącego w głębi łagodnej zatoki jeszcze ze cztery kilometry. Niedawne spotkanie z Francuzami i ostatnie z Niemcami wywołują falę wspomnień. By "skrócić drogę" opowiadam towarzyszom historię z Węgier.

- *Był to nasz ostatni wieczór nad Balatonem. Nazajutrz czekał nas skok do Budapesztu i odjazd do kraju. Nasi węgierscy opiekunowie zaprowadzili nas w góry, do winiarni, którą często odwiedzał ich poeta, słynny Petofi. Być może popijał tam wino w towarzystwie naszego generała Bema? Winiarnia była bardzo popularna, toteż zastaliśmy tam liczne, międzynarodowe towarzystwo. Szef pince przydzielił nam stolik na wolnym powietrzu, w cieniu olbrzymich drzew, między Francuzami i Niemcami. Było ciepło, letnie popołudnie, niektórzy z gości raczyli się winem nazbyt intensywnie. Dotyczyło to głównie licznej grupy niemieckiej. Panie prezentowały obfite biusty, wylewające się z białych staników. Panowie*

głośno dyskutowali, waląc energicznie pięściami w stół, a bezcenne wino wylewało się z przewracających się szklanek.

Patrzyliśmy z bólem serca na to marnotrawstwo, w naszych kieszeniach były już pustki. Szef przyniósł nam trzylitrową karafkę Badacony. Na 13-cie osób, to pestka. Wyrzeczujemy ostatnie forinty - starczyło na drugą.

Tymczasem Niemcy, czując się nazbyt pewnie, rozpoczynają demonstrację nacjonalistyczną. Ryczą, jedna po drugiej piosenki marszowe, waląc do taktu pięściami, ku wyraźnemu niezadowoleniu szefa i innych gości. Studenci siedzą spokojnie, aż do momentu kiedy Niemcy wstają i śpiewają hymn Wafen SS, którego refren brzmi "Haj li haj la...". To w sumie jest niewinna piosenka ludowa, ale dla nas miała złowrogi wydźwięk lat okupacji. Chłopczy zerwali się z miejsc, zaciskając pięści. Nic to, że tam dwukrotna przewaga liczebna! Osadziłem ich na miejscach, powalczymy tą samą bronią, czyli piosenką, ale najpierw wypijcie drugą karafkę. Trzeba przygotować się, czyli naoliwić i wzmocnić gardło.

Zaczynamy, korzystając z chwili przerwy u tamtych, niewinną piosenką "Moja Walerciu kupię ci...", której melodyjny refren rozumie każdy Europejczyk: "O bella, bella, bella Marie...". Piosenka spodobała się, chłopcy śpiewają ją całkiem dobrze, wszak to już trzeci tydzień wspólnego treningu. Refren podchwytyją wkrótce sąsiednie stoliki, później rozlegają się brawa. Niemcy krzyczą: "weiter, weiter", nie orientując się zapewne z kim mają do czynienia. Żeby im to uzmysłwić śpiewamy w rytm marsza "Jeszcze Polska nie zginęła", słowa te same co w hymnie, ale inna melodia, której refren brzmi: "Marsz, marsz Polonia...". Piosenka jest bardzo ładna, ale Niemcy zareagowali gwałtownie, zaczynają się krzyki i gwizdy. Natomiast Francuzi krzyczą: Vive la Pologne! Idziemy za ciosem i intonują Marsyliankę. Francuzi zrywają się podchwytyjąc, my wstajemy również, Niemcy zachowują się niegrzecznie... Interweniuje szef i nakazuje im opuszczenie terenu. Żeby ich dobić śpiewamy: "Czerwone maki pod Monte Casino..."

Ten pojedynek muzyczny miał niecodzienny epilog. Szef zaprasza nas do środka potężnej piwnicy, gdzie w błogim chłodzie siedziało mnóstwo ludzi spokojnie sączących wino. Proponuje nam picie wina gratis! - bylebyśmy tylko śpiewali. Z wiadomych przyczyn, chętnie przystajemy na tę propozycję i bierzemy się ochoczo do dzieła. Płyną piosenki polskie, słowackie, wspólne z węgierskimi czardasze...

W jakimś momencie przysiadają się do nas dwaj młodzi Czesi, przylączając swe gardła do chóru i... do picia. Repertuar poszerza się także i o piosenki czeskie. Wkrótce śpiewa z nami cała winiarnia, a kelnerzy nie nadążają z zamówieniami. Szef obsługuje nas osobiście, dbając troskliwie o odpowiedni poziom w szklankach.

Zbliża się wieczór, na nas już czas. Wstajemy z żalem, a szef na pożegnanie serwuje każdemu przy wyjściu po strzemiennym. Początkowo, ku niezadowoleniu małżonki, która rozchmurza się jednak - słysząc kolejne toasty wygłaszane w jej rodzinnym języku.

Po dodatkową porcję ustawiają się niebacznie nasi Czesi. Niebacznie, bo szef sobie przypomina, że nie zapłacili za wino pite uprzednio, jeszcze przed zgłoszeniem się do nas. Suma spora, bo około 100 forintów. Czesi rzucają się do ucieczki. Ponieważ czuję się odpowiedzialny za ten cały bałagan, ruszam w pościg i dopadam jednego z nich. Na szczęście odbywa się bez gwałtu, spokojnie wraca ze mną. Uspokojony, wyciągam zapalniczkę i przypalam papierosa. Zapalniczka wzbudza zainteresowanie aresztanta, wyciąga po nią rękę i... chowa do kieszeni, twierdząc że to jego. Była to popularna wówczas, niezawodna w użyciu, austriacka zapalniczka benzynowa, kupiłem ją parę dni temu. Ponieważ uparcie twierdzi, że to jego, zostawiam ten problem na później, w tej chwili najważniejsze jest wyjaśnienie sprawy rachunku. Przed oblicze gospodarza zostaje doprowadzony także drugi amator wina doprowadzony przez Wojtka, spokojnego zazwyczaj chłopaka. Jego przeciwnik był bardziej agresywny i próbował karate, ale trafił na dobrego dżudokę. Stoi więc tych

dwóch nieszczęśników przed szefem, otoczeni są przez naszych i obsługę winiarni. Po krótkiej dyskusji Czesi zapłacili rachunek. Teraz ja zabieram głos:

- Słuchajcie! Ten facet zabrał mi zapalniczkę. Muszę ją odebrać, ale nie mieszajcie się do tego. To moja sprawa.

W tym momencie Czech, dotąd spokojny, krzyczy gwałtownie:

- Wy Polacy jesteście dranie, bo razem z Rosjanami napadliście na nas w 68 roku!... A zapalniczki nie oddam, bo to moja!

Stoję przed nim, za jego plecami urwisko. Rąbnę w szczękę, to jeszcze coś połamię lecąc w dół, a więc pogotowie i milicja na karku. Poza tym, jestem opiekunem tych studentów, trochę nie wypada... a i żal mi się zrobiło chłopaka. Jest wprawdzie wyższy i roślejszy, ale wyraźnie pijany. No i... ma rację z tą agresją.

Moi wzięli te wahania za przejaw słabości i zniecierpliwieni skoczyli do chłopca. Skoczył mu pomóc karateka, uzbrojony w pęk kluczy, ale nasi szybko go odpędzili. Stanął w bezpiecznej odległości i zaczął przeklinać, ten "mój" również zaczął bluzgać: Polnisches schweines, kurwy!

No - tego było już za dużo, studenci rzucili się do niego. Z trudem przywołałem ich do porządku. Do akcji postanawiają wkroczyć Węgrzy, rozumiejący świetnie po niemiecku. Nawet nasz, nadzwyczaj spokojny, opiekun ze strony węgierskiej jest oburzony:

- Słuchajcie, jeśli wy nie potraficie załatwić sprawy, to my to załatwimy sami!

Gorączka zgromadzonych sięga zenitu, jeszcze trochę - a będzie tu lincz! No cóż, nie ma innego wyjścia. Biorę chłopca silnie pod ramię i odprowadzam na bok. Stanąłem nierozważnie między naszą rozjątrzoną gromadką, a karateką. Jeszcze raz żądam oddania zapalniczki. Na jego stanowcze: Nie, bo to moja - błyskawicznie zakładam mu od tyłu "nelsona" prawą ręką, lewą sięgając do jego kieszeni. Nie zdążyłem sięgnąć, bo karateka skoczył do mnie, nogami do przodu, zamierzając trafić w głowę. Równocześnie - tupot nóg z drugiej strony, to nasi ruszyli na odsiecz. Instynktownie, przysiadłem, nie zwalniając uchwytu. Ciało napastnika przeleciało nad nami... Rąbnął plecami o ziemię, aż zadudniło. Ten trzymany przeze mnie również sflaczał i znieruchomiał. To Wojtek, najszybszy z naszych, znokautował go ciosem w szczękę. Z kieszeni leżącego wyciąga dwie identyczne zapalniczki. Dwa ciała leżą nieruchomo obok siebie - nieruchomo, leżących nie bije się.

Przyglądam się uważnie ich twarzom. Wydaje się, że w każdej lekko drżą przymknięte powieki. Uśmiecham się i proszę obsługę o wiadro wody. Z rozmachem chlustam wodą na obie głowy. Poderwali się jak jeden mąż - z identycznym okrzykiem: Her Gott!

Świadkowie śmieją się gromko i serdecznie. Oddaję zatem nieszczęśnikowi zapalniczkę, pokazując przy tym drugą:

- Danke schon. Auf wiedersehen!...

Płyniemy dalej, komentując jeszcze opowiadanie.

- Dlaczego ci Czesi mówili później po niemiecku? - pyta Tramp.

- Nie wiem. Być może - byli to Niemcy Sudeccy. Spotkałem takich farbowanych Czechów parę razy na Dunajcu. Zawsze były z nimi problemy. Lubili dużo wypić i później zachowywali się hałaśliwie, włączając się nocą po biwaku i szukając zwady.

Dobijamy do Potos. To pięćdziesiąty trzeci kilometr, licząc od portu Thasos. Jemy obiad i zwiedzamy malownicze miasteczko, zupełnie jak z bajki. Nastąpiła pora sjesty, wyciągamy się z rozkoszą na piaszczystej plaży, upodabniając się do innych turystów.

Podnoszę głowę na słowa "dzień dobry". Stoi przed nami starszy pan w okularach. Siadam i zaczynam rozmowę. Okazuje się, że to Niemiec z Gdańska. Opuścił to miasto w 1945 roku. W przyjacielskiej atmosferze gawędzimy trochę, wypijając przy okazji po piwku. Starszy pan mówi po niemiecku, wtrącając sporo słów polskich, aby popisać się dobrą pamięcią. Spędza w Potos wakacje. Jest na emeryturze, więc siedzi tu już parę miesięcy.

Ostatnio przyjechała do niego żona z córką. Zastanawiam się, jak wysoką musi mieć emeryturę?

- Tutaj jest tanio - wyjaśnia.

- Czy żałuje pan tego, że opuścił Gdańsk?

- Trochę mi żal, urodziłem się w Gdańsku, tam jest moja Ojczyzna. To żona namówiła mnie do wyjazdu, bała się komunistów. Ja nie musiałem się obawiać, mam poglądy lewicowe. Poza tym jestem pół-Polakiem...

Zaśmiałem się w duchu z naiwności emeryta. Gdyby został w Polsce, to - pomijając jego wątpliwą przeszłość partyjną i naiwne poglądy na temat komunizmu - siedziałby pewnie w mamrze za niejasne pochodzenie narodowe. Teraz nie spędzałby przedłużonych wakacji na pięknej wyspie, a stałby w kolejce po kawałek chudego sera na śniadanie, bo na tłusty, emeryta w Polsce nie stać. Nie wspominając już o wczasach, w kraju naturalnie. To Niemcy, ci zachodni, wygrali drugą wojnę światową. Wbrew pozorom, ale nie chcę o tym wszystkim mówić sympatycznemu gdańszczaninowi.



Spotkanie z niemieckim emerytem (ten z lewej)

Żegnam się więc serdecznie z emerytem "*made in Germany*". Trzy Neptuny z białoczerwonymi banderkami dumnie odpływają. Przecinamy zatokę Limenaria, biorąc nazwę od niewielkiego portu rybackiego położonego 3 km za Potos. Kierujemy się na zachód w kierunku przylądka Kefalas, podziwiając piękno lazurowych wód zatoki, okolonej wzgórzami porośniętymi lasem piniowym. Zatoka jest osłonięta od wiatru, morze gładkie jak lustro. Spotkanie z niemieckim Polakiem z Gdańska wyzwała we mnie falę refleksji...

Było to na jednym ze splywów Metalowców, kilkanaście lat temu. Pływaliśmy, jak zwykle, po Mazurach. Organizatorzy zaprosili na jedno z ognisk, znanego na tych terenach, przywódcę walki o zachowanie polskiej tożsamości narodowej. Siwiuteńki jak gołąb staruszek opowiadał o swoich perypetiach dziejowych. Podczas pierwszej wojny walczył ubrany w niemiecki mundur Kajzera. Po wojnie organizował Plebiscyt, przegrany przez Polaków. Tereny te zostały "pod Niemcami", nasz bohater działał jednak dalej, został nawet postem,

przedstawicielem mniejszości polskiej w berlińskim Reichstagu. Z chwilą dojścia Hitlera do władzy zaczęły się prześladowania, więzienia, tortury. Podczas drugiej wojny walczył w szeregach AK, wielokrotnie cudem uniknął śmierci. Doczekał się wreszcie upragnionej Polski. Niepodległej, ale tylko w słowach. Nie wymarzonej od wieków Macierzy, ale Macochy. Prześladowania, jakie dotknęły autochtonów, były skuteczniejsze niż za Hitlera. Jego synowie opuścili ziemię rodzinną. Wyjechali, podobnie jak większość Mazurów i Warmiaków do... Niemiec. Nie wytrzymali. Został sam z rozdartym sercem. Łzy popłynęły z oczu starca...

Zapadła niemila cisza... Któryś z organizatorów trąca mnie w plecy: Zagraj coś! Poproszono mnie już wcześniej, bym zaśpiewał jakąś piosenkę na zakończenie spotkania. Melodię, która odpowiadałaby nastrojowi chwili, może coś śpiewanego przez AK. Ale w trakcie słuchania tej tragicznej opowieści zrozumiałem, że tu trzeba sięgnąć głębiej, do korzeni. Ale co? Myślę gorączkowo... Jest! Tylko „Rota” Konopnickiej! Pamiętam jednak tylko pierwszą zwrotkę:

"Nie rzucim ziemi skąd nasz ród
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud
Królewski szczep piastowy.
Nie damy, by nas gnębił wróg
Tak nam dopomóż Bóg..."

Reszta pieśni, jej słowa, uleciały z pamięci. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat nie śpiewano jej w Polsce, bo była... zbyt polska. Czasami była śpiewana w kościołach w wersji religijnej, nigdy w szkołach. Owszem, śpiewano ją po wojnie, zwłaszcza na obozach harcerskich, prowadzonych jeszcze przez przedwojennych instruktorów. I jak tu zaśpiewać temu człowiekowi tylko jedną zwrotkę? Przyznać się do częściowego wynarodowienia, zerwania więzi z tradycją naszych przodków?

Kto ze zgromadzonych tu dwustu polskich wodniaków może znać cały utwór? Pytam na lewo i prawo. Jest! Jamnik przypomina niejasno część drugiej zwrotki. Ale to za mało. Ostatnia nadzieja, to Wiera, lekarz splywu. Wprawdzie jej dziad, to książę Potemkin, ale to ona nam pomogła. Mamy już drugą zwrotkę:

"Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Wroga nam zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg!
Tak nam dopomóż Bóg..."

Trzecią przypominamy łatwo:

"Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił,
Orężny wstanie hufiec nasz
Duch będzie nam hetmanił.
Pójdziem, gdy zagrzmi złoty róg!
Tak nam dopomóż Bóg!"

- Tak nam dopomóż Bóg - śpiewali już wszyscy zgromadzeni potężnym chórem.

A starzec wznosił ręce ku niebu:

- Dziękuję wam, moje dzieci! Teraz już wiem, że moja walka nie poszła na marne. Stary już jestem i tu złożę swoje kości. Umrę na swojej ziemi spokojny, że nie zostaliście wynarodowieni, odarci z polskości. Ja już nie dożyję, ale wiem, że wy doczekacie W o l n e j P o l s k i.

Koledzy są poruszeni opowieścią. Tramp, którego rodzice uciekli z Litwy na Dolny Śląsk, by uniknąć okupacji sowieckiej, dodaje, że losy Ślązaków były równie ciężkie po wojnie.

- To, czego Niemcy nie załatwili przez 150 lat zaborów, komuniści zrobili w "try miga". I to jest chyba jedyna wyższość systemu - stwierdza melancholijnie Tramp.

Póki co, płyniemy wolni i niezależni od systemów i granic. Opływamy przylądek Kefalas (to sześćdziesiąty pierwszy kilometr od Thasos) i kierujemy się wzdłuż brzegów na północ. Za cyplem, w płytkiej zatoce, dobre miejsce na biwak. Jeszcze cztery kilometry i mijamy miejscowość Skala Maries. Jedna z odnóg przybrzeżnej szosy wiedzie wprost na brzeg morza.

- Tutaj można by załadować lub wyładować kajaki - notuję.

Dalej brzeg jest niski, wzdłuż lądu towarzyszy nam szosa. Jak by to było miło spotkać na niej nasz autokar. Jacyż ci ludzie są ograniczeni. Przejechali parę tysięcy kilometrów i zamiast korzystać z okazji zwiedzenia pięknej wyspy, gniją w jednym miejscu, wpatrując się na plaży we własny pępek. Mógłbym wprawdzie nakazać ich przejazd na wyspę, ale po co uszczęśliwiać ludzi na siłę?



Sułtan z załogą

Po prawej miejscowość Skala Kalirachis, to już 73 kilometr od Thasos. Jest godzina 18-ta, od ponad dziesięciu godzin jesteśmy na wodzie, zaczynamy rozglądać się za biwakiem. Pilotów z przodu nie widać, zamka z tyłu również. Tych pierwszych już dziś nie dojdziemy, ale trzeba poczekać na ostatnich. Mijamy miasteczko i kilometr dalej dobiegamy do brzegu. Miejsce niezbyt ładne, kilka krzaków i rozłożysta oliwka zamiast lasu, ale w zasięgu wzroku nie widać nic lepszego. Biwak ma tę zaletę, że jest widoczny od strony morza. Wciągamy kajaki na metrową skarpe, stają dwa namioty i płonie nieduże ognisko, przy którym Sułtan ogłasza swoje imieniny. Spokojną, miłą atmosferę rozwadnia lekki deszczyk. Ludzie są zmęczeni, dziś zrobiliśmy około 34 kilometrów i około 23-ciej na biwaku zapada cisza.

Dzień wstaje pochmurny, jest cicho i parno. Czyżby cisza przed burzą? Dziś 4-ty dzień spływu, pogoda jest ważna, bo szykujemy się do skoku przez cieśninę do Keramoti. Nie śpieszymy się z odpłynięciem, czekamy na zamek. Ponieważ brzeg jest niezbyt przyjemny, nie można się wykąpać. Zastępczo, w ramach porannej gimnastyki, robię Hata-jogę. Wzbudza ona ogólne zainteresowanie, wszyscy zaczynają powtarzać niektóre ćwiczenia. Demonstruję je kilkakrotnie, omawiając korzyści płynące z systematycznego ćwiczenia poszczególnych pozycji.

Po ogólnej gimnastyce dziewczyny ze wzmożoną energią przystępują do robienia późnego śniadania. Pobudzone nadmiarem wolnego czasu, szaleją! Ogłaszają śniadanie z dziesięciu potraw: ser, masło, jaja, chleb, chrupki, kakao, mleko z puszki, winogrona, miód,

dżem. No i kiełbasa, czyli mięso. Podstawowe menu Polaka, dlatego zapomnieli je policzyć w jadłospisie. Jemy solidnie i powoli, nie musimy się śpieszyć, zapewne to samo robi grupa zamkowa. W tym momencie rozumiem już porannych smakoszy, jeżeli godzinę jedenastą można uznać za taką. Mamy świadomość, że za parę godzin oderwiemy się od opiekuńczego brzegu wyspy i popłyniemy na pełne morze. A może tam być różnie... Póki co - apetyt dopisuje.



Obfite śniadanie

Po tak obfitym śniadaniu leniwie pakujemy rzeczy do kajaków, popatrując na morze, w nadziei ujrzenia zamka. Jakiś czas czekamy w kajakach. Po stwierdzeniu, że pewnie mają śniadanie z dwudziestu dań, decydujemy się płynąć do przodu, by poszukać jakiejś ładnej plaży, nadającej się do kąpieli. Leniwie wiosłując osiągamy po 7-miu kilometrach Cape Prinos. Przepiękny, piaszczysty brzeg, zachęcający do kąpieli, zwłaszcza, że słońce przebiło się przez mgłę i zaświeciło pełnym blaskiem i zarem. Tramp niecierpliwie wyskakuje z kajaka, by rzucić się w wodę i nieruchomieje:

- Kajaki przed nami! - krzyczy.

No, nareszcie! Po chwili dobijamy do Krakersów. W pełnej obsadzie, dwa kajaki leżą wzdłuż brzegu.

- A gdzie piloci? - pytam na przywitaniu.

- Popłynęli do Thasos - odpowiada jeden z panów.

- Chcieli opłynąć wyspę, by zamknąć szlak - dopowiada drugi.

Milczę i czekam na dalszy ciąg. A tu nic. Ani słowa wyjaśnienia. Zachowują się tak, jakbyśmy się przypadkowo spotkali na jakimś splywie, gdzieś w kraju. Uśmiechają się dobrodusznie, wicekomandor i pilot zagranicznej wyprawy kajakowej, sabotujący z rozmysłem regulamin i zasady przyzwoitości. To szczęście, że nie było jakiegoś wypadku! Bezmyślność, głupota, brak wyobraźni czy złośliwość?

Stoję w milczeniu, przytłoczony nadmiarem myśli. Cóż im mogę powiedzieć? Odchodzę bez słowa.

Kąpiemy się do woli, czekając na zamek, którego wciąż nie widać. Nie martwię się zbytnio, nie było żadnej burzy po drodze, poza tym - są to weterani, samotnicy, indywidualiści. O pilotów też się nie martwię. Sam bym na ich miejscu popłynął do przodu. Pod warunkiem aprobaty komandora. I o to mam do nich żal...



Oczekiwanie na zamek

Oczekiwanie na zamek przedłuża się. Ruszamy z Trampem wzdłuż brzegu na zwiady. Wchodzimy w głąb miejscowości Skala Prinos, w cieniu drzew. Z nastroju i położenia przypominającej Jastarnię, czy Juratę. Cisza, bezludnie, czas sjesty. Na szczęście sjestą się kończy i można przepłukać gardło piwem. Możliwość znalezienia piwa zawsze wpędza nas w stan szczęśliwości. Kiedyś, w niedzielę zwiedziliśmy pół Warszawy na próżno! Jak to niedużo trzeba, by uczynić człowieka człowiekiem.

W pełni formy wracamy do naszych.

14.50. - Widzę kajaki, widzę kajaki - krzyczy Szekla. Wkrótce dwie osady dobijają do brzegu. Chwała Bogu - jesteśmy razem. Startujemy. Do biwaku w Keramoti około 20-tu kilometrów. Po przepłynięciu 10-ciu osiągamy Cape Pachis, najdalej na północ wysunięty przylądek wyspy. Przed nami rozciąga się morze, do lądu stałego 10 km. Wiatr ucichł, lazurowa woda spokojna, jak w sadzawce. Docent prosi o pozwolenie płynięcia wprost do Kavali. Patrę na mapę. Mają do zrobienia około 40 km. Trasa, po osiągnięciu linii brzegu przebiega wzdłuż piaszczystej plaży. Powinni dobić do Kavali jutro przed południem. Rozstajemy się, nasi kajakowi włóczędzy płyną na lewo, my lekko na prawo. Do zobaczenia, do jutra. Godzinę przed zachodem słońca dobijamy do biwaku. Grupka pilotowa już tam jest.

ROZDZIAŁ VII

WDOWA Z KERAMOTI

Marynarze przybyli do portu, czas więc na zabawę. Pytamy Eury czy jest tu odpowiedni lokal z dobrą grecką muzyką. Jest - Eura chodziła tam co wieczór i jest zachwycona. Niezwłocznie przebieramy się z Trampem w białe spodnie i jasne koszulki. Przy naszej opaleniznie wyglądamy nieźle. Ruszamy z przewodniczką na podbój portu. W przytulnym lokalu zamawiamy kolację z winem i opowiadamy Eurze nasze wrażenia. Po kolacji przenosimy się do drugiej części lokalu, słyhać już muzykę. Przestronne pomieszczenie, kilkadziesiąt stolików pod plastikowym dachem, otwarte z jednej strony. Widać niebo i gwiazdy. Jesteśmy w trójkę, ale po chwili dobija kilka naszych pań, też spragnionych muzyki. Grają dwaj chłopcy - jeden na gitarze, drugi na buzuki - i śpiewają greckie piosenki. Nareszcie folklor. Obok podium dla orkiestry mały okrągły parkiet, jeszcze pusty, chociaż większość stolików jest zajętych.

- Czy tu się nie tańczy? - pytam bywalczynię.
- Ależ oczywiście! Wczoraj tańczyłam cały wieczór.
- No, to chodź zatańczyć.
- Przecież nie ma nikogo na parkiecie.
- Nic nie szkodzi, będziemy pierwsi.

Jednak Eura nie daje się namówić. A muzyka piękna, charakterystyczne, podobne nieco do skrzypiec, przeciągłe dźwięki buzuki chwytają za serce. Spoglądam po naszych paniach. Zauważam, że Świtezianka też jest podniecona nastrojem i grecką muzyką. Proponuję jej taniec, dziewczyna zrywa się z ochotą. Na wszelki wypadek idziemy tańczyć poza parkiet, na drobny żwirek poza stolikami. Świtezianka porusza się doskonale - lekko i rytmicznie. Okazuje się, że bardzo lubi tańczyć, skończyła nawet kurs tańca towarzyskiego. Zgrywamy się błyskawicznie. Po kilku tańcach, a tańczymy samotnie, rozlegają się brawa na sali. Zagrano zorbę i obok nas pojawiają się pierwsze pary greckie. W zorbie nigdy nie byłem mocny, mimo że wielokrotnie uczyłem się jej podczas pobytu w Bułgarii u greckiej rodziny. To specyficzny taniec i kroki. W jednym z taktów, przy którym według ogólnie przyjętych zasad, należałoby postawić nogę zgodnie z kierunkiem ruchu, następuje nagły zwrot w kierunku przeciwnym i zawsze się mylę. Za bardzo wbiły mi się w podświadomość i nogi tańce europejskie i południowo-amerykańskie. Tworzy się krąg ludzi splecionych ramionami, w który wciągnięto i nas. Ja, niestety, popełniam co chwila fałszywy krok. Jakaś grecka piękność bierze mnie w opiekę i pokazuje kroki. Niestety - i tak robię po swojemu. Ale atmosfera ożywiła się. Na przestronnym placyku robi się tłok. Po jakimś czasie wracamy mokrzy do stolika. Na nim bateria butelek z piwem.

- Ja nie zamawiałem - mówię. - Kto to zrobił?
- Ja też nie - wyjaśnia Tramp. - Po prostu przyniósł je kelner.

Przywołuję więc kelnera i proszę o wyjaśnienie. Okazuje się, że to prezent od stolika blisko parkietu. Siedzi tam dwóch panów i trzy panie. Jedna z nich to moja znajoma z parkietu. Kiwiają nam przyjaźnie rękami i podnoszą w naszym kierunku lampki z winem. Podejmujemy dialog unosząc nasze szklance z piwem. Przywołuję kelnera, by zaniósł im w rewanżu butelkę wina na mój rachunek. Po jakimś czasie proszą mnie do siebie. Tłumaczą mi, że to był ich prezent za nasz piękny taniec. Ja wyjaśniam, że z mojej strony to było podziękowanie za naukę zorby. Na chwilę siadam przy nich. Zagrała muzyka, ale nie odważam się prosić nauczycielki zorby do tańca. Nie znam tutejszych zwyczajów ani układów przy stoliku i nie chciałbym wywołać niepotrzebnego konfliktu. Wracam więc do stolika i ponownie proszę Świteziankę. Tym razem - już na parkiet. Orkiestra, jakby specjalnie dla nas, gra standardowe tańce europejskie: fokstrot, slow-fox, walc angielski. Tańczymy jak w

transie. A później - samba, mój ulubiony taniec. Raz po raz rozlegają się brawa, stajemy się centrum zainteresowania sali. Parkiet jest pusty, tańczymy tylko my. Raptem pojawia się przy nas pijany nieco tubylec. Usiłuje również tańczyć, solo, ale wyraźnie nam przeszkadza. Facet w stylu naszego osiłka na wiejskiej zabawie w remizie strażackiej. Muzyka milknie, wracamy do stolika, na którym czeka nowa bateria piwa. Panie są zachwycone naszymi popisami tanecznymi, prawią jakieś komplementy, ale ja jestem niespokojny. Coś wisi w powietrzu, czuję, że będę miał przeprawę z podchmielonym młodym Grekiem. Wiedziony jakąś dziwną intuicją, zdejmuję sandały i podkasuję nogawki u spodni, tak właśnie jest ubrany mój antagonist. Szykuję się do pojedynku. I rzeczywiście! Grek podchodzi do mnie i ciągnie na parkiet. Orkiestra, jakby wiedziała o co chodzi, zaczyna grać w stylu hiszpańskiego passodoble. Nastrój corridy. Przeciwnik rusza na mnie jak byk. Czyni to w konwencji tańca, ale atakuje bardzo gwałtownie ciałem. Odskakuję w ostatnim momencie, na szczęście parkiet jest pusty, na arenie my dwaj. Znowu rytmiczne ruch w takt ostrej muzyki. Ponowny atak i udany unik. Powtarza się to wielokrotnie. Powoli się odprężam i sytuacja zaczyna mnie bawić. Facet chciałby mnie zniszczyć, jest jednak bardziej masywny i wyraźnie brakuje mu zręczności i refleksu. Przejmuję inicjatywę, krążę koło niego i podpuszczam do ataku, a po każdej nieudanej szarży krzyczę: Ole!

Orkiestra przyspiesza rytm, atakujący rusza na całego. Teraz sala się bawi i krzyczy - Ole! po każdym bezskutecznym ataku. Zaczynają się śmiechy i gwizdy, bo byk wyraźnie opadł z sił, jest spocony i ciężko dyszy. Teraz należałoby go dobić szpadą. Robię jeszcze jeden efektowny unik i pozoruję śmiertelny cios. Rozlegają się brawa.

Facet całkiem opadł z sił. Schodzi z areny, ale nagle zawraca i robi zwykły gimnastyczny przewrót w przód. Ja w odpowiedzi - salto w tył. Ryk publik i owacje. Grek nieoczekiwanie podchodzi do mnie i podaje rękę. Na znak zgody.

Czuję, że całkowicie podbiłem salę. Żeby ją dobić podchodzę do chłopców z orkiestry i proszę o piosenkę "*Obromosi neskatonos*". Ci zaczynają grać, biorę do ręki tamburino i śpiewam do mikrofonu. Widzę jak powoli wszystkie głowy zaczynają się zwracać w moją stronę i na twarzach początkowe zdziwienie i niedowierzanie, zamienia się w uśmiechy sympatii. Ten dziwny cudzoziemiec śpiewa ich melodię i w dodatku w ich ojczystym języku. Zaczynają śpiewać razem ze mną. Z tamburinem, wybijając takt melodii, ruszam w głąb sali na podbój tych, którzy jeszcze nie śpiewają. Wszyscy się bawią, a ja wraz z nimi. Kelnerzy zwijają się jak w ukropie, by nadażyć za zamówieniami. Dziś właściciel pewnie podwoił dochody. Orkiestra gra następnie coś do tańca, ja z tamburinem tańczę między stolikami, Grecy tańczą również. Amok zabawy ogarnia wszystkich...

Raptem - światło gaśnie. Orkiestra odkłada instrumenty. Co się stało? Okazuje się, że dziś jest niedziela, w lokalu pracują tylko do dwunastej. Członkowie orkiestry wychodzą. Rozbawieni ludzie z ociąganiem wstają od stolików.

- Co? orkiestra nie chce grać? Dajcie gitarę i bawimy się dalej!

Właściciel lokalu wzbrania się:

- Nie mogę, odbiorą mi koncesję...

- A kto odbierze? - pytam.

- Policja - odpowiada i wskazuje za moje plecy. Odwracam się. Stoi przede mną wysoki, barczysty młody facet w mundurze. U pasa sterczy rękojeść colta. W ręku butelka piwa. Policjant spogląda na mnie z uśmiechem. Podajemy sobie ręce.

- Georgos - mówi.

- A ja - Jerzy, po grecku Georgos. Czyli - jesteśmy imiennikami. Tu nie można się bawić?

- Niestety, nie. Ohi - dodaje po grecku.

- A na plaży?

- Ne - odpowiada, co znaczy tak i potwierdza skinieniem głowy, uśmiechając się łobuzersko. Rozmowa odbywa się obok bufetu, przy wyjściu. Przysłuchuje się jej mnóstwo rozbawionych

jeszcze Greków. W pobliżu stoją ci, którzy stawiali nam piwo, w tym i moja grecka sympatia. Uśmiecha się do mnie zachęcająco. To mnie dopinguje.

- Zapraszam wszystkich na ognisko na plażę. W obozie mam akordeon i gitarę.

Zgromadzeni, łącznie ze stróżem porządku, przystają z entuzjazmem na propozycję. Wsiadamy do samochodów. W pierwszym, policyjnym - ja z Georgosem. Z tyłu siada Eura. Tramp z głupią miną sadowi się obok niej.

- A nie jedziemy przypadkiem do „wytrzeźwiarki”? - pyta wyraźnie zaniepokojony.

Niepokój Trampa jest nieco uzasadniony, bo policjant włącza dla fasonu sygnał "wóz w akcji". Na pełnej szybkości pędzimy w stronę obozu. Za nami reszta wozów. Nasz obóz spowija ciemność. Zatrzymujemy się nie opodal, biorę po cichu akordeon i gitarę, by nie przeszkadzać śpiącym. Udajemy się na plażę, Grecy niezwłocznie przystępują do robienia ogniska. Po chwili bucha olbrzymi płomień, krajowcy na rozpałkę włożyli starą oponę samochodową. Ku niezadowoleniu Trampa, który czuje się tu bezrobotny. Jest zresztą całkiem wybitny z rytmu. Wyraźnie podoba mu się grecka piękność, a nie ma odwagi, by zaprzyjaźnić się bliżej. Mnie podoba się również, chętnie bym ja przytulił, ale ja mam ręce zajęte. Instrumenty na zmianę w użyciu. Śpiewamy greckie i polskie piosenki oraz przeboje taneczne. Wspaniała zabawa, szkoda, że nie mogę tańczyć. Ale mam nagrodę w postaci uśmiechu pięknej Greczynki, której czarne oczy działają na wyobraźnię. W blasku ognia wydaje mi się, że jej wzrok jest wyzywający...

Ognisko, tak jak nagle się zaczęło, tak i gwałtownie zgasło. Parę godzin przepysznej zabawy minęło jak pięć minut. Żegnamy się z greckimi przyjaciółmi i wracamy w ciemności na biwak. Eura konspiracyjnym szeptem oznajmia mi, że jedziemy na akcję. Ścisłe tajną, bo nie można zabrać Trampa. Istotnie, na poboczu stoją dwa wozy z wygaszonymi światłami. Wsiadamy do pierwszego. W środku - dwóch naszych znajomych panów, to ci - którzy stawiali piwo. Ruszamy, drugi samochód również. Pewnie tam jadą panie. Okazuje się że jedziemy do prywatnej dyskoteki jednego z tych panów. Doskonale, nareszcie będę mógł potańczyć. Może z piękną nieznajomą? Oglądam się. Drugi samochód zniknął. Powoli wkrada się niepokój. Po paru kilometrach dojeżdżamy do zabudowań na uboczu. Ciemno... Szef wychodzi, otwiera bramę, włącza oświetlenie i muzykę. Istotnie, to dyskoteka! Bar obficie zaopatrzony we wszystkie trunki świata.

- Wybieraj, co chcesz - właściciel robi zachęcający ruch w kierunku imponującej baterii trunków.

Po głębokim namyśle wybieram jakąś zachęcającą z wyglądu butelkę wina.

- Nie chcesz koniaku albo whisky? - dziwi się.

- Nie, o tej porze nie piję już nic mocniejszego. Poza tym - lubię wasze wino. Jest wspaniałe!

Kiwa ze zrozumieniem głową. Ja jednak świadomie dokonałem tego wyboru. Przy ognisku sporo wypilem. Przedtem też nie wylewałem za kołnierz. Wino mogę sączyć bez obawy, że zakręci mi się w głowie. Zwłaszcza, że mam ją tylko jedną. Jestem niespokojny, bo coś tu nie gra. Siedzimy we czworo, drugi samochód jakoś się nie zjawia. Panowie markują picie jakichś koktajli i bacznie mnie obserwują. Natomiast jedyna kobieta jest bardzo ożywiona i pełna inicjatywy. Rozmawiają we trójkę po angielsku. Niestety, nie znam tego języka na tyle by rozmawiać, orientuję się jedynie, że Eura mówi o mnie jako o mężu.

- Zapytaj ich, gdzie jest reszta towarzystwa - proszę.

Ta spełnia życzenie. Okazuje się, że nikt tu nie przyjedzie.

- O co wam chodzi? - pytam wprost.

- Chcemy przespać się z twoją żoną - oświadczają cynicznie.

To takie buty! Jest ich dwóch, w dodatku na własnym terenie. Mogą zrobić ze mną, co zechcą. A przynajmniej tak im się wydaje. Zwłaszcza, że kobietę mają za sobą... Trzeźwieję błyskawicznie. Odstawiam powoli szklankę z doskonałym winem, które przestaje mi smakować. Obaj patrzą na mnie bacznie zwięzonymi oczyma.

- Zgoda - mówię po chwili.

 Grecy odprężyli się.

- Ale... pod jednym warunkiem.

- Ależ oczywiście! - zawołali z entuzjazmem.

- Macie żony?

- Nnno... mamy.

- To przywieźcie je tutaj. Ja też chcę się zabawić. A jedna Polka warta jest co najmniej tyle, co dwie Greczynki!

 Zamurowało ich! Po chwili spojrzeli po sobie. Ale nie dałem im czasu do namysłu.

- Widzę, że nie macie ochoty oddać mi swoich żon. Nie jestem gorszy od was i mojej również nie oddam. A teraz odwieźcie mnie natychmiast na biwak. Jest w tej chwili godzina czwarta.

 Jeśli za godzinę nie będzie mnie w obozie, moi ludzie podniosą alarm. Poza tym, wasza policja wie, że tu przyjechałem. Gdy zęgnąłem się z Georgosem - powiedziałem mu o tym.

 Wszystko, co mówiłem, to był oczywisty bluff. Ale ci zawahali się...

- Jazda! - mówię. - Nie mam czasu. Jeżeli nie będę za chwilę na biwaku, to ty, przyjacielu pożegnasz się ze swoją licencją na prywatną dyskotekę. Jest czynna w niedozwolonej porze, a w dodatku chcesz z niej zrobić burdel!

 Ostatni cios był celny i trafił widocznie w czuły punkt Greka. Wstał wściekły i z ponurą miną odprowadził nas do samochodu. W milczeniu odwieźli nas na biwak...

 Ledwie zamknąłem oczy, a już muszę je otworzyć. Pobudka. Za godzinę odjazd. Wszyscy się zwijają. Upał nie do wytrzymania. Kac również! Co chwilę przerywam pakowanie i wkładam głowę pod kran z wodą. Na zmianę z Trampem. Ach, te marynarskie przygody w obcych portach!

 Na biwaku pojawia się grupka kobiet greckich. Zapewne - w celach handlowych. Niestety, nie mam czasu, by do niej podejść i chwilę porozmawiać. Wstałem za późno, mam jeszcze do rozmontowania kajak, a Tramp zupełnie nie nadaje się do myślenia. Nie wypada, by autokar czekał specjalnie dla mnie. A szkoda, bo nasze panie dogadały się ze ślicznotką. Przyszła dziś bez wczorajszych opiekunów i okazało się, że to wdowa. Gdyby nie szalone tempo przeżyć, wszystko to działo się przecież w ciągu niecałej pół doby, może dogadalibyśmy się. Inaczej zakończyłaby się wczorajsza, to znaczy dzisiejsza noc. W każdym razie - na pewno miałbym jej adres. Tramp długo nie mógł zapomnieć nieznanomej, później często wspominał piękną wdowę z Keramoti...

Rozdział VIII

CZUCZKA W CIENIU OLIWKI



*...kilkanaście metrów od brzegu morza, rośnie olbrzymia oliwka..
(Czuczka w cieniu oliwki)*

Upał! Jedziemy do Kavali, by odebrać "desant". Raptem - kierowca gwałtownie hamuje. Niektórzy spadają z foteli. Wrażliwsze kobiety mdleją... Cudem uniknęliśmy wypadku. Ścisłej: dzięki wspaniałemu refleksowi kierowcy. Dojeżdżamy do miasta w samo południe. Chwila dyskusji - co robimy? Zwiedzamy Kavalę czy idziemy na plażę? Ludzie wybrali zwiedzanie. Wsiadam tylko z Trampem, idziemy na plażę, tu ustaliliśmy miejsce lądowania Docentów. Plaża jest niestety strzeżona i zarezerwowana dla gości pobliskiego hotelu, a innej nie ma w pobliżu. Dyskutuję chwilę z portierem, niestety - nie mam zwyczaju dawania łapówek. Jednak potrzeba kąpieli, no i obowiązek odebrania kajakarzy jest poza wszelkimi przeszkodami. Wchodzimy przez płot. Naszych jeszcze nie widać, więc błyskawicznie rzucamy się w wodę. Kąpiel jest najlepszym lekarstwem na kaca, zwłaszcza jeśli po niej wypije się piwo. Pociągając ożywczy napój przychodzimy powoli do siebie po wczorajszych przygodach.

Załoga przybyła punktualnie, zupełnie jak przedwojenny polski pociąg. Niesiemy we czwórkę kajak, defilując przed oczami zdumionego portiera. Autokar podjechał właśnie pod

budkę strażnika, okazało się, że zrezygnowano ze zwiedzania. Upał sparaliżował wszystkich. W dodatku - dzielnica handlowa, która najbardziej interesowała naszych turystów, była zupełnie wyludniona. To sjesto, o której ciągle zapominają przybysze z północy. Teraz siedzą w autokarze półprzytomni ze zmęczenia i gorąca po uciążliwej wędrówce wśród rozpalonych słońcem murów miasta.

Kierujemy się na półwysep Chalcydycki, następny cel naszej włości kajakowej. Półwysep ten, zwany przez Greków Halkidiki, ma bardzo ciekawy kształt i wchodzi w Morze Egejskie jakby trzema mackami, wąskimi półwyspami, każdy o długości kilkudziesięciu kilometrów. Wspaniały teren do turystyki, ze względu na zatoki między półwyspami, chroniące nas przed zbyt silnymi wiatrami. Półwysep zachodni nazywa się Cassandra, środkowy Sithonia, a wschodni Agion Oros. Dwa pierwsze z nich mają być terenem naszej penetracji, bo trzeci jest częściowo zamknięty dla turystyki. A szkoda, bo jest najbardziej malowniczy. Na jego południowym cyplu znajduje się słynna góra Athos o wysokości 2033m. Półwysep ten jest pokryty siecią klasztorów, do których nie mają wstępu kobiety, by nie wodzić na pokuszenie świątobliwych mnichów. Mężczyźni mogą tam dotrzeć po uzyskaniu specjalnych zezwoleń. Dojazd jest jednak możliwy tylko statkiem od strony morza, ze względu na góry - brak tam dostępu drogą lądową.

Z Kavali do półwyspu Cassandra jest około 250 km, więc nie dojedziemy tam dzisiaj. Nocujemy na przygodnym biwaku nad brzegiem morza. Przygodnym, bo nieodpłatnym, ale za to z przygodami. Okazuje się to następnego ranka. Autokar przy wyjeździe zakopuje się w piachu. Ci, co chcieli zaoszczędzić nie płacąc za kemping płatny, tracą pieniądze na ciągnik, który wyciąga autokar na twardy grunt. Miejsce to jest widocznie pułapką nie tylko dla oszczędnych Polaków, ciągnik pracuje tu na stałym dyżurze.

Kassandra okazuje się niegościnna - nie można znaleźć tu odpowiedniego miejsca na tygodniowy biwak. Zamierzałem pierwotnie ustanowić tu bazę, z której można by robić gwiazdzone wypady na pozostałe dwa półwyspy. Krakersi proponują zatokę między Kassandrą a Sithonią. Jest tam ładny kemping, na którym spędzili wakacje w zeszłym roku. Zawracamy i około godziny 15-tej osiągamy miejscowość, leżącą 5 km przed zamierzonym kempingiem. W wiosce jest parę sklepów, robimy postój na zakupy. W ustalonym czasie wszyscy zbierają się w komplecie. Oprócz Pilota. Ludzie sadowią się w wozie, w którym jest 35 stopni ciepła, przyzwyczajeni do punktualności czekają cierpliwie 15 minut. Pilota nie ma, ale ci, którzy byli pokrzywdzeni przez kaprałskie metody nieobecnego, krzyczą:

- Szeffie, jedziemy dalej! Przecież to niedaleko. Dojdzie pieszo!

Mają w zasadzie rację, ale zaniepokojony wysyłam umyślnego, by sprawdził co się dzieje. Może Pilot zasłabł? Posłaniec wraca z bulwersującą wiadomością. Pilot jest w sklepie i prosi, by jeszcze poczekać: ma coś do załatwienia...

No, to już gruba przesada. Ludzie dawno byli bliscy wrzenia, ale teraz temperatura przekracza punkt zapalny - to otwarty bunt!

- Odjeżdżaj! - ryczą do kierowcy.

Ten odwraca się pytająco do mnie... Z przykrością daję gest zezwolenia. Jedziemy, a ja zachodzę w głowę, co mogło być przyczyną takiej niesubordynacji u człowieka, który do tej pory był wzorem punktualności. Zresztą - do kempingu godzina drogi spacerem. Dobrze mu to robi. Gdyby był bardziej tolerancyjny w przeszłości i grzeczniejszy dla płci pięknej, to nie miałby "buntu na pokładzie" - jak skomentował to Kuk, stary żeglarz.

Kemping prześliczny. Brawo Krakersi! Rozległa piaszczysta plaża, w głębi natryski i nie ma portiera przy bramie wejściowej! Bowiem od 1-szego września, czyli od dzisiaj, większość kempingów w Grecji nie pobiera opłat za pobyt. Zastanawiam się starannie, gdzie wybrać dobry punkt na namiot. Przemierzam z rozmysłem rozległy teren biwaku, na którym stoi zaledwie kilkanaście namiotów. Instynktownie szukam miejsca nad brzegiem morza, by

mieć kajak w zasięgu ręki. No i w cieniu - tutaj słońce we wrześniu silniej grzeje niż w kraju podczas największych upałów. Jest takie miejsce!

Niedaleko wjazdu, kilkanaście metrów od brzegu morza, rośnie olbrzymia oliwka. Nieco niżej - parę malowniczych głazów. Spoglądam na Trampa. Ten również ma to samo zdanie, bo bez gadania kładzie tam swój śpiwór. Teren pod oliwką jest równy, idealne miejsce do rozstawienia namiotu. Tymczasem nasz przyjaciel Kuk taszczy swój namiot gdzieś pod górę, w głąb obozowiska. To prawda, że stamtąd niedaleko do namiotu, który rozkłada Świtezianka z towarzyszkami, ale tam ugotują się od upału. Nie ma cienia i zbyt daleko od brzegu morza, nad którym jest zawsze kilka stopni mniej. Po długiej dyskusji udaje się nam wytłumaczyć koledze, że miejsce wybrane przez nas daje więcej korzyści.

- Świtezianka chętnie przybędzie pod oliwkę, by odpocząć w jej cieniu - rzuca argument Tramp. - Pamiętaj, że my odpływamy, więc będziesz sam.

- Żeby ci się nie nudziło, możesz zakwaterować tutaj Eurę - mówię z wyrachowaniem.

Bowiem nie mieliśmy do tej pory czasu, żeby rozwikłać tajemnicę konstrukcji jej namiotu. Ona miała dosyć czasu, by zrobić to podczas kilkudniowej bezczynności w Keramoti. Wybrała spanie w jego namiocie, jakoś to jej nie przeszkadzało, jemu również.

Kuk, jako człowiek nauki, po przeprowadzeniu wizji lokalnej, przystał na naszą propozycję. Miejsce było wyjątkowo dogodne, najlepsze, jakie można wybrać.

Zadowoleni z obrotu sprawy, mamy bazę na niezbędne ciuchy i śpiwory, ruszam w obchód, by zorientować się jak inni poradzili sobie z wyborem miejsca. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nikt nie postawił namiotu ani w cieniu (parę oliwek tam rosło), ani nad brzegiem morza. Zastanawiający brak przewidywania, nawet u starych turystów, jakimi są Krakersi. Dotarłem właśnie do nich, na wzgórzu daleko od morza, by podziękować za dobrą radę w doborze biwaku.

Ale co to? Dwa kajaki Krakersów i Push Prezesa są w trakcie pakowania. Zauważyłem już wcześniej, że je płukali pod prysznicem, by oczyścić z soli. Myślałem, że to ze zbytniej pedanterii, w trosce o sprzęt. Teraz, już wysuszone, składają i odnoszą do autokaru. Tak jakby za chwilę mieli odjeżdżać. A przecież spływ się jeszcze nie skończył. Zaczyna się jego druga część. Zdumiony proszę o wyjaśnienie. Oświadczają mi zgodnie, że nie zamierzają dalej pływać. Moje zdumienie rośnie. Przecież po to tutaj przyjechali! Odchodzę, przybity ich postawą. Ich decyzja stawia mnie w kłopotliwej sytuacji. Co robić dalej? Robię naradę z pozostałymi kajakarzami. Wrocławiaczy chcą płynąć jak najszybciej, choćby w dwa kajaki. Ponieważ nie sprawdzili się jako piloci, nie będę miał z nich pożytku. Daję im moje błogosławieństwo. Ustalamy trasę i termin powrotu. Pakują się błyskawicznie i odpływają. Stopy wody pod kilem!

Pozostałe załogi nie mają ochoty odpływać dzisiaj. Docenci czekają na Pilota, a inni proszą o czas do namysłu. Rejterada Krakersów i Prezesa wprowadza destabilizację. Mógłbym wprawdzie zmontować dobrą zastępczą drużynę, ale brak mi kajaków. Zwracam się o to z prośbą do starych wodniaków. Spotykam się z odprawą:

- Kajaka i żony nie pożyczysz się - oznajmia któryś.

No cóż, mają niby rację. Kajak to drogi sprzęt i boją się o niego, zwłaszcza że to ich prywatna własność. Ale dlaczego nie chcą płynąć sami?

Wracam do kłopotów bieżących. Pilota wciąż nie ma. Kierowca zgłosił już wcześniej propozycję jechania po niego. Ja jestem jednak ciekaw, jak Pilot poradzi sobie w obcym terenie. Przyjeżdża jakiś Grek na motorowerze i pyta, czy to ktoś z naszych siedzi w sklepiku i płacze. Powtarza tylko: Warszawa, autokar. Akurat nie byłem obecny przy tej wizycie Greka, stąd inicjatywa kierowcy. Zastanawiam się, co robić. Mam ochotę na eksperyment, Pilot zablądzić nie może, bo kemping jest tuż przy drodze. Może go czegoś ta sytuacja nauczy i zacznie się uczyć języków obcych. Mam jeszcze czas na interwencję, do zachodu słońca dobra godzina.

Niebawem rozlega się ponownie warkot motoroweru. Pilot w krótkich majteczkach i podkoszulku wjeżdża w charakterze pasażera na kemping. W ręku trzyma butelkę wina, czyli - zachował jeszcze zdrowy rozsądek. Kieruję spojrzenie na jego oblicze i zamieram. Z jego twarzy emanuje jakaś groza, wściekłość, zażenowanie, upokorzenie. Grymas trudny do opisanego. Zsiadł w milczeniu z motoroweru i usiadł nad brzegiem morza, odgrodziwszy się plecami od całego świata. Ponieważ jego stanowisko znajdowało się kilkanaście metrów od naszej oliwki, mieliśmy dogodnie pole do obserwacji. Postawił wino w zasięgu ręki. Myślałem że zacznie pić, przecież to najlepszy w tej sytuacji środek na rozluźnienie. Ale nie! Siedział twardo, bez najmniejszego ruchu, mimo że zapadła już ciemność. Tramp zapalił tymczasem małe ognisko, które oświetlało od czasu do czasu jego posępną postać. Strach było zbliżyć się do niego, sylwetka wydzielala jakieś fluidy nienawiści. Podeszedłem raz, zagadałem, wrogie milczenie. Może głód zmusi go do jakiejś ludzkiej reakcji? Ponieważ przy ognisku odbywało się małe wieczorne przyjęcie, zaproponowałem, by się przysiadł do ognia; robiło się chłodno. Nie poruszył się. Przyniosłem mu zatem jakąś kanapkę i kubek wina do popicia. Na moje "smacznego" mruknął coś niewyraźnie. Jakby nieco odtajał. Wróciłem po moją porcję wina i po długiej ceremonii, jaką matka odprawia z dzieckiem - niejadkiem, zmusiłem go do przełknięcia darów bożych. Po wypiciu kubka wina głowa zaczęła mu funkcjonować normalnie i po pewnych ceregielach stary wodniak przysiadł się do ognia, by się ogrzać. Przy ognisku siedziała tylko czwórka Czuczaków, pod której troskliwą opieką rozluźnił się całkiem. Wy tłumaczyliśmy mu sytuację, jaka zapanowała w autokarze podczas jego przedłużającej się nieobecności. Chyba zrozumiał na czym polegał jego błąd, ale złość tkwiła w nim nadal. Chociaż po winie powoli uchodziła jak powietrze z nakłutego balona. "In vino veritas" - mawiali starożytni. I jak zwykle nie mylili się.

Nowy dzień zaczął się od rytualnej kąpieli Czuczaków. Do morza nie było daleko. Jaka to frajda - wstać i podejść parę kroków do czystej i ciepłej wody. I pomyśleć, że to już wrzesień - w Polsce o tej porze kąpią się jedynie entuzjaści, odporni na temperaturę wody i powietrza. Tutaj panują isticie cieplarniane warunki, temperatura wody i powietrza około 25. Korzystamy więc z okazji i pływamy, ile dusza zapagnie. Przy okazji prowadzę lekcje pływania z Eurą. Jest bardzo chętna do nauki i robi szybkie postępy.



...Na zmianę robimy instruktaz Austriakowi. Tramp, mój instruktor...

Opodal pływa ktoś na windsurfingu. Co rusz - wpada do wody. Tramp tęsknym okiem spogląda na żagiel, który niebawem zostaje odniesiony na plażę. Facet ma już dość. Tramp namawia mnie, by wycygnąć sprzęt od nowicjusza, Austriaka (jak wnioskuje z tablic

rejestracyjnych Mercedesa z przyczepą kempingową). Ten chętnie przystaje na propozycję, chciałby popatrzeć jak się to robi. Na zmianę robimy instruktaz Austriakowi. Tramp, mój instruktor sprzed czterech lat, jest zdumiony postępowaniem, jaki osiągnąłem. Opowiadam mu, że przez dwa lata mego pobytu w Tunezji mieszkalem nad brzegiem morza. Za pierwszą pensję kupilem używaną *planche a voile* - bo tak się nazywa deska z żaglem po francusku. Jeden z moich kolegów Polaków był tym bardzo zdziwiony. Dla niego były to ostatni z możliwych zakupów. Kiedy po pierwszym dniu prób nie byłem w stanie schylić się, by rozwiązać sznurowadła, stwierdził ze złośliwym zadowoleniem:

- Mówiłem, że to wyrzucanie pieniędzy, trzeba było lepiej kupić telewizor!

Był zadowolony, że jego koncepcja zwyciężyła. Na razie. Później, gdy on był znudzony bezustannym wylegiwaniem się na plaży, ja śmigałem po morzu z wiatrem i falą, zachowując dzięki temu sprawność fizyczną i psychiczną.

Żegluję na zmianę z Trampem po spokojnych wodach zatoki, nad którą położony jest kemping. Wkrótce mamy dosyć. Słońce przypieka coraz silniej, a wiatr jest zbyt słaby. Zabawa na desce zaczyna się przy silniejszym wietrze i na fali. Wtedy takie żeglowanie porównać można z jazdą po muldach na górskim zboczu.



Świtezianka w cieniu oliwki

Chronimy się przed słońcem w cień oliwki, której korona jest tak olbrzymia, że w jej cieniu mieści się nie tylko namiot, ale i nasze ciała obok. Jest także sporo miejsca dla gości - ku zadowoleniu Kuka. Tymczasem - reszta naszych na próżno szuka cienia w rozgrzanych namiotach, rozstawionych pod bezlitosnym słońcem. My mamy ustalony rytm: kąpiel, spacer pod prysznic, by splukać sól i sjeść w cieniu oliwki. Podczas jednego z rejsów pod prysznic spotykam Skarbniczkę. Jest przygnębiona:

- Słuchaj, ja chyba z nim nie wytrzymam. O byle drobiazg ma do mnie pretensję: że źle gotuję, że to, że owo... On chyba nie nadaje się na ten klimat. Na ciebie też narzeka. Mówi, że nie nadajesz się na komandora. Cały czas pływasz, bawisz się i nie myślisz o ludziach. Siedzi ciągle z Krakersami i narzekają na ciebie.

Nie dziwię się Prezesowi. Cóż ma robić? Kajakiem pływać mu się nie chce. Ludźmi dyrgować nie może. Cóż mu zostało?

Dziwię się natomiast Krakersom. O co im chodzi? Czyżby mieli do mnie żal, że nie postawiłem ich na baczność? I to wielokrotnie im się należało, za rezygnację z funkcji przewidzianych i zatwierdzonych jeszcze w Warszawie. Za sabotowanie spływu podczas płynięcia wkoło Thasos, bo to świadome uciekanie przed główną grupą - to była z pewnością ich robota. Za rezygnację z dalszego płynięcia teraz - bez żadnego uzgadniania ze mną. Dziwię się i karzę sam siebie za naiwność. Należało zażądać pisemnych deklaracji z ich rezygnacji. Miałbym ich w ręku. Teraz mają dużo czasu, nudzi im się i zaczynają spiskować. Prezes, lubiący rządy silnej ręki, nie raz zrobiłby Krakersom karczemną awanturę. Widocznie uważają, że szef, który nie krzyczy - nie nadaje się na kierownika. Dziwni ludzie, skałeczeni przez system. Nie mam zamiaru robić tu koszar. Jesteśmy przecież na urlopie, pal ich diabli, zajmę się resztą ludzi.

Z tą resztą też jest kłopot. Angelika, na przykład chciałaby płynąć dalej, ale nie z Pilotem, a z Trampem. Pilot wciąż siedzi na brzegu morza. Wie już, że jego załoga nie chce z nim płynąć, więc przedłuża swój strajk. Dwie pozostałe załogi chcą pływać na krótkie wycieczki - ich sprawa. Jedynie Docenci decydują się na dłuższą podróż, proponują więc, by namówili Pilota. Ten zgadza się, ale znów zapada w odrętwienie. Jak mi to później wytłumaczył:

- Pływanie po morzu wymaga wewnętrznej równowagi psychicznej. Jeżeli jej nie masz - zginiesz.

Docenci odpływają, ustalając przedtem miejsce spotkania z Pilotem. Ma dobić następnego dnia na biwak. Przychodzi ten następny dzień, mija południe, a Pilot tkwi jak kołek na brzegu morza. By mu pomóc, decyduję się na wypad do miejscowości Porto Carras, leżącej około 17 kilometrów stąd. Razem z nim zgarniam dwie pozostałe czynne załogi, Amazonki i Sultana z Rusalką. Chętnie się przespacerują.

Około drugiej po południu wyruszamy więc w cztery kajaki. Morze, początkowo spokojne, zaczyna się burzyć. Moja załoga, Eura radzi sobie znakomicie, mimo że to jej pierwsza wycieczka kajakowa, w dodatku na morzu. Pilot jest zachwycony jej postawą:

- To doskonały materiał na kajakarza. Popatrzcie jak wiosłuje. Nie można jej zmarnować.

Ma rację. Dziewczyna ma dobre warunki fizyczne, dobrze wiosłuje i świetnie czuje się w kajaku. Nie zwraca uwagi na fale. Nasi spacerowicze, natomiast, mają trudności i odstają. Zawracamy do nich, ponieważ dobijają do brzegu. Ustalamy, że będą tu nocować, a jutro przy dobrej pogodzie wrócą do bazy. Korzystając z bliskości brzegu proponuję coś przekąsić. Kusi mnie mała restauracyjka o kilometr dalej. Na małym parkingu kilka samochodów. Kajaki z cichym chrzęstem drobnego żwiru dobijają tuż przy parkingu.



Przystanek przy barze podczas pływania do Porto Caras. Pilot na pierwszym planie, Eura po prawej Pilot zostaje, zjadł już przed startem, prosi o piwo. Wchodzę z Eurą na taras i siadamy przy jednym ze stolików ocienionych parasolami. Błyskawicznie zjawia się właściciel. Zamawiamy piwa i coś do jedzenia. Szef uruchamia taśmę z grecką muzyką i, uwijając się przy małej, odkrytej kuchni, podśpiewuje razem z nami. W chwilach przerwy prowadzi luźną konwersację. Pyta o narodowość i jest wyraźnie zaskoczony że jesteśmy Polakami. Na stole pojawiają się błyskawicznie ogromne befsztyki z frytkami. Popijając dobrze schłodzone piwo przypominam sobie o Pilocie i biorę butelkę, by mu ją zanieść. Grek chce mnie wyręczyć. Pyta jakim samochodem jesteśmy, domyślając się, że kolega siedzi w wozie. Jego twarz zamienia się w jeden wielki znak zapytania, gdy słyszy, że jesteśmy kajakami. Nie wierzy. Wychodzimy więc razem, to przecież parę kroków. Obserwuję z rozbawieniem faceta spoglądającego baranim wzrokiem na dwa kajaki przycupnięte nad brzegiem morza. Ponieważ tacy niecodzienni klienci zdarzyli mu się po raz pierwszy, wypijamy po drugim piwie, tym razem na koszt firmy. Odbijamy od brzegu, Grek długo kiwa nam ręką na pożegnanie. Tylko nie wiem czy z podziwu dla naszych środków transportu, czy też podbiła go uroda polskiej dziewczyny, której miejsce powinno być po prawej stronie kierowcy, w jakimś przestronnym mercedesie. Tymczasem dziewczyna macha dziarsko wiosłem, zadowolona z przygody. Fale się nieco uspokajają, niebawem dopływamy na wysokość Porto Carras. Żegnamy się z Pilotem - do umówionego z Docentami biwaku ma tylko z godzinę drogi, a my - jeszcze powrotną. Skracamy w lewo i wpływamy do niewielkiego portu. Kajak z białą-czerwoną banderką, bez żadnego kompleksu niższości, cumuje tuż u burty jednostki Marynarki Wojennej Grecji. Wygląda to pocieszenie - mała łupinka z płótna i gumy, a obok niej - parę metrów wyżej, stalowy pokład okrętu wojennego. Gdyby to się zdarzyło z jakimiś kajakarzami z Zachodu w którymś z portów Paktu Warszawskiego, zgniliby zapewne w więzieniu. Przez nikogo nie niepokojeni wysiadamy i zwiedzamy pospiesznie malownicze miasteczko. Pospiesznie, bo chcę wypłynąć z portu przed zachodem słońca. Płynięcie w nocy bez odpowiednich świateł pozycyjnych jest zabronione na wszystkich otwartych akwenach świata. Dokonujemy błyskawicznych zakupów. Dużo wędlin w plastikowych foliach, wino i chleb. Wypijamy po kuflu piwa w nadbrzeżnym barze, okupowanym głównie przez zachodniemieckich turystów i - w drogę, bo słońce już zachodzi. Naciskamy mocno na wiosła, by zgodnie z przepisami wyjść z portu legalnie przed zachodem słońca. Przemykamy się tuż przy brzegu obok budynku kapitanatu, bo a nuż znajdzie się jakiś nadgorliwiec i nas zatrzyma. Pamiętam dobrze ceregiele, jakie czyniono w kraju, podczas wypływania z naszych portów. Wprawdzie wtedy wypływaliśmy jachtem, ale z formalnego punktu widzenia kajak jest też jednostką pływającą. Ale tu nikogo nie obchodzi mała łupinka, moja przezorność jest zapewne przesadzona. Uff! Przez nikogo nie zaczepiani wypływamy poza główki portu. Samodzielni i niezależni, przed nami olbrzymia przestrzeń morza, spokojnego i przyjaznego. Przepiękny zachód słońca. Obieram kurs na nasz obóz, znajdujący się w głębi olbrzymiej zatoki. W prostej linii te 17 km powinienem pokonać w dwie godziny. Świadomie wybrałem taki wariant podróży, właśnie nocą po morzu Egejskim, bo księżyc jest w pełni, rozcinana z cichym szumem gładka toń fluoryzuje w jego świetle. Jedyne problem to właściwy kurs. Pomyłka o parę stopni - to na przeciwległym brzegu zatoki przy tej odległości oznacza parę kilometrów w bok od celu. Umówiłem się z Trampem, że będzie palił na brzegu ognisko, mające nam służyć za latarnię morską. Ale co to? Brzeg, do którego się zbliżamy, rozjarza się wieloma punktami świetlnymi. Które z tych migających w oddali świateł jest ogniskiem Trampa? Na brzegu pali się wiele ognisk na szerokości paru kilometrów. Można szukać do rana! Trzeba zasięgnąć języka, zwłaszcza że brzeg blisko. Dopływamy do najbliższego neonu. To dyskoteka. Na brzegu siedzą dwaj młodzi Grecy. Podaję nazwę naszego kempingu. Okazuje się, że skręciliśmy nieco na lewo. Takie "nieco" to dystans paru kilometrów.

Płyniemy do następnego punktu świetlnego. Też nie to. No, to następny... Chyba przesadziliśmy, bo z rozmów z tubylcami wynika, że trzeba się nieco cofnąć. Szlag by to trafił! Robi się już późno i głód zaczyna doskwierać. Pętając się wzdłuż brzegu "w te i we wte" straciliśmy sporo kalorii. By dobić do brzegu narzuciłem maksymalne tempo - teraz czujemy lekkie zmęczenie i wściekły głód. Głód jest złym doradcą, więc po spokojnej analizie sytuacji, doszliśmy do wniosku, że należy zjeść kolację. Nie ma pośpiechu, obóz musi być gdzieś w pobliżu, przypadkowe ogniska pogasną, a Tramp będzie czuwał. To nam zaoszczędzi niepotrzebnych poszukiwań. Korzystając z okazji, że księżyc jeszcze świeci wybieramy jakiś w miarę dostępny brzeg. Dopływamy ostrożnie, załoga oświetla latarką dno, pod wodą czają się złowrogo potężne skały. Dobijamy szczęśliwie i rzucamy się na zakupione smakołyki. Wielkie żarcie! Siedzimy szczęśliwi, opieramy się wygodnie plecami o burtę kajaka i pałaszujemy po kolei polędwicę, szynkę, boczek... Taki koncert żarcia wymaga odpowiedniej oprawy, toteż bez wahania sięgam po butelkę wina. Popijając wspaniały trunk z zastanawiamy się leniwie, który z tych ogni nad zatoką jest właśnie nasz... Gdzie jest Tramp. Wszak on też czeka na kolację! Ta myśl pobudza nas do czynu. Startujemy, obierając za cel najbliższy punkt świetlny. Pomyłka! Szukamy następnego. Też nie to, chyba popłynęliśmy za daleko. Zawracamy. Nie to. Znow z powrotem...

A tymczasem - księżyc zaszedł. Pogasły już ognie nad zatoką i zapanowała kompletna ciemność. Straciłem kompletnie orientację, nie wiem gdzie jestem. Płyniemy więc w kierunku jedynego już światła, oddalonego o parę kilometrów. Okazuje się nim dom stojący tuż nad brzegiem morza. Jesteśmy już wyczerpani i zziębnięci, nasze koszule dawno już są mokre od chlapania wiosłami. Ten dom to nasza ostatnia nadzieja. Jego mieszkańcy muszą chyba wiedzieć, w jakim punkcie zatoki mieszkają. Zdesperowany, z mapą w ręku, wychodzę na brzeg. Żarty się skończyły...

- Euro, jeśli ci ludzie nie przywitają nas gościnnie, to niech ich załatwi najbliższe trzęsienie ziemi!

Zdeterminowany wałę wiosłem w metalową bramę. Z parteru wychylają się właściciele. Nie rozumiemy się. Grecy nie kojarzą nazwy kempingu. Wszystko to odbywa się z odległości, właściciele nie śpieszą się z otwarciem bramy, nawet nie schodzą na podwórze. W normalnym, ludzkim świecie każdy, widząc faceta z wiosłem, a nie z automatem w ręku, czyli zbłąkanego turystę, zacząłby rozmowę od zaproszenia do domu na herbatę. A ci burżuje bez serca gadają z odległości. W dodatku - wyłącznie po grecku. Straciwszy już kompletnie nadzieję porozumienia się, pytam, czy mówią po francusku. Nie, ale ci z parteru pokazują ucieszeni, że na parterze mieszka francuski turysta. No nareszcie! Francuz od jakiegoś już czasu tkwi w oknie, przysłuchując się rozmowie. Zaczynamy ożywioną konwersację. Facet też nie wie jak dokładnie nazywa się miejscowość, w której mieszka, zresztą willa znajduje się całkiem na odludziu. Takie gadanie na dystans nie ma sensu, tu trzeba popatrzeć razem na mapę. Mówię o tym turyście. Ten z kolei pyta, jakiej jestem narodowości. Wkurzony do ostateczności, pytam czy ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Jestem człowiekiem potrzebującym pomocy, turystą jak on. W takiej sytuacji nikt nikogo nie pyta o narodowość, obaj jesteśmy ludźmi. Ten jednak nalega. Rozumiejąc już, że facet jest do kitu, rzucam przekleństwo w jego rodzinnym języku. Francuz wściekle zatrzaskuje okno.

Rozglądam się bezradnie. Niedaleko widać jakiś nikły płomień światła. Zmierzamy w jego kierunku. To chatka pasterza. Przestraszony otwiera drzwi. Ani on, ani jego kilkunastoletnia córka nie rozumieją, czego chcemy...

Wracamy do kajaka. Trzeba sobie jakoś poradzić. Przede wszystkim - przebieramy się w suche flanelowe koszule. Włożyłem je do kajaka wbrew samemu sobie, bo przy starcie było około 30 C. Wyciągnięte z plastikowego worka, jeszcze przesycone ciepłem, grzeją jak piec. To już połowa zwycięstwa, samopoczucie wyraźnie się poprawia. Znalazła się też i świeca. Przy jej świetle spożywamy drugą kolację tej nocy. Bogu dzięki mamy jeszcze wino. Nastroje

zwyżkują. Teraz należy przespać się do rana i wszystko będzie dobrze. Nie mamy wprawdzie materaców ani śpiworów, ale nic to! Za materac służy nam pokrowiec od kajaka, folia zastępuje śpiwory. Chłód jednak atakuje. Nie przypuszczałem, że noc w słodkiej Grecji może być taka zimna...

Słońce było już wysoko, gdy się przebudziliśmy. Znow ciepło i inny światopogląd. Inaczej bowiem wygląda niegościnna nocą zatoka. Tylko zupełnie nie wiem, gdzie jesteśmy. Tyle było tych nawrotów... Biorę lornetkę i przepatruję morze i brzegi. Raptem, w okularze pojawiają się dwie sylwetki kajaków. To bez wątpienia nasi, czyli Sułtan i Amazonki. Już po kierunku, w którym płyną, orientuję się, gdzie jesteśmy. Radość spotkania swoich robi ze mnie figlarza. Dopływamy do nich szpurtem. Jest to kierunek akurat prostopadły do ich kursu. Patrzą na nas zdziwieni.

- Dokąd płyniecie? - pytam.

- No... na kemping, a wy?

- My też!

Opadły wiosła i szczęki. Za chwilę wybuchamy śmiechem. Jak to dobrze spotkać się nieoczekiwanie na pełnym morzu. Pytam, jak się spało. Narzekają na wyjątkowo zimną noc. Spali we czwórkę w jednym namiocie, w śpiworach - a mimo to narzekają.

- Od dziś jesteś Sułtanem - mówię do jedyne go mężczyzny w tej grupie.

- Tylko twoje hurysy musisz zamienić na bardziej gorące - dodają.

Po wymianie wzajemnych grzeczności odpadamy w prawo do najbliższego brzegu. To głód! Kolacje mieliśmy dwie, ale żadnego śniadania. Najpierw odświeżająca kąpiel, bo jest koło południa i upał zaczyna doskwierać. Kąpiel powiększa i tak już straszny apetyt. Otwieram polską konserwę, ostatnią rezerwę zamka. Jemy ją łapczywie, bez chleba, bo go nie ma, żeby jak najszybciej zapełnić żołądki. Rozleniwieni obserwujemy, gdzie dobijają nasi. Okazuje się, że podczas nocnych nawrotów odbiliśmy od bazy ponad pięć kilometrów, w kierunku na Porto Carras. Z grubsza szacując - zrobiliśmy podczas tej wyprawy około 50-ciu kilometrów. Czeka nas jeszcze pięć, a zjedliśmy zapasy żywności przeznaczone na trzy posiłki dla trzech osób i do tego rezerwę. To jeszcze jedno potwierdzenie zasady, że nawet na kilkugodzinną wycieczkę kajakową trzeba zabrać zapasy żywności co najmniej na jedną dobę.

Dopływamy do biwaku równo dobę po wypłynięciu. Taki też termin podałem Trampowi. Miał prawo wszcząć alarm, gdybym się spóźnił. Czeka spokojnie na brzegu, Sułtan zawiadomił go, że jesteśmy w pobliżu.

Zasłużony odpoczynek w cieniu oliwki. Opowiadamy nasze nocne przeżycia, wspominając o tym, że zjedliśmy wszystkie zakupione wędliny. Trampowi cieknie ślina do ust. Kuk tymczasem warzy obiad. Tradycyjna zupa z proszku i jakaś konserwa na gorąco. Częstuje nas, ale odmawiam zdecydowanie, Eura również. Tramp, nie mając wyboru, sięga po łyżkę. Obserwuję z rozbawieniem, jak mimo głodu krzywi się po każdym łyku.

- Tego nie można jeść bez wina - mówi i patrzy z wyrzutem na mnie. - Za dużo papryki i cebuli.

Podnoszę się i sięgam do kajaka.

- To już naprawdę ostatnia rezerwa zamka - mówię, podając butelkę.

Tramp bierze się energicznie do opróżniania butelki, natomiast Kuk wypija tylko symboliczny łyk.

- Co z tobą? - pytam zdziwiony. - Nie piłeś w sierpniu, bo to miesiąc trzeźwości. Przecież od paru dni już wrzesień. Jak nie będziesz pić wina, to przy takim jedzeniu wysiądzie ci żołądek. Jak kiedyś na Jelonkach. Pamiętasz, jak musiałeś go leczyć spirytusem?

- Pamiętam, ale to były stare czasy. Teraz się zmieniłem. Sam wiesz, że za dużo ludzi w Polsce pije. Jeszcze trochę pożyjemy w tym systemie, a zamienimy się w alkoholików, podobnie jak Rosjanie. Wyczytałem gdzieś, że w Sojuszu jest ponad 40 milionów

nałogowców. Z takimi ludźmi nie da się nic zrobić, żadnej pierestrojki - jak chciałby Gorbaczow.

- Chyba masz rację. Ale nie zapominaj, że to są narody wychowane w strachu - które to już z rządu pokolenie. Oni nie pamiętają już prawdziwej wolności.

- Przecież nigdy jej nie mieli - dorzuca Tramp, odrywając się od degustacji. - Za batiuszki cara też żyli w strachu.

- Tak, ale ten strach był niczym w porównaniu z tym, co przeżyli po rewolucji. Wystarczy porównać warunki na zesłaniu w Rosji carskiej z tym, jakie stworzyli komuniści. Za cara polscy zesłańcy jechali w kibitkach na Syberię, ale mieli swobodę poruszania się. Przeważnie była to inteligencja, ludzie wykształceni, więc z nudów zajmowali się pożyteczną dla Rosjan pracą. W zasadzie to Polacy skolonizowali tereny na wschód od Uralu. Badali bogactwa naturalne, budowali drogi, mosty, rozwijali rolnictwo i przemysł. Wystarczy dorzucić takie nazwiska, jak Czernski - stąd góry Czernskiego, Dybowski czy Przewalski. Ci, którzy zostali zesłani po rewolucji, byli więzieni w gułagach. Pracowali jak niewolnicy za nędzne pożywienie, nie wystarczające na regenerację sił, więc umierali jak muchy. Gdyby Stalin albo Lenin, zsyłani na Syberię za cara, mieli tam takie warunki, jakie stworzyli za swego panowania, to nigdy by nie było Rewolucji Październikowej. Po prostu - nie byłoby ani ich, ani innych komunistów, zostaliby tam na zawsze w ziemi. To przecież na gułagach wzorował się Hitler, tworząc obozy koncentracyjne. Ale Hitler to mały szczeniak w porównaniu ze Stalinem. Uśmiercił w obozach kilka milionów ludzi, podczas gdy jego nauczyciele załatwili wielokrotnie więcej.

- Sołżenicyn podaje, że około 60-ciu milionów - mówi Kuk.

- Ależ co wy tu mówicie! - wtrąca z oburzeniem Eura. Jak można porównywać - parę, kilkanaście czy kilkadziesiąt milionów. Tu nie ma żadnych porównań. Przecież to straszne! To po prostu ludobójstwo!

- Komunistów powinno się sądzić tak, jak hitlerowców w Norymberdze - stwierdza Tramp.

- O! tego to my się już nie doczekamy - mówi Kuk. Komunizm w końcu runie, bo to jest system szatański. Nie przestrzegający praw boskich.

- Dlaczego się nie doczekamy? - pytam. - Trzeba być optymistą. Są ludzie sporo starsi od nas, którzy są przekonani, że dożyją tych czasów. Znam panią, która mogłaby być naszą matką, a może i babcią, która ciągle jeszcze pływa kajakiem. Twierdzi, że uprawia kajakarstwo właśnie dlatego, by zachować zdrowie i sprawność, by doczekać tych czasów i godnie je uczcić. W zeszłym roku, podczas spływu "Pasatów" na szlaku Krutyni, opowiadała przy ognisku o swojej działalności w ruchu oporu podczas okupacji. Pracowała w kontrwywiadzie, zajmując się rozpracowywaniem i likwidacją agentów Gestapo. Gdy słuchałem jej zwierzeń, chyba po raz pierwszy głoszonych publicznie, zrozumiałem, że pragnie przekazać pałeczkę nam, młodszym. Zdaliśmy sobie sprawę, że ta cicha bohaterka chce nam dodać optymizmu, że nie należy nigdy rezygnować z walki. Na zakończenie dramatycznych wspomnień dodała, że przechowuje pieczołowicie w piwniczce butelkę francuskiego wina, przedniego, starego rocznika. Wypije to wino wtedy, gdy spełni się jedno z jej trzech marzeń: gdy mąż wróci z wojny (widziała go ostatnio we wrześniu 39) albo - gdy powtórnie się zakocha, lub wtedy - gdy upadnie komunizm. Zapadła cisza, bo mówiła to do kajakarzy, których większość stanowili wojskowi. Nie wytrzymałem wtedy i krzyknąłem:

- Izo, trzymam cię za słowo! Będziemy pić razem!

Tramp pokręcił z podziwem głową:

- To musi być wspaniała kobieta. Chciałbym ją poznać.

- Kiedyś to się stanie. Pływa również na Złoty Liściach i nie tylko. Trzeba to widzieć! Elegancka dama, najczęściej płynąca na jedyńce, w kapeluszu i białych rękawiczkach. Proponuję wypić jej zdrowie!

- I za szybki koniec komunizmu - dodał Tramp.

Podnieśliśmy zgodnie kubki.

Pod wieczór zrobiliśmy pieszą wycieczkę do małego sklepiku, w którym było więcej "chodliwych" towarów niż w warszawskim Supersamie. I to bez żadnej kolejki! Kupujemy więc owoce, wędlinę, chleb. Najdłużej zastanawiamy się nad wyborem wina, jest kilkanaście gatunków. Przy okazji wypijamy po puszcze zimnego piwa.

- Nie mogłoby tak być w Polsce? - rzuca smutne pytanie Tramp.
- Właśnie! Komu by to przeszkadzało. Przecież handel to biznes.
- Jaki biznes? Przecież państwo do wszystkiego dopłaca.
- Ciekawe, kto dopłaca państwu?...

Dyskutując nad tym fenomenem ruszamy w drogę powrotną.

- Czy musimy wracać tą samą drogą? - pytam. - Przecież to nudne. Zwłaszcza, że idziemy szosą. Po cholere wdychać spaliny?

Propozycja przypada wszystkim do gustu. Wybieramy zatem spacer nad brzegiem morza. Trzeba było pokonać parę trudnych odcinków, bo brzeg morza jest górzysty. Słońce już zaszło, księżyc przejmuje jego rolę. W końcu nieco się gubimy, typowy marsz na orientację. Całe szczęście, że przewidujący Tramp zabrał ze sobą latarkę. Niektórzy zaczynają narzekać, opowiadam więc o naszym błędzeniu ubiegłej nocy, co poprawia zdecydowanie samopoczucie niezadowolonych.

- Wiecie, co oznacza termin "wojskowy skrót"? - pyta Tramp.
- To znaczy: droga dłuższa, ale znacznie gorsza. Właśnie idziemy wojskowym skrótem.

Wszyscy się śmieją. Spacer dobrze nam robi. Wysilek fizyczny pobudza krwioobieg, dotleniony mózg inaczej pracuje, człowiek staje się radośniejszy, jest szczęśliwy, że żyje.

Leniwie układamy się koło ognia, w rękach - naczynia z winem. Życie jest piękne!

- Dlaczego na świecie jest tyle zła? Po co nam systemy, nakazy, zakazy, zebrania, dyrektywy? Przecież można żyć normalnie, robić to, co się najbardziej lubi bez zbędnych słów i demagogii. Żyć w spokoju!

- "A mnie się marzy kurna chata..." - intonuje Tramp.

- "Zwyczajna izba zbita z prostych desek,

Żeby się odciąć od całego świata..." - śpiewamy wszyscy.

Zapatrzyliśmy się w płomień ogniska. Ma on w sobie magiczną siłę. Można tak patrzeć i patrzeć bez końca. Wyzwała to w człowieku jakieś dobre siły, pobudza wyobraźnię, nastawia przyjaźnie do całego świata. Raptem rozległ się pomruk odrzutowca. Spojrzeliśmy w górę. Gwiazdziste niebo, pozornie nieruchome, tylko jedna gwiazda porusza się na tle innych.

- My tak sobie tu siedzimy, a to może zaczęła się już wojna - żartuje Tramp.

- Daj spokój. Nie wywołuj wilka z lasu. Chociaż - wszystko jest możliwe. Ziemia - to jest przecież ogromna beczka dynamitu. Gdzieś nad nami mogą lecieć rakiety ze wschodu na zachód lub z zachodu na wschód. Aż strach pomyśleć, parę bomb atomowych i ginie życie na ziemi.

- Właśnie! A najgorsze, że tę straszną broń wymyślił człowiek, by zabić innego człowieka - mówi Kuk.

Na to odzywa się Eura:

- Wy często dyskutujecie o Bogu, o Chrystusie, o religii. Uważam, że nie ma Boga. Bo gdyby istniał, to nie byłoby tych wszystkich nieszczęść, wojen, ideologii nawzajem się zwalczających, tego strasznego ludobójstwa.

- Przecież to nie zależy od Boga, a od nas samych, od ludzi - oponuje Kuk. Bóg nas stworzył, dał nam wspaniałe warunki życia na ziemi. To od nas, ludzi, zależy jak urządzimy swoje życie. Mamy przecież wolną wolę.

- Nie wierzę w to, bo gdyby Bóg istniał, to nie powinien dopuszczać do takiej niesprawiedliwości - oponuje Eura.

- Po to dał nam wolną wolę, byśmy sami, we własnym zakresie rządili ziemią. Dał nam wolność wyboru między dobrem a złem. Chciał nas po prostu sprawdzić. Ci źli będą ukarani, tych dobrych czeka życie wieczne w raju - tłumaczy Kuk.

Eura zaśmiała się szyderczo:

- I ty, człowiek wykształcony, wierzysz w takie brednie. Śmiechu warte to twoje gadanie. Póki się żyje, trzeba tego życia używać ile się da.

Wtrąciłem się:

- Powiedziałaś "póki się żyje". A czy zastanawiałaś się nad tym, jak powstało życie na ziemi?

- Jak to skąd? Powstało w wyniku ewolucji!

- Jakiej ewolucji? Przecież do tej pory, mimo takiego poziomu nauki, nie udało się uczonym skonstruować żywej komórki. Co dopiero mówić o organizmach bardziej skomplikowanych?

- To natura stworzyła sama! Najpierw powstały proste organizmy, później bardziej skomplikowane i po paru milionach lat powstały ssaki. Najpierw te bardziej prymitywne, potem naczelne, czyli małpy. A z małpy powstał człowiek.

Rozległ się głośny śmiech. Trampa.

- Wyobraź sobie, że natura położyła obok małpy kawałek gałęzi i kamień. Czy małpa zrobi z tego maczugę?

- A Czuczka zrobi! I upoluje fokę, a nawet wieloryba. A później zrobi kajak z ich skóry i kości. Małpa natomiast może cię tylko zabić. Przy pomocy kłów i pazurów, a twoje kości rozrzuci wokół siebie, nie czyniąc z nich żadnego użytku.

- No, wypraszam sobie!

- To nie porównuj małpy do człowieka - mówi z godnością Czuczka, pociągając tęgi łyk wina.

- Nie pij tyle!

- Piję, bo to wino zrobił Czuczka, a nie małpa. Małpa nie pije.

- Jaki Czuczka? Przecież to greckie wino! - oponuje Eura.

- A ty myślisz, że Grecy to nie Czuczki - ironizuje Tramp. - To nasi bracia z dalekiego południa. Oni robią wino z winogron, a my je kupujemy za tran zrobiony z wieloryba i wszystko gra!

- Myślę, że Tramp w żartach powiedział wszystko. Jest wiele ras ludzkich. A co je odróżnia od zwierząt? To, że ludzie potrafią coś nowego stworzyć (choćby maczugi) z wielu elementów, pozornie do siebie nie pasujących. Mają umiejętność tworzenia, konstruowania, zmieniania warunków na korzystniejsze dla siebie. A co najważniejsze, mają zdolność myślenia abstrakcyjnego. Człowiek dostał wspaniały prezent, różniący go zdecydowanie od zwierząt. Mam na myśli mózg ludzki. Dla mnie jest to jeden z argumentów przeciw ewolucji w rozumieniu Darwina. Nasz mózg jest wykorzystywany zaledwie w paru procentach. Gdzie tu ewolucja? To wielki prezent, olbrzymi skok jakościowy. Przyroda nie daje prezentów.

- W Biblii wyraźnie napisano: Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje - mówi Kuk. - Co więcej - dał mu wskazówki, dotyczące postępowania zgodnego z intencją Stwórcy - dał mu Dekalog. To nie wina Boga, że ludzie nie przestrzegają jego przykazań.

- I wy w to wierzycie? Przecież ten Dekalog to wymysł Mojżesza! Człowiek sam sobie wymyślił prawa.

- Byli już tacy, co sobie sami wymyślali prawa. W niedawnej przeszłości choćby Marks, Lenin, Stalin... Rezultaty są widoczne. To są prawa ludzkie. Jeżeli nie są zgodne z prawami boskimi, to prędzej czy później ludzkość sama siebie zniszczy. Prawa ludzkie są po prostu niedoskonałe, a przy tym okrutne. Stąd te wszystkie nieszczęścia. To nie jest wina Boga, że świat stoi na krawędzi zagłady.

- Pamiętacie tę piosenkę Pietrzaka? "...taka jest prawda panowie, ziemi zagraża człowiek..." mówi z goryczą Tramp.

- No właśnie! Człowiek, a nie Bóg. Już Rzymianie mówili: "Człowiek człowiekowi wilkiem jest". Prawo rzymskie do dzisiaj jest wzorem dla studentów studiów prawniczych. Jest

logiczne, spójne, a jednak czegoś w nim brak, jest jakaś poważna luka. Opierając się na nim można sprawnie zarządzać ludźmi, ale to za mało. Zakłada się, że ci ludzie rządzą się innymi prawami, podobnymi do zwierzęcych. Ten jest górą, kto ma siłę i spryt.

- O proszę - mówi szyderczo Eura. - Te wilcze prawa obowiązują do dziś. Przecież od czasów rzymskich ludzie się nie zmienili. Popatrzcie wokół siebie. Ile wokół zakłamania, intryg, nienawiści, bezinteresownej zazdrości. Szczególnie wśród Polaków!

- Nie przesadzaj! Źle ci z nami?

- Z wami jest mi dobrze. Ale wy jesteście Czukcze. To nie ja wymyśliłam termin: polskie piekło. Coś w tym musi być. Pomyślcie trochę. Wy sobie siedzicie przy ogniu, popijając wino, a reszta siedzi w namiotach i zgrzyta zębami. Z tego nic dobrego nie wyniknie. Jestem kobietą i wiem co mówię.

- A kto tym pozostałym broni przyjść do ogniska - mówi Tramp. - Zrobiłem je dla wszystkich. Kto się czuje Czukczą - ten jest z nami. I wcale nie musi pić wina. Kuk jest z nami i nie pije, a mimo to czuje się dobrze.

Zabrałem głos:

- Tramp ma rację. Ognisko jest dla wszystkich. Przecież nie mogę nakazać, że wszyscy mają się obowiązkowo tu meldować. Wszyscy chętni są mile widziani. Zrezygnowałem już z obowiązku ogłaszania każdego dnia czyichś imienin. Niech ci, którzy się poczuwają, zrobią to sami. Daliśmy dobry początek i to wystarczy. Tu wcale nie chodzi o picie przy ognisku. Przecież postawienie symbolicznej butelki wina to nie jest sprawa dużego wydatku. Ci ludzie nie mają nawyku siedzenia przy ogniu albo też nie chcą, bo przesadnie oszczędzają. Gdyby to był prawdziwy wpływ, w dodatku w Polsce, gdzie noce są chłodne, a wszystkie ciuchy mokre, to mielibyśmy tu komplet. Trochę nam przeszkadza cywilizacja, a ściślej technika. Gdyby nie wynaleziono butli gazowych, to wszyscy pichciliby przy ognisku. W tej sytuacji ognisko jest tylko potrzebą serca, nie może być nakazem.

- Z niewolnika nie ma robotnika - dorzuca Tramp.

- Otóż to! Wracając do naszej dyskusji, przypomniałem sobie historię wyczytaną w prasie. Ostatnio w Indiach znaleziono troje dzieci, porzuconych przez ludzi i wychowanych przez wilki. Jedno z nich miało pięć lat, drugie siedem, a trzecie bodajże dziewięć. W momencie znalezienia, wszystkie zachowywały się jak zwierzęta, jak wilki. Nie umiały mówić, chodziły na czworakach, nocą wyły do księżyca. Zajęto się nimi troskliwie, by je wychować na ludzi. Najłatwiej poszło z najmłodszym. Nauczono je kilkunastu słów, zaczęło nawet podnosić się do pionu. Gorzej już było ze średnim dzieckiem. Natomiast trzecie, to najstarsze, zachowywało się, mimo wszelkich usiłowań, dokładnie jak wilk. Co ciekawsze - umarło w wieku dwunastu lat. Czyli żyło tyle lat, ile żyje średnio wilk czy pies. Teraz pytam ciebie Euro: czy to jest ewolucja, czy raczej dewolucja?

- Nie wiem. Nie potrafię na to odpowiedzieć.

- To teraz dam ci inny przykład. W latach pięćdziesiątych francuski grafik Jean Effel wydał album rysunkowy pt. "Stworzenie świata". W tym albumie, w sposób żartobliwy, przedstawił swoją wizję stworzenia świata, opierając się przy tym na Biblii. Boga przedstawił jako dobrotliwego, życzliwego staruszka, który kolejnymi aktami stwarzał na ziemi warunki, umożliwiające w końcu stworzenie pierwszego człowieka, Adama. Adam był zagubiony jak dziecko we mgle. Trzeba go było uczyć od podstaw. Pamiętam taką scenkę: na łączce w Raju stoi tablica, Adam siedzi na ziemi wśród traw i kwiatów, a Bóg naucza go podstawowych wiadomości niezbędnych do życia. Ale nie do życia typowo zwierzęcego, bo to zakodował już w jego świadomości, a właściwie w podświadomości. Nauczał go jako tego, który ma panować nad zwierzętami, nad całą ziemią. Otóż Bóg narysował na tablicy dwie proste równoległe i mówi:

- Dwie proste równoległe przecinają się w nieskończoności. Tego nie można udowodnić, ale ja to widziałem!

Wszyscy się śmieją. Oprócz Eury. Nie zrozumiała dowcipu.

- To proste - mówi Tramp. Bóg jest nieskończony!

- Otóż to! Wizja artysty powiedziała nam więcej niż zawile wywody uczonych, choćby Darwina.

- Darwin był człowiekiem głęboko wierzącym - wtrąca Kuk. - On tylko odkrył poszczególne etapy tworzenia świata. Pod koniec życia sam stwierdził, że jego teoria nie trzyma się kupy. Są rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć ewolucją w takim rozumieniu, jak to usiłują tłumaczyć jego zwolennicy. Weźmy prosty przykład: pszczoła zapyla kwiaty roślin, dzięki temu z kwiatu powstaje owoc, dający początek nowej roślinie: gdyby nie było pszczoły, nie byłoby rozmnażania roślin. A gdyby nie było rośliny, pszczoła zdechłaby z głodu.

Tramp podchwytuje: co było pierwsze? - jajko czy kura?!

- Oto jest podstawowy problem: co było pierwsze! Logicznie myśląc - odpowiedź jest prosta. Przyroda, która nas otacza, to jest wzajemna współzależność roślin, owadów, ptaków, zwierząt. Wielka harmonia! Wszystko to zostało głęboko przemyślane, wszystko jest celowe. Natomiast człowiek do tego jakoś nie pasuje. Swoimi działaniami, swoim postępowaniem niszczy tę wielką harmonię. A dlaczego? Bo nie przestrzega tych praw. Bóg dał mu rozum i wolną wolę. Dał mu także boskie prawa, o których człowiek przez swą pychę zapomniał! To Szatan go opętał.

-Mówisz jak ksiądz na kazaniu! - śmieje się dziewczyna.

- "Oj dana, dana, nie ma Szatana, a świat widzialny jest poznawalny"

- śpiewa kpiąco Tramp, po czym stwierdza: - Chyba jesteś typowym wytworem systemu komunistycznego.

- Wypraszam sobie! Nigdy nie byłam w partii i nie będę!

- I co z tego? To właśnie komuniści narzucili ci sposób rozumowania. Dlaczego teoria Darwina tak rozprzestrzeniła się w świecie? Właśnie dzięki komunistom! To propaganda komunistyczna głosiła, że człowiek powstał od małpy. A dlaczego? By zataić istnienie istoty większej, potężniejszej niż człowiek. Skoro nie ma Boga, to każda doktryna, głoszona przez jakiegoś uczonego może być przyjęta jako prawdziwa. Wystarczy tylko zdobyć władzę i można ludziom wbić do głowy każdą, "jedynie słuszną" bzdurę. Wychować człowieka na zwierzę w ludzkiej skórze. Całe szczęście, że my Czuczki nie damy się na to nabrać. A dlaczego? Bo żyjemy w zgodzie z Naturą. Przez duże "N"!

- O, popatrzcie! Uczony się znalazł! Czuczka - naukowiec! Trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu. A gdzie tu jest miejsce dla Boga?

- To logiczne. Prawa natury stworzył Stwórca - jak sama nazwa mówi. Żyć zgodnie z prawami natury, to żyć zgodnie z Bogiem. Żadne zwierzę nie zabija bez potrzeby. Prawdziwy człowiek, wychowany w zgodzie z przyrodą, również. Zabija tylko człowiek, oderwany od praw obowiązujących w przyrodzie. A taki człowiek, to nie Czuczka. To groźne dla człowieka zwierzę, ale wyposażone w straszną broń. W zdeprawowany mózg. Co gorsza - zwierzę, umiejące mówić, mające do pomocy technikę i wilcze prawa, w których wychowuje następne pokolenia. Ma rację Kuk. To nie ewolucja, a degeneracja. Jak tak dalej pójdzie, to...

Zrezygnowany Tramp macha ręką. Zapada przykre milczenie. Ognisko zaczyna dogasać, więc nasz strażnik ognia wstaje i dorzuca nowych gałęzi. Wesoły trzask odradzającego się płomienia pomaga wrócić optymizmowi. Kuk zapatrzony w ogień mówi cicho:

- Cała historia ludzkości - to walka dobrego ze złem. Już dzieci pierwszych rodziców zaczęły się zabijać. Kain zabił Abła. A dlaczego? Z zawiści. Z żądzy władzy. Myślę, że dążenie do hegemonii, do rządzenia bliźnimi to rzecz szatańska. Czyli: mająca wymiar ponadludzki. Dlaczego? Bo zbuntowała się przeciw Stwórcy nawet część istot duchowych - aniołów. Pod wodzą Lucyfera, który też chciał władzy. Bóg zezwolił szatanowi na dokonywanie prób na

ludziach, po to by ich sprawdzać. Mówi o tym księga Joba. Szatan kusił nawet Chrystusa podczas czterdziestodniowego postu. A co mu proponował? Władzę nad ziemią.

- Chwileczkę! - Przerwała Eura - Jeśli Bóg istnieje, to dlaczego dopuścił szatana do głosu? Przecież mógłby go po prostu unicestwić. Przecież jest wszechmocny, podobno.

Tramp zaśmiał się:

- Mówisz jak komuniści: Jeśli nie ma Boga, to chwała Bogu. Ale jeśli istnieje, to niech nas ręka Boska broni!

Zabrałem głos.

- Szatan, a również i ludzie, został obdarzony wolną wolą. I w tym jest cały problem. Masz wolną wolę, więc rób co chcesz.

- Hulaj dusza - piekła nie ma - odpowiada Tramp.

- Właśnie tak niektórzy myślą. Obdarzenie ludzi wolną wolą pozwala Stwórcy dokonać wyboru między ludźmi. Co to by było, gdyby nie było wyboru między dobrem a złem? Albo wszyscy byliby dobrzy, albo wszyscy źli. Niestety nie ma lekko. Trzeba sobie zapracować na nagrodę albo karę.

- Bez pracy nie ma kołaczy - śmieje się Tramp.

- Żeby to sobie lepiej uzmysłowić - zejdźmy na ziemię. Przypuśćmy Euro, że masz dzieci. Jest ich sporo, mają różne charaktery. Kochasz wszystkie jednakowo, bo je urodziłaś. Chciałabyś jednak wychować je jak najlepiej. Jaki wariant zastosowałabyś w wychowaniu? Metodę bicia za najmniejsze przewinienie czy też metodę napominania, przebaczenia, tłumaczenia.

- Nigdy bym nie biła własnych dzieci! - To głupie i okrutne!

- A widzisz! A ty chcesz, żeby Bóg karał natychmiast za wszelkie przewinienia. Co to by się działo? Przypuszczam, że żadne z nas już nie istniałoby albo miałyby solidnie przetrącony kręgosłup. Ale tu trzeba myśleć w kategorii nie jednostkowej, ale w kategorii całych narodów. I nie w wymiarze nie jednego ludzkiego życia, ale w skali historycznej. Plany Boga trwają wieki, pokolenia. Chociaż, właściwie, jak się dobrze zastanowić, można dostrzec w historii przykłady, że Bóg karze prawie natychmiast. Zarówno poszczególnych ludzi jak i narody.

- Niemcy hitlerowskie! - woła Tramp.

- Francja za Napoleona! - Kuk

- Żydzi za Chrystusa! - Tramp.

Kuk podnosi rękę, prosząc o głos:

- Istotnie. To jest zastanawiające. Jak to krzyczeli Żydzi podczas przesłuchania Chrystusa przez Piłata. Przecież Piłat po rozmowie z Chrystusem uznał go za niewinnego. I dlatego umył ręce, by nie brać na siebie niesprawiedliwego wyroku. A co krzyczeli Żydzi? - "Krew jego na nas i na nasze syny". I po dwóch tysiącleciach doczekali się. Hitler był instrumentem w rękach Boga! Hitler zrobił swoje i zniknął. Stalin wymordował jeszcze więcej ludzi, był Bogiem dla komunistów i też zniknął. Tak jest! Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy!

- To żaden Bóg! - woła rozdrażniona Eura. - To są prawidłowości historii.

- Jakie prawidłowości? - dziwię się. - Sama zauważ, że wszelkie zło, prędzej czy później zostaje ukarane. Patrząc z perspektywy dziejów, żaden system rządzenia wymyślony przez ludzi nie utrzymał się zbyt długo. A dlaczego? Może się powtarzam, ale twierdzę, że dlatego, iż nie przestrzegał praw boskich, a zwłaszcza naczelnego prawa, które jest tak proste i tak genialne: „Kochaj bliźniego jak siebie samego"! Miłość, właśnie miłość jest naczelną i jedyną zasadą, której nasz Rodzic od nas wymaga. Ludzie wszystko potrafią przeinaczyć i przekręcić. Był Dekalog, dziesięć prostych, logicznych zasad postępowania. Żydowskie naukowcy tak go przekręcili, stworzyli tyle bzdurnych przepisów wokół niego, że ludzie zagubili się zupełnie. Już nie wiedzieli, co dobre, a co złe. Żydzi, naród wybrany, ugrzęźli w prawach ustanowionych przez żydowską biurokrację, czyli faryzeuszów - "uczonych w mowie i w Piśmie". Co robi Stwórca? Decyduje się na krok desperacki. Wysyła do ludzi swego Syna...

- A ludzie go mordują! - stwierdza Eura. - Słuchajcie, przecież to się nie trzyma kupy! Wysłać własnego syna na śmierć? Ja nie wierzę w takie brednie. Chrystus - syn Boga. Do tego poczęty przez dziewicę!

- Sądysz, że dziewica nie może mieć dziecka? - pytam. - Przecież to proste przy naszym stanie techniki. Na przykład: dziecko z próbówki

- No, rzeczywiście. Nie pomyślałam o tym.

- To teraz słuchaj dalej! I usiłuj wczuć się w rolę kogoś, kto jest twórcą. Obojętne czego. Twórca jest odpowiedzialny za swoje dzieło. Ktoś konstruuje, przypuśćmy, jakąś maszynę. Czuje się odpowiedzialny za jej parametry. To zrozumiałe. Jeszcze nie tak dawno konstruktor mostu osobiście sprawdzał jego wytrzymałość, jadąc maksymalnie obciążonym pojazdem jako pierwszy. Ale taki most - to małe piwo! Wystarczy sprawdzić obliczenia wytrzymałościowe. A tu chodzi o tego, który stworzył człowieka. I ten stwórca, nasz Rodzic, też czuje się odpowiedzialny. Ale w zupełnie innym wymiarze. Dał nam tę cholerną wolną wolę. Po czym stwierdza, że coś tu nie gra. Zbuntowani aniołowie schodzą na ziemię, płodzą dzieci z uroczymi ziemiankami, rodzą się Giganci. Walczą ze sobą. O co? O WŁADZĘ ! Bóg zsyła zatem potop na ziemian. Ocalał tylko Noe. Nie przypadkiem; miał pewne zalety. Słyszał głos Boga, głos Natury, mówiąc twoim językiem, który go przestrzegał przed nadchodzącym nieszczęściem. Przed karą za grzechy. Co robi Noe? Ostrzega innych przed nadchodzącym potopem i przystępuje do budowy arki. Taka arka to nie kajak. To olbrzymi, jak na te czasy, statek. Jego budowa trwa przez długie lata. Ludzie śmieją się z niego i z jego rodziny, z jego synów, którzy wierzą w słowa ojca. Wierzą, że Bóg dał mu przestrożę. Dał, za jego pośrednictwem, przestrożę ludziom, by się opamiętali i zawrócili ze złej drogi. No i co? Czy ludzie się opamiętali? Ależ skąd! Robili dalej swoje. Trwali w grzechu. No i doczekali się!

Eura śmieje się:

- I ty, człowiek wykształcony, rzeczywiście wierzysz w to, że był potop?

- Wierzę! Naturalnie, że wierzę. Nauka współczesna dostarcza na to coraz więcej dowodów. Powiem ci więcej. Do tej pory uważano, że większość historii o najdawniejszych dziejach ludzkości traktowano jak bajkę. Jednak w miarę rozwoju nauki okazuje się, że te bajki mają potwierdzenie w rzeczywistości. Ot, choćby sprawa istnienia Sodomy czy Gomory. Albo Jerycha. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu śmiano się z tego. A dzisiaj? Okazuje się, że to wszystko prawda. Im bardziej nasza nauka idzie do przodu, tym więcej informacji, zawartych w Biblii i w innych przekazach czy legendach, okazuje się prawdziwymi.

- Czytanie Biblii uważam za stratę czasu. Przeczytałam Opowieści biblijne Kosidowskiego i to mi wystarczy. Mam swoje zdanie na ten temat.

- To nie jest twoje zdanie, a opinia autora. Lubisz wino?

- Lubię.

- Wolisz je pić, czy czytać o jego właściwościach?

- Głupie pytanie! O co ci chodzi?

- Bo taka jest różnica między pić wina, a czytaniem o nim, jak między studiowaniem Biblii i czytaniem opowieści pana Kosidowskiego. Wracając zaś do ewolucji, w którą tak wierzysz, to zastanów się jak skomplikowaną konstrukcją jest żywy organizm. Jakie skomplikowane zależności zachodzą między poszczególnymi organami organizmu. Weźmy na przykład nasze wątroby, zajęte w tej chwili przeróbką wina. Gdyby zespół inżynierów chciał odtworzyć wszystkie jej funkcje, to powstałaby ogromna fabryka chemiczna, współpracująca z innymi równie skomplikowanymi urządzeniami, jak żołądek, trzustka i cały układ trawienny. A tym wszystkim steruje fantastyczny komputer, jakim jest mózg. Nawet przy dzisiejszej technice, którą ludzie tak się fascynują, nie ma mowy o skonstruowaniu tak genialnego urządzenia. Powstałoby ogromne gmaszysko z miliardami wzajemnych połączeń, które i tak nie dorównałoby sprawnością mózgowi człowieka. Czy takie skomplikowane urządzenia w żywych organizmach powstały przez przypadek? Na pewno nie! A jeszcze

większy cud to zjawisko rozmnażania się. To jest dopiero tajemnica! Poczynając od rozmnażania się bakterii, a kończąc na ssakach i człowieku - wszystko to zostało idealnie zaprogramowane. Co ciekawsze - zostały ustanowione bariery, zapobiegające przypadkowemu krzyżowaniu się różnych form życia. Słyszałaś chyba coś o kodzie genetycznym?

- Tak, to się nazywa spirala DNA. To taki zbiór informacji o organizmie, przepisy, jak się ma rozmnażać stworzenie. Zresztą, daj mi spokój, nie jestem biologiem. Co to ma wspólnego z Bogiem? Jest to mądrość przyrody i tyle.

- Ale te przepisy same nie powstały. Bo gdyby tak było, to powstałby potworny chaos w przyrodzie. Wyobrażasz sobie taką sytuację, że na każdej ulicy w mieście są inne zasady ruchu? W dodatku - każdy kierowca pojazdu ma własne zasady? A w przyrodzie wszystko to przebiega bez zakłóceń, jest celowo i drobiazgowo pomyślane. W każdej komórce każdego organizmu. Poza tym tych przepisów - instrukcji jest bardzo dużo. Gdyby rozpisać na strony tę liczbę informacji, jaka jest zawarta w każdej cząsteczce DNA, to powstałaby księga, licząca około 600 tysięcy stron!

- Niemożliwe! To się nie mieści w głowie - wyszeptała Eura.

- Ale mieści się w tej mikroskopijnej spirali, znajdującej się w każdej komórce. Powtarzam, gdyby uczonym udało się zbudować żywą komórkę, byłby to sukces na miarę kosmiczną. A gdyby udało się zapewnić jej rozmnażanie, to byłby już cud. W czasach, kiedy Darwin tworzył swą teorię, nasza wiedza nie była tak doskonała jak obecnie. Ale już w tym samym wieku Pasteur i inni naukowcy wykazali podstawowe sprzeczności w jego teorii. To właśnie Pasteur powiedział, że "Mało wiedzy oddala od Boga, dużo wiedzy przybliża nas do niego z powrotem".

- Słuchajcie - mówi Kuk - mówiłem już, że Darwin też był człowiekiem wierzącym. To marksiści i inni "racjoniści" w cudzysłowie posłużyli się jego teorią, jako argumentem naukowym o tym, że nie ma Boga. Darwin odkrył tylko etapy tworzenia życia, a właściwie - nie odkrył. Wszystko to, co nazwał ewolucją, zostało przecież opisane w Księdze Rodzaju.

- Jasne? - pytam. - Jasne! Nie ma sensu kruszyć kopii. Trampie, polej wina i coś zaśpiewamy.

- Może Noego? - proponuje Tramp.

- Dobrze! Niech będzie "Noe".

*"Raz Noe (3 x) świętym był
Przechadzał się przed Panem
A że mu (3 x) było źle
Popijał wino dzbanem.*

*I za to go miłował Pan
I strzegł w wszelkiej przygodzie
A gdy potopu (3 x) nadszedł czas
Nie dał mu zginąć w wodzie..."*

Ognisko dogasało powoli. Czuczka kładą się w pobliżu i, spoglądając w rozgwieżdżone niebo, zasypiają snem sprawiedliwych.

Wstaje przepiękny ciepły poranek w oprawie dwóch odcieni błękitu: morza i nieba. Nie zaniedbujemy naszej porannej modlitwy, czyli kąpieli w morzu. Przedłużamy tę przyjemność wielokrotnie aż do południa, kiedy to słońce zmusza nas do schronienia się w cieniu.

- I pomyśleć, że my tu odpoczywamy w cieniu oliwki, a nasi koledzy muszą w taki skwar wiosłować. Przecież jest 30° w cieniu - mówię.

Kuk, stary żeglarz, przeciąga się leniwie:

- Zawsze mówiłem, że morze należy pokonywać pod żaglami.

- A jak nie ma wiatru, tak jak dzisiaj, to co?
- Po to właśnie wymyślono galery - śmieje się Tramp.
- Tak naprawdę, to kajak został wymyślony do pływania po morzu.
- Niemożliwe? - oponuje Kuk.
- Możliwe, kajak wymyślili...
- Czuczce! - woła triumfująco Tramp.
- W zasadzie masz rację, bo to właśnie Eskimosi używali kajaka do polowań na fokii. Stąd zapewne wywodzi się "eskimoska".
- A co to jest - pyta żeglarz.
- To jest umiejętność polegająca na odwróceniu kajaka do pozycji pierwotnej po wywrotce, jednak bez wychodzenia z kajaka, a jedynie za pomocą odpowiedniego pociągnięcia wiosłem i manewru ciałem.
- Jak to - z głową pod wodą.
- Właśnie tak! To taki wańka-wstańka.

Tramp śmieje się: - Czuczka robić jedynie półeskimoskę.

- Z tego wynika, że do wykonania jednej eskimoski potrzeba aż dwóch Czuczaków - podsumowuje z przekąsem Eura. - Przestańcie pleść byle co. Mam coś ciekawszego. Krakersi zrobili rozeznanie, że niedaleko stąd odbywają się jakieś słynne targi, wyprzedają przecenionych ciuchów. Może pojechalibyśmy tam?
- Dobra myśl! Trzeba ludzi jakoś rozerwać, bo poumierają z nudów.
- Zwłaszcza kobiety - dodaje Tramp, patrząc złośliwie na Eurę.

Po południu, gdy upał już nieco zelżał, siadamy w komplecie do autokaru i po półgodzinnej jeździe dojeżdżamy na miejsce.

Ogromny teren targów pod gołym niebem, zapełniony stoiskami z olbrzymią ilością towarów. Atmosferą miejsce to przypominało Jarmarki Dominikańskie w Gdańsku. Można tu było kupić mnóstwo potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Nasze turystki dostały gorączki z nadmiaru emocji, ale i panowie też dali się podpuścić. Tramp zachwyił się amerykańskim śpiworem wojskowym z kapturem na głowę. Wybiłem mu ten zakup z głowy. Za ciężki, a zwłaszcza za gruby do transportu w kajaku. Poprzestaliśmy zatem przy piwach i pikantnych kiełbaskach, które serwowaliśmy przy każdym okrążeniu terenu. Tuż przed odjazdem Sułtan pochwalił się swoim zakupem - zegarkiem wodoszczelnym, używanym do nurkowania. Kupił go od jakiegoś Murzyna, który sprzedawał je na pęczki. Taki zegarek to łakomy kąsek dla kajakarza. Pobiegłem we wskazanym kierunku i po chwili kupiłem szmelc za 8 dolarów. Szmelc, bo był to raczej przyrząd do wykrywania wilgoci w powietrzu. Wystarczyło umyć ręce w łazience i przestawał działać. Po powrocie do kraju opowiadałem o tym zakupie i śmiałem się razem z innymi z mojej naiwności. Opowieść o rzekomo wodoszczelnym zegarku usłyszał mój siedmioletni syn i postanowił sprawdzić czy to rzeczywiście prawda. Gdy wyjął zegarek ze szklanki z wodą chciałem mu go dać do noszenia. Jednak malec nie chciał przyjąć prezentu.

- Po co mi zegarek, który nic nie wskazuje - stwierdził rezolutnie.

Następnego popołudnia do biwaku dopłynęli wrocławianie. Spaleni słońcem, ale pełni wrażeń i szczęśliwi. Wieczorem zjawili się pozostali, czyli załoga Docentów i Pilot. Też zadowoleni. Ja natomiast odetchnąłem z ulgą. Nareszcie wszyscy w komplecie. Pojutrze, według planu, mamy odjeżdżać do kraju.

Nazajutrz, około południa, zebrała się tzw. Rada Wyprawy. Rada, według regulaminu, miała być : "łącznikiem w sprawach organizacyjnych pomiędzy komandorem, a pozostałymi uczestnikami wyprawy". Rada została wybrana w jawnych i demokratycznych wyborach jeszcze podczas naszej podróży do Turcji, chyba na jakimś postoju na terenie Jugosławii. W jej skład wchodziła Krakersowa - żona Tłumacza, Małgośka i Docent. Ten "głos ludu" nie przejawiał do tej pory żadnej inicjatywy, ale teraz wystąpił z propozycją. Zaproszono mnie na

naradę Rady. Lud, ustami swych przedstawicieli, zaproponował przedłużyć o jeden dzień pobyt na tutejszym biwaku. W zamian - skrócić o jeden dzień podróż, kosztem noclegu w Budapeszcie. Zgodziłem się chętnie.

Natomiast druga propozycja Rady była wprost szokująca. Dzisiaj w Porto Carras odbywa się zakończenie festiwalu wina. Uczestnicy poprzednich wypraw brali już udział w podobnym festiwalu i opowiadają o tym cuda. Płaci się za wstęp 300 drachm, czyli około 2 dolarów i można pić tyle wina, ile się chce. Przewidziane są występy zespołów folklorystycznych, zabawa taneczna i inne atrakcje. Ktoś wręczył mi program festiwalu. Biorę go do ręki, studiuję z kamienną twarzą, by się nie zdradzić. Pytam, ilu jest chętnych na wyjazd.

- Zrobiliśmy już rozeznanie - powiada Krakersowa. Chcą jechać wszyscy. Pilot, który był na poprzednim festiwalu zgadza się zostać i popilnować obozu. Zgadzasz się?

Głupie pytanie. Jasne że się zgadzam. Przecież to niesamowita frajda. Nie zdradzam się jednak z emocjami. Kochani Krakersi! Jestem pełen wdzięczności za ich inicjatywę. Postanawiam puścić w niepamięć wszystkie ich potknięcia. Ustalamy zatem godzinę odjazdu i biegnę pod oliwkę, by powiadomić przyjaciół o radosnej nowinie. Tramp nie chce uwierzyć:

- Chyba ja śnię! I to zaproponowała Krakersowa? - upewnia się.

- Tak! Wyobraź sobie, że to właśnie ona. A jej mąż był obecny na naradzie i nawet przekonywał Prezesa. Obaj już byli na festiwalu, ale chętnie pojedą jeszcze raz!

- To mi się nie mieści w głowie - mówi z niedowierzaniem Tramp.

- Mnie również - dorzuca sceptycznie Eura.

- To niech się wam pomieści. Wyjeżdżamy o 19-tej nul nul!

O oznaczonej porze w komplecie ruszamy do boju. Po kilkunastu minutach jazdy krętą, malowniczą szosą autokar podjeżdża do bramy naszej "Kany Galilejskiej". Tłumacz wysiada i chwilę rozmawia przy kasie.

- To chyba jego pierwsza akcja jako tłumacza - myślę. - Pewnie zrozumiał swoje niezręczne pogrywki i postanowił się zrehabilitować. No cóż, niedługo znów będziemy w Polsce, a ja muszę pisać sprawozdanie z wyprawy...

Tłumacz wraca do autokaru, coś tam zagadał do najbliższych i jedziemy w drugą stronę. Pewnie dla dużych pojazdów jest jakiś inny wjazd. Ale po dłuższej chwili orientuję się, że wracamy. Podchodzę zaniepokojony do kierowcy i pytam, dokąd jedziemy? Okazuje się, że na biwak. Pytam, kto wydał takie polecenie.

- No, chyba ty!

- Zatrzymaj się!

Zwracam się twarzą do ludzi:

- Kto wydał polecenie powrotu?

Cisza... Wesoły gwar w autokarze powoli milknie.

Biorę do ręki mikrofon i ponawiam pytanie. Znów milczenie...

- Heniu, zawracaj!

- Ale my nie chcemy jechać na festiwal - krzyczy piskliwie Krakersowa.

- A to dlaczego?

- ... Nno... bbo za drogo.

- Za drogo? Ile?

- 400 drahm - odpowiada Tłumacz. - Nie wiedzieliśmy, że podrożało.

- I co? Sami zdecydowaliście? Nie pytając nikogo o zdanie? Nawet mnie? Co to ma znaczyć?

Chwila ciężkiego jak ołów milczenia.

- A bo ty uważasz nas za „gównojadów” - wyrzuca czerwona z emocji Krakersowa.

- Przepraszam, ale ja nie rozumiem tego słowa. Proszę cię, wyjaśnij wszystkim, co to słowo znaczy.

Wtykam jej mikrofon do ręki. To w końcu prawniczka z zawodu...

Ta bierze go do ręki z ociąganiem i zaczyna:

- Gównojad - to taki, który gówno je, żeby zaoszczędzić dolary... Zresztą... nie będę ci się tłumaczyć! My chcemy do domu!

- Nie rozumiem tego "MY". My - to znaczy kto? Królowa angielska?

Krew mnie zalewa, ale postanawiam spokojnie rozegrać tę partię. Mogę wprawdzie skończyć tę nedorzeczną dyskusję i nakazać kierowcy wjazd. Postanawiam jednak zabawić się w kotka i myszkę. Prowokuję więc dalej:

- Nie wiedzieliście, gdzie jedziecie? Nie rozumiem was. Trzeba było zostać w obozie.

- My nie chcemy tracić pieniędzy na picie! My mamy żony i dzieci! - krzyczy ktoś z głębi autokaru.

Spoglądam w tym kierunku. To Małgośka, drugi członek Rady.

- Jak nie chcecie tracić pieniędzy, to po co tu jesteście? Co, wy myślicie, że to organizatorzy festiwalu będą wam płacić za to, że racyliście tu przyjechać i pić wino?

Zapadło przygnębiające milczenie, które przerwał Tramp.

- Angelika! Daj mi pieniądze.

Po czym przeszedł w milczeniu do przedniego wyjścia i wysiadł, trzaskając drzwiami.

- Co tu się dzieje? Ja nic z tego nie rozumiem! - jęknął ktoś.

To odezwała się Polka, znajoma Skarbniczki z biwaku, która przypadkiem zabrała się z nami. Również wstała i zaczęła szykować się do wyjścia. Ja również mam na to ochotę, ale przecież muszę myśleć o tych, którzy mi zawierzyli. Zaczynam znowu:

- Słuchajcie! Nie jesteśmy dziećmi. Wszyscy wiedzieli, gdzie i po co jadą. Być może cena okazała się dla niektórych za wysoka, prawie j e d e n dolar więcej niż przewidywano. Co to jest jeden dolar? Do tej pory nie płaciliście ani dolara za biwaki. Nie zrobiliśmy promowania na Tassos, zresztą przewidzianego w planie wyprawy. Poszedłem wam wtedy na rękę. Mamy zaoszczędzone pieniądze. Mógłbym z czystym sumieniem nakazać wjazd, ale postanawiam mimo to załatwić tę sprawę w sposób demokratyczny. Robimy głosowanie. Kto za festiwalem? - ręka do góry. Ponad połowa ludzi podniosła ręce. Tramp głosował poprzednio nogami.

- Kto przeciw?

Liczę powoli podłe, małe dusze. Oczywiście komplet Krakersów i parę innych osób. Każdej z nich patrzę uważnie w oczy. Lubię takie konfrontacje, to rzadki luksus bezpośredniej weryfikacji - kto wróg, kto przyjaciel? By mieć jasność do końca pytam, kto się wstrzymał. Kilka osób, w tym Kuk i Skarbniczka. Zatem zdecydowana większość - jest za.

- A więc - jedziemy na festiwal.

Na to krzyk Krakersów:

- Ale my nie chcemy!

O, cholera, to już jawny bunt! Uśmiecham się jednak słodziutko:

- Nikt was nie zmusza. Zostaniecie tutaj. Przy okazji zwiedzicie miasteczko, bo warte jest tego. Jesteście przecież turystami. Potem posiedzicie w jakiejś kawiarence nad brzegiem morza i poczekacie na nas.

- Ale my jesteśmy zmęczeni, my chcemy do domu - krzyczy Krakersowa.

- Jeśli jesteście zmęczeni, to wracajcie taksówkami na biwak. Powtarzam, przecież nie jesteście dziećmi. To była przecież w a s z a p r o p o z y c j a !

Chwila milczenia. Spoglądam po twarzach. Tu i ówdzie pojawiają się porozumiewawcze uśmiechy sympatii i nadziei. W obozie adwersarzy - przygnębenie. Przerzywa tę nedorzeczną ciszę sam Prezes.

- Zgoda! Dajemy wam czas do godziny 22.

- Rozumiem, że część z was zostaje i czeka na resztę.

- Ależ nie! Jedziemy wszyscy - oponuje Prezes.

- To dlaczego n a m dajecie czas? Kim w y jesteście? Kimś innym, lepszym? Może elitą? Zapominacie, że tutaj ja decyduję!

Zwracam się ponownie do Prezesa:

- Byłeś na poprzednim festiwalu?

- Byłem.

- A do której godziny bawiliście się?

- Nnno, do końca. Ale o co chodzi?

Biorę do ręki program i zaczynam głośno czytać:

"Godzina 19-ta - otwarcie uroczystości, degustacja win; 20 - 22 - występy zespołów folklorystycznych; 22 - 3 - zabawa taneczna, w tym wyboru miss festiwalu, konkursy itp..."

- A zatem, wy byliście do końca, bawiliście się bez przeszkód, a nam chcecie przeszkodzić w przeżyciu tego wszystkiego, coście sami przeżyli? To bardzo nieładnie z w a s z e j strony!

Zaczęli się gorączkowo naradzać. Sz szu szu... Istna egzekutywa. Uśmiechając się obserwowałem, jak Prezes gorączkowo przekonywał żonę Tłumacza, bez wątpienia sprawczynię i głowę spisku.

- No dobrze! Dajemy wam, eee - to znaczy bawimy się do 23-ciej!

- Zgoda! - mówię z uśmiechem. Zatem punktualnie o 23-ciej odjeżdżamy! A teraz - do boju!

Autokar wyraźnie ożywił się. Znów zapanował radosny gwar. Tylko Krakersi przyglądali mi się podejrzliwie, że tak łatwo ustąpiłem.

Wjeżdżamy na teren igrzysk i swawoli. W centralnym punkcie obszernej polany nad brzegiem morza estrada, wokół długie stoły poobwieszane kolorowymi lampionami, radosny gwar ludzki. Na estradzie występuje jakiś zespół folklorystyczny. Nad wszystkim króluje unoszący się w powietrzu radosny duch Bachusa. Przewodnik doprowadza nas do jednego ze stołów. Każdy pobiera po niewielkiej, 100 gramowej lampce, mającej służyć do degustacji. Na stole nie ma jednak wina. Znajduje się ono w dużych beczkach na uboczu, siedzenie zatem przy stole nie ma najmniejszego sensu. Jak długo można pić jeden łyk wina? Krążę koło beczek, zajmując się degustacją. Towarzyszy mi Eura. Przy jednej z beczek natykamy się na Trampa. Ale co to? W jego ręku dostrzegam ładną karafeczkę mniej więcej półlitrową. Pytam o szczegóły.

- Co ja będę latał co chwila do beczki. Za dodatkową opłatą kupiłem sobie prawdziwy puchar, przy którym mogę trochę posiedzieć przy stole. Które wino uważasz za najlepsze?

- Chyba z tej beczki, przy której stoimy. Nieźle jest również to po lewej. Reszta to cienkusz. Szkoda żołądka i głowy. Tramp zabrał się żwawo za napełnianie pucharu i pośpieszył do stołu.

- Zaczekaj chwilę - zawołałem, pamiętaj, że o 23-ciej odjeżdżamy.

Trampa zamurowało. Obrócił się w końcu do mnie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takich zdziwionych oczu. Przy tym jego duże niebieskie oczy dziecka zajęły chyba pół twarzy.

- Czyś ty zwariował. Przecież festiwal kończy się gdzieś nad ranem. Co za sens płacić tyle pieniędzy po to, by wyjechać w połowie zabawy. Przecież to, przepraszam cię, głupota!

- Masz rację. Ale nie znasz szczegółów.

Na zmianę z Eurą, przerywając sobie wzajemnie, opowiadamy o tym, co zaszło w autokarze po jego wyjściu.

- Dobrze, że wysiadłem, bo nie mogłem słuchać tych bredni. Szkoda było czasu. I tak wiedziałem, że przyjedziecie. Ale, widzisz... ja..., dla mnie to była... Ja po prostu nie mogłem wytrzymać, bo bym ich..., bo bym...!

Potężna pięść Trampa wznosi się ku górze. O rany, co za panzerfaust! Uśmiecham się z ulgą - że broń przeznaczona jest dla kogo innego.

- Uspokój się i nie wymachuj tak, bo ktoś z boku pomyśli, że jesteś pijany. To wino, które pijemy nie jest najlepsze. Poza tym jest młode i szybko idzie do głowy. My pijemy wino codziennie i o klasę lepsze. Ale Krakersi, skoro już połknęli haczyk, będą je pić zachłannie i...
- Tu cię mam - przerywa ucieszony Tramp. - Chcesz ich po prostu spać i tu zostawić?

Kiwam głową. Po czym dodają:

- Tak jest! Chcę by wpadli we własne sieci. Cholernie nie lubię psychopatów!
- Masz rację. To podstęp godny Czuczki. Trochę mi jednak żal zabawy.
- Mnie również. Nie ma nic za darmo. Ale to nic. My się jeszcze nie raz zabawimy. Chodźmy już do stołu.

Nasi zgodnie zajmują się opróżnianiem szklaneczek. Zwracają głowy ku mnie. Uśmiechają się, podnosząc w górę lampki. Wszystko mi się w środku przewraca. Wino pije się tylko z przyjaciółmi. Wypijam z trudnością jakiś toast i pośpiesznie wstaję od stołu. Zbyt dużo kosztowała mnie ta wojna nerwów. Siadam samotnie nad brzegiem morza i pogrążam się w rozmyślniach...

Po drugiej stronie niewielkiej zatoczki - oświetlony rzeźbiście hotel. Przebywają w nim normalni ludzie. Ot, przepłynąć wpław te parędziesiąt metrów i znaleźć się w zupełnie innym świecie. By być jak najdalej od tych przewrotnych ludzi. Co ja im złego zrobiłem? Powinni być mi wdzięczni, że przeprowadziłem ich bez trudności przez te wszystkie granice i kontrole celne. O co im właściwie chodzi?...

W takim stadium rozmyślań odnalazła mnie Eura. Usiadła obok. W ręku trzymała karafkę.

- Napij się.

W milczeniu wziąłem naczynie i pociągnąłem solidny łyk. Nieco ulżyło. Oddałem je dziewczynie bez słowa. Przydługie milczenie przerwała Eura:

- Słuchaj! Ja ciebie nie rozumiem. Byłam pełna podziwu wtedy, gdy załatwiałeś w pięknym stylu Krakersów. Ale skoro wpadli we własne sieci, to powinieneś być szczęśliwy i bawić się.
- Chciałbym się bawić, ale razem z normalnymi ludźmi - a nie z padalcami. Nie mogę na nich patrzeć. Czy możesz to zrozumieć?
- No cóż. Trochę cię rozumiem. Nie przypuszczałam, że to cię kosztuje aż tak dużo. Daj już sobie spokój z tymi troskami. Szkoda czasu! Chodź, zobaczymy jak się bawią inni. Zrobimy mały przegląd.

Bachanalia weszły w fazę szczytową. Przy każdym ze stołów siedziała inna narodowość, każda inaczej manifestowała swoją radość. Staramy się odgadywać po języku i stylu zabawy, kto siedzi przy każdym z tych stołów. Najgłośniejszy zachowywali się Niemcy. Ich chóralne śpiewy przytłumiły śpiew siedzących po sąsiedzku Anglików. Tutaj bawią się Włosi, a tam Francuzi. Wciągnęliśmy się w tą zgadywanekę. Tam, gdzie mamy wątpliwości, zaczepiamy pierwszego gościa z brzegu i pytamy o narodowość. Ludzie chętnie wdają się w konwersację i gościnnie zapraszają do wspólnej zabawy. Dziękujemy z uśmiechem, czasami wypijamy z kimś po łyku i wędrujemy dalej. Istna wieża Babel zjednoczona we wspólnej zabawie.

W pewnej chwili odchodzimy, by napełnić naczynia i spokojnie na boku zapalić papierosa. Zabrakło nam ognia. Zbliżyliśmy się do małej grupki dyskutującej na uboczu. W żywo gestykujących rękach ogniki papierosów migają jak świętojańskie robaczki w wieczór godowy. Zafascynował mnie język tych ludzi, niedużych wzrostem, ubranych w czarne spodnie, białe koszule i ciemne kamizelki. Odpalam papierosa i przy okazji pytam o narodowość. Okazuje się, że to Macedończycy, czyli tubylcy. Nie przypuszczałem, że w północnej Grecji żyją Słowianie. Mimo wspólnych korzeni porozumiewamy się jednak z trudem. Wino jednak zbliża ludzi i już po chwili jesteśmy przyjaciółmi, zwłaszcza gdy dowiadują się, że jesteśmy Polakami. Proszę, by zaśpiewali nam jakąś macedońską piosenkę. Prośba wzbudza jednak małe zamieszanie. Okazuje się, że nie bardzo potrafią. Zapomnieli.

Jeden z wodzących tu rej wysła kogoś po pomoc. Wkrótce przybywa jakiś starzec z przyprószoną siwizną czarną, wspaniałą brodą. Nowoprzybyły, po gorączkowej naradzie z współbraćmi, zaczyna śpiewać. Pozostali mu pomagają, zwłaszcza przy refrenach. Zasłuchałem się w tę dziwną melodię. Miała w sobie coś urzekającego. Sprawiała, że zanurzyłem się w „prasłowiańskość”, w sen praprzyszłości. Miałem uczucie, że kiedyś słyszałem już podobną melodię...

Po zaśpiewaniu kilku piosenek Macedończycy poprosili, bym zaśpiewał coś po polsku. Nie dają się długo prosić. Słuchają w skupieniu z jakimś szczególnym nabożeństwem. Są wzruszeni, podobnie jak ja poprzednio. Proszą o następną. W tym momencie dopadł mnie Szaman.

- Dobrze, że dałeś głos. Szukam cię już od dłuższego czasu. Dlaczego nie przychodzisz do stołu? Chcielibyśmy napić się z tobą.

- Kochany Szamanie! Dziękuję ci za zaproszenie, za pamięć. Jeśli chcesz - możemy się napić, napiję się z tobą z przyjemnością. Ale nie mam ochoty iść do stołu, bo jest tam parę gąb, na które nie mogę patrzeć, a tym bardziej pić z nimi.

- Doskonale cię rozumiem. Ale nie zapominaj, że oprócz Krakersów są i inni. Większość z nas bardzo cię lubi i czekamy na ciebie. Bez ciebie nie ma nastroju. Wszyscy wkoło bawią się, śpiewają, a Polacy siedzą jak nastroszone wróble. Wprawdzie ktoś tam zaczął śpiewać, ale nam to nie wychodzi. Brak dyrygenta. A poza tym - jak to może być - wino i śpiew bez ciebie?

Wzruszyłem się tyradą doktora.

- Wracaj, zaraz tam będę. Dokończę tylko rozmowę z tymi ludźmi. To są też Słowianie. To Macedończycy.

Doktor spojrział z niedowierzaniem na otaczającą mnie grupkę, przy jego słusznym wzroście wyglądali jak stadko pingwinów:

- Słowianie w Grecji?

- Właśnie tak! Też się zdziwiłem. Jak widzisz nie tracę czasu i też się bawię. Za chwilę przyjdę do stołu, tylko dokończę rozmowę. Chciałbym się z nimi jutro spotkać.

Dogadanie przychodzi jednak z trudem. Przywódca grupy powtarza ciągle słowo "haza", wskazując przy tym na siebie. Słowo to było kilkakrotnie używane w tekście piosenki, którą śpiewali. Po węgiersku oznacza ono "dom". Okazuje się, że po macedońsku również, co potwierdza jeden z nich, znający kilka słów po niemiecku. Po dłuższej dyskusji okazuje się, że wieś, w której mieszkają nasi pobratymcy, leży niedaleko naszego biwaku. Umawiamy się zatem na jutrzejszy wieczór u jednego z tubylców, chyba jakiegoś szefa wsi. Obiecuję Macedończykom, że przyjdę z gitarą, co wzbudza u nich dużą radość. Żegnamy się serdecznie i po chwili zasiadam za polskim stołem. Jeden rzut oka na mocno poczerwienione twarze upewnia mnie w przekonaniu, że ludzie bardzo się starają, by zdążyć wypić swoje do jedenastej. Wino jednak nie lubi pośpiechu.

- Wino uskrzydla nawet ptaka, ale podcina nogi stonogi - mówię na przywitanie do Trampa, obejmującego czule Angelikę.

- Widzę, że doszedłeś do formy - cieszy się młodszy Czuczka.

- Zaśpiewajmy coś, bo przy innych wyglądamy jak bractwo ponuraków na pogrzebie cioci.

- Tak, tak! - odzywa się chór głosów. - Śpiewajmy!!!

Łatwo powiedzieć. Wokół potworna mieszanina chórów z sąsiednich stołów. Tamci są już dawno rozśpiewani, przy tym piją umiarkowanie, bo mają czas. Nasi chcieliby też się wykazać, ale widzę, że wykazali się w typowo polskiej konkurencji - w ilości alkoholu na jednostkę czasu. Mimo to usiłuję wykrzesać coś z naszej grupki. Jak było do przewidzenia - nasze śpiewy okazały się głosem wołającego na puszczy...

Szkoda, że Krakersi nie uprzedzili mnie, że tu można i TRZEBA śpiewać, że należy zabrać ze sobą GITARĘ! Przy jej pomocy podbilibyśmy, nawet i w tej sytuacji, całe towarzystwo wokół. Mówię o tym Trampowi. Ten bez namysłu wypala:

- Coś mi się widzi, że oni wcale nie mieli zamiaru brać udziału w tym całym festiwalu. Chcieli po prostu pograć ci na nerwach. Już się cieszę na myśl - ilu z nich tu dziś zostanie. A Prezes to na pewno! Ale będą jaja!

Prezesunio, istotnie wyglądał na tego, który nie wylewał za kołnierz. Były wice - również. Jego twarz pałała jak piwonja. Mamy jeszcze trochę czasu, jak dobrze pójdzie, to...

Z tych rozmyślań obudziły mnie dźwięki orkiestry, która od pewnego czasu przygotowywała się do występu. Zagrano do tańca. Polacy pierwsi zapełnili parkiet, a Prezes był pierwszym z pierwszych. Porwał Świteziankę i zaczął zamiatać nią po parkiecie. Na szczęście niedługo, bo raptem potknął się w tłoku i upadł. Wstał i utykając wrócił do stolika. Korzystając z okazji i proszę moją partnerkę z Keramoti do tańca. Dziewczyna jest podwójnie szczęśliwa. Po pierwsze - nie musi służyć już za miotłę, po drugie - może sobie wreszcie potańczyć. Ja również jestem szczęśliwy, bo taniec z tak doskonałą partnerką to radość życia i rozładowanie stresów. Szalejemy więc na parkiecie. Orkiestra gra niezłe. Mimo tłoku, wokół nas robi się luźno... Rozlegają się brawa, podobnie jak w Keramoti. Orkiestra również nas dostrzegła i gra melodie, które najbardziej nam odpowiadają w tańcu. Tańczyć choćby do rana... Spoglądam odruchowo na zegarek. Cholera! To już za dziesięć minut odjazd! Z bólem serca opuszczam parkiet. Polecam najbliższym napełnić szklanki i podążać w stronę autokaru. Kierowca - też człowiek. Nie może pić teraz, ale wypije na miejscu, po przyjeździe. W wozie wlewamy wino w pusty bidon i ruszamy do beczek po następne porcje. Punktualnie o czasie przy autokarze stoi większość ludzi. Ku mojej radości nie ma Krakersów. Hura! Słodka chwila zemsty nadeszła. Ktoś przybiega z informacją, że zaczęły się wybory miss, i że Świtezianka została zgłoszona do konkursu. Jeżeli to jest prawda, to z chęcią opóźnię odjazd, dziewczyna ma olbrzymią szansę na pierwsze miejsce. Podczas tańca była oklaskiwana przez wszystkich. Pal diabli zemstę!

Polecam Trampowi kierowanie drużyną "nalewaczy" wina i biegnę w kierunku estrady, na której ustawiły się już dziewczyny. Nie ma wśród nich Świtezianki, zamiast niej weszła inna Polka. Też ładna, ale daleko jej do wdzięku naszej reprezentantki, którą po chwili odnajduję w tłumie zapłakaną i nieszczęśliwą. Przed chwilą zeszła z estrady ku niezadowoleniu tłumu kibiców, świadoma tego że odjeżdżamy. Odprowadzam ją do autokaru, a za nami podążają... Krakersi!

Jest 23-cia 10. Wszyscy w komplecie, brak tylko Skarbniczki, ale nikt jej nie widział już od dłuższego czasu. Kilku ludzi, w tym i ktoś z Krakersów proponuje nieśmiało, by jeszcze pobawić się z godzinkę. Milcząca większość sadowi się bez słowa na swoich miejscach i po chwili ruszamy. Z przodu rozlegają się śpiewy i zamierają po chwili nie podtrzymywane przez zaplecze. Milczący autokar wjeżdża na kemping, witany przez... Skarbniczkę. Wróciła taksówką ze znajomą Polką.

- Odjechałam punktualnie o jedenastej. Umowa zobowiązuje - wyjaśnia spokojnie.

Przypuszczam jednak, że nie wierzyła w nasz rychły powrót. Obóz zamiera, ale Czuczka zapraszają kierowcę na "zdobyczne wino". Uzbierało się tego sporo.

- Gdybyśmy byli lepiej zorganizowani, to można by tego wina przywieźć dowolną ilość - stwierdza praktycznie Tramp.

- No cóż! Zgoda buduje, niezgoda rujnuje - dorzuca Kuk.

- Cicho bądź! Zaparłeś się dzisiaj mnie, jak Piotr Chrystusa.

- Ja się zaparłem! Po prostu - wstrzymałem się od głosu.

- To po cholere wsiadałeś do wozu!? Jeżeli już wsiadłeś, to podjąłeś męską decyzję na TAK! To chyba logiczne! Zachowałeś się niewiele lepiej niż Krakersi!

- Panowie! Nie kłóćcie się! - mityguje nas Henryk. Po czym zwraca się do mnie:

- Przepraszam cię za ten mój nawrót. Ja naprawdę myślałem, że to ty wydałeś polecenie powrotu!
 - Przecież to niedorzeczność! Ja miałbym zrezygnować z takiej imprezy? Krakersi przebrali dzisiaj miarę. Jeszcze mnie popamiętają. Zresztą dzisiaj mieli nauczkę.
 - Myślę, że to ich niczego nie nauczyło - stwierdza Henryk.
 - Ciągłe wożę polskie wycieczki po Europie. Krakersi nie różnią się od innych polskich turystów. To wy, Czuczko, jesteście nietypowi. Wy się bawicie, jesteście na luzie, tracicie dolary na wino, zamiast oszczędzać każdy grosz. Typowy Polak tego nie zrozumie!
 - O co chodzi? - dziwi się Tramp. Pieniądze są po to, by je wydawać. - Tutaj jest inny problem. Za dużo ludzi chce rządzić, a zwłaszcza Prezes miesza się do wszystkiego.
 - Nie zapominaj o Krakersach, którzy sobie podporządkowali Radę Wyprawy - dorzuca Eura.
 - Pamiętasz, jak cię przestrzegałam - zwraca się do mnie - przed Krakersową? To starsza, bezdietna kobieta, do tego - z silną żądzą dominacji. Zauważ jak urabia sobie nie tylko męża, ale i resztę Krakersów.
 - Po co jej te "pogrywki"? - dziwię się. Przecież i tak ze mną nie wygra, nawet gdyby sobie urobiła wszystkich.
 - Tak, nie wygra, bo ciebie nie zna - mówi Eura. - Tylko ona nie wie, jaki jesteś naprawdę. Zauważ, że jesteś tu prawie nieznan. Nie było cię parę lat w Polsce. Raptem pojawiaasz się nie wiadomo skąd i zostajesz, w jej mniemaniu, przypadkowo, szefem wycieczki. Ona może uważać, że bardziej odpowiednim kandydatem byłby jej własny mąż albo ktoś ze ścisłego kierownictwa. Nie zbudowałeś sobie tu autorytetu!
 - Mam w nosie całe to budowanie autorytetu. Do tej pory wszystko grało. Nie będę siedzieć jak inni, na pierwszym miejscu i ciągle dyrygować ludźmi. To nie w moim stylu. Wkraczam tylko w momentach zasadniczych. Zresztą zauważyliście to podczas przekraczania granic. No i dzisiaj - śmieję się.
 - Ale ją wpuściłeś w maliny z tym "gównojadem" - śmieje się dziewczyna. Wiła się jak piskorz, nim wzięła mikrofon do ręki, by się wytłumaczyć. W ten sposób całkiem się odkryła.
 - Ona się odkryła, a straciliśmy wszyscy - żali się Tramp.
 - Niestety, to prawda - stwierdzam ponuro. - Pyrrusowe zwycięstwo. Dziwię się, skąd u Polaków tyle niezgody. Dlaczego wszyscy chcieliby rządzić? Dyrygować innymi. Mam nawet na ten temat pewną hipotezę. Nazywa się ona: "Zbyt dużo szczupaków w zbyt małym stawie".
 - A co to takiego? Na czym to polega?
 - Można to wytłumaczyć rozpatrując historię Polski. Przed zaborami panowaliśmy na olbrzymim terenie, chyba ze trzy razy większym niż obecnie. Trzeba było tymi ziemiami jakoś zarządzać. Każdy szlachcic rządził podległymi mu chłopami.
 - Szlachcic na zagrodzie - równy wojewodzie - wtrąca Tramp.
 - Otóż to. Po odzyskaniu niepodległości w 1918-tym obszar Polski zmniejszył się ponad dwukrotnie, a przywykłych do rządzenia przybyło. Oprócz dawnych właścicieli ziemskich i urzędników ze wschodnich rubieży, którym udało się uciec od komunistów, doszła olbrzymia rzesza chłopów uwolnionych od pańszczyzny i przywykłych do gospodarzenia na swoim kawałku ziemi.
 - Chłop potęgą jest i basta - zaśmiał się Tramp.
 - Najlepszy dowód, że premierem był Witos - dodaje Kuk.
 - Spory między Polakami w drugiej Rzeczypospolitej nasiliły się. Przecież powojenny Sejm to było istne kino. Kłócili się wszyscy ze wszystkimi...
 - Dopóki Piłsudski się nie zdenerwował i nie zaprowadził porządku - stwierdza piłsudczyk Kuk.
- Zaśmiałem się. - To tak, jak w tym dowcipie o leśniczym, który zdenerwował się i wyrzucił Niemców i partyzantów, walczących zaciekle o leśniczówkę z lasu. Tylko, że to już było w czasie drugiej wojny, po której komuniści z importu dorwali się do władzy. Przy tym - tak

długo lansowali hasło o przodującej roli klasy robotniczej, że robotnicy uwierzyli w to i tak powstała "Solidarność".

- Komuniści szybko sprowadzili ją do parteru.

- Raczej w podziemiu. A w działalności podziemnej Polacy są mistrzami. Jedno mnie tylko przeraża. To, że okres rządu komunistów, nauczył nas braku odpowiedzialności za słowa i czyny. Wtedy często do głosu dochodzą psychopaci.

- Czyli tacy jak Stalin i Hitler - stwierdza Eura.

- To są skrajne przypadki. Ale w życiu codziennym można spotkać takie okazy w mniejszej skali. Najgorzej, że często są to ludzie pozornie inteligentni, często dowcipni, wygadani.

- To jak ich odróżnić, przecież nie mają tego wypisanego na czołach? - zastanawia się Tramp.

- W tym cały problem. Psychopaci mają często uzdolnienia organizacyjne i namiętnie pchają się do władzy, do rządu. Mają tylko jedną generalną wadę, po której można ich poznać. Nie potrafią przewidzieć konsekwencji swych słów, swego postępowania. Gdy ci egoistyczni, pozbawieni skrupułów ludzie, dorwą się do władzy, to ich rządy oznaczają na dłuższą metę katastrofę dla rządzonych.

- Czyli komuniści to psychopaci - rzuca podeksytowana Eura.

- Niestety. Każda dyktatura, system mono partyjny to raj dla psychopatów. A dlaczego? Bo rządzący nie są rozliczani ze swego postępowania, czują się bezkarni, a przy tym mają określone profity materialne i poczucie ważności.

- Tak jest - prawie krzyczy Kuk. - U nas partyjni są pod ochroną. Jak się jakiemuś kacykowi nie powiedzie na jednym kierowniczym stanowisku, to się go przesuwają na inne, często jeszcze bardziej odpowiedzialne. Wcale przy tym nie zwracając uwagi na jego uzdolnienia czy predyspozycje. Przecież komuniści kpią sobie z nas. Zauważyliście, jak się dobiera ministrów w rządzie? Na przykład: Glazur od budownictwa, Zięba od rolnictwa. Przykłady można by mnożyć.

- Motyka - od kultury - śmieje się Tramp, po czym dorzuca:

- U Czuczaków psychopaci nie mieliby nic do gadania, bo zginęliby z głodu. Jak można upolować fokę za pomocą uchwały partyjnej albo cytatu z dzieł Lenina? Przywódcą plemienia zostaje najlepszy myśliwy, a nie sekretarz partii.

Zaśmialiśmy się wszyscy. Zapadła chwila milczenia, którą przerwał Kuk.

- A ja wam powtarzam raz jeszcze, że wszelkie zło pochodzi od tego, że nie przestrzega się zasad chrystianizmu. Taki psychopata to przecież zły człowiek. Egoista, o zaniku uczuć wyższych, nie wiedzący, co to miłość bliźniego, opanowany żądzą władzy za wszelką cenę. Nawet za cenę życia ludzkiego. Jest to człowiek opanowany przez szatana.

Eura zaśmiała się szyderczo:

- Ty chyba powinieneś wstąpić do klasztoru i zostać mnichem. Czy ty zawsze postępujesz zgodnie z zasadami, które głosisz? Przecież dzisiaj głosowałeś przeciw twemu koledze. Może uległeś wpływom szatana?

- Kuk podskoczył jak oparzony.

- Przecież ja nie byłem przeciw. Ja po prostu byłem ponad to! Dlatego wstrzymałem się od głosu.

- Czyli umyłeś ręce jak Piłat - nacierała dalej.

- Nie mieszaj pojęć i sytuacji. Wstrzymałem się od głosu, ponieważ wszelkie zabawy w głosowanie uważam za bzdurę.

Po czym zwrócił się do mnie:

- Po co bawisz się w jakieś głosowania? Jesteś tu szefem i sam decydujesz. Co to by się działo, gdyby kapitan na statku, bawił się w demokrację podczas podejmowania decyzji? Chyba rozumiesz o co chodzi? Sam przecież jesteś żeglarzem.

Zaśmiałem się.

- Dobrze powiedziałaś o tej zabawie w demokrację. Mogę sobie na to pozwolić właśnie dlatego, że nie jestem na łajbie, a w Grecji. A Grecja to przecież kolebka demokracji, a nie jacht w czasie trudnego manewru. Miałem okazję, zresztą nie pierwszą, sprawdzić jacy są właściwie Polacy. Przypuścimy, że żyjemy już w innym demokratycznym systemie. Wolnym od wszelkich ograniczeń zewnętrznych i wewnętrznych. Przecież nasza wycieczka znajduje się w takich właśnie warunkach. To takie małe poletko doświadczalne. Niestety, zawiodłem się. Zauważcie fakt, że wszyscy zgodzili się na wyjazd i dopiero u celu podróży zaczęły się schody.

- Zrobiono ci bunt na pokładzie.

- Skoro nie stać nas było na demokrację, zastosowałem „demokratę”.

Tramp najszybciej zaskoczył i swoim zwyczajem przewrócił się na plecy klepiąc po udach ze śmiechu.

- Ale jaja! Skojarzenie demokracji z dyktaturą. Tego jeszcze nie słyszałem.

- A mnie wcale nie jest do śmiechu. Dzisiejszy incydent pokazuje, jacy są Polacy po czterdziestu latach panowania komunizmu. Starsze pokolenie żyje do dziś z oddechem Stalina na plecach. Średnie walczyło twardo o byt, a młodzi albo uciekali w religię, albo już całkiem zubożeli. Ci najbardziej energiczni i wykształceni masowo emigrują. I to jest największa nasza strata. Chociaż kto wie? Tam zdobędą doświadczenie i kapitał, a gdy ta paranoja się skończy, to powrócą i nauczą nas normalnie żyć i pracować.

Eura pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie chce mi się wierzyć w to, że coś się zmieni. Nawet gdyby zmienił się system - Rosja, to potęga i zawsze będzie nas trzymać w swoich szponach. Komunizm nieprędko się skończy. Twój optymizm uważam za utopię.

- Bierzesz to wszystko ze swojej małej perspektywy. Ale zastanów się nad historią ludzkości. Wszystko jest możliwe. Dam ci przykład z naszego stulecia. Wyobraź sobie, że jesteś zamożną wiedeńką, siedzącą na tarasie jakiejś kawiarni w lipcu 1914 roku. Już prawie sto lat trwa bez zmian ustalony porządek rzeczy w Europie. Ustalony właśnie w Wiedniu w 1816 roku. Pijesz sobie kawę z przyjaciółką i umawiacie się na spotkanie w Grecji we wrześniu tego roku. Orkiestra gra walca Straussa, a ty jesteś absolutnie przekonana, że nic się nie może zmienić w Europie przez następne sto lat. Wprawdzie w czerwcu, w dalekim Sarajewie ktoś tam zabił Arcyksięcia Ferdynanda, ale któż mógłby przypuszczać, że te trzy strzały uruchomiły zegar zmian. Ale jakich? Wybucho wielka wojna i po czterech latach powstaje całkiem inny świat.

- Piłsudski to właśnie przewidział - mówi Tramp.

- Może przewidział, a może nie... Natomiast wiedział jedno: bez organizacji realnej siły militarnej, a jednocześnie politycznej, nic się nie uda. I stworzył legiony. Mało kto wierzył w celowość jego poczynań. Ale tak jest zawsze. Są ludzie (nieliczni), którzy potrafią intuicyjnie wyczuć, co jest grane i są inni, którzy patrzą tylko pod nogi. Uszy też mają zatkane. A zegar już tyka. Przecież powstanie Solidarności to początek końca systemu. I to nie tylko w Polsce. Pamiętacie to posłanie Solidarności do ludów Europy Wschodniej?

- Uważam, że to była głupota - stwierdził Kuk.

- A ja uważam, że to było ziarno rzucone na podatną glebę. Pamiętam migawki telewizyjne z Kraju Rad, gdy robotnicy radzieccy potępili prowokację. Być może w ten sposób po raz pierwszy dowiedzieli się, że tam, gdzieś w Polsce, powstała pierwsza robotnicza organizacja, prawdziwie proletariacka - mówiąc językiem propagandy. Zresztą - powstaniem Solidarności byli zszokowani wszyscy nasi sąsiedzi. Ten niezwykle fakt powstania niezależnych związków zawodowych zmusił miliony ludzi do zastanowienia się. Pamiętam taki jeden śmieszny fakt. Latem 1982 roku, a więc już w stanie wojennym, oprowadzałem po Polsce wycieczkę studentów z Magdeburga. Między innymi trafiliśmy do Gdańska, akurat w czasie zaburzeń ulicznych z okazji rocznicy strajku w Stoczni Gdańskiej, 13-go sierpnia. Enerdowcy mieli

możność obserwowania demonstracji ulicznych. Byli tym bardzo zszokowani. Oprowadzałem ich zgodnie z programem po Stoczni, kolebce Solidarności, a później zaprowadziłem ich pod pomnik ku czci poległych stoczniowców. Stali zadziwieni, gapiąc się na trzy ogromne krzyże. Wtedy powiedziałem: "Jesteście w Gdańsku, w mieście prawdziwie proletariackiej rewolucji. Stoicie przed pomnikiem ku czci robotników, którzy oddali swe życie w walce o sprawiedliwość społeczną". Muszę tu dodać, że grupka studentów miała w swoim gronie dwóch opiekunów, każdy na czworo ludzi. Jeden z nich był opiekunem dydaktycznym, a drugi politycznym. Obaj naturalnie sprawdzeni troskliwie pod względem ideologicznym.

Gdy usłyszeli te słowa, to jakby piorun w nich strzelił! Naczelnicy ostro zaprotestowali i zaczęła się ostra polemika. Oni oczywiście dowodzili, że miastem rewolucji jest Leningrad, że to Lenin wywołał rewolucję i tym podobne frazesy. Ja im na to, że rewolucję wywołał Lenin z polecenia niemieckiego sztabu generalnego, po to, aby osłabić i zneutralizować front wschodni.

- Skąd masz takie wiadomości - przerwała mi Eura.

- Z wykopalisk - zażartowałem. To sprawa powszechnie znana, przynajmniej na Zachodzie. U nas oczywiście wstydliwie pomijana. Ale tak było. Niemcy wygrzebali Lenina w Szwajcarii i, wraz z grupą innych agentów, takich jak Trocki i spółka, przewieźli w zaplombowanym wagonie do Finlandii. Potem był słynny szturm na Pałac Zimowy, zapoczątkowany wystrzałem z Aurory. A propos tego wystrzału - czytałem niedawno wspomnienia jakiegoś Polaka, który był matrosem na tym okręcie. Marynarze bali się wystrzelić ostrym pociskiem, bo działa nie były konserwowane i bali się, że im rozwali lufę, więc wystrzelono ze ślepek.

- Jaki pocisk - taka rewolucja - skomentował zgryźliwie Tramp.

- Szturm też był wymysłem propagandy. Pałac Zimowy był praktycznie niebroniony. Jeżeli ktoś zginął, to zapewne stratowano go w dzikim tłumie. W każdym razie komuniści przejęli władzę bez problemów i zgodnie z umową zawarli z Niemcami pokój w Brześciu.

- Tak! To by się zgadzało. Trocki w marcu osiemnastego roku podpisał traktat pokojowy. Czyli bolszewicy dotrzymali umowy - skomentował Kuk. - Ale powiedz coś jeszcze o dyskusji z tą wycieczką studencką. Jak reagowali studenci?

- Różnie. Jedni się dyskretnie uśmiechali słuchając dyskusji, inni byli na mnie oburzeni, podobnie jak ich policyjni opiekunowie. W NRD pranie mózgow jest znacznie intensywniejsze niż w Polsce. Tam o przyjęciu na studia decydują nie wyniki nauczania, a postawa ideologiczna. A co najciekawsze - to na każdym pięciu studentów, jeden jest specjalnie przeszkolony ideologicznie i czuwa nad pozostałymi. Opracowałem nawet taki raport dla naszego Dziekana, ale do dziś leży w mojej szufladzie. Poradzono mi zostawić tę sprawę w spokoju. Zresztą NRD zawiesiła na jakiś czas wymianę studencką z naszym wydziałem.

- Nic dziwnego. Po takim praniu mózgow, jakie im zrobiłeś.

- Fakt. Jak tylko przyjechali do Polski zaprosiłem ich do siebie po kolacji - na wieczorek zapoznawczy.

- Mogę sobie wyobrazić jak taki wieczorek musiał u ciebie wyglądać - przerwała rozbawiona Eura. - Wiem coś o tym.

- Te głodomory opróżniły mi całą lodówkę. A ponieważ i napitków nie żałowałem, więc wyobraźcie sobie, że gdzieś o drugiej nad ranem wszyscy, przy akompaniamencie akordeonu, ryczeli Rozamundę i Lili Marlen. Bałem się, że mnie sąsiedzi wyrzucą. Ale wracając do dyskusji pod pomnikiem Stoczniowców. Zbijałem wszystkie argumenty politruków i w końcu jeden z nich nie wytrzymał i krzyknął:

- Jak możesz mówić o prawdziwie proletariackiej rewolucji w Gdańsku? Przecież Wałęsa jest katolikiem i wierzy w Boga!

A ja mu na to: - Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Przecież Chrystus był pierwszym komunistą!

Tramp zaczął tarzać się ze śmiechu.

- O rany! Ależ im zrobiłeś kuku na muniu. Wcałe im się nie dziwię, że odwołali późniejszą wymianę.

Kuk spojrział poważnie na mnie.

- Czy ty nie przesadziłeś z tym komunistą?

- Dlaczego? Był ubogi? Był. Głosił powszechną równość? Głosił! Fakt, że nie chciał władzy na ziemi. Ale, jeżeli nie był stuprocentowym komunistą, to na pewno był proletariuszem. W końcu był cieślą, a jego uczniowie, to przeważnie prości ludzie, w większości rybacy z Galilei. Zresztą - kto wie? Gdyby dobrał sobie za uczniów ludzi wykształconych, to mogliby go nie zrozumieć. Za bardzo by się wymądrzali. Coś w tym musi być. Kto wie czy w tym nie ma jakiejś prawidłowości. Ludzie bliżsi naturze - rybacy, rolnicy są bardziej wrażliwi, prostolinijni, jakby bliżsi Bogu. Jedynym wykształconym był św. Paweł, a ten nie znał Chrystusa osobiście, a nawet początkowo prześladował jego uczniów.

Kuk pokręcił z dezaprobatą głową, ale Tramp wyraźnie się ożywił. Eura spojrzała na niego z ukosa:

- Już wiem, co chciałbyś powiedzieć, tylko nie masz odwagi.

Tramp oburzył się.

- Ja nie mam odwagi? Ja? Czuczka?! No to wam powiem. Ja myślę że...że

- Że Czuczki są bliżsi Bogu.

- Sama rzekłaś - odparł z godnością Tramp.

Eura podniosła w górę szklanekę z winem.

- Piję zatem za zdrowie Czuczaków. Ale wiecie co? Mnie się wydaje, że nasz gość - tu spojrzała na Henryka - nudzi się trochę z wami.

Ten gorąco zaprotestował.

- Ależ skąd? Słucham waszych dyskusji z najwyższym zainteresowaniem. Czy wy zawsze tak? - tu zawiesił głos.

- Tak, to znaczy jak? Kuk był konkretny.

Henryk zmieszał się.

- Wiecie, różnie tu o was mówią. Według niektórych - waszym głównym celem jest picie. Ale jeżeli tak pijecie jak właśnie teraz, to żałuję, że nie piłem z wami od początku. A ty - tu zwrócił się do mnie - jednak jesteś „zmyłkowy”. Udajesz Cygana, Czuczkę i Bóg wie kogo. Nawet pijaka. Dopiero dziś poznałem trochę twoją duszę. A przy okazji twoich przyjaciół Piję za wasze zdrowie!

Wypiliśmy uczciwie toast. Wypadałoby odpowiedzieć toastem za toast. Niestety, nie jestem mocny w tej materii. Zwróciłem się zatem do naszego sprzymierzeńca:

- Powiedz mi, jakiego typu melodie lubisz najbardziej?

- Chyba hiszpańskie.

- To się dobrze składa, ja również. Ale skoro tak, to czy mogę ci zagrać "Blue spanish eyes", czyli dosłownie tłumacząc "Niebieskie hiszpańskie oczy"?

- Uwielbiam to.

- Ja również. No to do roboty:

"Ach gdzie te dni

Hiszpania, morze, słońce, gitary rytm.

I tańca czar

I błękit nieba jak kolor oczu twych.

Wino i śpiew

I ta melodia, co burzy w żyłach krew...

Ach, gdzie te dni

Gdy w mych ramionach tańczyłaś właśnie ty.

Hiszpański rytm

*Połączył nas na dobre i na złe.
Dziewczęcy czar
I te błękitne, błękitne oczy twe
Już wstaje świt,
Zaczekaj miła, jeszcze orkiestra gra.
Ach, jeszcze raz
Tak chciałbym tańczyć aż do białego dnia.
Czas, płynie czas.
Znów dźwięki gitar, morze, tęsknota w nas.
Nie, nie wrócą już
Dni, co minęły, minęły dawno już.
Lecz w uszach brzmi
Rytm tej melodii - cóż pozostało mi?
I - słowa te
W hiszpańskim rytmie ofiaruję ci.*

- Brawo! - zawołał Henryk. - Nie słyszałem tego w polskim wydaniu. Kto napisał tekst?
- Był taki jeden, co to ogromnie tęsknił za Hiszpanką o niebieskich oczach - odrzekłem.
- A nie wystarczyłaby mu Polka - tu wymownie spojrział na Eurę.

Dziewczyna spuściła na chwilę swe niebieskie oczy i odrzekła nieco zmieszana:

- To marzyciel. Sam nie wie czego chce. Chodzi zawsze z głową w chmurach.
- Nawet w Grecji? - zdziwił się Henryk. Tutaj chmur nie ma nawet na lekarstwo. Trzeba zejść na ziemię. Świat jest piękny. Trzeba korzystać z życia!

Eura wzruszyła wymownie ramionami i, aby zmienić niewygodny dla niej temat, zwróciła się do mnie.

- Słuchaj. Jedna rzecz mnie ciekawi. Mówiłeś dzisiaj o naszym społeczeństwie, skażonym przez system, że ludzie mają przetrącony kręgosłup, ten polityczny. A ty? Jaki ty właściwie jesteś? Przecież wychowywałeś się w tym systemie. Też powinieneś być przetrącony.

- Zapewne nieco jestem. I strach mam zakodowany w genach. I to zrozumiałe. Natomiast nigdy nie miałem wątpliwości, co to jest komunizm. Pochodzę z rodziny, gdzie nie było nawet cienia wątpliwości co do tego, czyli można powiedzieć, że wyssałem z piersi matki odporność na propagandę. To prosta kobieta, ale to właśnie ona zawsze mówiła głośno, to co myśli o Sowietach. Nie o Rosjanach czy o Ukraińcach, ale o Sowietach. Była bardziej odważna w wypowiedaniu swych poglądów niż mężczyźni. Ci, przynajmniej u nas, w augustowskim, byli w lasach i za Niemca, i jak przyszli nasi wyzwoliciele. Walczyli z każdym okupantem. Nie ma sensu o tym mówić dzisiaj. Obaj bracia ojca przetrwali całą OKUPACJĘ niemiecką, a zginęli z rąk sprzymierzeńców, już po wojnie. A co do matki - to pamiętam moment, kiedy wkroczyli Rosjanie. Matka nie musiała się niczego bać, bo tuż przed wyzwoleniem uratowała z niewoli jakiegoś plennego, okazało się, że to był oficer radziecki, który dziwnym trafem znów przewinął się przez tamte tereny na czele jednego z oddziałów. Pamiętam jak się serdecznie witali. Sztab jego oddziału kwaterował nawet u nas. I był taki politruk, zresztą Polak z pochodzenia, ogromnie złaknięty polskiej książki. Ale matka mu nie wierzyła.

- Stanisław - mówiła mu. - Ja ci nie wierzę. Ty już nie Polak. Ja ci dam polską książkę, a ty z nią polecisz do NKWD i ja pojedę na Sybir. A ja mam małe dzieci.

Miała uzasadnione obawy. Już w czterdziestym roku, a byliśmy pod okupacją sowiecką, Rosjanie wywieźli na wschód mego dziadka z najbliższą rodziną. Dziadek pracował w kopalni złota, gdzieś za Uralem, a jeden ze stryjecznych braci ojca, został agronomem w Kazachstanie. Nie chcieli go wypuścić ani do wojska Andersa, ani do Berlinga, chociaż ciągle słał listy do władz. Wszystkie jego monity przejmował z poczty miejscowy

enkawudzista. Wreszcie kiedyś napisał do Wandy Wasilewskiej, której zresztą nie znał. I pomogło.

- Janie - powiedział kiedyś przy wódce ów kompan od kieliszka.- Dlaczego nie powiedziałaś, że Wanda to twoja znajoma? Sam bym ci pomógł!

No i wtedy Jan postawił swoje warunki. Wyjadę, ale z rodziną. Dzięki temu, że zablefował, wyrwał swoich najbliższych z niewoli i wrócił do Polski. Przeszedłszy najpierw szlak od Lenino do Berlina.

- To teraz masz wysokie znajomości w wojsku - zadrwiła Eura. - Bo teraz pewnie jest generałem.

- Niestety nie, bo był bezpartyjny. Poza tym miał rogatą duszę. Tuż po wojnie skierowano go na Ziemie Zachodnie z zadaniem zabezpieczenia ponemieckiego mienia. Ale to samo zadanie, miały również jednostki radzieckie, które uważały te ziemie za swoje, za "trofiejne". Rosjanie wywozili stamtąd wszystko, co się dało. Pływałem kajakiem i po Mazurach i po Pomorzu i Ziemi Lubuskiej. Wywozili i fabryki, i małe elektrownie, młyny, tory kolejowe, a także bydło, konie, no dosłownie wszystko. Jak się człowiek włóczy kajakiem, to widzi, co zrobiono z tymi terenami.

- Rosjanie ścinali nawet słupy trakcji elektrycznej - uzupełnił Tramp i zapytał:

- To co mówisz, to dla mnie zupełna nowość. Przecież Stryj nie miał najmniejszej szansy w wypełnieniu zadania. Musiałby mieć pod swoimi rozkazami całą armię. Przecież Rosjanie mieli ogromną armię, która jest tam do dzisiaj.

- Niestety, masz rację. Stryj czasami wspominał przy kieliszku o scenach jak z Dzikiego Zachodu. Opowiadając, śmiał się z forteli, jakie musiał stosować, aby przechytryć sprzymierzeńców. Bywało i tak, że sprzymierzeńcy stawali przeciwko sobie, tylko że siły były nierówne. Tutaj parę automatów, a tam kilkadziesiąt. W końcu miał dość tej ciągle igraszki z życiem o te głupie parędziesiąt krów. Napisał podanie o zwolnienie z wojska. Wezwał go do Warszawy Jaroszewicz, jego bezpośredni przełożony.

- Janku, ja, jak wiesz, też jestem z zawodu nauczycielem, a nie zawodowym wojskowym. Ale zostałem w armii, bo tego wymaga potrzeba chwili. Właśnie teraz potrzeba nam uczciwych ludzi. Wracaj na miejsce i rób swoje! Ratujmy - co się da.

- Niemożliwe, dziwi się Kuk. - I to powiedział Jaroszewicz?

- Tak właśnie powiedział. Ja również zdziwiłem się, gdy to usłyszałem.

- No, a co było dalej z twoim Stryjem? Pewnie zginął w jakiejś potyczce z Roskami, bo jakoś nie słyszałem jego nazwiska. Skoro to był kolega Jaroszewicza, a pewnie i Jaruzelskiego, to musiał zostać generałem i działać we WRON-ie.

- Proponowano mu generała wielokrotnie, ale pod pewnymi warunkami. Kazano mu wstąpić do partii i przestać chodzić do kościoła w mundurze. Przystał tylko na jeden warunek. Zaczął chodzić do kościoła po cywilnemu. Ale i tak wszyscy wiedzieli, kto to jest, bo pracował w małym miasteczku. Wtedy mu zaproponowano awans pod warunkiem, że przeniosą go do Warszawy. Odpowiedział, że woli być pułkownikiem w Augustowie niż generałem w Warszawie.

- Niezły kozak - rzekł z uznaniem Tramp. - Szkoda tylko, że takich nie było więcej.

- Może i byli, ale nic o nich nie wiemy. Zresztą, kto wie, co naprawdę myśli Jaruzelski i cała reszta naszych wojskowych. Jedno ich łączy, a może i tłumaczy. Wszyscy, którzy byli w Rosji podczas wojny, mieli zakodowany ogromny strach przed potęgą militarną i ogromem tej Matki Narodów. Poza tym - znali od podszewki przewrotność, bezwzględność i okrucieństwo tego systemu. To paraliżuje i odbiera odwagę. Stryj też nie pozbył się tego strachu.

Za Solidarności dostarczałem mu przez brata masę książek, artykułów i innych materiałów, na temat naszej najnowszej historii. Jak sami wiecie, Warszawa miała tego mnóstwo, ale na prowincji były one na wagę złota. Po ogłoszeniu stanu wojennego wpadł w popłoch i wszystko zniszczył...

- To jednak nie był takim bohaterem, jak go przedstawiasz - zauważyła zgryźliwie Eura.
- A kto nim był? Może młodzi, co jeszcze nie zdążyli nabyć tego strachu. Ty się nie bałaś? - Bo ja bardzo. Zawsze powtarzam, że strach jest funkcją wyobraźni. Sztuką jest przełamać strach. Ile miałaś lat, gdy umarł Stalin?
- No wiesz? Kobiety nie pyta się o wiek. Ale mogę ci powiedzieć. Nie było mnie jeszcze na świecie.
- A ja miałem 13-ście lat. Byłem wtedy w siódmej klasie. To był dopiero szok dla niektórych. Zapomnieli, że jest człowiekiem, jak każdy z nas (sława Bogu), dotychczas myśleli, że będzie żyć wiecznie.

W szkole było prawdziwe trzęsienie ziemi. Zarządzono powszechną żałobę, kazano nam robić specjalne gazetki, wymyślać różne bzdurne hasła i projekty ku czci. Narysowałem na tablicy podobiznę Generalissimusa. Nie było to trudne, ściągę miałem pod ręką, bo jego portret wisiał w każdej polskiej klasie. Narysowałem więc jego podobiznę i z dziką rozkoszą przekreśliłem kredą na krzyż. Trzeba trafu, że do klasy wszedł dyrektor, w skrócie zwany Dyrem. Dyr spojrzał na tablicę i zamarł. Podobizna była zbyt udana, a grube krechy aż nadto wymowne...

- Kto to zrobił? - spytał wyraźnie wzburzony.

Cisza jak makiem zasiał. Dyr ponowił pytanie. Byłem przerażony jak nigdy dotąd. Gdy się nie przyznam - zrobią śledztwo albo jakiś aktywista ZMP, których paru u nas było, sam to powie. A wtedy ojciec pójdzie siedzieć, a ja oberwę solidnie. A może i paru moich kolegów, bo będą szukać spisku. Trudno, lepiej przyznać się bez bicia. Wstaję więc na miękkich nogach:

- To ja, panie dyrektorze. Ale... to jest właśnie moja propozycja dekoracji, czarne wstążki na portrecie na znak żałoby...

Tyle zdołałem z siebie wykrztusić. A Dyr pojaśniał.

- Na znak żałoby, mówisz. No cóż, hmm, tak... Tak, to jest dobry pomysł.

I w każdej klasie, tudzież na korytarzach, wszędzie tam, gdzie wisiały portrety kochanego Wodza Narodów, pojawiły się czarne wstążeczki. Wprawdzie nie przez szacowne wąsy, jak proponowałem, ale nieśmiało w rogu portretu...

- To ty jesteś bohaterem, powinni zapisać cię do ZBOWiD-u - zażartowała Eura. Po czym spoważniała.

- Czy twojemu ojcu naprawdę coś groziło? Nie chce mi się wierzyć.

- Kobieto! Masa ludzi mogłaby mieć nieprzyjemności. Z Dyrem włącznie. W szkole nie brakowało fanatyków komunizmu, młodzi zetempowcy trzęśli szkołą. Zresztą - mało brakowało, a podpadłbym tego dnia jeszcze raz. Zarządzono uroczysty apel. Cała szkoła zebrała się na korytarzu, a Dyr zarządził pięciominutową ciszę. Wyobrażacie sobie taki cyrk? Pięć minut w grobowej ciszy? A tu w duszy radośnie i lekko? Stoimy więc w milczeniu. Mija jedna minuta, druga - jeszcze dłuższa, trzecia - to prawie męka. A jakiś przekorny chochlik drąży umysł, po prostu chce mi się śmiać. Patrzą po kolegach, też widzę tłumione z trudem uśmieški. Wiem dobrze, że jak nie wytrzymam, to teraz nic mnie nie uratuje. Wylecę z hukiem ze szkoły. Tłumię, duszę w środku narastającą wesołość i raptem, obok mnie ktoś nieoczekiwanie chlipnął. To Tereska, nasza koleżanka, wierząca święcie w nieśmiertelność swego boga. Wtedy nie wytrzymałem i parsknąłem. Błyskawicznie zatykam ręką usta. Ale nie pomaga, bo ta chlipnęła jeszcze głośniejsze. A mnie rozsadza od środka atak śmiechu. Resztką przytomności wyciągam chusteczkę i pcham sobie w usta. Po chwili... płaczę razem z Tereską. Płaczę ze śmiechu, ale także dlatego, że się duszę. Wokół zaczyna się krztusić i pochlipywać parę osób, pewne zachowania są zaraźliwe, zwłaszcza w stanie wielkiego napięcia. Ledwie wytrzymałem ten atak, było to, jak dotąd, najdłuższe pięć minut w moim życiu.

- A co na to dyrektor? - pyta Eura.

- Nic nie "zauważył". Później, po paru latach okazało się, że to porządny facet. Póki co, chodził po klasach i proponował "zewrzeć szeregi", czyli zapisywać się do ZMP. Połowa klasy wstąpiła do organizacji. To samo powtórzyło się po śmierci Bieruta w marcu 1956.

- Nie pomyliłeś się? - przerwał mi Kuk. - Mnie się wydaje, że Bierut umarł w tym samym roku, co Stalin. Zaziębił się na jego pogrzebie.

- Nie. Pamiętam dobrze. Byłem wtedy w dziesiątej klasie. Do Zetempe należała wtedy większość klasy. A więc umarł Bierut, było to na XX-tym zjeździe, pewnie nie wytrzymał rewelacji Chruszczowa. Dyr wchodzi do klasy i znów proponuje zewrzeć szeregi. Wstaje reszta klasy, siedzimy tylko my, ja i mój przyjaciel Józek. Siedzieliśmy zresztą w ostatniej ławce, to dobre, strategiczne miejsce. Ale nas zauważył. Popatrzył chwilę na nas i rzekł:

- Wiem, że niektórzy z was chcieliby pójść na studia. Brak aktywności politycznej może wam to uniemożliwić.

Aluzja była zbyt wyraźna. Byliśmy wprawdzie dobrymi uczniami i matury nie obawialiśmy się, ale później...

Spojrzałem na Józka, on na mnie. Powolutku podnieśliśmy się z ławki...

- Jak to? Należałeś do ZMP?! - pytają wszyscy zdziwieni.

- Należałem, ale tylko pół roku. Jaka szkoda, że nie mam już legitymacji. Na pamiątkę.

- A co? - zniszczyłeś ją ze wstydu - indaguje Eura.

- Nie... Za pół roku był Październik. Nawet moja matka, zawzięty antybolszewik, słuchała z przejęciem pamiętnego przemówienia Gomułki na Placu Defilad. Wierzyła w niego, bo był przeciwko kołchozom. Wszyscy wtedy uwierzyli - przecież za Stalina siedział w więzieniu. Ach, co to były za czasy. W szkole - istna rewolucja. Wyrwaliśmy sobie z ręki nieliczne egzemplarze "Po Prostu". Odbywały się bez przerwy liczne wiece i zebrania. Odbyło się także, zresztą niezwykle gwałtowne, zebranie ZMP. Świeżo upieczeni członkowie atakowali gwałtownie aktywistów i nauczycieli, tych partyjnych, których zresztą było niewielu. W pewnej chwili naciskany mocno Dyr powiedział:

- Słuchajcie. Ja też słuchałem potajemnie Wolnej Europy.

W nas jakby piorun strzelił. Zapadła chwila milczenia. Wtem poderwał się Inek, któremu kiedyś Dyr wyrwał garść włosów z głowy za malowanie jego karykatur na lekcji matematyki.

- Koledzy! - na co czekamy? Rzucamy legitymacje!

I na dyrektorski stół - prezydium, przykryty naturalnie czerwonym płótnem, spadały z hałasem owoce "zwierania szeregów". Byłem wtedy w klasie maturalnej. A matura w 1957 roku była straszna. Nauczyciele wzięli odwet za lata terroru aktywistów. Nareszcie mogli osądzać wiedzę, a nie stan świadomości politycznej. W rezultacie tylko 40% uczniów z klas maturalnych przeszło przez to straszne sito. Bal maturalny - to był bal pogrzebowy.

- Nie do wiary - szeptem Kuk. To tylko 40% przeszło na maturze? To był pogrom. - Słuchajcie, to ciekawe. Mówiłeś, że także kiedyś uwierzyłeś w Gomułkę. Długo to trwało?

- Równy rok. W początkach października 57 zamknięto "Po Prostu", a ja wtedy już mieszkałem w akademiku na Pl. Narutowicza.

- Coś ty? Byłeś tam i brałeś udział w zajściach?

- W jakich zajściach? - pyta zdezorientowana Eura.

- To co? Jesteś warszawianką i nic o tym nie wiesz?

- Pewnie ssała jeszcze wtedy pierś mamusi - zadrwił Tramp.

- Dajcie jej spokój. O tym do tej pory mało kto wie. Przecież na placu przed akademikiem trwała regularna bitwa z milicją. Poznaliśmy wtedy po raz pierwszy na własnych plecach "bijące serce partii". Były tam petardy, katowanie ludzi, gazy łzawiące. Plakaliśmy wtedy jeszcze parę dni po zajściach. To był koniec marzeń o demokracji i dobrych intencjach Gomułki. A ilu ludzi wyleciało z uczelni? Ilu ludziom złamano życie? Szlag by to trafił!

Zapadła przykra cisza. Księżyc dawno już zaszedł, resztki węgla żarzyły się niekiedy w podmuchach delikatnej bryzy od morza. Tramp podniósł głowę.

- Słuchajcie. Jak to wszystko się zmieni, to z pewnością wyróżną w pień komunistów.
- Ale co to da? Przecież komuniści to też ludzie. Polacy żyjący wśród nas. Jak ich zabiją, to zostaną przecież ich rodziny, dzieci, krewni. Nigdy nie będzie końca bratobójczym walkom, bo krew rodzi krew. Zresztą - roześmiałem się - czy to są prawdziwi komuniści? Prawdziwi komuniści dawno już zostali zamordowani. Ci, co są teraz u władzy, to albo karierowicze, albo tchórze, albo... Sam nie wiem, co o tym sądzić.
- Ale władzę trzeba im odebrać. A potem traktować po chrześcijańsku. Pamiętajcie, jak uczył Chrystus: ... i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... - mówi Kuk.

Tramp przerwał mu gwałtownie:

- Do kamieniołomów z nimi. Do kopalń. Niech nareszcie poznają, co to ciężka praca i odciski na rękach.
- Jasne! - zawtórowała mu Eura. - Niech pracują za kawałek chleba i kubek wody.
- Albo wysłać ich do Sojuza i niech tam budują swój komunizm. Tylko może pociągów zabraknąć - uzupełnił Henryk.
- To niech idą pieszo!
- A wtedy zostaną sami swoi i dopiero wezmą się za łby. Rozróżba zacznie się podobnie jak dzisiaj, przed wyjazdem na wesele w Kanie Galilejskiej - zażartowałem ponuro.
- Solidarność do tego nie dopuści - zaprotestował Kuk.
- Dzisiaj miałaś próbę solidarności między Polakami. I ty, i Małgośka jesteście przecież działaczami Solidarności, pewnie paru z tych, co rozrabiali, również. Zresztą - ja też.

Eura zdziwiła się.

- Przecież Solidarność już nie istnieje. Została rozwiązana.

Kuk obruszył się.

- Jak to nie istnieje? Istnieje, tylko nielegalnie. Przecież płacimy cały czas składki - tu spojrział na mnie.
- Naprawdę? - zdziwiła się.

Skinąłem w milczeniu głową. Po czym ziewnąłem szeroko.

- Wiecie co? Dla mnie atrakcji na dzisiaj wystarczy. Niedługo zacznie świtać. Pamiętaj Euro, że czeka nas dzisiaj wyprawa do Macedończyków. Trzeba być w formie.

Tramp podniósł żwawo głowę.

- Wybieracie się do Macedończyków? To ja idę z wami.
- Pójdziemy razem. Tylko musimy umyć i spakować kajak. Nie wiadomo, kiedy wrócimy i w jakim stanie. Żeby znów nie powtórzyła się historia z Keramoti, że pakujemy się w ostatniej chwili. No, to najwyższa pora na zasłużony odpoczynek. Dobranoc.

Wstajemy późno i w melancholijnym nastroju. To ostatni dzień w Grecji. Może nigdy już tu nie wrócimy? Kąpiemy się więc do upojenia. Zauważyłem znaczną poprawę umiejętności pływackich u Eury. To nie ta sama dziewczyna. To po prostu różnica klasy.

W porze sjeisty pod naszą oliwką zjawia się Skarbniczka.

- Chciałam ci zakomunikować, że mam jeszcze w zapasie parę butelek Poloneza. Pierwotnie były przeznaczone na upominki dla celników. Chciałabym ci je przekazać.
- To dobrze się składa. Idę z wizytą do Macedończyków, przydadzą się.
- Do Macedończyków - powtórzyła zaniepokojona. - A może by tak zrobić wieczór komandorski. Wiesz, to nasz ostatni wieczór w Grecji. Nie chcę ci nic narzucać, ale wiesz - diabeł nie śpi. A nuż coś ci się przytrafi?

Podrapałem się w głowę.

- Wiesz, jak pomyślę o niektórych, to mi się słabo robi. Zwłaszcza po wczorajszym incydencie.

- Daj sobie spokój. Pamiętaj, że jesteś tu szefem i musisz być ponad to! Większość tych ludzi lubi ciebie i im się też coś należy. A może byś tak zorganizował chrzest wodniacki? Przecież większość ludzi nigdy tego nie widziała. Zastanów się - nalegała łagodnie.

- No dobrze. Pomyślę o tym. Ile masz tej wódki?

Trzy duże butelki.

Tramp zapalił się do pomysłu.

- Chrzcziny to dobra rzecz. A ty - zwrócił się do mnie - dobrze walisz wiosłem. Sam to pamiętam. Może po tym niektórzy nabiorą do ciebie szacunku.

Przekonał mnie. Rozdzielam zatem role. Neptunem zostaje Pilot, Prozerpiną - Tancerka. Tramp, Małgośka, Ratownik i Prokurator - to Diabły. Na biwaku zawrzało. Aktorzy przygotowują stroje, kandydaci na wodniaków zbierają informacje jak należy zachować się w czasie ceremonii. Niektórych adeptów ogarnia panika. Boją się zwłaszcza uderzenia wiosłem...

Zapada wieczór. Płonie spore ognisko. Wszyscy są już w komplecie. Żeby ożywić nastrój zarządzam po kolejce. Barnaba z wprawą pełni rolę podczaszego. Czekamy na przyjście pana mórza i oceanów - Neptuna. Wreszcie, po kilkakrotnym chóralnym wezwaniu, poprzedzony przez zgraję półnagich, pomalowanych w indiańskie kolory wojenne, diabłów zjawia się... Nie wierzę własnym oczom - Pilot wygląda wprost fantastycznie. Tancerka również. Nigdy nie przypuszczałem, że tyle mają fantazji. Neptun, trzymając w ręku potężny trójząb, sadowi się wraz ze swą towarzyszką na potężnym bazaltowym kamieniu. Oboje zachowują się z taką godnością i powagą, że człowiek zaczyna wierzyć, że to prawda. A takiego tronu - jakim jest ten kamień górujący nad ogniskiem - jeszcze nigdy nie widziałem.

- Neptun Bazalski - komentuje z przekąsem, ale i z podziwem w głosie Tramp, spoglądając na dostojne oblicze Pilota, manipulującego przemyślnie wykonanym trójzębem.

Zaczęła się zabawa. Trochę na pokaz, bo wszyscy prawdziwi wodniacy zostali już ochrzczeni przed przyjazdem do Grecji. Ci tutaj, to byli właściwie kandydaci na kajakarzy, ale przepisom ceremonii stało się zadość. Nieszczęśnicy byli więc torturowani przez diabły, musieli spróbować "męcikału", piekielnej mieszanki różnych przypraw - namiastki wodniackiego posiłku, skoczyć przez ogień. Po skoku dostawali się pod strumień wody, tu raczej lanie wodą było przyjemnością, ochłodą, ale podczas chłodnych często polskich nocy - do przyjemności nie należało. Niekiedy pomysłowe diabły smarowały nieszczęśników błotem, czasami sprawdzało się inteligencję delikwenta i w końcu następował najbardziej trudny moment. Próba wytrzymałości na ból. Polegająca na uderzeniu wiosłem w to miejsce ciała, na którym kajakarz siedzi podczas długich godzin wędrówki. Ta część ceremonii wymagała zręcznej ręki i refleksu bijącego. Często się bowiem zdarzało, że ogarnięci paniką i zmaltretowani przez wymyślne tortury ludzie, załamywali się na widok faceta, trzymającego potężny pagaj w ręku i wrywali się z rąk przytrzymujących ich diabłów. Nie dziwią takie reakcje, bowiem zdarzały się przypadki, że przy uderzeniu łamały się pióra wiosel. A jeśli bijący okazywał się człowiekiem z sadystycznymi skłonnościami lub pragnął się mścić na innych za poprzednie bicie... O wypadek wtedy nie trudno, bo można było trafić nie w pośladki, a w kość ogonową. Parę razy zdarzało się w przeszłości, że odbierałem pagaj z rąk sadysty lub głupca i tak już zostało. Zastanawiałem się niekiedy, ile tych uderzeń wiosłem wykonałem, zwłaszcza że podczas spływów "metalowców" była to produkcja seryjna, jeśli nie masowa. Ta część ceremonii utrwala się najmocniej w psychice ofiary, a ponieważ często ustalałem pseudo nowo ochrzczonego, często stawałem się jakby Ojcem Chrzestnym nowych kajakarzy.

Próba bicia wiosłem jest bardzo widowiskowa. Szeroki zamach, jakbyś miał zabić, chwila oczekiwania na uderzenie, wykorzystuje to publika krzycząc zajadle: Przywal! nie żałuj! - co powoduje dodatkowy stres u ofiary i szybkie uderzenie w wypięty pośladek.

Rozbryzgi wody z mokrych majtek, głośne chłapięcie i ciało bitego pada, rzucone energią do przodu. Energia pocisku wystrzelonego z broni dużego kalibru...

Przy takiej próbie następuje, jak wspomniałem, wybieranie pseudonimu wodniackiego. Wybór imienia bywa często problemem. Silna, malownicza, wyróżniająca się indywidualność, zdobywa sobie pseudo bez trudu. Dała się dostatecznie poznać podczas wspólnej włóczęgi lub podczas tortur. Tu wychodzi na wierzch charakter człowieka. A różnie już bywało. Bywali tchórze, którzy uciekali przed ceremonią i na próżno by ich szukać. Często mściwe diabły wyciągały takiego delikwenta z namiotu już po ceremonii, gdy większość ludzi kładła się spać. Były to przeważnie kobiety, rzadziej mężczyźni - bo to przecież wstyd wielki i utrata godności. Bywały też wypadki, kiedy postawa ochrzczonego wzbudzała respekt i szacunek. Nie zapomnę jednego takiego przypadku podczas chrztu na jednym ze spływów Metalowców. Diabły udały się w pogoń za kolejną ofiarą, a do kajaka, napełnionego wodą służącą do zamaczania kandydata, podszedł niepostrzeżenie jakiś potężny facet, usiadł na burcie i... najspokojniej w świecie zaczął myć sobie nogi "wodą święconą"! O zgrozo - toż to profanacja! Zajęty obserwacją pościgu nie zwróciłem na niego uwagi. Dopiero, gdy głośno zapytał, - czy ktoś nie ma ręcznika do wytarcia nóg? - podniósł się wrzask i tumult. Diabły przerwały pogoń i z zaciekłością rzuciły się na profana. Ten ze stoickim spokojem, a nawet z satanicznym uśmieszkiem, poddawał się wszelkim torturom. Uśmiechałem się i ja - Czekaj bratku, nakarmimy cię naszą potrawą, męczyłem - a była wtedy wyjątkowo pikantna, niektórzy nie mogli przełknąć nawet małej łyżeczki...

Facet, ku naszemu zdumieniu, zjadł potężną porcję, nawet nie mrugnawszy okiem po czym poprosił o... repetę! Podniósł się krzyk, żeby go nie karmić, bo nie starczy dla innych. Zacisnąłem zęby, splunąłem w dłonie i ująłem mocniej pagaj w rękach. Teraz moja kolej. Ja cię bratku nauczę szacunku! Ponad sto gardzieli wodniackich krzyczało w podnieceniu: Zabij go! Nie żałuj wiosła!

Nie żałowałem. Wiosło roztrzaskało się w drzazgi po zetknięciu się z potężnie umięśnionym korpusem. Piła, bo o nim rzecz, odwrócił się spokojnie i zapytał: - To wszystko?

Cóż można było z takim facetem zrobić? Tylko uszanować. W pełni na to zasłużył, zwłaszcza że na tym właśnie spływie zwyciężył w konkursie cięcia drzewa piłą, stąd pseudonim. Ta umiejętność z pewnością przydaje się w Kanadzie, gdzie wyemigrował. Szkoda tylko, że tacy właśnie ludzie opuszczają kraj. Chociaż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ostatnio przysłał mi zaproszenie na spływ rzeką McKenzie od Jeziora Niewolniczego aż do morza.

Biłem dzisiaj bez przekonania, bo to nie są prawdziwi wodniacy. Natomiast Neptun i Prozerpina bawili się znakomicie. Ochrzczeni podchodzili do nich i zostawali uroczyście przyjmowani w poczet wodniaków. Neptun kładł z powagą swój imponujący trójząb na ramieniu klęczącego przed nim delikwenta i ogłaszał przyjęcie bądź kierował do poprawki, jeśli ten nie zachowywał się zbyt godnie. Chodziło o pocałunek kolana Prozerpiny, która miała ukrytą w dłoni zdechłą rybę i zręcznym ruchem podsuwała to paskudztwo pod usta klęczącego. Jeżeli na czyjejs twarzy zjawiał się zbyt widoczny grymas wstrętu - następowały komplikacje... którym towarzyszyły huragany śmiechu obserwatorów. Pilot w roli Neptuna okazał się ogromnie wymagający, jeśli chodzi o wymogi dworskiej etykiety. Każdy przejaw braku szacunku i pokory traktował, jako obrazę Majestatu i nakazywał ponowne przejście niegodnego sługi przez piekło...

Chrzest w końcu się skończył. Ktoś podochocony zabawą krzyknął:
- Wykąpać komandora!

Tradycyjne to hasło powoduje wrzucenie do wody szefa wyprawy. Ma ono rację bytu w Polsce, gdzie woda jest przeważnie zimna, a komandor zazwyczaj nie wsiadał do kajaka, motywując to natłokiem spraw organizacyjnych. Przemoczeni ludzie, na zakończenie spływu

chcą się na nim odegrać i sprawdzić, czy jeszcze nie zapomniał pływać. Ale tutaj, to ja powinienem wrzucić niektórych do wody, niestety ciepłej. Ponieważ nie mogłem tego uczynić, rzuciłem się pierwszy w morze i z okrzykiem "dogańcie mnie" - popłynąłem w mrok. Jedynie Tramp, człowiek obowiązkowy, starał się mnie dogonić. Jeszcze jedna okazja do kąpieli.

W tym czasie Krakersi odeszli od ogniska. Cały czas siedzieli ze skwaszonymi minami. Jeżeli będą chorzy na żółtaczkę, będzie to ich wyłączna wina - uświadomił mnie Tramp. Spłukujemy się pod silnym strumieniem wody i wracamy z powrotem do ogniska.

Raptem Tramp trąca mnie łokciem:

- Spójrzcie, co za łuna! Pożar czy co?

Rzeczywiście. W okolicy, gdzie paliło się nasze niewielkie ognisko, widać wielką, jasną łunę. Puszczamy się biegiem, pełni niepokoju. Istotnie, przy wielkim ogniu stoi "Bazalski", paru naszych i trzech nieznanym w mundurach. To grecki patrol! Grecy zwabieni ogniem przyjechali i zauważyli, że niektóre z gałęzi pini, palące się w ognisku są zielone. Żądają od nas płacenia mandatu, którego wysokość przyprowadza o zawrót głowy i przekracza po prostu nasze możliwości płatnicze. Grecy są wściekli. Na domiar złego Pilot, nie mający talentu do negocjacji, wykrzykuje coś podniesionym głosem po polsku, machając gwałtownie rękami, czym jeszcze bardziej rozjątrza strażników. W końcu zobaczył mnie i uradowany krzyczy: "Szeff, szeff" - wskazując przy tym ręką.

Bez trudu domyśliłem się, o co Grekom chodzi. Miałem już obawy, gdy ktoś przyniósł te gałęzie. Podnoszę jednak jedną z nich i podtykam pod oczy strażnikom. Jest obcięta piłką, ale wyraźnie widać, że zrobiono to dość dawno.

- To nie my ścinałyśmy te gałęzie. Popatrzcie uważnie na ślad - tłumaczę spokojnie. Najważniejsze, by się nie zdenerwować i mówić przekonywająco.

Jeden z nich wziął nieszczęsną gałąź do ręki. Krótka wymiana zdań między nimi. Jeden kręci głową. Znowu nalegają na płacenie.

Proponuję im zatem, spacer na przeciwległe wzgórze za szosą, gdzie tych obciętych gałęzi jest jeszcze sporo. Można z nich zrobić nie jedno, a parę dużych ognisk. Grecy, jak wszyscy południowcy, są za leniwi na taki spacer. Patrzą niechętnym wzrokiem na oddalone wzgórze niknące w ciemności nocy...

- Powinniście jednak tam iść! - nalegam. Sami sprawdźcie, że mówię prawdę, a następnie poszukajcie prawdziwych winowajców, bo to na pewno nie my! Wiem, że wy Grecy szanujecie zieleń, ale my Polacy również. U nas też się płaci za niszczenie zieleni. Sam wymierzam takie mandaty!

- Jak to - zainteresowali się.

- Bo z zawodu jestem leśnikiem w wielkiej puszczy w Polsce - kłamię jak z nut. - Znam się na tym.

Strażnicy wyraźnie wyszli z uderzenia. Proponuję im zatem na zgodę po kieliszku polskiej wódki, ale odmawiają zdecydowanie. Są przecież na służbie!

- No to usiądźcie na chwilę, napijcie się kawy - zapraszam gościnnie i z uśmiechem, po czym daję znak dziewczynom. Te, czując że sprawa się łagodzi, natychmiast wkroczyły do akcji. Częstują kawą, kanapkami. Grecy wodzą za nimi oczyma. Siadają z ociąganiem, ale haczyk już połknęli. Dziewczyny czują bluesa i robią, co mogą, by ugłaskać facetów. Decyduję się na ryzykowne uderzenie.

- U nas w Polsce - mówię - to takie obcięte i połamane gałęzie specjalnie się zbiera i pali na ognisku. Po to, żeby zapobiec pożarom i załęganiu się szkodników. A u was tego nie robią? - pytam niewinnie.

Żachnęli się nieco, ale zupełnie zmienili ton. Niechętnie przyznają mi rację. Któraś z dziewczyn częstuje ich papierosami. Inna podaje kawę, pokazując wszystkie zęby. Ładne są te Polki.

Grecy już uspokojeni rozglądają się po terenie. Ognisko już dogasało, ale jeden z nich zauważył gitarę. Wziął ją do ręki i zagrał kilka taktów. Zabrzmiały zachęcające oklaski, ale amator gitary, skarcony wzrokiem pozostałych strażników, zapytał, czyj to sprzęt. Z radością wziął gitarę do ręki i cichutko zacząłem śpiewać... po grecku. Wyraźne zaskoczenie na ich twarzach, później uśmiechy i zaczynają mi wtórować. A później popłynęła melodia Theodorakisa z polskimi słowami, następnie coś klasycznie polskiego. Zapatrzyli się w ogień, odtajały im dusze...

Wstali od ognia już bez agresji. Rezygnuję, oczywiście, z mandatu i zegnamy się prawie jak przyjaciele. Odchodzą, po chwili słychać warkot oddalającego się samochodu... Uff!

Zwracam się do Pilota:

- Coś ty narobił?!

- Aaa, jak wyście odeszli, to ludzie zaczęli się rozchodzić. Myślałem, że ognisko się kończy i wrzuciłem wszystko do ognia.

- I tym przywabiłeś Greków. Łuna była widoczna chyba w Salonikach.

- Przecież sam mówiłeś wcześniej, że za palenie tych zielonych gałęzi możemy mieć nieprzyjemności. Chciałem je jak najszybciej spalić, by nie było śladu. A poza tym chciałem już iść spać.

- To idź, bo znów coś zmajstrujesz!

Pilot odchodzi, a my, z westchnieniem ulgi, siadamy przy dogasającym ogniu. Tramp zaczyna się wściekać.

- Co za egoista! Jak chce odejść, to myśli, że cały świat się kończy razem z nim i robi pożar.

Stwierdzenie Trampa nastraja mnie refleksyjnie.

- Tak! Nasz Pilot - to ciekawa postać. Pamiętasz jego zachowanie po pozostawieniu go na wsi? Siedział później obrażony na cały świat. Miało się wrażenie, że gdyby mógł, to by nas rozpedził na cztery wiatry, a przecież sam sobie był winien... Być może... rzeczywiście jego przodek był ojcem Stalina!?

Tramp robi okrągłe oczy:

- SERIO???

- Sam niejednokrotnie o tym mówił, lecz i pewne poszlaki na to wskazują. Czytałem relację jakiegoś dziennikarza, podróżującego po Kaukazie w poszukiwaniu śladów Stalina. Zwiedził również muzeum w mieście Gori. Tam, już w przedsionku, wisiał na ścianie portret przodka Pilota, a obok fotografia Wodza Narodów. Ponoć podobieństwo uderzające. Ów dziennikarz pisał również i o innych poszlakach. Matka Stalina pochodziła z górskiego plemienia Osetyńców, znanego z surowych obyczajów, ale z jednym wyjątkiem. Podobno, jeżeli rok po ślubie mąż nie może zapewnić potomka, to żona jest zwolniona z obowiązku przestrzegania wierności małżeńskiej. Trzeba trafu, że po roku niepełnego pożycia małżeństwa Dżugaszwilich pojawia się w mieście polski podróżnik, zesłaniec Przewalski. Żona biednego szewca dorabiała jako służąca u bogatych. Przypuszczalnie, także i u słynnego już Polaka, a ponieważ surowe prawa plemienne przestały już obowiązywać, więc...

- Portret taty wisi obok portretu syna - dopowiada Tramp.

- Widocznie. Bo po co ich tam razem powiesili? Ciekawe jest również, że Soso uczęszcza później do seminarium duchownego. Na to potrzebne były pieniądze, których nie mógł mieć w owych czasach prosty szewc. To tylko w Polsce Ludowej szewc może być milionerem, nigdy w carskiej Rosji, w dodatku na Kaukazie. Kto zatem płacił za wykształcenie dziecka? Przewalskiemu pieniędzy nie brakowało.

- Niesamowite! Ależ to ironia losu. Potomek Polaka każe później wymordować kilkanaście tysięcy polskich oficerów...

- To zapewne z zemsty. Stalin był bardzo mściwy. Większość z nich brała udział w zwycięskiej wojnie z bolszewikami w dwudziestym roku. Ale przecież Stalin był

odpowiedzialny także za zlikwidowanie w latach trzydziestych trzonu kadry oficerskiej Armii Czerwonej, z Tuchaczewskim na czele. Też nie bez przyczyny, bowiem Stalin nie był bez winy w przegranej wojnie z Polakami.

- Jak to? Przecież to Tuchaczewski był głównodowodzącym.

- Tuchaczewski dowodził. To prawda. Pilnował jednak głównego kierunku uderzenia. Na Warszawę. Za lewe, południowe skrzydło odpowiedzialny był jednak Stalin. I to lewe skrzydło wyraźnie odstawało od sił głównych. Trzonem tego lewego skrzydła była słynna Konna Armia Budionnego, bardzo wtedy potrzebna do osłony sił głównych. Powstała luka, co pozwoliło Piłsudskiemu na koncentrację sił uderzeniowych nad Wieprzem. Stalin nie usłuchał rozkazu Tuchaczewskiego, bo chciał koniecznie zdobyć Lwów, który był łakomym kąskiem, po wycofaniu z niego naszych zasadniczych sił. Kiedy wreszcie, po kolejnym ponagleniu ruszył, wysyłając przodem Budionnego, było już za późno... A więc, gdyby nie złamanie rozkazu przez Stalina, mogłoby być jeszcze różnie. Toteż nic dziwnego, że Stalin nie mógł tolerować świadków swoich błędów, a przede wszystkim Tuchaczewskiego. Nie mógł znieść nikogo, kto zagrażał jego pozycji, jego żądzy władzy. To klasyczny typ psychopaty. Przejrzał go już Lenin, wiedział o tym Trocki i inni. Bardzo ciekawe fakty o Stalinie podaje jego osobisty sekretarz Bażanow. Młody, wykształcony i inteligentny człowiek, początkowo gorliwy wyznawca komunizmu. Podpatrując bezwzględne metody Stalina przy likwidowaniu niewygodnych mu ludzi, szybko doszedł do wniosku, że przebywanie w jego najbliższym otoczeniu to pewna śmierć. Bodajże już w 1927 roku prysnął przez Afganistan i Indie na Zachód. Tam napisał książkę, mało u nas znaną "Byłem sekretarzem Stalina". Kilkakrotnie cudem uniknął śmierci. W przeciwieństwie do Trockiego, którego agenci Czecha dopadli aż w Meksyku.

Tramp zadumał się:

- Ciekawe, czy Stalin, jeśli to jest prawda, że był synem Polaka, znał prawdę o swoim pochodzeniu?

- Któż to wie? Znał w każdym razie niezłe psychikę Polaków i tę naszą twardość w walce o niepodległość. Podobno bardzo lubił polską literaturę, a szczególnie - Trylogię Sienkiewicza. Wiedział też, że Polacy nigdy nie pogodzą się z systemem bolszewickim. Kiedyś, już po drugiej wojnie powiedział nawet: "Polska nie podlega sowietyzacji". A mimo to połakomił się na ten smakowity kąsek, bardzo pomogli mu w tym towarzysze z polskim rodowodem. Często się nad tym zastanawiam i dochodzę do wniosku, że ten smakowity kąsek odgrywa w żołądku smoka, jakim jest Sojuz, podobną rolę jak napełnione siarką jagnię, połknięte niegdyś przez smoka wawelskiego. Zacznie gasić pragnienie, bo trzewia mu palą i...

- Pęknie od nadmiaru. Oby nam tylko Wisły nie wypił!

- Miejmy nadzieję, że będzie to robił u siebie, nad Wołgą. No, ale pora spać, przecież za kilka godzin wyruszamy do Polski.

Ostatni poranek w Grecji pogodny jak zwykle. Pożegnalna kąpiel w Morzu Egejskim. O 8-mej siedzimy w autokarze i po półtorej godziny dojeżdżamy do stolicy Macedonii, Salonik. Przeznaczamy kilka godzin na pobieżne zwiedzenie pięknego, portowego miasta, pełnego zabytków. Starzy bywalcy prowadzą nas do rozlewni Metaxy, greckiego koniaku. Wprawdzie to nie jest to, co "tygrysy lubią najbardziej", niemniej jednak napełniamy tanim trunkiem plastikowe bidony. O 14-tej wsiadamy do autokaru i uciekamy od upału, przekraczającego 38 C. Tuż przed godziną osiemną przekraczamy granicę. O dziwo, bez najmniejszych kłopotów. A tyle słyszeliśmy o szykanach ze strony greckich celników. Żegnaj Grecjo!

Bułgarzy również nie robią żadnych trudności. Planujemy dziś nocleg w pobliżu Rilskiego Monasteru, położonego w górach Rila na wysokości około 1200 metrów. Zapada już zmrok, gdy autokar, pnąc się cały czas w górę, zatrzymuje się na biwaku, gdzieś w pobliżu klasztoru. Wsiadamy i, jak obuchem, uderza nas chłodne powietrze. Gwałtowna zmiana

temperatury sprawia, że dygocemy z zimna. Z ust bucha para, więc jest chyba około zera. Ludzie pospiesznie rzucają się do rozstawiania namiotów, my pomagamy Kukowi, bo na pewno będziemy spać razem z nim. W górach nie ma żartów, w nocy pewnie będzie mróz. Ręce grabieją nam z zimna, ordynuję więc najbliższym, po solidnej porcji Metaxy. Nawet Kuk nie wzbrania się. Teraz jest to ulubiony napój "tygrysów". Uśmiecham się mimo woli, słysząc, jak zęby Trampa dzwonią o metalowy kubek. Szok termiczny mija, robi się cieplej i zdecydowanie weselej. Gdzieś w pobliżu jest chyba dyskoteka, bo słychać głośną muzykę. Warto trochę potańczyć na rozgrzewkę. Natychmiast „skrzykuje” grupkę chętnych i wyruszamy na szosę w ciemność nocy. Zatrzymujemy się, bo nie słychać kierunku. Na przeciwko z góry idzie grupka hałaśliwych Bułgarów. Pytamy o dyskotekę. Niestety, przed chwilą się skończyła, właśnie z niej wracają.

- Ale jak chcecie potańczyć, to zapraszamy do nas - mówi jeden z nich. - W Bułgarii dziś wielkie święto. Rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką. Dziś wszyscy się bawią - dodaje.

Część naszych rezygnuje i wraca na biwak. Zostajemy we czwórkę - ja z Trampem oraz Mimoza z Eurą. Poznajemy się z Bułgarami. Ten, który nas zapraszał ma na imię Dymitr. Okazuje się, że jest kierownikiem jakiegoś obozu młodzieżowego. Wesoło gawędząc dochodzimy do gospodarstwa Dymitra, przekraczamy bramę i wchodzimy do jednego z baraków, pełniącego rolę świetlicy. W kącie dużej sali zestawione stoły, za którymi siedzi kilkunastu młodych ludzi. Sami mężczyźni, kilku ma już nieźle w czubie, zwłaszcza, że na stołach imponująca bateria butelek. Siedzą smętnie, słuchając greckiej muzyki.

- W takie święto powinni raczej słuchać radzieckiej - myślę.

Siadamy za stołem, nie ma z tym kłopotu, bo sporo miejsc jest już wolnych. Ci, którzy odeszli, mają już widocznie święto z głowy. Pozostali najwytrwalsi. Szef prezentuje nas zebranim, na których nie robi to specjalnego wrażenia. Niektórzy wręcz patrzą na nas spode łba, ściślej - na mnie i na Trampa, bo nasze towarzyski ubrane w modne tureckie ciuchy i opalone na brąz - wzbudzają zainteresowanie. Zwłaszcza Eura, wywarła silne wrażenie na kierowniku. Przystaje zatem obściskiwac swoją towarzyszkę, sekretarkę - jak ją nam zaprezentował i nadmiar czułości zaczyna przelewać na sąsiadkę, czyli Eurę. Facet ma przy tym obie ręce zajęte, bo tamtą też trzyma jedną ręką. Nie ma nawet możliwości, by wypić toast za zdrowie zaproszonych gości. Aby mu ułatwić sytuację proponuję, by puścił coś do tańca. Ten błyskawicznie spełnia propozycję i ochoczo porywa Polkę na parkiet. Idę za nim jak w dym i proszę jego sekretarkę, Miłkę. Ładna, uśmiechnięta dziewczyna tańczy dobrze, czyli zabawa zaczyna się świetnie zapowiadać. W pewnym momencie zauważam, że gospodarz próbuje bezceremonialnie obściskiwac i całować partnerkę, mimo że ta wyraźnie się wzbrania. Facet zachowuje się niegrzecznie, widocznie nie ma skrupułów i czuje się bardzo pewnie. Jest w końcu na swoim terenie. W Polsce dostałby w pysk od dziewczyny, a kto wie czy męska dłoń by nie poprawiła. Spoglądam na Trampa z Mimosą - również zauważyli, że partner Eury dawno już przekroczył granice przyzwoitości. Tramp spojrział na mnie wyczekująco... Kiwam przecząco głową, rozwiązania siłowe nie wchodzi w grę. Jest ich za dużo, nie można narażać kobiet. No cóż, spróbujmy inaczej. Raptem przyciskam sekretarkę i zaczynam zachowywać się podobnie jak gospodarz. Tylko wychodzi mi o wiele lepiej, bo dziewczyna jest chętna, nawet bardzo chętna...

Poskutkowało! Szef zauważył, co jest grane, puścił nareszcie Eurę i biegnie odbierać swoją własność.

- Musi mieć sporą domieszkę krwi tureckiej, skoro natychmiast chce zakładać harem - myślę, obserwując uważnie faceta.

Dziwna rzecz. Z zachowania, postury, nawet tembru głosu dziwnie mi kogoś przypomina. Tylko kogo?...

Dymitr wraca do stołu i proponuje po kolejce, ale sam nie dopija, tylko się głęboko zastanawia. Po czym namawia mnie na... partię szachów. Cóż mam robić? Wykręcam się, ale jest bardzo natarczywy. W końcu ustępuję, zostawiając Trampowi dziewczyny pod opieką. Podążam za namiętym szachistą do pobliskiego domku, jego kwatery głównej. Towarzyszy nam Miłka, której facet nie wypuszcza z ręki. Czyżby porywano tu dziewczyny? Idę za nimi i zastanawiam się nad dziwnym szefem i równie dziwnym towarzystwem w świetlicy.

Siadamy nad szachownicą. Dymitr nerwowym ruchem poprawia okulary i... raptem olśnienie. Już wiem do kogo jest podobny, do naszego Prezesa. Zaczynamy partię. O dziwo - Dymitr zaczyna podobnie jak Prezes - ofensywa pionkami. Zatem gram z Juniorem - Prezesem, bo Dymitr jest młody, około trzydziestki. Natychmiast przypomina mi się partia w Polonezkoy. Mimo to, gram nieuważnie, bo moje myśli biegną ku świetlicy. Czy Tramp poradzi sobie z tymi ludźmi? Dlaczego tam nie ma ani jednej kobiety? Dlaczego Dymitr odciągnął mnie stamtąd? Co to za dziwny obóz?

Myśli biegną, jak oszalałe, a tymczasem Dymitr zaczyna mnie młócić na szachownicy. Cieszył się przy tym głośno z każdej udanej zagrywki, zupełnie jak dziecko. Jego komentarze były skierowane do jego osobistej sekundantki. Ja miałem pełnić jedynie rolę chłopca do bicia. Postanowiłem jak najszybciej skończyć grę i, mimo że przeciwnik miał przewagę, wdałem się w brutalną bijatykę.

Prezes też był słabszy w końcówce - myślę na usprawiedliwienie.

Gospodarz zaciera ręce z radości pewny wygranej. Ale mordercza wymiana, na którą się chętnie zgodził, oczyściła pole bitwy i stworzyła szanse niespodziewanego ataku. Skorzystałem z niej. Szach i... mat! Zapadła chwila ciszy...

- To niemożliwe... - wyszeptał w końcu Dymitr. - Miłka, popatrz. Nie! Ja chyba śnię, on mi dał mata! Żądam rewanzu!

- Chętnie! - odpowiadam zimno - ale... w Polsce.

Zgadza się z ociąganiem i rad nie rad daje mi swój adres, ja przedtem podaję mu swoje koordynaty. Karteczkę z jego adresem chowam starannie w kieszeni. Kto wie, do czego się może jeszcze przydać. Gospodarz odprowadza mnie do drzwi świetlicy i natychmiast znika. Dziwna gościnność. Wchodzę na salę, gra muzyka dyskotekowa, część młodych podryguje wokół dwóch Polek. Ruszam również do tańca, po to przecież tu przyszliśmy. Dyskoteka to szansa dla wszystkich tańczących. Jest to pozorna demokracja, bo znaczna część tańców dyskotekowych oparta jest na rytmie samby. Kto jej nie umie tańczyć i w dodatku nie ma poczucia rytmu jest zagubiony na parkiecie jak pijak we mgle. Zbliżam się do Eury i zaczynamy tańczyć obok siebie. Część chłopców, widząc, że są bez szans, wraca do stołów. W pewnym momencie podchodzi Tramp i informuje, że Mimoza chce wracać.

- No, to ją odprowadź - mówię nierozważnie i tańczę dalej.

W jakimś momencie otwierają się drzwi. Stoi w nich kobieta, krzycząc coś. Zrozumiałem, że protestuje przeciwko zbyt głośnej muzyce. Chłopcy coś wulgarnie odkrzykują i ta znika jak zdmuchnięta. Muzyka jednak wkrótce cichnie i wracamy spoceni do stołu. Bułgarzy zaczynają nalewać wino i koniak i zachęcają do picia. Wypijam parę szybkich toastów, po czym zapalam papierosa i próbuję zanalizować sytuację. Szefa nie ma, Tramp z Mimozą dawno już zniknęli, czas już na nas. Ale w Bułgarach odzywa się podejrzana gościnność, sadzają mnie na siłę, zwiększają tempo picia, wygłaszając kolejne toasty. Nie wypada odmawiać, a w głowie zaczyna już szumieć. Przydałoby się czymś zakąsić, ale te niechlujne resztki na stole nie nadają się do tego. W głowie rozlegają się dzwonki alarmowe. Nachylam się do Eury i mówię półgłosem:

- Uważaj na siebie!

Ta daje mi znak, że rozumie. Od dawna markowała już picie.

- Byłam zapięta na wszystkie agrafki - skomentuje nazajutrz.

Kolejne toasty.

- Do dna - krzyczą pod moim adresem podochocone koty. Myszką na pożarcie ma być Polka. Trzeba tylko spić Polaka.

- Co tu robić? - myślę gorączkowo. Trzeba sobie znaleźć sprzymierzeńca.

Obok mnie siedzi sympatyczny facet, niezbyt dużo pijący. Ma na imię Atanaz. Zaczynam z nim rozmowę. Jest przyjaźnie usposobiony, w odróżnieniu od pozostałych. Poza tym - ma tu jakiś respekt. Kilkakrotnie osadzał na miejscu zbyt agresywnych pijaczków. Zauważyłem też, że niezle tańczy. Pytam, czy umie tańczyć zorbę.

- Tu w Bułgarii prawie wszyscy umieją tańczyć zorbę - odpowiada z uśmiechem. A poza tym - ja jestem Grekiem i zorbę mam we krwi - dodaje.

- A ja się nie mogę zorbę nauczyć - mówię. - Mimo, że byłem w Bułgarii dwa tygodnie na wczasach w... greckiej rodzinie i co wieczór ćwiczyliśmy z gospodarzami właśnie zorbę.

- A gdzie byłeś - zainteresował się Atanaz.

- W Pomoriu.

- Co ty mówisz? Ja mam właśnie rodzinę w Pomoriu. Tam mieszka dużo Greków.

Opowiadam mu zatem o moich znajomych z Pomoria. Okazuje się, że zna ich dobrze, pyta o szczegóły. Mówię mu zatem o Saszy, moim rówieśniku, a zwłaszcza o jego ojcu, który wybudował sobie nowy dom, tuż nad brzegiem morza i chciał, żeby dom miał swoją duszę. Pojechałem do Bułgarii na wariata, z gitarą tylko. Był to sezon, nie można było znaleźć kwatery, nocowałem przypadkowo jedną noc w ciasnej chałupinie Greków. Ale wieczorem poczęstowali mnie winem, wyciągnąłem gitarę i nazajutrz ojciec Saszy, przebywający tam również, zaproponował mi mieszkanie u siebie pod warunkiem, że co wieczór będę grał i śpiewał. Zabawa kończyła się zazwyczaj nad ranem, gdzie na dachu domu tańczyliśmy zorbę, mimo protestów sąsiadów, Bułgarów.

Atanaz śmieje się.

- Tak, my Grecy lubimy się bawić. Zresztą Bułgarzy również, ale nie wszyscy potrafią. Zresztą, co ci będę mówił, popatrz na tych tutaj.

- Właśnie. Słuchaj Atanaz, my musimy już iść. Pomożesz nam?

Ten spogląda na mnie uważnie i po chwili kręci głową. Całe szczęście, że znam ten gest. W Bułgarii, odwrotnie niż na całym świecie przeczący ruch głową oznacza potwierdzenie. Ten dziwoląg pochodzi podobno z czasów, kiedy Turcy, podbiwszy Bułgarię zmuszali masowo chrześcijan do przejścia na muzułmanizm. Przystawiano przy tym ostre, jak brzytwa tureckie szable pod bułgarskie gardła nawracanych na jedynie słuszną wiarę. Przebiegli Bułgarzy, by ratować gardła przed przecięciem mówiąc "tak", kręcili przecząco głową. I tak już pozostało do dziś.

Atanaz zastanawia się.

- Tylko jak to zrobić?

Plan mam już ułożony. Przypominam sobie, że chłopcy na początku słuchali jak nabożeństwa greckiej muzyki. ZORBA!

- Puść zorbę i zacznij nas uczyć jej tańczyć. Potem zobaczymy.

Wkrótce rozlegają się dźwięki greckiego tańca. Idziemy z Atanazem na parkiet. Część biesiadników również idzie tańczyć, reszta siedzi dalej i po chwili przestaje na nas zwracać uwagę. Tańczymy dłuższy czas, korzystając w pewnym momencie, że jesteśmy blisko drzwi i nikt nie interesuje się naszymi poczynaniami, daję znak naszemu nauczycielowi i wymykam się na zewnątrz. Atanaz zamyka drzwi, a my puszczamy się biegiem w kierunku oświetlonej, na szczęście, bramy. Za chwilę słyszymy wzmagający się tumult. Chłopcy kłócąc się wysypują się na zewnątrz. My już znikamy w zbawczym mroku za bramą. Wpadliśmy jednak z deszczu pod rynnę. Ciemność chroniła nas przed pościgiem, ale utrudnia orientację w terenie. Nie mamy pojęcia, w jakim kierunku należy się udać. Trafiamy na główną, asfaltową drogę i zaczynamy nią podążać, schodząc co chwila w boczne drogi, by stwierdzić, że to nie tu. Tymczasem chłód, a właściwie mróz sprawia, że Eura zaczyna dygotać z zimna.

Wprawdzie ubrana była ciepło, ale spociła się w tańcu, a teraz jest na dodatek zmęczona. Ściągam więc z siebie gruby, wełniany sweter. Dziewczyna wciąga go na siebie, ale dygoce dalej. Oddaję więc jej cienki, ortalionowy skafander i zostaję w samej koszuli. Flanelowej, ale również mokrej od tańca. Koszula zaczyna sztywnieć na mrozie, czuję jak igielki zimna parzą mi skórę. Zaczynam więc podskakiwać i biegać, ale szybko tracę siły. Zaczyna mnie ogarniać apatia i senność, już nawet nie czuję zimna. Skręcamy w kolejną odnogę szosy. Jest jakiś kemping, ale to nie nasi. Całkowicie zdesperowany walę w ścianę przyczepy kempingowej. Przestraszony Bułgar otwiera drzwi. Pytam o "Partyzancką polanę", tam bowiem znajduje się nasz biwak. Ten odpowiada, że to tutaj i zatrzaskuje gniewnie drzwi. Całkowicie opadam z sił siadam więc na pobliskiej ławce... Budzi mnie krzyk i tarmoszenie. Okazuje się, że zasnąłem, spałem podobno parę minut. Dziewczyna z trudem zmusza mnie do powstania.

- Musimy iść dalej, nie możesz spać - powtarza.

Eura bierze mnie pod rękę. Idę jak manekin: spać, obojętne gdzie... Nawet w obozie Bułgarów. Zdaję sobie sprawę, że nastąpiło przechłodzenie organizmu, jeszcze trochę - a padnę i zasnę na zawsze. Zawracamy więc tam, skąd przyszlismy. Zapadam w nieświadomość... i słyszę dziecięcy głos: "Tato".

Budzę się, ale całkiem inaczej... i posłuszny, jakiejś wyższej sile schodzę jak automat w boczną, niepozorną drogę. Chciałem w nią skręcić na początku naszych poszukiwań, ale Eura wtedy powiedziała, że to na pewno nie tu. Wyłania się mała polanka, ciemna sylwetka autokaru i... tak! To nasi! Jesteśmy uratowani. To chyba cud.



Tak przepięknej architektury, wkomponowanej w niepowtarzalny górski krajobraz, nigdy w życiu nie widziałem..

Wstaję rano z tą świadomością i dziękuję Bogu za ocalenie. Wkrótce podjeżdżamy pod zespół klasztorny oświetlony promieniami słońca wschodzącego zza wierzchołków, otaczających teren szczytów górskich. Uzbrojony w aparat wkraczam z innymi na teren Rylskiego Monastynu i staję jak wryty. Tak przepięknej architektury, wkomponowanej w niepowtarzalny

górski krajobraz, nigdy w życiu nie widziałem. Dostaję gorączki z podniecenia. Biegam jak oszalały szukając dobrych ujęć. Tu wszystkie są dobre, toteż w krótkim czasie, wystrzelałem jak automat całą rolkę slajdów. Biegnę do autokaru po następną.



Z żalem opuszczamy Ryński Monastyr, z którego dumna musi być Bułgaria...

Tam siedzą zniecierpliwieni Krakersi. Byli tu już w zeszłym roku i to oni orzekli, że wystarczy godzina na zwiedzanie. Bzdura! Wbrew protestom przedłużam czas pobytu o następną godzinę. Zwłaszcza, że większość ludzi jest jeszcze w terenie i podziwia. Pożyczam od Pilota szerokokątny obiektyw. On też tu już był, ma już komplet slajdów i w pełni rozumie moje podniecenie. Żeby w całości oddać czar tego miejsca, trzeba by użyć kamery filmowej. Tu można by spędzić z powodzeniem cały dzień, bowiem z każdą pozycją słońca, odkrywa się coś nowego, inaczej układają się barwy i cienie... Ale i tak żadna technika nie odda piękna tego kompleksu, cudownie zdobionych murów klasztoru, wzniesionych z niezwykłym poczuciem harmonii. Tak, w tym miejscu człowiek czuje się bliżej Boga... Z żalem opuszczamy Ryński Monastyr, z którego dumna musi być Bułgaria.

Jedziemy do Sofii, leżącej 120 km na wschód od Ryńskiego Monastyru. Po drodze, w jakimś miasteczku usiłujemy zrobić zakupy. Na próżno! Nie można kupić ani chleba, ani owoców. Przy jednym z nielicznych czynnych straganów zauważam jak sprzedawczyni, widząc zbliżającą się grupę naszych, chowa resztę chleba pod ladę. Widocznie nie starcza go

dla wszystkich. Tych parę symbolicznych chlebów zostanie zjedzonych na cześć i chwałę oswobodzicielki Bułgarii - Armii Czerwonej. Dowiadujemy się, że to święto ku chwale, ma trwać aż trzy dni. Igrzyska zamiast chleba. Przeżywamy istny SZOK CYWILIZACYJNY po pobycie w Grecji, gdzie takie święta zostałyby wykorzystane, jako okazja do dodatkowego handlu i zarobku. Ale Grecja, na szczęście dla niej, została oswobodzona przez inną armię.



Z żalem opuszczamy Rylski Monastyr, z którego dumna musi być Bułgaria.

Około godziny 14-tej dojeżdżamy do Sofii. Przeznaczam dwie godziny na pobeżne zwiedzanie miasta. To stanowczo za mało, gdyby dzisiaj toczyło się normalne życie. Sofia to jedno z najstarszych miast w Europie, dziś jednak sprawia wrażenie wymarłego. Wszyscy widocznie siedzą w domu i świętują. Smutne to święto. Dochodzimy do okazałej świątyni. To cerkiew "Aleksander Newski". Wzniesiona w "dowód wdzięczności" dla narodu rosyjskiego z okazji wyzwolenia spod 500-letniej niewoli tureckiej. Zastanawiamy się, jaki ma związek z kulturą i historią Bułgarii patron tej budowli. Książę nowogrodzki pobił w XII wieku Szwedów nad Newą, to parę tysięcy kilometrów stąd. W VII wieków później patronuje najokazalszej świątyni Sofii, nie wiadomo nawet czy był świętym. Pytałem o to później wielu

Bułgarów - żaden nie umiał wyjaśnić tego fenomenu. Wszyscy natomiast byli wdzięczni za wyzwolenie od Turków, mniej liczni - od Niemców. Ciekawe, ilu będzie wdzięcznych za wyzwolenie od wyzwolicieli.

W cerkwi panuje chłód i zaczynam gwałtownie kaszleć. To pewnie pamiątka po ostatniej nocy. Może to zapalenie płuc? Chyba jednak alergia na chłód, bo po wyjściu na zewnątrz kaszel ustaje. Jednak czuję się niewyraźnie. Pomny niezawodnej recepty Szamana, zaczynam rozglądać się za jakimś miejscem, gdzie można napić się piwa. Spotykamy się z dwoma sympatycznie wyglądającymi tuziemcami i pytam o radę. Ci bezradnie rozkładają ręce: Święto...

- Co to za święto, gdy człowiek nie może napić się piwa - żali się Tramp, który widocznie zachorował na to samo, co ja.

Po wejściu do autokaru zgłaszam się jednak do Szamana. Opowiadam, co się zdarzyło ubiegłej nocy i jakie mam objawy. Ten słucha i kręci głową mówiąc:

- Ty chyba masz końskie zdrowie, jeżeli chodzisz i tylko kaszlesz. Jeśli chcesz, to mogę dać ci aspirynę.

Odmawiam, tłumacząc, że nie łykam prochów. Szaman śmieje się.

- Masz rację. Zajmę się tobą wieczorem.

Mruga przy tym porozumiewawczo. Dzisiaj bowiem są imieniny Szamana i jego sympatycznej rodzinki, czyli żony i jej siostry - Mimozy.

Mimoza to nie ta sama kobieta, co na początku wyprawy. Z początku narzekała, bo znalazła się w niezrozumiałym dla niej świecie. Jakieś godziny wyjazdu, pobudki, punktualność... To tak, jakby damę z towarzystwa rzucono do koszar jako zwykłego rekruta. Początkowo broniła się przed tym nowym światem i narzekała. Później - zaadaptowała się i uśmiech zaczął często gościć na jej twarzy. Poczula nawet żądzę przygód, czego dowodem był jej wczorajszy wypad na podbój Bułgarii.

Imieniny Szamanów, z polska Szamańskich, obchodzimy na tym samym biwaku, co poprzednio. Powoli „lęgnie” się we mnie nostalgia. To zapewne nasze ostatnie ognisko. W tym samym miejscu robiliśmy pierwsze. Ileż to przygód przeżyliśmy w tym okresie. Ile nowych doświadczeń, niezapomnianych widoków i wzruszeń. Jedną z cenniejszych zdobyczy była możliwość poznania ludzi i ich charakterów. Ot, chociażby Małgośka. Gra dzisiaj pierwsze skrzypce. Sypie dowcipami, śpiewa, bawi wszystkich. Namawia mnie do bardziej aktywnego uczestnictwa w ognisku. Czuję jednak jakiś dystans do niego, jakąś nieufność, słyszę jakąś fałszywą nutę w jego głosie. Nie mogę razem z nim śpiewać, nich to robią inni... Zapomnieć nie mogę jego okrzyku, że pracuje dla dzieci, a nie na wino. Zawiódł mnie także jako uczestnik grupy pilotowej podczas opływania Thassos. Zrezygnowałem wtedy z OPIEPZENIA ICH za niesubordynację. Teraz wiem, że powinienem to zrobić, nabrałby szacunku do "władzy". Na początku naszej wyprawy afiszował się, jako działacz Solidarności. Zdobył przez to u mnie "dodatkowe punkty". Stracił je i moją zyczliwość. Zapewne tym się nie przejmuje, bo nawet nie zdobył się na słowo przepraszam. Wie dobrze, że ja tu kieruję chwilowo, koniunkturalista jeden. Za rok Prezes odzyska swoje prawa i Małgośka załapie się na następną imprezę, dlatego teraz tak się popisuje.

Ognisko powoli dogasało. Jak zwykle zostali przy nim sami swoi. Dyskutujemy o wczorajszym wieczorze, który mógł się skończyć tragicznie. Daję oficjalną naganę Trampowi. Nie zostawia się przyjaciół w trudnej sytuacji. Ten się broni:

- Mimoza chciała już iść, bo zabawa jej się nie podobała.

- No, to trzeba ją było odprowadzić i wrócić.

- Myślałem, że sobie dasz radę.

- Mało brakowało, a nie rozmawiałbyś już ze mną dzisiaj.

- Dajcie sobie spokój, - mówi pojednawczo Eura. - Najważniejsze, że jesteśmy cali i zdrowi.

Po czym zwraca się do mnie:

- Pamiętajsz, co mówiłeś, gdy ci chciałam zwrócić skafander? Otóż odmówiłeś, twierdząc, że ty już swoje w życiu zrobiłeś. Że masz już troje dzieci i w ogóle... Że to ja muszę przeżyć, bo kiedyś jeszcze urodzę dziecko...

Przyszłość pokazała, że się nie myliłem. Eura po przyjeździe poznała u mnie w domu przystojnego bruneta. Wyszła już razem z nim i później powiła dziecię płci męskiej. Nie uniknęła swego przeznaczenia. Ojcem dziecka był bowiem Bułgar...

Wczesnym rankiem ruszamy ku granicy jugosłowiańskiej. Czas od pobudki do startu, jak w koszarach podczas alarmu. Tyle, że spokojnie i bez krzyku. Ludzie mają już wprawę.

Świtezianka znęca się nad wczorajszym solenizantem. Masuje mu bolącą głowę.

- Ona jest palcem Czuczki leczącym Szamana - komentuje Tramp.

O 9-tej zatrzymujemy się na granicy. Za ostatnie lewy kupuje wina i koniaki w kiosku. Tych ostatnich lewa jest sporo, bo praktycznie nic nie wydaliśmy z okazji świąt.

Jugosłowianie witają nas nieprzyjaźnie. Celnik o zmiętej, zmęczonej twarzy, poleca nam rozładować autokar i odchodzi do kolegów, pijących zapewne poranną kawę w pobliskim baraku. Pierwszy więc raz przyszło nam wyciągać cały turystyczny kram z wnętrza wozu. Ludzie patrzą z niepokojem na mnie. W niektórych twarzach widać wyraźny przestach. Polecam nie śpieszyć się i wyciągać tylko lżejsze rzeczy. Wyciągamy więc leniwie śpiwory, potem namioty...

Obok robotnicy spawają jakąś stalową konstrukcję. Nasze porozkładane bagaże przeszkadzają im w pracy. Nie ma sprawy, polecam przekładać je w inne miejsce. Gramy na zwłokę. Zabraniam wynoszenia z wozu ciężkich worów z kajakami.

- Robota głupiego - mówię uśmiechając się. Po co się męczyć.

Markujemy więc rozładunek, przenosząc lekkie rzeczy w coraz to inne miejsce. Gra wciąga ludzi i zaczynają się tym bawić. Po jakimś czasie przychodzi wreszcie celnik. Jest już w lepszym nastroju, widocznie zjadł, a może nawet wypił śniadanie. Podchodzę do niego i tłumaczę, że przeszkadzamy robotnikom w pracy. Robotnicy też coś tam krzyczą w jego kierunku. Celnik patrzy z niesmakiem na porozwlekane bambetle i na nasze rozbawione miny, po czym macha ręką:

- Pakować. Tylko szybko!

Błyskawicznie pakujemy wszystko do wozu i ruszamy. Cały ten cyrk z kontrolą trwał równo 50 minut. Podchodzi do mnie Pilot z rozjaśnioną twarzą. W rękę trzyma butelkę koniaku.

- Miałem dać celnikowi, ale ty bardziej zasłużyłeś. Dobra robota. Powinieneś być przemysłowikiem.

- Raczej celnikiem - odpowiadam. - A wtedy koniak by nie pomógł - śmieję się, puszczając oko do starego przemysłowika.

Około 15-tej przejeżdżamy przez Belgrad. Jazda męczy ludzi. Tylko Szekla spędza czas pożytecznie, bo bez przerwy masuje kolejnych pacjentów.

- To nie kajakarze na wyprawie, ale inwalidzi w sanatorium - stwierdza.

Tempo jazdy mamy znakomite, bo o 18-tej przekraczamy bez problemów granicę. Węgrzy żądają od nas listy towarów i pieniędzy przewożonych tranzytem. Rety! - ile to roboty. Puszczam w obieg listę, na której każdy wpisuje swoje dewizy i inne cenności. Celnicy stemplują listę i polecają oddać kopię przy opuszczaniu kraju.

Biorę tę listę do ręki i zaczynam studiować. Jest bowiem niezmiernie interesująca. Eura zagląda do niej z boku i szepcze zdziwiona:

- Popatrz! Ty ze swoimi 200 dolarami jesteś tu biedakiem. Ja i Tramp również.

Istotnie ma rację. Tramp również zagląda i komentuje:

- Zauważcie ciekawostkę. Im kto bardziej bogaty, tym oszczędniej żyje. I pomyśleć, że żal było tym krezusom głupich paru dolarów na festiwal wina.

- Za to my żyjemy ciekawiej. Cholera, chyba napoczniemy tę zdobyczną butelkę. Dziewczyny szykujcie kolację. - Po czym wołam do przodu: Pilot do komandora!

Zjawia się Pilot, nieco przestraszony.

- Otwórz to - mówię i podaję butelkę. To przecież twoje.

- Myślałem, że zawieziesz ją do kraju - wyjąkał ze zdziwieniem.

- Po co nosić drzewo do lasu. W Polsce też nie brakuje takich napojów. Czyje to dzisiaj imieniny?

- Moje - odpowiada Kuk.

- No, to twoje zdrowie.

Na biwaku w Szegedzie kontynuowaliśmy imieniny. Skarbniczka, z jakichś nie znanych mi bliżej powodów, również stawia. Zauważyłem ze zdziwieniem, że Krakersi także lubią imieninowe napitki.

Pobudka była nieco za wcześnie. Już o 6.35 start. Ktoś zanotował w dzienniku podróży: "Chrząszcz w półmroku kopał swoją szczękę, biorąc ją za butelkę".

Ludzie są rozluźnieni. Jeszcze dwie granice i... Polska. Nawet Krakersi zaczynają samorzutnie śpiewać.

- Co zespół, to zespół - komentuje zgryźliwie Tramp.

- Znaczy, teraz już jest wrzesień. Czy tak? - pyta Świtezianka. Dziewczyna żyła dotychczas w innej czasoprzestrzeni. Ale widocznie było jej z tym dobrze. - Jak palec? - pyta życzliwie Szamana.

- Ten u nogi?...Kiepskawo.

Doktor bowiem wczoraj w ciemności uderzył się o przeszkodę.

Amazonce nie działa suwak w spodniach. Dawno nie używany, zardzewiał. - Panowie! To wstyd woła ktoś.

Zatrzymujemy się na dwie godziny w Budapeszcie. Ludzie ruszają po zakupy. Nasza grupka idzie do supersamu kupić coś dla ciała i duszy. Wybór jak na Zachodzie. Jest wszystko. Nareszcie, bo w Bułgarii nie było nic. Kupujemy trochę wędlin na drogę.

Długo zastanawiam się nad wyborem wina. W końcu każde z naszej trójki kupiło inną markę. Wchodzimy wreszcie do autokaru. Tramp zauważył u Małgoški kilkanaście dezodorantów w aerozolu:

- Po co ci tyle? - dziwi się naiwnie. - Nie lepiej myć się codziennie wodą z mydłem?

Nie wie pocziwiec, że to bardzo chodliwy towar w Polsce.

- A, bo wiesz... co miesiąc zużywam jedno opakowanie - odpowiada nieco zmieszany elegant.

- Zapewne razem z dziećmi - rzucam ironicznie.

Ruszamy dalej. Prezes znów narzeka. Nie może przeboleć sztucznych fal na wyspie Małgorzaty, bowiem pierwotnie mieliśmy nocować właśnie w Budapeszcie. Co za przewrotność. W morzu przez te dwa tygodnie praktycznie się nie kąpał.

Czuczke rozpoczynają degustację zakupów. Przepyszne salami, pachnący dymem, chudy, wspaniały w smaku boczek... Smakowity zapach rozprzestrzenia się po autokarze, powodując u niektórych sąsiadów zawistne spojrzenia. Oni nie mogli znaleźć sklepu spożywczego, musieli, biedacy, kupować jakieś ciuchy czy przybory toaletowe. A poza tym mają jeszcze konserwy. I wrzody żołądków w przyszłości. Będzie na co wydawać zaoszczędzone dewizy.

- Czy wiecie, co to był Węgrzyn? - pytam po wypiciu kolejnego łyka.

- To było wino pite niegdyś w Polsce - odpowiada ktoś.

- Zgadza się. Lecz w rzeczywistości był to tokaj, sprowadzany beczkami z Węgier i leżakujący w piwnicach pod Wawelem. Ponoć nie było lepszego wina. Sami Węgrzy to przyznawali. Jaka szkoda, że ta współpraca polsko-węgierska się już skończyła - mówię z nostalgią pociągając następny łyk.

Jestem w znakomitym nastroju, ale nie wszystkim się on udziela. Być może dlatego, że dojeżdżamy do granicy. Początkowo Węgrzy zamierzali zrobić nam kipisz i polecili zjechać na boczny tor. Z przodu rozległo się znajome krakanie. Celnicy wzięli listę z naszymi dolarami i zniknęli. Czekamy ponad kwadrans i - cisza. Wkurzony wyskakuję więc "na bosaka" z wozu i ponaglam celnika. Ten spojrzał na mnie złym okiem i polecił włożyć coś na nogi. Kompletnie już ubrany dopadam go ponownie. Czego chce jeszcze od nas? Nie mamy czasu. Chcemy jeszcze dziś nocować w Polsce. Po krótkiej wymianie zdań facet macha ręką: Odjazd!

Wjeżdżamy do Czechosłowacji. Półgodzinny postój w małym miasteczku. Panie szperają w niewielkim domu towarowym. Przyciąga je słynna czeska biżuteria. Eura jest rozdarta między wyroby Jablonexu, a możliwością wypicia nie mniej słynnego Pilznera. Nie mamy bowiem zbyt dużo koron. Tramp spojrzał na nią pogardliwym wzrokiem. Ani on, ani ja takich wątpliwości nie mieliśmy. Ruszamy dalej. W górach deszcz. Pod wieczór przekraczamy granicę.

Rozdział IX DZIADOWSKA GÓRKA

Ostatnia granica przekroczona. Ze wzruszeniem witamy polską ziemię. Wszędzie dobrze, lecz na starych śmieciach najlepiej. Tę starą prawdę zna ten, kto chociaż raz był poza granicami Ojczyzny. Zresztą diabli wiedzą - to może ja jestem taki sentymentalny? Gdy jestem w Polsce, to wiele rzeczy i spraw mnie irytuje. Wyjeżdżam nawet na parę dni, wracam i wszystko mi się podoba. Nawet hejnał Mariacki, którego nie znoszę, gdy siedzę w kraju.

Błyskawicznie zapada zmierzch, wszak to już połowa września. Trzeba znaleźć jakieś dobre miejsce na biwak, a w tych ciemnościach nie będzie to łatwe. Myśl o hejnale podsunęła mi pomysł.

Może by tak pojechać dzisiaj do Krakowa, wszak to niedaleko, przespać się w jakimś dobrym hotelu i na pożegnanie potańczyć w hotelowej restauracji? Przy obecnych "przeliczankach" dolarowych zabawimy się prawie za darmo.

Pomysł spodobał się, ale nie wszystkim. Przeprowadzam więc głosowanie. Większość jest za, niestety część przeciw.

To ci sami, co chcieli pić wino za darmo na Festiwalu w Carras. Nie mają, niestety, fantazji. Mają za to węża w kieszeni, co skomentował krótko Tramp: - Pewnie umrą bogato!

Nocujemy w jakimś małym miasteczku. Na wąskim skrawku łączki wciśniętym między murami kościoła i cmentarzem, ludzie klnąc pod nosem próbują ustawić swoje namioty. Miejsca jest zbyt mało. Widać to było na pierwszy rzut oka. Niektórzy się jednak uparli, by zanoćować właśnie tu. Bezpłannie. Z początku usiłowałem protestować, ale zanosilo się na poważną kłótnię z Prezesem. Machnąłem w końcu ręką. Moja rola już się kończy, jesteśmy na polskim terytorium, Prezes znów sięga po władzę.

- Nocujemy jak dziady pod kościołem - biadoli Tramp.

Jest wkurzony, podobnie jak ja. Nie ma najmniejszej możliwości, by w tym tłoku zapalić ognisko. "Ostatnia Wieczerza" odbywała się w warunkach daleko odbiegających od tej opisywanej w Ewangelii - zabrakło mi pokory Mistrza, który obmywał nogi swoich uczniów.

"Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju". To powiedzenie nie powstało w Polsce, ale tutaj się je starannie kulturuje.

Ludzie potykają się bez przerwy o pajęczynę linek namiotów stłoczonych, jak w koszmarnym śnie. W ciemności słychać tylko jęki i zduszone przekleństwa. Powoli narasta we mnie przekora...

- Gdybym nie był szefem - mówię - to bym sobie dziś zdrowo wypił, a później dał taki koncert, że organizatorzy popamiętaliby mnie do końca życia!

Z sąsiedniego namiotu, odległego zaledwie o wyciągnięcie ręki, wypelza Barnaba. Wstać nie może, bo nad głową ma płataninę linek. W rękę trzyma butelkę.

- Szef mówił coś o picciu, więc służę.

Kochany Barnaba. Zawsze był dobrym podczaszym. I pozostał nim do końca.

- Twoje zdrowie - mówię.

Z determinacją wychylam szklanę. Całe szczęście, że to koniak, a nie nasza czyściocha. Eura wygrzebuje skądś przedziwnie powyginaną świecę.

- Znalazłam ją na dnie worka - mówi. Widocznie czekała na taką okazję - dodaje z uśmiechem, stawiając przy zapalanej świecy butelkę koniaku. - To podziękowanie za Ryłski Monastyr.

- Ten nocny czy ten za dnia?

- A czy bez nocnego możliwy byłby dzienny? - odpowiada pytaniem na pytanie.

Mały placyk przed namiotem Kuka raptem się zaludnia. Dobrze, że jest zapalona świeca, bo przy ognisku spłonęliby wszyscy łącznie z namiotami. Cieszę się, że jest trochę ludzi, którzy w ten ostatni wieczór chcą pobyc razem ze mną.

- Całe szczęście, że nie pada. Bo nie wiem czy zmieścilibyśmy się w namiocie Kuka.
- Ciekawe, ilu ludzi zmieściłoby się w takim namiocie - rozważa Tramp.
- Kiedyś, w Swornigaciach, robiliśmy próbę. Zresztą z konieczności. Lało parę dni. Nie było co robić, więc zorganizowaliśmy małe "garden party" w namiocie. Upchani byliśmy jak sardynki w puszcze, gitarę musiałem stale trzymać ponad głowami w górze. Czyli - tutaj nie jest tak źle.

Złość już mi przeszła. Pal diabli Prezesa i innych małych ludzi. Świat jest duży i starczy w nim miejsca dla wszystkich. Zabrałem się za gitarę, nie żałując przy tym głosu. Jak koncert - to koncert!

- Szefie! - odzywa się Świtezianka podczas małej przerwy. - Dlaczego Szef tak mało mówi o swoich przygodach kajakowych? Chętnie byśmy posłuchali. Dla mnie, na przykład, już nazwa Swornigacie brzmi egzotycznie. Gdzie to jest?
- To mała miejscowość na szlaku Brdy. Tam sporo jest takich kaszubskich nazw. Na przykład - Męcikał. Stąd wywodzi się nazwa kajakarskiej potrawy dawanej przy chrzcie.
- "Męcikał" - krzywi się dziewczyna. Ledwie to przełknęłam. Brr, co za obrzydliwość. Te konserwy jedzone na naszej wyprawie też mi obrzydły. Szkoda, że nie pojechaliśmy do Krakowa. Zjedlibyśmy nareszcie coś porządnego, no i... tak bym sobie potańczyła.
- Ja też! Ale nie wszyscy mają na to ochotę. Nie wszyscy lubią przygody. Niekoniecznie zresztą kajakowe. A zamiast opowiadać o nich, lepiej je przeżywać, bo nie starczy czasu na nowe, wspominając te, co już były.

*"Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę..."*

- To jest dobra piosenka dla ludzi młodych - mówi Świtezianka. - Młodych duchem - dodaje pośpiesznie. Zdrowie szefa!
- Zdrowie was wszystkich!

Barnaba nie próżnował. Tego wieczora było sporo toastów.

- Wiesz co Barnaba? Ty powinieneś mieć pseudo Barman. Żeby się upewnić, że mam rację zaśpiewam pewną piosenkę. Słuchaj uważnie.

*"Hej barman, barman słuchaj no
Rzuć ten koktajl swój.
Ciągnie, ciągnie mnie na dno
Barwnych myśli rój...
Wykwintna chandra... stary
Od rana tak mnie ssie.
Musisz, musisz ekstra czymś
Dziś poratować mnie.*

*Więc daj mi, daj mi szczęścia łyk.
A golnę sobie nie tak, jak dżentelmen pijać zwykł.
O forszę bracie nie martw się
Salaty mam dziś plik.
Cokolwiek daj mi więc,
Daj mi szczęścia łyk!"*

Barnaba wczuł się w rolę i podaje mi napełniony kieliszek. Wstrzymuję go ruchem ręki...

"Hej stary, stary, żartowałem

*Mam płaszcz pełen lat,
A ty, jak zwykle, piwko małe postaw mi na blat.
Zaszyję się z tym piwkiem w najciemniejszy kąt
Podumać o tej malej, co mnie wyciągała stąd.
Wiesz Stary, gdyby ona otworzyła teraz drzwi...
To piwko wolno skończyłbym i wiesz, co powiem ci?*

*To byłby już mój... mój ostatni łyk
Za rękę dałbym się jej wziąć tak - jak mały smyk.
We włosach, oczach, dłoniach jej na zawsze bym już znikł...
Ach czekam, czekam wciąż na ten... ostatni łyk!"*

- Jakie to ładne i romantyczne - mówi jedna z dziewczyn.
- Dlaczego słyszymy to pierwszy raz?
- Wielu piosenek nie śpiewałem, bo nie było odpowiedniego nastroju. A nastrój tworzą ludzie i okoliczności temu towarzyszące. Piosenka - jak kobieta, która zależnie od sytuacji i pory dnia jest ubrana w inną sukienkę.
- Szkoda, że nie ma tu Szarego - macha ręką Tramp. - On by dopiero wam zaśpiewał!
- Szary śpiewa znacznie chętniej niż ja i mniej zważa na dobór repertuaru. Brak mi Szarego, brak także kilku innych wspaniałych ludzi. Na przykład, gdyby tu był Jamnik, to spojrzawszy na ten kościół, natychmiast by zaśpiewał:

*"A tam w Sirgiliszkach kościół murowany
Bielą się z daleka te drewniane ściany.*

*Cierp, cierp duszo moja, a będziesz zbawiona
A jak nie pocierpisz będziesz potępiona..."*

- Toż to żurawiejki! Dlaczego tego nie śpiewałeś?
- Bo nigdy nie biwakowałem pod kościołem. Poza tym -żurawiejki to specjalność Jamnika.
- Ciągle go wspominasz i ty, i Szary. Dlaczego nie pływa?
- Bo miał tego burdelu dosyć i wyjechał do Afryki Południowej. Przyjechał jeszcze na Złote Liście w 81-szym roku wraz ze swoją żoną Prosiaczkiem Czerwonym, też niezłym agregatem i z dziećmi. To był ich spływ pożegnalny, postanowili emigrować. Wiedziałem o tym, bo mnie również namawiali na wyjazd.
- Prosiaczek Czerwony? - zaśmiała się Eura. - To musi być potworna baba? Któż ją tak ochrzcił?
- Sama się tak przezwała. Jest to dowód jej wielkiej fantazji. Tak wielkiej, że niekiedy przerastała naszą. Jak wchodziła na obroty, to dopiero był kłopot, nawet dla Jamnika. Zważywszy, że i urody jej nie brakowało. Tak. Z nimi można było jechać nawet na koniec świata. A dzisiaj na pewno tańczylibyśmy razem w Krakowie. Przegłosowalibyśmy tych potwornych Krakersów, inaczej potoczyłaby się nasza wycieczka. Nieraz żałuję, że nie wyjechałem z nimi.
- To dlaczego nie wyjechałeś?
- Bo ja chcę wyjeżdżać legalnie i wracać kiedy mam na to ochotę. To po pierwsze. A po drugie - dwa lata wcześniej byłem już przez pół roku w Sojuszu. Tam zrozumiałem, co znaczy tęsknota za krajem. Co to jest samotność. Samotność wśród ludzi, którzy wprawdzie mogą być ci przychylni, ale mimo to czujesz się z nimi obco. Nie rozumieją pewnych haseł, skrótów myślowych, pojęć szczególnie ci bliskich. Możecie mówić tym samym językiem i o tych samych problemach - ale to nie to! Jest pewien klimat obcości, inności, czasem nawet

wrogości. Bariera, którą można pokonać tylko przy wzajemnej sympatii - a to wymaga czasu i dobrej woli. Nie każdego na to stać.

- W Polsce też można czuć się samotnie, gdy ma się do czynienia z takimi Krakersami - zauważa Tramp.

- Tak, ale na szczęście ma się jakiś wybór. Jest się u siebie.

- To tak, jak w filmie "Sami swoi". Pawlak osiedlił się obok Kargula stwierdziwszy, że nie ma sensu szukać obcego wroga.

- Barnaba spać! - odzywa się głos Pelikana.

Żona Barnaby od dawna była w namiocie. Myśleliśmy, że już śpi.

- Cholera! Nie ma tu żadnego komfortu psychicznego. Jeżeli ktoś jest zmęczony, to śpi, a nie podsłuchuje - odezwał się poirytowany.

Dziewczyna powtórzyła wezwanie, ale takim tonem, że chłopaka zmroziło i zaczął rakiem wycofywać się do odległego o metr namiotu.

- Barnabo! Jeżeli chcesz być prawdziwym mężczyzną, to nie słuchaj baby, bo inaczej wejdiesz pod pantofel! W końcu to żona powinna być u boku męża, a nie odwrotnie.

- To święta zasada Czuczów - podkreślił Tramp.

- O! Posłuchajcie. I ty to mówisz? - zadrwiła Eura.

- Tak. Ja, Czuczka tak mówię - stwierdził z godnością Tramp.

- Dziewczyny myślą, że jestem uległy, a ja jestem grzeczny. Do czasu. I dlatego nie mogę znaleźć sobie żony, bo nie chciałbym znaleźć się w sytuacji, w jakiej jest teraz Barnaba.

Istotnie. Młody małżonek znikł już we wnętrzu namiotu, z którego rozległy się gniewne buczenia Pelikana i z rzadka pokorne, krótkie „przepraszam” Barnaby.

Wkrótce zostaliśmy w żelaznym składzie, czyli we trójce, bo Kuk poczuł się zmęczony i wkrótce dobiegło do nas chrapanie człowieka sprawiedliwego. Tramp zwrócił się do mnie:

- Opowiedz coś jeszcze o Jamniku. Dlaczego tak często go wspominasz?

- Bo to on zapoczątkował lawinę zdarzeń, której skutki odczuwam do dziś. Ale to długa historia i jestem zbyt zmęczony, by ją opowiedzieć w skrócie nawet.

- To streść ją w telegraficznym skrócie.

- To będzie wyglądało jak opowieść biblijna.

- Spróbuj!



Przy gitarze. Od lewej; Kazek autor i Jamnik

- Pewnego razu Jamnik zauważył nad brzegiem rzeki tonącego człowieka. Nikt mu nie przyszedł z pomocą, bo towarzysze tonącego, wytrawnego wodniaka, uznali, że facet, jak zwykle, żartuje. Jedynie obcy podał mu pomocną dłoń. W rewanżu ludzie ci zaprosili Jamnika

jeszcze tego roku na wewnętrzną imprezę, którą zamierzali organizować tej jesieni. A nazwali ją...

- Złote Liście?... - zgaduje Tramp.

- Wybrzeża - uzupełniam. Spływ miał się odbyć w końcu września. W połowie tego miesiąca spotkałem się z Jamnikiem. Byłem w fatalnym nastroju, bliski załamania...

- Kobieta? - domyśla się Eura.

- Ścisłej - moja żona. Podjąłem właśnie decyzję odejścia. Ale to nie takie łatwe odchodzić od kobiety, z którą ma się dzieci, z którą przeżyło się tyle dobrych i złych chwil. I Jamnik podał mi pomocną dłoń.

- Jak temu topielcowi?

- Tak. Namówił mnie i pojechaliśmy razem. Poznałem tam wspaniałych, życzliwych ludzi. Oni i piękna przyroda Szwajcarii Kaszubskiej sprawili, że na parę dni udało mi się zapomnieć o kłopotach.

- Płynęliście Radunią?

- Nie. Spływy na Raduni zaczęto organizować później. Był to normalny spływ, bodajże Wdą, początkowo chyba przez Wdzydze, z ogniskiem po każdym etapie. Na pierwszym ognisku poznałem Szarego. Nie było to zbyt trudne, bo było zaledwie około pięćdziesięciu uczestników.

- I wszyscy byli pewnie przy ognisku.

- Zgadza się. Mówiłem ci, że to był normalny spływ. Teraz uczestniczy w Liściach kilkaset osób i, żeby kogoś znaleźć, długo trzeba szukać, wizytując kolejne domki w Wieżycy. Co czasami nie jest takie złe.

- Wiem coś o tym - śmieje się Tramp. - Pamiętasz, jak kiedyś szukaliśmy Szarego przez pół nocy. No, ale miałeś opowiedzieć co ten spływ zmienił w twoim życiu.

- Przede wszystkim wylazłem z dołka psychicznego. Po spływie dziewczyna, zwana Wodolazem, zaprosiła nas do Gdyni do siebie. Nie spieszyłem się zbyt do domu, bo i po co? Tego dnia do Wodolaza przybyła przypadkowo dziewczyna, której już nie zapomnę. Po paru godzinach byłem już zakochany po uszy. Wyjechałem, zaczęła się ożywiona korespondencja, później ona przyjechała do Warszawy, poznałem jej rodzinę. Jej Mama traktowała mnie później jak syna. Jej siostra i brat Faki zaczęli pływać ze mną na kajakach. Ona niestety nie... A szkoda, bo teraz byłaby pewnie moją żoną. Natomiast siostra poznała na spływie mego kumpla Piłę i pobrali się. Teraz są niestety w Kanadzie. Jamnik wyjechał, Piła też... Cholera, że też tacy sympatyczni i wartościowi ludzie emigrują. Ale mam nadzieję, że kiedyś runie ten diabelski system i wszyscy powrócą do gniazda jak wolne ptaki.

- Piszecie do siebie?

- Z Piłą urwał mi się kontakt, ale Jamnik pisuje. I tęskni za krajem. Co roku, podczas trwania Złotych Liści, przesyła telegram do organizatorów z pozdrowieniami. Kilka lat temu ufundował nagrodę dla najbardziej nieregulaminowej załogi bądź uczestnika Złotych Liści. Suma, którą przekazał organizatorom była dość znaczna. Można by za nią postawić parę piw wszystkim uczestnikom spływu.

- No i kto otrzymał nagrodę? Pewnie ty!

- Niestety nie! W tym czasie nie było mnie w kraju.

- Szary!

- Teoretycznie powinien ją zgarnąć bez mrugnienia okiem. Organizatorzy wpadli jednak na isticie diabelski pomysł. Mianowali Szarego szefem komisji, mającej przydzielić tę nagrodę. Komisja miała potworny orzech do zgryzienia. Wszyscy „nieregulaminowi” byli poza Polską, a jedyny, który się kwalifikował, nie mógł przydzielić jej sobie. Po długich debatach wybrano Rybkę.

- Kto to taki?

- To dziewczyna z Zakładów Rybnych w Gdańsku. Chętnie uczestniczyła w naszych nocnych koncertach. Miała niezły słuch i grała na skrzypcach.

- Na Liściach?

- Nie. U siebie w domu. Ale zawsze obiecywała, że na następne Liście przywiezie skrzypce.

- Przywiozła je w końcu?

- Nie. Ja w każdym razie nigdy jej z tym instrumentem nie widziałem.

- No dobrze, ale co mają skrzypce do wiatraka. Przecież chodziło o najbardziej n i e r e g u l a m i n o w ą załogę. Założę się, że Jamnikowi chodziło o coś zupełnie innego. O wyróżnienie dla człowieka pełnego fantazji, niezależnie od wszelkich bzdurnych przepisów czy regulaminów. O kogoś, kto w tym uporządkowanym świecie chodzi jeszcze własnymi ścieżkami, o...

- Czuczczę?

- Właśnie to wyjąłeś mi z ust.

Tramp przez chwilę pokręcił głową. Zastanowił się i rzekł:

- Niezły zawodnik z tego Jamnika! Szkoda, że go tu nie ma.

- Jego by w tym miejscu nie było. Nas wszystkich również. Gdyby uczestniczył w naszej wycieczce, to na pewno nie nocowalibyśmy na tym dziadowskim biwaku. Przypuszczam, że gdyby był Szary - również pomógłby mi w walce; sporo głupich pogrywek Krakersów torpedowanych byłoby w zarodku. Dobrze, że ta wyprawa się już kończy, chwilami boję się, że stracę panowanie nad nerwami. Proponuję iść spać.

Budzimy się późno i wychodzimy z namiotu. Nad bramą kościoła widnieje ogromny transparent: "Panie przebac im, bo nie wiedzą, co czynią". Szaman pokazuje mi gestem napis i mruga szelmowsko okiem. Rozumiemy się bez słów. W świetle dnia widać jeszcze bardziej jak fatalnie położony jest nasz biwak. Nawet zwolennicy nocowania w tym miejscu rozumieją swój błąd, bo błyskawicznie zwijają namioty...

W Tarnowie żegnamy wrocławiaków. Małgośka palnął na pożegnanie mówkę pożegnalną - dziękczynną, w której podkreślił ogromne zasługi Prezesa w zorganizowaniu wyprawy. Ja dla niego już nie istniałem. Pean zakończył słowami: "Trzymajmy się razem. W tym nasza siła i od tego zależy realizacja naszych marzeń". Do kogo adresował te słowa - nietrudno się domyślić, ale potwierdził je jeszcze brezniewowskim pożegnaniem z Krakersami i Prezesem. Gdzieś tam w przelocie podał mi rękę.

Jedziemy dalej. Krakersowa zaczyna działalność artystyczną i tworzy parę strof wiersza, w którym podsumowuje naszą wycieczkę. Puszczą to w obieg w dzienniku podróży. Wychodzi z tego "radosna twórczość", bowiem wielu ludzi dopisuje w tym samym stylu swoje uwagi. Oto kilka próbek:

*...Istambule, Istambule wspominamy ciebie czule
Twe bazary oraz sklepy i Turczynki, cud kobiety!
...Żegnaj Turcjo i Stambule. Patrzy Gosia w przestrzeń czule,
Gdzie jej miły został Stach. Kocha jeszcze...!?! Myśleć
strach.
...A Mimoza chora była, prawie głodem się morzyła.
Gdyby jeszcze kilka dni, to z Mimosy będzie Mi...*

Z tych spontanicznie napisanych strof wynika, że Polacy to naród poetów. Powstało bowiem dokładnie trzydzieści dwie zwrotki poematu.

Ja natomiast wpisałem się do dziennika nieco bardziej oficjalnie. Zrobiłem bowiem prowizoryczne posumowanie wycieczki. Bilans zysków i strat. Pochwały dla wrocławiaków, Docentów i Pilota za prawdziwie kajakerską postawę, bo kto chciał kajakować - robił to. Zganiłem natomiast wicekomandora i niedoszęłego Pilota na morzu za odmowę współpracy. Wprawdzie dziennik nie jest oficjalnym dokumentem, ale słowo pisane robi wrażenie. Być

może tam, w Grecji, nagany te przeszłyby bez echa. Tam nie myślało się o konsekwencjach, a tutaj, już w kraju, układa się plany wyjazdowe na przyszły rok. Jeżeli takie uwagi zamieszcze w sprawozdaniu do ZG PTTK, ewentualny wyjazd oddali się w sferę niespełnionych marzeń. Riposta przyszła natychmiast. Na następnej stronie wypisano czerwonym długopisem uwagi i groźby pod moim adresem. Komandor nie spełnia należycie swoich obowiązków, a ponadto - jest stale pijany. Niestety nie dysponuję oryginałem, o czym za chwilę. Było to wspaniałe studium fałszu i nienawiści. Nim ten paszkwil trafił w moje ręce, przeczytali go wszyscy po drodze. W autokarze ucichło, ludzie trawili truciznę. Ja również ze zdziwieniem, milcząco, przeczytałem niestrawny tekst, którego autorstwa nietrudno się domyślić. Już zamierzałem wstać i przeprowadzić męską rozmowę, gdy raptem z tyłu rozległ się beznamienny, kobiecy głos:

- I ja także chciałabym dorzucić kwiatek dla komandora...

Nadstawiam ucha - no, nareszcie głos sprawiedliwego...

A tu słyszę: - Komandor mnie obraził. Ja, jako uczciwa kobieta, nie mogę sobie pozwolić na takie traktowanie...

Spoglądam zdziwiony do tyłu. To Pelikan. Patrzy martwym wzrokiem przed siebie i mówi monotonnym tonem. W grubych szklach okularów zimne, złowrogie refleksy. Zawstydzony Barnaba tarmosi ją na próżno za rękę.

Wstaję, nieco poruszony, ale przede wszystkim niezmiernie zdziwiony.

- Czy możesz nam wszystkim wyjaśnić, czym cię obraziłem? Bo nie mam pojęcia, o czym mówisz!

Odpowiada milczeniem. Dziewczyna nie reaguje i patrzy tępo przed siebie.

- Barnabo, czy możesz mi wyjaśnić o co chodzi twojej żonie?

Barnaba jest wyraźnie przestraszony.

- Szefie! Ja naprawdę nie wiem, o co jej chodzi. To chyba jakieś nieporozumienie.

- Jestem pewien, że to nieporozumienie. Ale padły publiczne zarzuty pod moim adresem i chciałbym wiedzieć konkretnie, o co obraziła się twoja żona.

Zmartwiony Barnaba usiłuje rozmawiać ze swoją żoną. Zacięła się jednak i siedzi jak głaz. Cały autokar już od paru chwil strzyże uszami. Wszyscy odwrócili się do tyłu. Jedni ze zdziwieniem, inni natomiast z wyraźnymi uśmiechami satysfakcji: No, nareszcie doigrał się...

Podchodzę bliżej do dziewczyny:

- Słuchaj! Nie mam ochoty na takie żarty. Albo odwołasz, co powiedziałaś i mnie przeprosisz, albo powiesz, o co ci wreszcie chodzi.

Dziewczyna czerwieni się, jest jej wyraźnie głupio. Jednak milczy nadal.

- Ki czort? - myślę zaniepokojony. - Może jest chora?

Siadam obok i usiłuję coś wydobyć ze skołowaciałej dziewczyny. Jej mąż usiłuje mi pomagać. Po paru minutach "śledztwa" sprawa się wyjaśniła. Pelikan obraził się za to, że wczoraj w rozmowie nazwałem ją "babą".

Wstałem więc i wyjaśniłem naszej autokarowej "rodzince" powód obrazy. W autokarze rozległy się śmiechy. Pelikan z rozjaśnioną twarzą przyjął moje przeprosiny, uwieńczone pocałowaniem w rękę. Tyle krzyku o nic!

Rozgrzany sporem podążam niezwłocznie do drugiej kobiety. Stokroć groźniejszej, bo będącej motorem napędowym Krakersów, jej sztabem i mózgiem. Zaczynam bez zbytnich ceremonii.

- Czy możesz mi wyjaśnić te zarzuty, które przedstawiłaś na piśmie. Kiedy to, twoim zdaniem nie dopełniłem obowiązków. Żądam faktów!

Kobieta patrzy na mnie twardym wzrokiem. Jej oczy zwężają się w wąskie szparki. Gra również w otwarte karty:

- Dałeś naganę memu mężowi. Muszę go bronić!

- Trzeba go było bronić w Grecji przed podjęciem nieodpowiedzialnej decyzji. Tylko, jak znam życie, ty go do tego namówiłaś. A teraz żądam konkretnych faktów mojej niekompetencji, bo jeśli chodzi o twego męża, są one oczywiste!

Krakersowa milczy. Ja spokojnie czekam. Po chwili zaczynam się cicho śmiać. Ta nie wytrzymuje:

- No, bo ty jesteś zupełnie nieprzygotowany do pełnienia funkcji kierownika. Ty jesteś cały czas na luzie. Bawisz się w jakiś Czuczów. Wasza grupa z tyłu bez przerwy coś popija. Śpiewacie, śmiejecie się zupełnie bez powodu.

- Mamy powód. Jesteśmy przecież na urlopie i wypoczywamy.

- Ty nie jesteś na urlopie. Ty jesteś w pracy. Bierzesz za to pieniądze. Poza tym - twoje miejsce jest z przodu.

- A kto decyduje, gdzie jest moje miejsce? Dlaczego akurat z przodu? To tylko wy jesteście do tego przyzwyczajeni przez całe życie, że ktoś siedzi z przodu i bez przerwy was poucza i strofuje jak dzieci. Wolałabyś rygor i krzyki, jakie robił Prezes i inni szefowie wycieczek? To wam weszło już w krew. Nie doceniasz tego, że dzięki memu luzowi przejechałaś beztrudno i bez komplikacji przez kilkanaście granic. I to właśnie w tym roku, kiedy wszystkie polskie wycieczki łamią sobie zęby na każdej z nich. Ładnie by wyglądała nasza podróż według recepty twojej i twojego męża. Przecież już na pierwszej granicy proponował "postawę na baczność". Wątpię, czy dojechalibyśmy nawet do połowy drogi... A ponadto, twoje pesymistyczne krakania, których tubą był twój posłuszny mąż, zamieniłyby tę wycieczkę w przejażdżkę karawanem. Mój luz był potrzebny, by tak się nie stało...

Zapadła cisza. Po chwili - kontynuowałem.

- Jeśli chodzi o pieniądze, to ta śmieszna suma, jakiej nie musiałem płacić za wycieczkę dzięki temu, że ją przygotowywałem i kierowałem, to zbyt mała rekompensata za stracony czas przed wycieczką oraz za odpowiedzialność, jaka ciąży na mnie. Odpowiedzialność za wszystko, co się mogło wydarzyć z dala od kraju, a zwłaszcza - odpowiedzialność za ludzi. Dzięki temu, że zachowałem luz, wy na tej wycieczce zarobiliście, natomiast ja straciłem grubo więcej niż ta symboliczna suma. A teraz proszę o podanie konkretnych przypadków nadużywania przeze mnie alkoholu.

- Przecież pijesz każdego dnia!

- Piję wino i to przeważnie do obiadu czy kolacji. Tak, jak ja, pije każdego dnia cały cywilizowany świat. Piję za swoje pieniądze i w takich ilościach, że to nikomu nie przeszkadza, często nawet pomagało w zachowaniu luzu, który staraliście się zakłócić. Mogę powiedzieć, że piję przez ciebie. Ale nigdy nikogo nie obraziłem ani nie ucierpiał przez to ani mój prestiż, ani interesy naszej wycieczki. Cały czas myślisz polskimi kategoriami, że jak ktoś pije - to już musi schlać się jak świnia. Na szczęście, w cywilizowanym świecie obowiązują inne kategorie.

Starsza pani na moment opuszcza głowę. Po czym podnosi ją z determinacją:

- Wyrwiesz tę kartkę z naganą, to ja wyrwę tę z krytyką!

- Nie ma sprawy - mówię z uśmiechem.

Wyrwałem kartkę, kobieta wyrwa następną i obie rwie z tłumioną pasją na drobne strzępy.

Ja natomiast siadam do mikrofonu i podaję niezbędne informacje o moim dorobku kajakarskim i życiowym, nie popadając w zbytnią przesadę. Być może powinienem to zrobić już na początku naszej wyprawy, zwłaszcza że nikt z ludzi tu obecnych nie znał dokładnie mojego życia. Uważam jednak, że ludzi powinno się oceniać nie za liczbę przepłyniętych kilometrów czy zaliczonych szlaków i posiadanych odznaczeń - jak to ma często miejsce w światku kajakarskim - bądź też za poziom wykształcenia i posiadane dyplomy, jak to ma miejsce w życiu, ale za skuteczność działania. To jest najważniejszy sprawdzian.

W moim wystąpieniu położyłem nacisk na jeden element. Ognisko i jego rolę podczas wędrówki kajakowej. W czasach, kiedy zacząłem kajakowanie, nie istniały jeszcze butle gazowe. Ognisko było istotnym elementem biwaku, było to jedyne źródło energii. Po dopłynięciu na biwak zapalało się je natychmiast po to, by ugotować coś do jedzenia. Grupa miała najczęściej jeden odpowiednio duży gar do gotowania i jedzenie przygotowywało się wspólnie. Przy ogniu płynęło życie towarzyskie, jednoczące wszystkich uczestników. Intymna atmosfera płomienia, ułatwiała wzajemne porozumienie się, spalały się wszelkie narosłe w ciągu dnia kwasy, niesnaski i nieporozumienia. Dusza powoli oczyszczała się, a wzrok kierował się ku gwiazdom, ku niebu. Wtedy zaczynały się śpiewy, wspólne śpiewy. Człowiek rozluźniony, kładł się spać i zasypiał ufnie jak dziecko w ramionach matki - na ziemi, najczęściej pod kocem, bo nie było śpiworów, najchętniej przy ognisku, jeśli nie padało. Nie było również materacy pneumatycznych ani gąbek, dobrze, jeśli pod ręką był mech lub liście i drobne gałęzie. Ponieważ namioty nie miały podłogi, rozstawiało się je tylko w razie zagrożenia deszczem, być może z tego okresu pochodzi mój atawistyczny zwyczaj sypiania pod gwiazdami.

Rankiem człowiek wstaje życzliwy dla całego świata i płynie dalej z uśmiechem na ustach. W tym zawiera się czar włóczęgi, niekoniecznie kajakowej. Niestety, postęp techniczny, ułatwiając życie, zniszczył więzi międzyludzkie, jakie daje wspólne przebywanie w pobliżu ogniska. Klasycznym przykładem jest nasza wyprawa. Wprawdzie głównie dzięki Trampowi ognisko paliło się prawie codziennie, ale ilu ludzi to doceniało? Tylko ludzie rozumiejący, czasami instynktownie, naturę. Czyli my - Czuczki. W tym nasza siła. Popatrzcie wzajemnie na wasze twarze? Ilu z was jest uśmiechniętych, radosnych, bezkonfliktowych? Uśmiech widzę tylko na twarzach Czuczków i ich sympatyków. A wy, Krakersi? Co się dzieje z wami? Czy to normalne, żeby po udanej, szczęśliwie przebytej włóczędze, miesięcznym wspólnym przebywaniu, ludzie nie umieli się do siebie uśmiechać?

Spocony od nadmiaru słów wracam na swoje miejsce. Mija parę kilometrów i w głośnikach słychać głos Pilota:

- Ponieważ komandor opowiedział nam w skrócie swój życiorys, więc teraz ja, jako Pilot, czuję potrzebę publicznej spowiedzi.

- Urodziłem się pod ciemną gwiazdą. Miałem pecha! Biło mnie życie po dupie, wszyscy chcieli mnie wychować. Robiłem wszystkim na przekór, bo byłem draniem.

Niewiele pamiętam z dzieciństwa. Mieszkałem w Radości nad Świdrem i miałem trzy latka, gdy mnie ojciec nauczył pływać. Zapamiętałem, że podczas jednej z lekcji pływania dorożkarz bił konia na środku potoku. Musicie wiedzieć, wy młodszy, że woda w rzekach była jeszcze taka czysta, że można ją było pić bez przegotowania. Wychowywały mnie nianie. Biły w dupę od niemowlęcia. Wyciągały mi uszy, dlatego mam takie odstające. Jedna z nian była prostytutką. Wkurzała mnie, bo cały dzień jadła chleb razowy ze skwarkami, moją ulubioną potrawę. Zapychała tym sobie gębę, a ja chodziłem głodny i wkurzony, bo jadłem same pomidory.

1-szego września 39 drań Hitler napadł na Ojczyznę. Miałem wtedy 9 lat. Nigdy nie zapomnę wycia syren, świstu bomb, wybuchów, pożarów, trupów na ulicach... 17-go września bracia ze Wschodu zabrali ojca do niewoli. A przecież Polska nie była z nimi w stanie wojny! Tego samego dnia bomba uderzyła w nasz dom na Żoliborzu. Mieszkałem 4-ry dni w gruzach. 27-go września, pamiętam jak dziś, Niemcy z polskimi oficerami zatrzymali się na Placu Wilsona. Polski oficer wysiadł z jeepa i pokazywał im zburzoną stolicę. Podczas okupacji czyściłem buty, kradłem węgiel, robiłem, co mogłem, żeby przeżyć. Lata w sierocińcach, w przytułkach... po wojnie w internacie, gdzie było prawo pięści. Ale wtedy silniejszy nie bił młodszego. To była jedna zgodna rodzina. Są mi bliżsi niż bracia. Potem wzięli mnie do woja. 57-my pułk piechoty. Generał Tchórzewski wtedy dowodził. Za niewinność wysłali mnie do pułku karnego. Wszyscy znali ten pułk! Alarmy, pobudki, ćwiczenia... Pół roku w obozie

zimowym. Rogatywka z dziurami. Koszula, mundur i buty z dziurami także. Byłem cekaemistą i z Maksimem na plecach zapierdalałem po 30-ci kilometrów. Rano, skoro świt gimnastyka - bez względu na pogodę. Do minus 15-stu stopni - ćwiczenia bez koszul. 20 stopni mrozu - w koszulach, 30 - w mundurach. Jakoś się nie dałem i dali mi kaprała. Dostałem przydział do innych jednostek. W sumie 27 miesięcy. Z tego 7 w Przemyślu, potem w Suwałkach... Pamiętam konwój czołgów od Medyki do Frankfurtu nad Odrą. Po polsku - Słubice. 30 stopni mrozu, zapalałem silnik, by się ogrzać...

Całe życie sam gotowałem. Matki nie miałem, a potrzeba jest matką wynalazków. Wróciłem z wojska w ubraniu kolegi. Trybunę Ludu wsadziłem pod piętę, buty były o dwa numery za małe. Narzeczona wyszła za drugiego. To były czasy! Nikt nie był znudzony. Dawniej nawet kobieta rodziła w domu. A że trochę pokrzyczała... Przeszkadzało to komu? Życie powinno być naturalne. Kobiety do tej pory nie mam. Kasza manna - życie kawalera. Żeniaczka - to tragedia, rozwody, dzieci...

A teraz moja kariera wodniacka. 13 lat miałem jak pływałem na puchowce. Na środku jeziora koledzy, nicponie - wywrócili mnie. 500 metrów od brzegu. Stylowo pływać nie umiałem, ale ja twardo! I jeszcze łódkę holowałem. Na brzegu otrzepałem wodę z brwi, wylałem z łódki i z powrotem! Na drugi rok - zbudowaliśmy z kolegą kajak. Użyliśmy do tego sklejki ze starych drzwi. Wiosła wystrugaliśmy z grubej dechy. Scyzorykiem. Nie było wtedy odpowiednich materiałów, nie było pokostu, farb... Po kilku dniach pływania dno się rozleciało. Potem dno się obilo blachą - cały rok wytrzymała. Pływaliśmy, gdzie się dało. Byliśmy panami! Forsy pełna kieszeń i płyniesz, gdzie chcesz. Zapisalem się też do klubu żeglarzy. Musiałem pływać! Było wtedy 10 jachtów bez silników. I pływaliśmy. Teraz jacht z motorem stoi 4 lata na kołkach, bo nie ma benzyny.

Kajakiem przepłynąłem wszystkie szlaki. Na początku lat pięćdziesiątych popłynęliśmy na Mazury. Pierwszy raz w życiu w Mikołajkach. Wieczór, deszcz... Nad brzegiem jeziora, gospoda pod nazwą "Sielawa". Zamawiamy węgorka na początek... Wszystko było, dania zimne i gorące! Coś rozczulającego... Szukamy noclegu. Od chałupy, do chałupy. Cisza, ciemno w oknach, nikt nie otwiera... W końcu z którejś chałupy wychodzi czarno ubrana Mazurka. Dwa słowa po polsku, czterdzieści po niemiecku. Dogadaliśmy się. Mamy wszystko, co trzeba - izbę, pościel, łóżka. Zapadamy w sen sprawiedliwego. Po jakimś czasie wszyscy się budzą... Ktoś zapala latarkę i oświetla sufit. Tysiące pluskiew, jedna psia buda. Uciekliśmy przez okno w deszcz. Ubrania do jeziora, żeby się robactwo potopiło. Cała noc nie przespana. I to za własne pieniądze!

I tak się pływało. Przeważnie po Mazurach, które były wtedy wyludnione. Raz, w jakiejś wsi, zostawiłem zegarek. Już odpłynęliśmy parę kilometrów, gdy zauważyłem, że go nie mam. Przypomniałem sobie, że powiesiłem go na płocie. Podczas mycia. Wracam, bo to był dobry szwajcarski zegarek. Delbana! Kosztował wtedy kupę forsy. No i co? - zegarek był tam, gdzie go powiesiłem. A minęło już parę godzin. Takie to były czasy!

Kajaki były drewniane, przed sezonem trzeba je było skrobać, malować, czasem robić prawie od nowa. Pamiętasz komandorze?

- Tak było - potwierdziłem.

- A potem - kajak w pociąg, do wagonu bagażowego i - w Polskę. Mało nas było, wodniaków. Nie to, co teraz, kiedy wysiadasz na brzegu i patrzysz pod nogi, żeby nie wstąpić w gówno. Całe Mazury zasrane! Kiedyś brało się saperkę i szło w las, żeby wykopać dołek i załatwić potrzebę. Saperka była również niezbędna, żeby okopać ognisko i zrobić rów odpływowy wokół namiotu, bo był bez podłogi; lub wokół szalasu - nie zawsze miało się namiot. Ognisko paliło się w każdym miejscu, nawet w lesie, bo na nim gotowało się strawę i suszyło ciuchy w razie potrzeby. Ognisko dla wodniaka, to jak kominek dla Anglika. Miejsce, gdzie spędzało się praktycznie cały wolny czas. Centrum spotkań towarzyskich. Ma rację komandor, że jednoczyło ludzi. I pożarów od palenia ogniska jakoś nie było...

A teraz - plastikowe kajaki, przyczepy, autokary, śpiwory, butle... Nie ma ognisk, wszystko się rozmydla. Wybrałem pływanie po morzu. To już moja trzecia wyprawa do Grecji. Zostałem kajakarzem morskim. Tu jeszcze zostało trochę romantyki. Nie ma tłoku, milicji, kart pływackich i radzisz sobie jak umiesz. A bywa różnie...

No, to tyle mam do powiedzenia. Przepraszam, że może zanudzam. Ale czasem lubię pogadać.

Zapanowała cisza pełna zadumy. Przerwał ją Kuk:

- Kochani! Szkoda, że harmonię naszej pięknej wycieczki psują jakieś niezrozumiałe dla mnie kłótnie i niesnaski. Jestem, jak wiecie, żeglarzem i w głowie mi się nie mieści, że może być jakaś niesubordynacja w stosunku do kapitana jachtu! Jego rozkaz powinien być bezwzględnie przestrzegany. Ale tak jest na jachcie, bo tam od przestrzegania dyscypliny zależy często los załogi i łajby. U was, kajakarzy, jest całkiem inaczej. Stanowicie luźno związaną grupkę indywidualistów. A raczej grupki, nie mające ze sobą wiele wspólnego. Ja wiem, że dobór na tę wyprawę był zupełnie przypadkowy. Stąd zapewne różnice zdań i różne cele. Jednak o czym innym chciałbym tu mówić. Brałem wielokrotnie udział w pielgrzymkach do Częstochowy. Tam również byli przypadkowi ludzie. I też zdarzały się nieporozumienia, a nawet kłótnie. Niedaleko od klasztoru Jasnogórskiego, tuż przed miastem, znajduje się wzniesienie, które nazywają "Dziadowska Górka". Na tej górcie wszyscy pielgrzymi dokonują aktu wzajemnego przebaczenia, by ze spokojnym sumieniem móc oddać hołd Najjaśniejszej Pani. Proponuję zatem poszukać miejsca, w którym moglibyśmy się zatrzymać, porozmawiać i odpuścić nasze wzajemne urazy.

Propozycja została przyjęta brawami. Wicekomandorowa wstaje z rozjaśnioną twarzą i ogłasza imieniny swoje i męża. Do tej pory jakoś nic nie urządzali, a ja nie chciałem ich do niczego zmuszać. Wkrótce autokar zatrzymuje się na przepięknym parkingu w sercu Gór Świętokrzyskich. Ludzie z ulgą wysypują się z metalowego pudła, zwłaszcza że pora na obiad. Spoglądam na zegarek. Mamy sporą rezerwę czasową. Zapasy żywności wędrują na długi stół ustawiony w centralnej części parkingu. W tle - przepiękna panorama gór, pokrytych lasami o najróżniejszych odcieniach zieleni. Na stole rośnie sterta wykładanych z bagażnika puszek. Przeważnie konserw rybnych. Na sam ich widok dostaję mdłości. Syczą palniki kuchenek gazowych. W kocherach gotuje się woda na nieśmiertelną herbatkę. To najpopularniejszy napój polskich turystów. Nie uwzględniając oczywiście butelek z wódką, które dziś obrodziły jak grzyby po deszczu. Obracam się z niesmakiem w przeciwnym kierunku i widzę biegnącego Trampa. Już z daleka daje mi gorączkowe znaki.

- Szybko, bo kielbaski stygną! - woła. Jest również niespodzianka! Zgadnij, jaka?

Nietrudno zgadnąć, bo usiłuje za plecami ukryć butelkę piwa. Niezawodny Tramp!

W gustownie urządzonej drewnianym domku ajenta zasiadamy na obszernej werandzie. Zjadamy po kawałku nareszcie polskiej kielbasy. Wstaję i zamawiam następne piwo. Niestety, jest limitowane. Jedna kielbaska, jedno piwo. Skończyła się grecka demokracja.

- Całe szczęście, że te porcje kielbasy obliczone są na dziecięcy żołądek - zagaduje Tramp.

- Piwo też - dodaję, przynosząc następną działkę.

Rozsiadamy się wygodnie na drewnianych ławkach i rozkoszujemy widokiem świętokrzyskich lasów; pociągamy doskonale polskie piwo eksportowe z Żywca - szybko znika w naszych gardłach.

- Szkoda, że nie chce mi się już jeść. Ale piwa bym się jeszcze napił - mówi z westchnieniem Tramp.

Zapalam papierosa i opowiadam zatem historyjkę, adekwatną do obecnej sytuacji. Kiedyś z moim przyjacielem z pracy, zwanym z racji swej tuszy, a raczej jej braku - Tłustym, ukończyliśmy pomyślnie rozwiązywać pewien trudny problem, dręczący nas od tygodni. Był to piękny czerwcowy, upalny wieczór. Zmęczeni, ale szczęśliwi usiedliśmy na chwilę przy

biurkach. Stanowisko badawcze zostało wreszcie uruchomione. Zapaliliśmy po papierosie i spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Napiłbym się piwa - mruknął któryś.

Bez słowa wstaliśmy i niespiesznie wyszliśmy na ulicę. Przy tej ulicy znajduje się kino Stolica. Tutaj może być piwo.

- Panowie, pospieszcie się. Kronika już się zaczęła - mówi kasjerka

- A czy w barku jest piwo?

- Jest - odrzekła wręczając nam bilety.

Nim kronika się skończyła wyszliśmy ponownie, uśmiechając się szelmowsko do zdziwionej kasjerki.

Tramp w lot zrozumiał sentencję tej opowieści i po chwili wrócił odpowiednio uzbrojony. Tymczasem na werandę wbiegła zdyszana Eura.

- Słuchajcie! Co wy sobie właściwie myślicie? Tam już się zaczęło. I wszyscy...

Urwała w pół zdania. W milczeniu podałem jej butelkę. Po paru łykach oprzytomniała:

- Widzę, że macie kiełbaski...Pyszne - rzekła po chwili.

- Siadaj i nie mów zbyt dużo, bo się zakrztusisz. Co tam robią wszyscy?

- Nnno... wszyscy piją na cześć solenizantów.

- My też pijemy, tylko na odległość. Chcesz jeszcze piwo?

Skinęła głową. Po wypiciu zamyśliła się.

- Podoba mi się tutaj. Wydaje mi się jednak, że nie możemy robić demonstracji. Nie tylko Krakersi są na tej wycieczce, trzeba myśleć i o innych. Chodźmy do nich, a kiełbaski weźmiemy jako wkupne.

Cóż było robić? Podeszliśmy do rozbawionej ferajny. Zaczerwienione twarze i nieszczerze uśmiechy solenizantów. Podnoszą w naszą stronę kieliszki.

- Szefie, wypijmy!

Wypiłem. Dobrze, że byłem po lekkiej rozgrzewce. Nie wiem, dlaczego, ale nie lubię picia wódki, zwłaszcza cieplej, gdy słońce jest wysoko na niebie.

Znów toasty za... i tak dalej. Towarzystwo rozluźniło się zupełnie.

- Zaśpiewajmy coś - proponuje ktoś z boku.

Popłynęło tak parę piosenek. Głupio tak śpiewać w biały dzień, bez ogniska. Spoglądam na zegarek. Obiecałem rodzinom wyjeżdżającym, że będziemy dzisiaj o godzinie 18.00. Kalkuluję na zimno, że lepiej stąd odjechać. Warto mieć małą rezerwę czasową, przerwać tę biesiadę, zwłaszcza że niektórzy zaczynają się rozkręcać na dobre. Niestety - za późno. Mieli na to cały miesiąc. Przerzywam granie.

- Słuchajcie! Proponuję już jechać. Pośpiewamy w autokarze.

Podochocone towarzystwo pakuje się do środka. Siadam przy mikrofonie, biorę gitarę do ręki i zaczynam przebój wyprawy. Ale w całkiem zmienionej wersji, którą napisałem dzisiaj:

Błękitne jest niebo Grecji

I woda w morzu zielona

Nigdy byś tam nie popłynął

Gdyby nie Armia Czerwona!

Motto: CZUKCZE - to awangarda Armii Czerwonej!

Dzielna czukocka eskadra

Płynie miotana falami.

Lecz jeden z naszych kolegów

Pomylił wiosła z... drachmami.

Błękitne jest niebo Grecji

I plaża się ściele piaszczysta

Tylko dlaczego Krakersi

*Nie chcą naszego ogniska?
Siądź przy czukockim ognisku
Nad głową niebo z gwiazdami.
Łysy uśmiecha się z góry
Hej Łysy! napij się z nami.
Już Noe popijał wino.
Popijał wino dzbanami...
A gdy świat woda zalala
Schronił się w arce z wiosłami.
Czukocki ogień oczyszcza
Cichutko wzdycha gitara.
Wrażliwe serce i uśmiech...
Czuczka potomkiem Cezara.*

Rozgrzane towarzystwo przyjęło piosenkę brawami i wołaniem o bis. Ale ja, już rozluźniony i powracający na swoje miejsce, podchwyciłem zimne spojrzenie Krakersowej...

Atmosfera w wozie wybitnie luzowa. Szekla woła:

- Proszę o jeszcze jedną "dziadowską górkę"!

Na to Szaman:

- Heniu! Zatrzymaj wóz i ją wyrzuć!

Redaguję ostatnie "pismo okólne", będące czymś w rodzaju sondażu socjologicznego, w którym dziękuję Prezesowi za umożliwienie przeprowadzenia wyprawy. Przekazuję mu berło dowodzenia, bo zbliża się Warszawa i życzę mu sukcesów w organizowaniu dalszych wypraw w kierunku mórz południowych.

Pismo wróciło do mnie z mnóstwem entuzjastycznych opinii o wyprawie. Charakterystyczna jest wypowiedź Mimozy: - Zapisuję się do Waszego KLUBU. Czy to coś wam mówi?!

I ani jednej uwagi, zdania, słowa, na które czekałem... A czekałem na słowo: DZIĘKUJĘ.

Rozgoryczony, zwracam się do Trampa:

- Wiesz stary, chyba w przyszłym roku pojedę znów "na saksy". Tym razem do Algierii. Trochę zarobię, a wracając kupię mikrobus w Niemczech i założę prywatną firmę turystyczną. Następnie, z dobranymi ludźmi, ponownie zorganizuję wyprawę do Grecji...

- Pierwszy! - woła Tramp podnosząc rękę w górę.

- Ja także, ja też...odzywa się chór głosów.

- Insz Allah - uśmiecham się.

Algieria, Laghouat 1989-91

SPIS TREŚCI

Prolog.....	2
Rozdział I Prezes i inni.....	7
Rozdział II Przygotowanie do wyprawy.....	19
Rozdział III Luzacy, Krakersi i celnicy.....	31
Rozdział IV Czuczka w Turcji.....	41
Rozdział V Nareszcie w Grecji.....	59
Rozdział VI Kajakiem wokół Thasos.....	68
Rozdział VII Wdowa z Keramoti.....	85
Rozdział VIII Czuczka w cieniu oliwki.....	90
Rozdział IX Dziadowska górka.....	139